

Howard Roughan

Obietnica kłamstwa

(The Promise of a Lie)

Przełożył Zbigniew A. Królicki

Część 1

Rozdział 1

Mówiąc najzupełniej szczerze i nieprofesjonalnie, moi pacjenci w tym dniu przypominali kiepsko zestawiony skład reprezentacji Manhattanu.

O dziewiątej przyszła na wizytę chora na bulimię, dwukrotnie rozwiedziona kierowniczka działu, która miała romans ze swoim żonatym szefem.

O dziesiątej cierpiący na chroniczne poczucie winy kleptoman, który nigdy nie zatrzymywał tego, co ukradł. Zawsze wracał do okradzionego sklepu, żeby oddać towar.

No i spotkanie o jedenastej. A przynajmniej tak to można nazwać. Nadpobudliwa seksualnie wiolonczelistka, która – między innymi – lubiła się masturbować na tylnym siedzeniu taksówki. Chyba nie muszę mówić, że mieszkała w sporej odległości od mojego gabinetu.

Dwie godziny na lunch i papiery, a potem znów do roboty.

Druga: aktor popularnej mydlanej opery, który całkowicie utożsamiał się z graną przez siebie postacią.

Potem trzecia. Po namyśle dochodzę do wniosku, że lepiej będzie przemilczeć ten temat.

I wreszcie mój ostatni pacjent w tym dniu. Umówiony na czwartą, główny powód tego, że w ogóle pamiętam ten dzień.

Nazywał się Kevin Daniels . Obiecujący młody scenarzysta, który napisał siedem scenariuszy i jeszcze żadnego nie sprzedał. Nie mogąc pozbyć się etykiety początkującego i zostać zawodowcem, Kevin popadł we frustrację objawiającą się głęboką i zapięklą nienawiścią do tych ludzi, na których chciał wyrzucić wrażenie. Według Kevina Hollywood nie było tylko stolicą dupków i idiotów. Tam po prostu roilo się od, cytując: „niedorozwiniętych, kapryśnych dziwek namawiających nas do współudziału w intelektualnej prostytucji”. Koniec cytatu.

Mogłem sobie wyobrazić treść jego scenariuszy.

Jednak tego popołudnia, w pochmurny czwartek w połowie października, Kevin przybył do mojego gabinetu z niezwykłym u niego promiennym uśmiechem. Oznajmił, że przynosi doniosłe wieści.

– Doznałem objawienia, wpadłem na niesamowity pomysł – rzekł. Nachylił się do mnie i zniżył głos do szeptu. – Muszę znaleźć się w brzuchu bestii.

Zamilkł i patrzył na mnie.

– Zatem...

– Zgadza się. Przeprowadzam się, Davidzie. Przenoszę się do Hollywood.

– Do brzucha bestii, jak mówisz.

– Właśnie.

– Aby rozsadzić ją od wewnątrz.

– Dokładnie tak.

Pokiwałem głową z nieprzeniknioną miną.

– Jesteś pewien, że właśnie to chcesz zrobić?

– Nie tylko chcę, ale praktycznie już to zrobiłem – padła odpowiedź. – Poleciałem tam w zeszły weekend i wynająłem mieszkanie w Hollywood Hills. Pojutrze wyprowadzam się tam na dobre.

– Nie tracisz czasu, co?

– Nie zamierzam.

– Powiedziałeś już o tym rodzicom? – zapytałem.

– Podżyrowali mi umowę na mieszkanie.

– Rozumiem, że to oznacza aprobatę dla twoich planów?

– To zbyt wiele powiedziane – odrzekł Kevin, rozkładając ręce. – Moi rodzice wiedzą[^] że nie zdołają mnie powstrzymać, więc nawet nie próbowali. No ale, co z tobą, Davidzie? Czy ty aprobujesz moją decyzję?

Przestrzegłem się w duchu. Psychoterapia, a przynajmniej tak jak ja ją rozumiem, w znacznej części opiera się na założeniu, że porady przede wszystkim nie powinny przynosić więcej szkody niż pożytku. Moim zadaniem nie jest oddzielanie dobra od zła. Mam tylko stwierdzić, co jest dobre lub złe dla danego pacjenta.

Kevin czekał na odpowiedź.

– Czy ja aprobuję twoją przeprowadzkę? – powiedziałem powoli. – Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy myślę o tym w kategoriach aprobaty lub dezaprobaty. Najważniejsze jest to, o czym rozmawialiśmy już od długiego czasu, mianowicie, że nikt lepiej od ciebie nie kontroluje twojego życia. Chociaż ten fakt sam w sobie nie gwarantuje ci sukcesu, to z pewnością zapewnia ci prawo do podejmowania samodzielnych decyzji. Na dobre czy złe.

– Innymi słowami, pieprzyć każdego, komu się to nie podoba – podsumował Kevin.

– Mniej więcej. Wzruszył ramionami.

– Mogę z tym żyć.

Przez kilka sekund spoglądaliśmy na siebie w milczeniu, po czym obaj zdaliśmy sobie sprawę, że kontynuowanie tej rozmowy tylko dlatego, że została nam jeszcze prawie godzina, byłoby głupotą. Kevin uznał, że mimo to powinienem policzyć mu za całą sesję.

– Nie, ta jest na koszt firmy – zdecydowałem.

– Naprawdę?

– Jasne. Kup dwieście, jedną masz darmo.

Roześmiał się i uściśniliśmy sobie dłonie. Życzyłem mu szczęścia. Przeszedłszy kilka kroków do drzwi, Kevin przystanął i obejrzał się.

– Brzuch bestii. Tam możesz mnie znaleźć – oznajmił, po czym wyszedł.

No i tak to było. Dlatego tak dobrze pamiętam tamten dzień. Powiedziałem Kevinowi to, co wielokrotnie powtarzałem mu przez cztery lata: że nikt lepiej od ciebie nie kontroluje twojego życia. Uważałem, że daję mu bardzo dobrą radę.

Niestety, popełniłem błąd.

Śmiertelnie niebezpieczny błąd.

Wiem o tym, ponieważ po wyjeździe Kevina zwolniło się miejsce na liście moich pacjentów... A osoba, która je zajęła, wystarczająco jasno mi tego dowiodła.

Rozdział 2

Następnego wieczoru około ósmej.

Patrzyłem, jak Parker wyciąga rękę i wskazującym palcem naciska przycisk dzwonka. Gdy we troje staliśmy i czekaliśmy, skorzystałem z okazji, żeby jeszcze trochę ponarzekać.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że zdołaliście mnie na to namówić – powiedziałem.

– Nonsens – odparł Parker. – Nie przyszedłbyś tu, gdybyś nie chciał.

– Mówisz jak psychoanalityk – zauważyłem.

– A ty potwierdzasz, nie zaprzeczając – rzekł Parker. Zachichotałem.

– Oto prawnik, którego znam i kocham.

Żona Parkera, Stacy, szturchnęła go łokciem w bok.

– Czy prawnik, którego ja również znam i kocham, zechciałby ponownie zadzwonić do tych drzwi? – spytała. – Nie sądzę, żeby ktoś nas usłyszał.

Parker ponownie nacisnął przycisk, gdy ja rozważałem, czy nic zbiec pędem po schodach na dół. Za późno. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

– O mój boże! Patrzcie, kto tu jest! – krzyknęła wniebogłosy Cassandra Nance. W całej swej czterdziestodzieciokilogramowej okazałości stanęła przed nami i z udawanym zdziwieniem zakryła sobie usta kościstą dłonią. Mała czarna wisiała na niej jak na wieszaku. Ta kobieta naprawdę była chuda. – Wejdźcie, wejdźcie – zachęciła.

Całowanie powietrza, drobne uprzejmości i zwyczajowe przekazanie butelki wina. Wynajęty lokaj we fraku podszedł i wziął od nas płaszcze. Zostaliśmy oficjalnie przyjęci. Cassandra przeprowadziła nas przez foyer na przyjęcie. Robiąc to, wzięła mnie pod rękę i szepnęła mi do ucha:

– To naprawdę wspaniale, że przyszedłeś, Davidzie.

Przynajmniej jedno z nas tak uważało.

Mimo wszystko do tego czasu zdążyłem już pogodzić się z rzeczywistością. Moja obecność była częścią niezbędnego rytuału i zamierzałem dołożyć starań, żeby go dopełnić. Może nawet dobrze się przy tym bawić. Zanim jednak mogło to nastąpić, musiałem przywitać się z kimś. „Czołem, panie barman”. Po bardzo krótkiej i raczej jednostronnej rozmowie z tym facetem dostałem zamówioną whisky z wodą sodową. Dwa szybkie łyki i byłem gotowy. Zaraz definitywnie rozwieję wszelkie podejrzenia, że David Remler stał się typem zdecydowanie aspołecznym.

Rozejrzałem się wokół. Krąg przyjaciół pozostałych po dwóch eksmężach, liczne imprezy, na których występowała w roli mecenasa sztuki, oraz obecne stanowisko Cassandry jako redaktorki działu mody „Vogue” zaowocowały niezwykle ekscentrycznym zgromadzeniem. Najwidoczniej byli tu reprezentanci każdej grupy etnicznej, ideologii i orientacji seksualnej, a wszyscy z ożywieniem rozmawiali ze sobą i jakimś cudem znali gospodynię.

Co do mnie, to poznałem ją przez Parkera i Stacy, którzy towarzyszyli mi tego wieczoru. Szybkie wyjaśnienie. Z Parkerem Mathisem dzieliłem pokój na pierwszym roku na

Uniwersytecie Columbia. Nazwijcie to szczęśliwym trafem, ale szybko się polubiliśmy i w ciągu czterech lat studiów zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Nawet gdyby nasze drogi po studiach się rozeszły i tak bylibyśmy w kontakcie. A ponieważ obaj postanowiliśmy pozostać w mieście, byliśmy jak bracia. Wybaczyłem Parkerowi nawet to, że wybrał karierę adwokata specjalizującego się w sprawach kryminalnych.

Chociaż mogłem kpić z braku rozsądku, jaki okazał, obierając wątpliwą drogę kariery, musiałem przyznać, że doskonale wybrał sobie żonę. Stacy Mathis była mądra, inteligentna, atrakcyjna i prowadziła centrum poradnictwa rodzinnego dla kobiet w Harlemie. Bombowa babka z aureolą nad głową. W istocie, co sam Parker często przyznawał, jeśli kiedyś uda mu się dostać do nieba, to tylko pod osłoną społecznej wrażliwości Stacy.

W każdym razie, co do mojej rzeczowej znajomości z Cassandrą, to miała ona czysto geograficzne podłoże. Aż do poprzedniego roku Parker i Stacy mieszkali w tym samym budynku co Cassandra, tylko dwa piętra niżej. Poznali ją w windzie i zaczęli bywać u siebie. W rezultacie stała się regularnym gościem na corocznym bożonarodzeniowym przyjęciu u Parkera i Stacy. Nie opuściła ani jednego. A kiedy dowiedziała się, że jestem psychologiem, nigdy nie przepuściła okazji, żeby zasięgnąć mojej rady. W ciągu kilku lat i przy beczce ponczu, wysłuchałem historii całego życia Cassandry. Sądzę, że chciała tylko potwierdzić słuszność podjętych przez nią decyzji. Spełniłem jej oczekiwania. Zapewne z wdzięczności zająłem stałe miejsce na liście jej gości.

I tak znalazłem się tutaj. Nieźle ubrany i gotowy wtopić się w otoczenie. A było się w co wtapiać. Włoskie marmury, perskie dywany, francuskie okna i angielskie meble. „Amerykański sen”. Przynajmniej w Upper East Side. Przez kilka następnych godzin krążyłem po pokojach, ściskając dłonie i sprzedając dowcipy, z przyjemnością odkrywając, że moje umiejętności towarzyskie, choć nieco zardzewiały, nie całkiem zanikły.

Nagle, zmierzając po następnego bourbona z wodą sodową, zostałem mocno pociągnięty za ramię przez Cassandrę. Stała w towarzystwie kilku osób.

– Davidzie, mój drogi, naprawdę musisz to usłyszeć! – oznajmiła.

– Co usłyszeć? – zapytałem posłusznie.

– Teorię Nathana, ot co. Jest zdecydowanie neandertalska. Odczekałem chwilę, gdy szuranie stóp po prawej i lewej oznajmiło mi, że grupka robi mi miejsce. Koktajlowy walc, krok numer dwa.

– Och, daj spokój, Cassandro. Nie udawaj, że się nie zgadzasz – powiedział mężczyzna, w którym domyśliłem się Nathana.

Jeszcze go nie poznałem.

– Nathan Harris – powiedział, szybko naprawiając to zaniedbanie.

Przełożył kieliszek do drugiej ręki, żeby uściskać mi dłoń.

– David Remler – przedstawiłem się.

– Tak, wiem. Czytałem pańską książkę.

Cassandra, ani na chwilę nie zapominając o roli gospodyni, wtrąciła:

– Ach, Davidzie, znasz już Jane i Scotta Wallace'ów, prawda?

– Tak – odparłem, uśmiechając się do następnej pary dołączającej do kręgu.

– To dobrze – powiedziała. – No, już, Nathanie, powtórz Davidowi to, co nam mówiłeś. Jestem ciekawa, co na to powie nasz specjalista psycholog.

– Tylko jeśli obieca, że nie wystawi nam za to rachunku – zażartował Nathan.

– Nie ma obawy – zapewniłem. – Dziś wieczór odbieram moje honoraria w *hors d'oeuvres*.

– To dobrze – powiedział z rozbawieniem.

Przyjrzałem mu się, gdy pociągnął łyk z kieliszka. Czterdziestolatek, szczupły i opalony mimo późnej jesieni. A także bardzo zadbany. Na jego widok natychmiast na usta cisnęło się słowo „fircyk”. A także „pompatyczny”.

– Mówiłem – zaczął, ostrożnie dobierając słowa – że mam pewną teorię na temat prawdziwej różnicy między mężczyznami a kobietami. Krótko mówiąc, wierzę, że mężczyźni przewyższają kobiety we wszystkim, co jest namacalne, czego możemy dotknąć. Na przykład mężczyźni są znacznie lepsi od kobiet, jeśli chodzi o budownictwo. Nie mówię tylko o samym konstruowaniu, ale także o projektowaniu i planowaniu. Pomyślcie tylko, wszyscy wielcy architekci w historii ludzkości byli mężczyznami. Rozważcie również sztukę, a przynajmniej te jej rodzaje, które wymagają fizycznego wysiłku. Trzymanie palety i pędzla, formowanie gliny – wszyscy wielcy malarze i rzeźbiarze w dziejach byli mężczyznami. Lepszy chirurg? Mężczyźni. Lepszy kucharz? Mężczyźni. Nawet kiedy chodzi o robienie pieniędzy – zwyczajne zbijanie forsy – mężczyźni są lepsi od kobiet.

Nathan przerwał i znów pociągnął długi łyk. Gdy to robił, zerknąłem na jego dłonie. Ku mojemu zdziwieniu dostrzegłem obrączkę.

– Natomiast co do kobiet – Nathan podjął wywód, machając wskazującym palcem – we wszelkich nieuchwytnych sprawach, których nie da się dotknąć, kobiety pozostawiają nas daleko w tyle. Uczucia. Emocje. Oto do czego są stworzone. Oto co definiuje ich świat i motywuje je bardziej niż cokolwiek innego. Jeśli chodzi o kobiety, mężczyźni mogą sobie mieć budowle, posągi i płótna, a nawet większe zarobki. Byle tylko kobietom pozostawili to, co nieuchwytnie – uczucia i emocje. W tej dziedzinie kobiety rządzą, a mężczyźni są bezsilni. I nawet przez chwilę nie sądzcie, że kobiety nie zdają sobie z tego sprawy. Wiedzą o tym aż za dobrze i w pełni wykorzystują, często pozwalając mężczyznom sądzić, że kontrolują sytuację, aby potem nagle sprowadzić ich na ziemię.

– No, cóż – powiedziała Cassandra, zwracając się do mnie i marszcząc brwi. – Co sądzisz o teorii Nathana?

– Uważam, że jest bardzo interesująca – odparłem, wiedząc, że nie zdołam wykręcić się tym krótkim stwierdzeniem.

– Będziesz musiał bardziej się postarać, Davidzie – orzekła, kręcąc głową. – Zjadłeś za dużo moich *hors d'oeuvres*, żeby robić takie uniki. Zdradź, co naprawdę myślisz.

W tym momencie myślałem, że powinienem być wybrać inną drogę do baru.

– Cóż, zastanówmy się – zaczęłam. – Wydajesz się twierdzić, Nathanie, że podczas gdy mężczyźni są rękami naszej zbiorowości, kobiety reprezentują serce. Sama w sobie, pominać liczne wyjątki od reguły, to całkiem rozsądna teoria. Weźmy, na przykład, pewien aspekt, o którym nie wspomniałeś. Seks. Nie w tym rzecz, która płęć jest w nim lepsza, ale według

powszechnie przyjętego przekonania mężczyźni traktują seks czynnościowo, natomiast kobiety emocjonalnie. Sądzę, że ten fakt potwierdza to, o czym mówiłeś. Jednakże w tym miejscu nasze zdania się różnią. Przy stwierdzeniu, że kobiety wykorzystują tę różnicę, aby zwodzić i oszukiwać, jakby, wybaczyć żart, mężczyźni byli z Marsa, a kobiety z Wenus. Z całym, szacunkiem, obawiam się, że nie kupuję tego. Moim zdaniem daje to mało pochlebny, nie mówiąc już o tym, że niepełny obraz tego, co zawsze uważałem za łagodniejszą płć. Zgadzasz się ze mną, Cassandro?

Miałem wrażenie, że jest gotowa mnie ucałować.

– Jak najbardziej.

– Sprzedane! – oznajmiłem. Pozostała mi tylko pożegnalna kwestia. Pokazałem pusty kieliszek. – A teraz, jeśli państwo wybaczą, chyba udam się po następnego drinka.

– Nie tak szybko, Davidzie.

Nathan Harris, zdecydowanie nie zapowiadający się na mojego dobrego przyjaciela, nie odpuścił. Oceniając jego teoryjkę, grałem się zadowolić zarówno Cassandrę, jak i autora. Niestety, najwyraźniej Nathan był typem człowieka, którego nie satysfakcjonują połowiczne zwycięstwa.

– Interesujące – rzekł, drapiąc się po skroni. – Pozwól jednak, że o coś cię zapytam, Davidzie. Czy możesz uczciwie stwierdzić, że nigdy nie zostałeś wykorzystany emocjonalnie przez kobietę?

– Nie sądzę – odparłem bez wahania. Z rozmysłem spojrzałem na zegarek i uśmiechnąłem się. – Oczywiście, noc jest jeszcze młoda.

Wszyscy uznali to za zabawne, oprócz Nathana. Jak bulterier uczeplił się pomysłowi wykpienia mnie i nie zamierzał z tego zrezygnować.

– Z całym szacunkiem, obawiam się, że tego nie kupuję – powiedział, powtarzając moje własne słowa. – Kiedyś musiałeś stać się ofiarą kobiety.

Jezu, Nathanie, czy czasem nie jesteś spóźniony na umówioną wizytę w solarium?

Ludzie, pomocy. Spojrzałem na Jane i Scotta Wallace'ów, parę, która do nas dołączyła, mając nadzieję, że któreś z nich coś powie, cokolwiek, byle zmienić temat. Niestety. Wspaniale. się bawili i nie mieli zamiaru odzywać się w trakcie spektaklu.

– Nathanie, mój drogi, nie sądzisz, że ta rozmowa staje się nieco zbyt osobista?

W końcu Cassandra przyszła mi z pomocą. Gospodyni poinformowała jednego ze swych gości, że chyba jest w kiepskiej formie. Z pewnością Nathan Harris, pozujący na dżentelmena, ochłonął teraz i wycofa się rakiem.

Ponownie nie dopisało mi szczęście.

– Nie proszę, żeby wymienił nazwiska czy ujawnił szczegóły – rzekł urażony Nathan. – Ja tylko chcę, żeby był szczery. – Zwróć! się do mnie. – Możesz być z nami szczery, prawda? Przecież potrafisz.

Prawie mu się udało. Ten jawnie protekcjonalny ton. Do głowy przyszły mi rozmaite odpowiedzi; bardzo pociągająca była ta, w której poinformowałbym faceta, że właśnie zwolniło się miejsce w kolejce do mojego gabinetu, a mówiąc absolutnie szczerze, na całym Wschodnim Wybrzeżu on jest osobą najbardziej potrzebującą leczenia. Uznałem, że rzucono

mi rękawicę. Nathan Harris z każdą chwilą był mniej fircykowaty, a bardziej pompatyczny. Czas pokazać mu, gdzie jego miejsce. Już zamierzałem przekuć w czyn ten pomysł, dobrze wiedząc, że zaraz powiem kilka słów, których później będę żałował.

– Wybaczcie, czy macie coś przeciwko temu, że na chwilę pożyczymy sobie Davida?

Z ulgą usłyszałem znajomy głos. Parker, ze Stacy u boku, wtrącił się do rozmowy. Byłem uratowany. Parker już ujął mnie pod rękę i odciągał na bok.

– Obawiam się, że zostałem porwany – powiedziałem dotychczasowym rozmówcom i w tej sytuacji nie musiałem mówić nic więcej.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Nathan mógł tylko bezradnie patrzeć na mój odwrót.

Po chwili, kiedy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości, podziękowałem Parkerowi i Stacy za interwencję.

– Domyśliliśmy się, że jest konieczna – wyjaśnił Parker. – Miałeś taką minę, jakbyś cierpiał na obstrukcję.

Wydałem z siebie przesadnie głębokie westchnienie i zauważyłem:

– Jak już mówiłem, nie wiem, jak zdołaliście mnie zaciągnąć na to przyjęcie.

– Och, daj spokój, Davidzie – odparła Stacy, klepiąc mnie w ramię. – Przyznaj, że wspaniale się bawiłeś.

– Jeśli przyznam, to będziemy mogli wyjść?

Stacy przewróciła oczami.

– Dlaczego mężczyźni zawsze domagają się czegoś w zamian?

– Ponieważ najwidoczniej wszyscy mężczyźni są materialistami.

Nierozumiejące spojrzenia.

– Nieważne – dokończyłem.

Wkrótce potem wracaliśmy taksówką do domu. Rozmawialiśmy (czytaj: plotkowaliśmy) o niektórych osobach, które spotkaliśmy tego wieczoru. Nie ma się czego wstydzić. Po to wraca się taksówkami z przyjęć.

Stacy powiedziała nam, że przedstawiono jej parę nowożeńców, którzy poznali się, pozując do fotografii Spencera Tunicka. Najwidoczniej zbiorowe obnażanie się w publicznym miejscu to doskonały sposób na przełamanie lodów.

Natomiast Parker powtórzył nam swoją dyskusję z pewną starszą panią, która zamećzała go przemysleniami na temat li I mu dokumentalnego o holocauście, który niedawno nadano w publicznej telewizji. Siłą wybitnie emocjonalnej wypowiedzi . starszej pani nieco osłabiła jej niemożność odróżnienia osławionego gestapo od pikantnej zupy.

– To było niesamowite – podsumował Parker. – Ta kobieta wciąż mówiła o straszliwych zbrodniach niemieckiego *gaspacho*.

Z tego uśmieł się nawet taksówkarz.

Ja ze swej strony krótko opisałem im Pompatycznego Nathana i jego teoryjkę o różnicy między mężczyznami a kobietami – przeciwstawiającą materialne emocjonalnemu.

– Osobiście chętnie dałabym temu facetowi bardzo wyczuwalnego kopa w tyłek – powiedziała Stacy, w ten sposób zamykając temat.

Potem pozostała nam już tylko nasza nieustannie chudnąca gospodyni, Cassandra. Jednogłośnie stwierdziliśmy, że ta kobieta powinna od czasu do czasu zjeść tabliczkę czekolady.

Przy skrzyżowaniu Sześćdziesiątej Dziewiątej z Trzecią taksówkarz zatrzymał się na moje żądanie. Otworzywszy drzwi, jeszcze raz podziękowałem Parkerowi i Stacy za to, że nie chcieli przyjąć do wiadomości mojej odmowy, kiedy zapraszali innie na to przyjęcie. Taki upór jest miarą przyjaźni, oznajmiłem. Albo coś w tym stylu. Zrozumieli, o co mi chodzi.

Stojąc na chodniku, w rześkim i chłodnym powietrzu jesiennej nocy, patrzyłem na szybko oddalającą się taksówkę, doskonale zdając sobie sprawę z nieuchronnego dalszego ciągu. Teraz Parker i Stacy będą rozmawiać o mnie. Jednak nie plotkować. Dobrze ich znając, wiedziałem, że będą mówić ciepło, z zatroskanymi minami, i nadal dziwić się tak, jak zapewne dziwili się od dnia, kiedy to się stało: czy z żalu po jej utracie zamierzam stracić resztę życia?

W tym momencie sam sobie zadawałem to pytanie.

Rozdział 3

Nie robiłem głupstw, które świadczyłyby, że niezbędna jest mi pomoc specjalisty. Nie stawiałem dla niej nakryć na kuchennym stole. Nie mówiłem do niej, jakby nadal była w pokoju. Owszem, chodziłem na jej grób, ale robiłem to raz lub dwa razy w roku, a nie raz lub dwa razy na tydzień. Co do jej ubrań, to już dawno oddałem je organizacji charytatywnej.

Minęły już prawie trzy lata, od kiedy moja żona, Rebecca Remler, zmarła w wieku trzydziestu jeden lat. W chwili śmierci była w czwartym miesiącu ciąży.

Mówienie o tym wcale mnie nie wzrusza. Po prostu włączam autopilota i zaczynam recytować mantrę, fakty i szczegóły jej śmierci tak głęboko wryte w mej pamięci – we mnie – że nawet nie muszę o nich myśleć. Niemal tak, jakbym opowiadał historię obcego faceta. Mówił o jego żalu, nie moim.

Kilka tych faktów i szczegółów.

Rebecca i ja byliśmy właścicielami apartamentu na Manhattanie. Ponadto mieliśmy domek nad jeziorem Candlewood w Connecticut. Tam uciekaliśmy na weekendy. Domek był nieco spartańsko urządzone, ale nam, mieszcuchom, to nie przeszkadzało. Drewniane bale, ogrzewanie piecowe i wiszące lampy co najmniej równoważyła mała czasza anteny satelitarnej i ultranowoczesny ekspres do kawy, który kosztował czterysta dolców. Nie potrafiliśmy zrezygnować z tych luksusów. Ja uwielbiałem oglądać Yankees, a ona kochała kofeinę.

Prawdę mówiąc, tylko na to narzekała Rebecca, kiedy zaszła w ciążę. Sporadyczne poranne nudności czy dodatkowe kilogramy zaokrąglające jej szczupłą, umięśnioną sylwetkę – z tym potrafiła dać sobie radę. Jednak obywanie się bez kawy to co innego. Pewnego razu delikatnie przypomniałem jej słowa lekarza, który powiedział, że spokojnie może wypijać filiżankę dziennie, jeśli naprawdę będzie chciała. To nie zaszkodzi dziecku. Popatrzyła na mnie z rozgoryczeniem. Cytuję: „To na mc. Nie wystarczyłaby mi jedna filiżanka. Wciąż myślałabym o następnych, których nie mogę wypić”.

Jestem pewien, że jest w tym głęboka życiowa prawda.

Rebecca często przedłużała weekend, wyjeżdżając do domku już w czwartek wieczorem. Jako wolny strzelec, wyznaczała sobie godziny pracy. Letnie piątki zawsze miała wolne. Tak . unio jesienne, zimowe i wiosenne. Ja nie. Jako psycholog zarabiam całkiem nieźle, ale płacą mi od godziny. W piątki pracowałem i dołączałem do Rebecki wieczorem, dojeżdżając pociągiem do Danbury.

Tak też było w tamten drugi weekend w listopadzie. A przynajmniej tak powinno być, ale wszystko się zmieniło. W piątek pracowałem tylko kilka godzin. Pojechałem wcześniejszym pociągiem. Na stacji, zamiast Rebecki, która zwykle po mnie przyjeżdżała, czekał na mnie policjant, żeby zabrać mnie do biura koronera.

Zdaje się, że miał na imię Bill.

Wcześniej tego dnia w rejonie jeziora padała marznąca mżawka. Rebecca wyjechała z domku w najgorszy deszcz, żeby zrobić zakupy. (Ona gotowała w piątki, ja w soboty),

zwilżywszy na to, czym jeździliśmy (audi A4quattro), zapewne uznała, że nic jej nie grozi na śliskiej drodze.

Zderzenie czołowe. Osiemnastoletni chłopak za kierownicą Dmowskiego lexusa. Nie pił, nie ćpał ani nie robił niczego luneto, co natychmiast przychodzi człowiekowi do głowy, kiedy usłyszy słowo „osiemnastoletni”. Po prostu chłopak jadący o wiele za szybko samochodem, którego w ogóle nie powinien prowadzić. Wychodząc z ostrego zakrętu, stracił panowanie nad pojazdem i zjechał na przeciwny pas ruchu. Prosto na nadjeżdżającą Rebecę.

Tak, po pewnym czasie przekonałem się, że mogę już spokojnie mówić o jej śmierci. Tylko nie potrafiłem spokojnie o niej myśleć. Myślenie o tym było jak bezpośrednia rozmowa z samym sobą, podczas której nie było autopilota ani mantry faktów i szczegółów, za którymi można się ukryć. Z łatwością mogłem odizolować się od troski i ciekawości innych, tych ostrożnych pytań i kryjącego się za nimi współczucia. Nie potrafiłem jednak uciec od własnych myśli... i częstotliwości, z jaką kierowały się do Rebecki.

I naszego dziecka.

Było za wcześnie, by wiedzieć, czy mieliśmy chłopca, czy dziewczynkę. Zapewne to dobrze, jeśli wierzy się w hierarchię żalu. Rebecca zdecydowanie chciała poznać płeć dziecka, gdy tylko będzie to możliwe. Jak wyjaśniała krewnym i znajomym, niepokoiło ją, że rośnie w niej „to”. Zbyt bezosobowe, nazbyt chłodne określenie czegoś – a raczej kogoś – kto był przeciwieństwem tych cech. Im prędzej będzie mogła mówić o niej lub o nim, tym lepiej. Nie mając w tej kwestii równie zdecydowanego zdania, decyzję pozostawiłem jej.

Nie wybieraliśmy imion. To była moja propozycja. Czekać z tym, aż poznamy płeć dziecka, zredukujemy spory o połowę, zażartowałem. Rebecca zgodziła się, obrzuciwszy mnie pełnym zrozumienia, typowo żoninym spojrzeniem. Jednakże to, że nie dyskutowaliśmy o imieniu naszego dziecka, wcale nie oznaczało, że nie zastanawialiśmy się nad tym. Wiem, że ja wiele o tym myślałem. Byłem pewien, że ona też.

Kilka tygodni po śmierci Rebecki szukałem w szafie rękawiczek. Zamiast nich znalazłem jedną z książeczek z imionami. Nie wiedziałem, że Rebecca kupiła taką, a zważywszy na to, gdzie ją schowała, zapewne ukryła ją przede mną. Oczywiście. Jak można uniknąć rozmowy o imionach, jeśli taka książeczka leży na widocznym miejscu?

Usiadłem na podłodze przed szafą i dopiero po kilku sekundach otworzyłem książkę. Na filmie owdowiały mąż znalazłby nieotrzymany gwiazdkowy prezent albo pamiętnik. Prymitywny chwyt, obliczony na wyciśnięcie łez. Jednak rzeczywistość jest zwykle subtelniej sza. Mimo wszystko nie wiedziałem, jak zareagować. Zacząłem przewracać kartki, zerkając na zaznaczone lub zakreślone tu i ówdzie imiona. Była to jedna z tych książek, które podają także znaczenie imion. Przeczytałem kilka. Shayna oznacza „piękna”, Trevor – „dumny”. Jake to „szanowany”.

Potem natrafiłem na kawałek białego papieru zatknięty między stronami, gdzie kończyły się imiona na S, a zaczynały na T. Na nim lista. Jednak nie wybranych imion. To było coś innego. Na samej górze Rebecca napisała krótkie zdanie. Przeczytałem: „Czego nauczymy nasze dziecko...” Poniżej wymieniła, co następuje:

Kochać.
Śmiać się.
Śmiać się jeszcze głośniej.
Słuchać i uczyć się.
Mówić proszę i dziękuję.
Mieć swoje zdanie.
Szanować zdanie innych.
Być uczciwym.
Być przyjaznym.
Być sobą.

Nie pamiętam, jak długo siedziałem na podłodze. Raz po raz czytałem to, co napisała Rebecca, aż nauczyłem się tego na pamięć. W pewnej chwili nawet odłożyłem tę karteczkę i sprawdziłem, czy wszystko dobrze pamiętam. Kiedy upewniłem się, że tak, podniosłem kartkę i włożyłem ją z powrotem do książeczki. Nazajutrz poszedłem do banku i wynająłem sejf. Umieściłem w nim książeczkę. Powiedziałem sobie, że jeśli kiedyś zapomnę o czymś z listy pozostawionej przez Rebecę, przyjdę i przypomnę sobie. Dotychczas nie musiałem tam wracać.

Rozdział 4

Kiedy zjawiłem się w gabinecie w poniedziałek rano, czekała i iii mnie krótka wiadomość. Od Mili, mojej *Mamki* (czyli mamuśki po czesku), jak lubiłem ją nazywać. Myślę, że ona też lubiła, kiedy ją tak nazywałem. Nie miała dzieci.

Mamka, czyli Mila Benninghoff, była moją sekretarką, księgową, łącznikiem z towarzystwem ubezpieczeniowym i krótko mówiąc, istnym darem bożym. Mimo siedemdziesiątki sprawiała wrażenie, że wszystko to przychodzi jej z łatwością. Może tak też było, gdyż przeżywszy w Pradze najpierw inwazję hitlerowską, a potem sowiecką, poznała życie z naprawdę kiepskiej strony.

Mieliśmy idealną, aczkolwiek odrobinę nieortodoksyjną umowę. Mila pilnowała planu moich spotkań, korespondencji, rachunków i właściwie wszystkich innych aspektów codziennego życia. Robiła to ze swojego mieszkania. Co bardzo jej odpowiadało, a i mnie również. Z dwóch powodów. Po pierwsze, (ryb mojej pracy nie wymagał obecności rejestratorki w godzinach przyjęć, szczególnie że nigdy nie odbierałem telefonów w trakcie sesji. Po drugie, z doświadczenia wiedziałem, że obecność rejestratorki sprawia, że część pacjentów czuje się nieswojo, i zazwyczaj byli to ci, którzy mieli wystarczająco wiele powodów, żeby czuć się tak i bez tego.

Tak więc ze swego lokatorskiego, jednopokojowego mieszkanca w pobliżu Gramercy Park Mila dzwoniła do mnie w przerwach między moimi kolejnymi spotkaniami, żeby przekazywać wiadomości, które odebrała osobiście lub odtworzyła z mojej automatycznej sekretarki. Wiadomość przekazana przez Milę tamtego popołudnia dotyczyła dziury w harmonogramie, jaka powstała po wyjeździe Kevina Danielsa do Hollywood. Powiedziałem jej o tym i miała do mnie oddzwonić po sprawdzeniu listy oczekujących.

Wielu psychoterapeutów ma takie listy oczekujących. Jednak, rzecz jasna, część tych pacjentów nie czeka na swoją kolej. Manhattan oferuje obywatelom mrowie specjalistów od wszelkich schorzeń, od stóp do głów. Szczególnie od głów. Samych psychoterapeutów jest tu sporo ponad tysiąc. Co oznacza, że choćby psychiatra miał nie wiem jak wysokie kwalifikacje, zawsze znajdzie się inny, równie dobrze wykształcony. Ponadto czekanie na nową zamrażarkę lub samochód to jedno. Oczekiwanie na przyjęcie przez lekarza to zupełnie co innego. Mimo wszystko czasem zdarza się, że ludzie czekają. Tak było tamtego ranka.

– Davidzie, okazuje się, że jest ktoś na liście oczekujących – przekazała mi wiadomość Mila. – Nazywa się Sami Kent i będzie w czwartek o czwartej po południu.

Zapisałem to w moim terminarzu.

Pan pozwoli tędy, proszę pana.

Udział w programie „The Charlie Rose Show” nie gwarantuje ci lepszego stolika w nowojorskiej restauracji. Natomiast zapewnia ci kilka zaciekawionych spojrzeń ludzi, którzy siedzą przy tych lepszych stołach. Wydaje im się, że cię znają, ale nie mogą sobie przypomnieć skąd. Widzisz to w ich oczach. Przechodzisz, a oni gapią się i przez moment

znajdujesz się w centrum ich uwagi. Jednak tylko przez chwilę. Ponieważ kiedy – co jest nieuchronne – nie potrafią dopasować nazwiska do twarzy, przestają się nad tym zastanawiać i ponownie skupiają uwagę im swoich potrawach. Tak jakby wcale cię nie spostrzegli. Tak bywa, kiedy jest się prawie znanym.

Jednak tamtego popołudnia stolik nie był zarezerwowany im moje nazwisko. Rezerwacji dokonała Coyne, Debra Walker” Coyne, nieoceniona agentka literacka. Miałem się z nią spotkać na lunchu, żeby omówić projekt drugiej książki. Debra, co należy zauważyć, jadła w Four Seasons co najmniej dwa razy w tygodniu przez ostatnie siedem lat. Ponadto dawała napiwki jak gwiazda rocka. W rezultacie dostawała najlepszy stolik.

A psycholog pisarz...

Powodem rozmowy o drugiej książce był nieoczekiwany sukces pierwszej, zatytułowanej „Ludzkie wahadło”. Przez kilkanaście tygodni utrzymywała się na pierwszym miejscu listy bestsellerów „Timesa”, co z kolei wywołało falę popularności i wywiadów, włącznie z moją pogawędką z Charliem Rose’em.

Gdybym wierzył w takie rzeczy, może odczuwałbym silną pokusę, żeby uznać sukces książki za rekompensatę ze strony opatrności. Przyjąć, że gdyby nie śmierć Rebecki, nigdy bym jej nie napisał. Za życia Rebecki nie myślałem o zostaniu pisarzem. Po jej śmierci również. Tylko że po jej śmierci miałem dużo czasu. Mnóstwo czasu. Oraz dość zdrowego rozsądku, aby zrozumieć, że do zapamiętania tego czasu potrzebuję lepszego sposobu niż pograżanie się w żalu.

Tak więc napisałem książkę. To było bezpieczniejsze od lotniarstwa. Praca zajmująca umysł, nie pozwalająca myśleć. I’ożądany paradoks.

Czy w pełni zdawałem sobie sprawę z tego, co robię? Zdecydowanie nie. Prawdę mówiąc, gdybym wiedział cokolwiek o pisaniu książek – o tym, co się sprzedaje, a co nie – natychmiast porzuciłbym ten pomysł. W końcu ile osób mogła zainteresować sardoniczna analiza ludzkich zachowań opracowana przez Davida Remlera?

Okazało się, że mnóstwo.

Aczkolwiek nie bez wydatnej pomocy bogów szczęśliwego przypadku. To było tak. Na kilka miesięcy przed pojawieniem się książki w księgarniach aresztowano pod zarzutem morderstwa pewnego rabina z Upper West Side. Coś takiego nie zdarza się codziennie, nawet na Manhattanie. Według biura prokuratora okręgowego, żonaty rabin utrzymywał kontakty seksualne z członkinią swojej kongregacji. Kiedy romans się skończył i kobieta zagroziła mu ujawnieniem sprawy, rabbi podobno udusił ją w jej mieszkaniu.

Z początku dowody wyglądały na niepodważalne. Na miejscu zbrodni znaleziono odciski palców rabina, a wścibska sąsiadka widziała go wychodzącego z mieszkania ofiary. Na dodatek kobieta została uduszona takim samym drutem, jakiego pół szpuli znaleziono w domu podejrzanego.

Ponadto pamiętnik. Kobieta prowadziła szczegółowy – można by rzec obsesyjnie drobiazgowy – dziennik swojego związku z rabbim. Niesamowita lektura. Coś jak „Fatalne zauroczenie” w jarmulce. Szczególnie fascynujące były liczne wzmianki o pogroźkach rabina, który ostrzegał, że skrzywdzi kochankę, jeśli zawiedzie jego zaufanie. Ostatnia notatka –

bardzo obciążająca podejrzanego – została napisana rano w dniu śmierci ofiary. Brzmiała następująco: „Sądzę, że on dzisiaj mnie zabije”.

Nie muszę mówić, że aresztowanie rabina i nadchodzący proces były wyśmienitą pożywką dla wszystkich mediów w mieście. Sprawa wzbudziła ogólnokrajowe zainteresowanie. A dlaczego nie? To cholernie dobra historia. Było w niej morderstwo, seks i religia.

Nagle, zanim się zorientowałem, tkwiłem w samym jej środku.

A wszystko dzięki niejakiemu Ethanowi Greene'owi. Ethan był bardzo obiecującym młodym prokuratorem z Biura Prokuratora Okręgowego na Manhattanie. On też znalazł się na środku sceny. Jego zwierzchnicy byli przekonani, że mają winnego, a Ethan Greene jest właściwym człowiekiem, który doprowadzi do jego skazania.

Ethan miał intuicję i spryt, doskonałe wykształcenie i zamienili domagać się dla rabiego dożywocia. Co więcej, był Żydem. Obraz Ethana walczącego nie tylko o sprawiedliwość, ale także poszanowanie świętych zasad jego wiary po prostu ni usiał wzbudzić powszechną sympatię zarówno sędziów, jak i opinii publicznej.

Jednak pomimo wszystkich zebranych dowodów sprawa wronie nie okazała się taka prosta. Rabin twierdził, że kobieta miała zaburzenia emocjonalne i z niewiadomych mu powodów zdecydowała, że są sobie przeznaczeni. Zachowywała się tak, jakby ich romans był faktem, często wspominając o rozmowach (schadzках, które nigdy nie miały miejsca. Co wyjaśniałoby spiski w jej dzienniku.

Rabbi zeznał, że próbował udzielać jej dobrych rad, jednocześnie wyraźnie wyjaśniając, że nie może być dla niej nikim innym jak tylko duchowym przewodnikiem. Co do wizyty w mieszkaniu tej kobiety, to po prostu spełniał duszpasterski obowiązek. W ciągu ostatnich tygodni stan tej kobiety stale się pogarszał i rabin po raz ostatni usiłował jej pomóc. Bez skutku, rzekł. Zeznał, że tamtego dnia opuścił mieszkanie kobiety głęboko przekonany, że potrzebuje ona pomocy psychiatry. Posunął się nawet do tego, że zadzwonił do szpitala, by zapytać o szczegóły. Rejestr rozmów potwierdzał jego słowa.

Czy rabbi mówił prawdę?

Czy też kłamał, żeby ratować skórę?

Obojętnie, jak sąd potraktowałby jego zeznanie, obrona wciąż musiała odpowiedzieć na pytanie: Kto więc zabił tę kobietę?

Proste. Zabiła się sama.

Mogło tak być. A przynajmniej tak sugerował rzeczoznawca sądowy, powołany na świadka przez obrońców rabina. Samobójstwo przez zadławienie. Teoretycznie możliwe, stwierdził ekspert. Przeczytał protokół sekcji i jego zdaniem nie można było wykluczyć takiego scenariusza. Zwłaszcza że nie znaleziono śladów walki. Rzeczoznawca wymienił dwa przypadki samobójstw tego typu. Zdołał również co najmniej trzy razy przypomnieć Wysokiemu Sądowi, że jest profesorem Wydziału Lekarskiego Harvardu. Nosił niebieski krawat w żółte paski.

Obrońcy puszyli się, jakby wszystko było już jasne. Kobieta udusiła się drutem, jaki można znaleźć w milionach domów. Była wytraconą z równowagi tym, że odrzucono jej

awanse, a także zdenerwowana. Wystarczająco zła na rabiego, żeby upozorować swoje morderstwo.

Nagle szanse rabina znacząco wzrosły.

Właśnie wtedy otrzymałem telefon od Ethana Greene'a.

Trochę czytałem o tym procesie w gazetach i wydawało mi się, że doskonale rozumiem, czego ten facet ode mnie chce. Znaleźć sposób na obrońców. Na przykład zeznanie psychologa, że emocjonalny profil tej kobiety wyklucza tego rodzaju urojenia, nie mówiąc już o popełnieniu tak brutalnego i złośliwego samobójstwa. Na pewno o to chodziło, czyż nie?

Błąd.

Profil, akurat. Ethan Greene powiedział, że problemem jest nie kobieta, ale sędziowie. Przede wszystkim powinien przekonać ich, że mogą skazać rabiego. Że na żadnego z nich nie spadnie plaga. Że po wsadzeniu „świętego męża” nadal będą sypiać w nocy.

– No dobrze, ale dlaczego ja? – zapytałem.

Ethan wyjaśnił. Po raz pierwszy usłyszał o mnie nad talerzem spaghetti z sosem. Jadł kolację z kolegą ze studiów i omawiali dylemat związany ze sprawą rabiego. Przyjaciel Ethana, będący dobrze zapowiadającym się psychologiem, napomknął o mojej książce, uznając, iż może się przydać. Nazajutrz rano Ethan nabył egzemplarz „Ludzkiego wahadła”. Spodobało mu się to, co przeczytał.

Przypomina mi się kobieta, która zabiła swoje dzieci tego miesiąca, gdy zdobyła nagrodę Nauczyciela Roku. Albo ten miły ojciec kilkorga dzieci, który zbierał miliony w akcjach charytatywnych, a mimo to pewnego dnia wywłócił jakiegoś faceta z samochodu i skopał go na śmierć tylko dlatego, że gość ośmielił się zatrzeć na niego, kiedy zapaliło się zielone światło.

Słyszymy i zawsze będziemy słyszeć takie historie. Są nieuchronne. Pomimo to uparcie uważamy je za aberracje. Anomalie w szerokim spektrum ludzkich zachowań.

Próbujemy szybko znaleźć okoliczności łagodzące. Zażywane przez te osoby leki. Długo tłumione urazy z dzieciństwa. Stany depresyjne, długotrwały stres, wpływ pełnych przemocy gier wideo. Wszystko, co się da. Byle tylko uniknąć konfrontacji z niepokojącą rzeczywistością: że dobrzy ludzie mogą robić bardzo złe rzeczy. Ponieważ akceptacja tego faktu jest trudnym do zniesienia wyrokiem. Oznacza, że każdy z nas może popełnić najokropniejsze zbrodnie.

Oznacza, że każdemu z nas grozi Ludzkie Wahadło.

Duma i pycha. Gniew i frustracja. Miłość i obsesja. Strach i niepokój. Zazdrość i zawiść. Smutek i depresja. Ta lista nie ma końca. Uczucia są nieodłączną częścią ludzkiej egzystencji i mogą występować w niemal nieskończonej liczbie odmian i kombinacji. Mogą osłabić poczucie dobra i zła oraz umiejętność kompromisu niezależnie od pozornie ugodowego – dobrego – charakteru danej osoby. Na szczęście ogromna większość tych emocji rzadko ma oplakane skutki. Spójrzmy jednak na tę istotną mniejszość.

Co wcale nie oznacza, że wasz przyjacielski, praworządny sąsiad niebawem zarąbie swoją rodzinę siekierą. Tylko to, że gdzieś tam zrobi to jakiś przyjacielski, praworządny sąsiad, który w tym momencie jeszcze o tym nie wie. Chociaż brzmi to, dość niepokojąco,

może być gorzej.

Ty możesz być tym sąsiadem.

Pierwszą reakcją na prośbę Ethana o pomoc była uprzejma, ile stanowcza odmowa. Mimo to nalegał, twierdząc, że moje zeznanie może skłonić sędziów do zaakceptowania tego, o czym już dobrze wiedzieli, że rabbi, tak jak my wszyscy, nie jest odporny na pokusy. Ten człowiek popełnił aż nazbyt ludzki błąd i próbując go ukryć, podjął następną błędną decyzję. Bardzo złą decyzję.

Pomimo to wciąż odmawiałem Ethanowi, a on nadal mnie namawiał. Żaden z nas nie chciał ustąpić. W końcu doszedłem do wniosku, że ma pewien istotny argument. Temu argumentowi nie mogłem odmówić słuszności. Ethan wcale mnie nie prosił.

– Rzecz w tym, doktorze Remler, że będzie pan zeznawał w mojej sprawie. Zachodzi tylko pytanie, czy będzie pan przyjaznym świadkiem, czy wrogiem. Osobiście nie lubię wypisywać wezwań do stawiennictwa. To mnóstwo papierkowej roboty i wrzód na tyłku. Jeśli jednak tego pan chce, niech tak będzie.

No cóż, jeśli tak stawiać sprawę...

Dwa dni później zostałem wezwany na podium i nieco nerwowo dałem świadectwo przykrej, lecz niezaprzeczalnej prawdzie, że dobry obywatel to nic stały etat. Ludzkie zachowanie, powiedziałem w pewnej chwili, cytując moją książkę, jest jak napisany drobnym drukiem ustęp z broszury reklamującej fundusz emerytalny: dotychczasowe wyniki nie gwarantują przyszłych sukcesów.

Ani razu nie spojrzałem na rabina. Przeważnie patrzyłem na Ethana, nieodmiennie zwracając się do sędziów. Moim zdaniem sprawiali wrażenie, że mają gdzieś doktora Davida Remlera i jego zakichaną książczynę. Wyglądało na to, że spełni się moje życzenie i nie przyczynię się do pogrążenia rabiego. Kiedy zszedłem z podium dla świadków, Ethan wzruszył ramionami w sposób, który odczytałem jako „no cóż, warto było spróbować”.

Następnego dnia ogłoszono końcowe przemówienia. Werdykt podano trzy dni później. Kiedy sędziowie zażądali protokołu zeznań profesora Harvardu z jego scenariuszem samobójstwa, w oczach publiczności szanse rabina znacznie wzrosły. Telewizyjni eksperci byli niemal jednomyślni. Niewinny. Byłem skłonny się z nimi zgodzić.

Oczywiście, kto jak kto, ale ja nie powinienem podejmować próby przewidywania ludzkiego postępowania. „Proszę wstać, sąd idzie” – oznajmił spiker rozgłośni jazzowej, której słuchałem, jedząc lunch w gabinecie. Siedziałem za biurkiem, trzymając w ręku niedojedzoną kanapkę z tuńczykiem, i gapiłem się na stereofoniczną miniwieżę stojącą na półce, czekając na krótsze lub dłuższe słowo. Było krótsze.

Winnie.

Ethan Greene zwyciężył. Wieczorem widziałem go w wiadomościach, gdy po ogłoszeniu wyroku stał przed gmachem sądu i przemawiał do reporterów. Starannie dobierał słowa. Wychwalał pracę swojego departamentu i mądrość sędziów. Opowiedział: „satisfakcję”, na pytanie, co teraz czuje, i zastrzegł, że w takiej sprawie jak ta nie można użyć słowa „zadowolenie” na określenie jego uczuć. Została zamordowana kobieta, a człowiek, który ją zabił, niegdyś będący filarem społeczeństwa, teraz znalazł się poza jego nawiasem. Trudno

być z tego powodu zadowolonym.

I wtedy to się stało. Ethan znikł z ekranu, zastąpiony przez jakąś Latynoskę w średnim wieku. Wyglądała znajomo. W następnej chwili przypomniałem sobie, skąd ją znam. No tak, oczywiście. Siedziała w pierwszym rzędzie, na trzecim fotelu z prawej. Czy nam się to podoba, czy nie, żyjemy w czasach, kiedy przeprowadza się wywiady z sędziami po ogłoszeniu wyroku. Ta kobieta, będąca członkiem ławy przysięgłych, mówiła reporterowi, co naprawdę skłoniło ją do takiej a nie innej decyzji. Krótka omówiła fakty oraz przekonujące argumenty prokuratora.

– Jednak chyba największe wrażenie zrobiły na mnie słowa tego psychologa. Tego od książki.

To samo powiedział młody człowiek w garniturze, który stał obok niej. Siedział chyba w drugim rzędzie ławy przysięgłych, nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Podczas gdy Latynoska kiwała głową, on wyznał, iż moje zeznanie pomogło mu przewyciężyć jedną z głównych przeszkód i uwierzyć, że „człowiek będący rabinem jest w stanie zrobić coś takiego”.

Dziesięć minut później zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem entuzjastyczny okrzyk Parkera. On i Stacy byli w domu i oglądali ten sam program.

– Gratulacje – rzekł Parker. – Zostaniesz autorem bestsellera.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytałem.

– Ponieważ właśnie podważyłeś, jeśli nie całkowicie zniszczyłeś, jeden z najstarszych fundamentów procesu sądowego, a mianowicie ocenę charakteru oskarżonego. Teraz każdy adwokat i profesor prawa będzie musiał przeczytać twoją książkę, żeby sprawdzić, o co ten cały krzyk – powiedział. – Zaczekaj.

Nie musiałem długo czekać. Po kilku dniach zadzwonił mój wydawca i oznajmił, że właśnie rozpoczęto druk wznowienia książki. Wykresy sprzedaży skoczyły w wyniku licznych zamówień z prawniczych księgarni w miasteczkach uniwersyteckich. Zaczęły zgłaszać się również duże sieci i księgarnie niezależne. Wszyscy chcieli więcej egzemplarzy „Ludzkiego wahadła”. Jak najszybciej.

Przejdźmy do mojej nieocenionej agentki, Debry Walker Coyne. Odbierała telefony od niezliczonych stacji telewizyjnych, zapraszających mnie do udziału w rozmaitych programach. Dla Debry oznaczało to jedno: więcej sprzedanych książek. Tak więc nie było się nad czym zastanawiać. To oczywiste, że wyrażę zgodę.

– Czy ty, do cholery, oszalał?! – wrzasnęła na mnie przez telefon.

– Możliwe – powiedziałem. – Wiem tylko, że wołałbym, żeby moja książka mówiła sama za siebie.

– Davidzie, to książka. KSIĄŻKI NIE MÓWIĄ! Robią to ich autorzy, a wtedy ich książki sprzedają się jeszcze lepiej. Której części tego zdania nie rozumiesz?

Taka sama była reakcja wydawcy. Frustracja. Niebotyczne zdumienie. Niedowierzanie. Śmiech, w którym nie było cienia rozbawienia.

Nie mogłem mieć im tego za złe. Oboje próbowali wykonywać swoją pracę, a ja im na to nie pozwalałem. Dla agentki literackiej byłem upierdliwym klientem. Dla wydawcy

upierdliwym autorem. Jak wrzód na tyłku.

W końcu ustąpiłem. Zgodziłem się na jeden występ. Debra zadzwoniła i oznajmiła, że umówiła mnie z Charliem Rose'em. Zanim zdążyłem powiedzieć tak lub nie, dodała, że jeśli odrzucę tę propozycję, to przyjdzie do mojego gabinetu i tak mocno kopnie mnie w jaja, że będę potrzebował łomu, żeby się wysikać. Ta kobieta naprawdę miała siłę perswazji.

– Powiedz mi gdzie i kiedy. Będę tam – obiecałem. Zanim program wszedł na antenę, spełniły się przewidywania Parkera. Stałem się autorem bestsellera z listy „New York Timesa”.

Powróćmy do Four Seasons.

– Zamierzasz to zjeść? – spytała Debra. Już pochłonęła swoją sałatkę i teraz zanurzyła widelec w moim risocie z białymi truflami, będącym specjalnością lokalu – przynajmniej według kelnera.

– Naprawdę zabierasz mi piętnaście procent wszystkiego? – zażartowałem.

Debra parsknęła śmiechem. W typowy dla siebie sposób. Gwałtownie odchyliła głowę i wypuściła powietrze z płuc, wydając dźwięk przypominający końskie rżenie, zmiksowane z przeciągłym gwizdem parowozu.

– Niezły żart. Cholernie śmieszny, Davidzie – powiedziała, ponownie zanurzając widelec w moim risocie. Cała Debra. Wystrzałowo ubrana, klnąca jak szewc kobieta, która świętego wyprowadziłaby z równowagi. – No, mów – dodała – jaki następny bestseller zamierzasz napisać.

Starannie ułożyłem sztuce, upiłem łyk wody i powiedziałem jej.

Być może pewnego dnia rzeczywiście napiszę coś takiego.

Rozdział 5

– Amerykańska Ślepotą wciąż pogłębia się i roznosi jak zaraza – rzekł Marcus, wkurzony jak zwykle. – Mój najnowszy przykład: kierowcy dziękujący poborcom myta. Jakby ci ludzie robili łaskę, biorąc od nas pieniądze. Sam powiedz, Davidzie, czy to ma być zabawne?

– Może tak po prostu nakazuje uprzejmość?

– Ach, pieprzyć uprzejmość – odparł, zbywając to machnięciem ręki.

Czwartek, godzina trzecia. Marcus Owen. Znany rzeźbiarz, wrogo nastawiony do świata. Udając, że chce nauczyć się tolerancji, w rzeczywistości płacił mi za wysłuchiwanie swych gniewnych tyrad. Mając dwie byłe żony, nastoletnią córkę nie utrzymującą z nim kontaktów i zero przyjaciół, nie cierpiał na brak tematów.

Co tydzień Marcus rozpoczynał sesję, podając mi najnowszy przykład ludzi nie rozumiejących tego, jacy są głupi, nieuprzejmi lub nieszczęśliwi. Nazywał to Amerykańską Ślepotą. Pewnego razu, po jednej ze swych rzadkich wypraw poza Manhattan i odwiedzinach u siostry w Denver, podał mi jako przykład ludzi w samolotach. „Dlaczego wszyscy uważają, że to w porządku używać oparcia mojego fotela jako podpórki przy wstawaniu? Czy nie zdają sobie sprawy z tego, że ja siedzę na tym, od którego się odpychają?”. Innym razem wściekał się na aktorów romansujących z partnerkami podczas kręcenia filmów. „Do diabła, to nie miłość. To chuć”.

Trudno się nie zgodzić.

Podczas jednej z sesji napomknąłem, że ogromna większość podawanych przez niego przykładów może odnosić się do obywateli dowolnego kraju. Zapytałem Marcusa, dlaczego nazywa to tylko Amerykańską Ślepotą.

Zamyślił się nad tym pytaniem. Podrapał się po głowie, wzruszył ramionami. „Sam nie wiem. Chyba dlatego, że nigdy nie wyjeżdżałem za granicę”.

Za dziesięć czwarta pożegnałem Marcusa i przez pozostałe dziesięć minut robiłem notatki po sesji. Już dawno nauczyłem się, że z tolerancją jest tak samo jak z wysokim wzrostem. Albo się go ma, albo nie. Tak więc mogłem pomóc Marcusowi, słuchając go ze zrozumieniem. Gra pozorów. Jeśli mogą sprzedawać wkładki do butów, dzięki którym człowiek wydaje się o pięć centymetrów wyższy, to ja mogę radzić Marcusowi, jak ma sprawiać wrażenie wyrozumiałego. Niektórzy pewnie uznają to za niegodne. Moim zdaniem dzięki temu Marcus może nie pozostanie do śmierci samotny.

Punktualnie o czwartej ponownie zajrzałem do terminarza, sprawdzając nazwisko następnego pacjenta. Według Mili był nim pan Sam Kent. W czwartek o czwartej. Podniosłem się zza biurka i otworzyłem drzwi poczekalni. Zobaczyłem coś, czego nie oczekiwałem. Zawahałem się.

– Czy coś się stało? – zapytała.

Na kanapie pod ścianą siedziała kobieta, a obok niej stała czarna torebka. Nieznajoma miała na sobie długi prochowiec z postawionym kołnierzem oraz czapkę baseballową Yankees, z daszkiem naciągniętym prawie na oczy. Duże i niebieskie.

– Przepraszam – odparłem. – Pani nie jest...

– Jestem – powiedziała. – Sam Kent. Skrót od Samantha. Wstała i uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Doktor Remler. Proszę mówić mi David.

– W porządku, Davidzie. Ponownie zawahałem się.

– Nie masz niskiego głosu.

– Słucham?

– Sekretarka powiedziała mi, że przyjdzie Sam Kent – odparłem. – Zważywszy na to, że ty również użyłaś tego skrótu, zakładam, że rozmawiałaś z nią osobiście.

– Ściśle mówiąc, wysłałam emaila. Kiedy kilka miesięcy temu próbowałam się zarejestrować, zostawiłam wiadomość. Podałam mój adres internetowy, ponieważ przeprowadzałam się i miałam zmienić numer telefonu. Potem wymienialiśmy z twoją sekretarką emaile.

– To wszystko wyjaśnia – powiedziałem. – Proszę, wejdz.

Skinąłem ręką i Sam Kent weszła do gabinetu. Zdjęła prochowiec. Pod nim miała dzinsy i czerwony polar.

– Gdzie mam usiąść? – zapytała, i Zawsze o to pytają.

– Na kanapie lub w fotelu, gdzie wolisz.

Wolą fotele z wygodnym oparciem, naprzeciw mojego. Oboje usiedliśmy. Skrzyżowałem nogi i spojrzałem na pacjentkę. Zauważyłem nagłą zmianę. Teraz była wyraźnie wzburzona.

– Przepraszam – powiedziała, ocierając łzy. – Obiecałam sobie, że nie będę, a jednak to robię. Na samym początku.

– Masz na myśli płacz?

– Nie – odparła. – Kłamstwo.

– Jakie?

– Spytałeś, czy rozmawiałam z twoją sekretarką. Powiedziałam, że wymienialiśmy emaile i dlatego nie podałam swojego numeru telefonu. Wyjaśniłam, że to z powodu przeprowadzki. – Otarła kolejną łzę. – Wcale się nie przeprowadzałam.

Wstałem, wziąłem z biurka paczkę chusteczek i podszedłem do niej. Wzięła jedną i wytarła oczy.

– W porządku, więc wcale się nie przeprowadzałaś – powtórzyłem, wracając na fotel. – Rozumiem, że był jakiś inny powód, dla którego nie chciałaś podać numeru telefonu.

– Ten sam powód, który kazał mi tu przyjść – odparła.

– Czyli? Zawahała się.

– Mąż – powiedziała cicho. – To z powodu mojego męża. Siedziałem, zastanawiając się, co dalej. Zawsze ten sam problem – co dalej. Zazwyczaj podczas pierwszej sesji pacjent tylko przedstawia swoje kłopoty. W spokojnej atmosferze wypływającej z przekonania, iż w nadchodzących tygodniach będzie mnóstwo czasu na to, żeby zgłębić wszystko. Najważniejszą sprawą jest wzajemne zaznajomienie się lekarza i pacjenta.

Albo i nie.

Czasem pacjent od razu przechodzi do sedna sprawy. Brzemie dźwigane przez nią lub niego stało się zbyt ciężkie. Najwyższy czas zrzucić je z ramion. To był jeden z takich przypadków.

– Twój mąż... dlaczego to przez niego znalazłaś się u mnie, Sam?

Sięgnęła po kolejną chusteczkę. Otarła łzy. Następnie spojrzała mi prosto w oczy.

– Przyszłam tutaj, ponieważ chcę go zabić – powiedziała. Nawet nie mrugnąłem okiem. Słowa i sens często rozchodzą się ze sobą.

– Chcesz go zabić dosłownie czy w przenośni? – zapytałem.

– Dosłownie i w przenośni – odparła. – Chociaż, jak zapewne się domyślasz, niepokoi mnie to „dosłownie”.

– Obawiasz się, że naprawdę możesz to zrobić?

– Właśnie, a ponadto jak mogę być tak stuknięta, żeby choćby myśleć o czymś takim. – Wierz mi lub nie, to nie czyni cię szaloną.

– Błagam o uzasadnienie.

– Cóż, po namyśle dochodzę do wniosku, że masz rację. Jesteś stuknięta.

Uzyskałem to, czego chciałem. Uśmiech. Nikły, ale wyraźny. Ciągnąłem:

– Na chwilą dajmy spokój twoim morderczym skłonnościom. Nadal niezupełnie rozumiem, co twój mąż ma wspólnego z tym, że nie podałaś numeru telefonu.

– To proste – odparła. – Powiedzmy, że zadzwoni ktoś z twojego gabinetu, a on odbierze telefon albo podsłucha rozmowę. Nie mogłam na to pozwolić. On nie może się dowiedzieć, że chodzę do psychoterapeuty.

– Dlaczego?

– Ponieważ wiedziałby, że o nim mówię.

– A to by mu się nie spodobało, tak?

– Nie masz pojęcia jak bardzo.

Miała rację. Nie miałem pojęcia. To musiało się zmienić. Chociaż nie było z tym pośpiechu, postanowiłem skorzystać z okazji, którą mi dostarczyła.

– Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy porozmawiali jeszcze trochę o twoim mężu?

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko, czym zechcesz się ze mną podzielić.

– Byłoby lepiej, gdybyś zadawał mi pytania.

– W porządku. Jak zarabia na życie?

– Jest biznesmenem. Razem ze współnikiem prowadzi firmę w centrum miasta.

– Na Wall Street?

– Właśnie tam są pieniądze, jak lubi mówić.

– Czy dużo pracuje? – spytałem.

– Przez cały czas.

– Czy jego firma odniosła sukces?

– Spory – odpowiedziała. W podtekście usłyszałem „ogromny”.

– Co z dziećmi? Macie jakieś?

– Chłopca – odparła i prawie się uśmiechnęła. – Ma dwa latka.

– Jak traktuje go ojciec?

Zapowiedź uśmiechu znikła.

– Jak już mówiłam, pracuje cały czas.

– Czy chciał mieć dzieci?

– Myślę, że chciał mieć dziedzica.

– Od ilu lat jesteście małżeństwem?

– Od pięciu.

– Kochasz go?

– Dopiero co wyznałam, że chcę go zabić. Jak sądzisz?

– Myślę, że nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie Kocham go.

– A kiedyś kochałaś? Zastanowiła się.

– Myślę, że kiedyś tak. Na samym początku.

– Gdybyś musiała mi wyjaśnić, dlaczego go wtedy kochałaś, co byś powiedziała?

– Powiedziałabym, że był przystojny, bogaty i czarujący.

– Ideał – podsumowałam.

– Tak uważałam. Wciąż jest przystojny i bogaty. Okazuje się, że niezbyt czarujący.

– Często się kłóćcie?

– Już nie – odparła. – Kłótnie oznaczają, że wciąż ci zależy.

– Sądzę, że to prowokuje pytanie: dlaczego go nie zostawiłaś?

– Gdybym to zrobiła, to on chciałby mnie zabić. Znowu wracamy do punktu wyjścia, pomyślałam.

– Dosłownie? – zapytałam.

– W przenośni – odparła. – Powiedział mi, że jeśli spróbuję się z nim rozwieść, postara się, żeby nie przyznano mi opieki nad synem.

– A jak mógłby to zrobić?

– Czy musimy o tym teraz mówić?

– Nie, jeśli nie chcesz.

– Sądzę, że potrzebuję trochę czasu, żeby przygotować się do tej rozmowy.

– W porządku Co do mojego następnego pytania, możesz złożyć je na karb zawodowej powinności. Uderzył cię kiedyś?

Zaśmiała się i pokręciła głową – Nie. Jest na to zbyt sprytny. Każdy mężczyzna potrafi uderzyć kobietę Jednak tylko on wie, jak uczynić ją bezsilną

– A jak?

– Jak chcesz – odparła – Protekcyjnym tonem. Ośmieszaniem Pomniejszaniem wszystkiego, co robię, kwestionowaniem wszystkich moich motywów Obrócił przeciwko mnie całą moją rodzinę oraz większość przyjaciół Wciąż mi powtarza, że me jestem już taka ładna jak kiedyś. Ani taka szczupła Chcesz, żebym mówiła dalej?

– Nie dla mojej przyjemności – zapewniłam. – Jednakże, kiedy on mówi i robi te rzeczy, co ty mówisz i robisz?

– W tym rzecz Chciałabym powiedzieć, że odpłacam mu tym samym. Chciałabym być

taka silna Nie jestem To za bardzo boli A najgorsze jest to, że on o tym wie. I tak jakby się tym napawał.

Po tym stwierdzeniu chyba nadeszła odpowiednia chwila W trakcie pierwszej rozmowy każdemu pacjentowi zadawałem to samo pytanie Sam Kent również – Co chciałaś osiągnąć, przychodząc tutaj?

Na kilka sekund odwróciła głowę i wbiła wzrok w ścianę Kiedy znów na mnie spojrzała, w oczach miała łzy.

– Siłę, żeby stawić mu czoło – odrzekła – Nie raz, ale zawsze.

Sięgnęła po następną chusteczkę, a ja postanowiłem resztę sesji przeprowadzić w jak najluźniejszej atmosferze. Rozmawialiśmy o jej pochodzeniu. Ogólnie, bez zagłębiania się w szczegóły. Wychowała się w Larchmont, na północ od Manhattanu. Jedynaczka. Rodzice emeryci w Tempe, w Arizonie. Ojciec nazywał ją zdrobniale Sam i tak już zostało. Ukończyła Brown. Pracowała w dziale odzieżowym. Marzyła o tym, żeby zostać projektantką. W końcu została zaopatrzeniowcem Bergdorfa. Poznała męża na pokazie spodni. Zegnny. A może Armaniego? Nie mogła sobie przypomnieć.

Po pięćdziesięciu minutach ustaliliśmy, że będziemy się spotykać raz na tydzień. W tym samym dniu i czasie. Czwartek o czwartej. Potem rozmowa zeszyła na płatność. Ponownie przypomniawszy z naciskiem, jakie to ważne, żeby mąż nie dowiedział się o jej wizytach u psychoterapeuty.

– Ma pełną kontrolę nad naszymi finansami. Sprawdza wszystkie moje czeki i transakcje realizowane za pomocą karty płatniczej – wyjawiała. – Czy mogę zapłacić gotówką?

Powiedziałem, że nie widzę przeszkód. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła bankową kopertę. Wyjęła z niej trzy nowe studolarowe banknoty i wręczyła mi.

– Muszę przyznać, że zdarza mi się to po raz pierwszy – powiedziałem.

– Przepraszam.

– Niepotrzebnie, nie ma sprawy. Chociaż jeśli wybaczysz, że pytam, to czy twój mąż nie zauważy, że podjęłaś pieniądze z banku?

– Dziewczyna potrzebuje drobnych na wydatki, no nie? Sam włożyła prochowiec i czapkę z emblematem Yankees. Było to jedno z tych modnych nakryć głowy, stylizowane na starość. Zamiast tradycyjnego granatu z białym napisem było zrobione z szarej flaneli.

– Kibicujesz im? – zapytałem.

– Kiedy dorastałam, mój wuj miał karnet na wszystkie mecze. Często zabierał mojego ojca i mnie. Zostały mi bardzo miłe wspomnienia.

– Na pewno. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Zatem do zobaczenia za tydzień – powiedziała.

– Oczywiście.

Sam Kent. Samantha Kent. Pani Samantha Kent. Opuściła gabinet, a ja usiadłem za biurkiem, żeby sporządzić notatki. Zawsze robiłem je odręcznie. Nigdy nie pisałem ich na maszynie. Nawet książkę oddałem wydawcy w rękopisie. Owszem, mam komputer. Mam również gofrownicę. Obu tych urządzeń używam równie często.

Zanotowałem najważniejsze fakty. Rysopis pacjentki: po trzydziestce, atrakcyjna,

rozmowna i bezpretensjonalna. Kilka szczegółów dotyczących jej życiorysu: miejsce zamieszkania, zatrudnienia oraz wszystko, co mogło okazać się przydatne do ustalenia, kim naprawdę jest. W końcu podsumowanie poruszonych tematów. Niektórzy pacjenci otwierają się dopiero po paru miesiącach. Sam zajęło to kilka minut. W punktach odtworzyłem rozmowę o jej mężu.

Mąż.

Nie zapytałem o jego imię. Celowo. Gdyby sama je ujawniła, doskonale. Jednak z doświadczenia wiedziałem, że niektórym pacjentom trudniej przychodzi rozmowa o swoich problemach, jeśli używają imion i nazwisk. A Sam Kent właśnie robiła coś za plecami męża. To, że być może w pełni sobie na to zasłużył, wcale nie zmniejszało stresu. Tak więc jej mąż miał pozostać dla mnie „mężem”. Świadomie czy nie, ta odrobina prywatności, na jaką zamierzała w ten sposób mu pozwolić, miała jej umożliwić szczere wypowiedzi.

Ludzki umysł działa w przedziwny sposób. Psycholog, z konieczności, również.

Rozdział 6

– Cześć, Davidzie.

– Hej, Mamka – powiedziałem. – *Rád te vozím.*

Mila zachichotała.

– Właśnie powiedziałeś, że chętnie mnie wozisz.

– Do licha. A myślałem, że to już pamiętam. Jak się mówi „miło mi cię widzieć”?

– *Rád te vidím* – odparła z idealnym akcentem.

– Czy nie tak powiedziałem?

– Nie, powiedziałaś *vozim* zamiast *vidím*.

– *Vozím, vidím...* Ziemniak, kartofel. Musisz przyznać, że prawie mi się udało.

– Tak, idzie ci coraz lepiej, Davidzie.

– Az ciebie kiepska kłamczucha, Mamka.

Przyszła do gabinetu w ustalonym terminie, czyli co drugi wtorek o piątej. Głównym celem naszych spotkań było podpisywanie czeków, które przynosiła. Artykuły biurowe, czynsz i imię opłaty związane z praktyką lekarską. Czasem podpisywałem książki. Ludzie dzwonili do Mili i pytali, czy mogą przysłać egzemplarz „Ludzkiego wahadła” z prośbą o autograf. Jedni chcieli mieć go w swoich zbiorach. Inni, chociaż nigdy się do tego nie przyznawali, zamierzali wystawić go na licytację na eBayu. Tak czy inaczej, jak w reklamie produktu KTEL, Mila mówiła wszystkim, żeby załączyli dwa dolary na pakowanie i przesyłkę, na którą będą czekać od czterech do sześciu tygodni.

– A przy okazji – powiedziałem do niej po podpisaniu ostatniego czeku – nowy pacjent, Sam Kent, to nie jest on. To ona.

– Chcesz powiedzieć, że to transwestyta? Mila chyba za długo mieszka w Nowym Jorku.

– Nie – odparłem. – Chcę powiedzieć, że Sam Kent to kobieta. Sam to skrót od Samantha.

– Przykro mi, zakładałam...

– Nie przejmuj się. Ja też bym się pomylił. W każdym razie z powodów, których nie mogę podać – no wiesz, tajemnica lekarska i tak dalej – ona będzie płaciła gotówką. Tak więc gdybyś mogła oddać to do depozytu razem z czekami...

Wręczyłem jej trzysta dolarów, które dała mi Sam.

– Jasne.

Wzięła jeden z banknotów i obejrzała go pod światło.

– Co robisz?

– Nigdy nie wiadomo – odparła, wciąż uważnie oglądając banknot.

Mila zdecydowanie za długo mieszka w Nowym Jorku.

– Wygląda na prawdziwy? – zapytałem drwiąco.

– Na oko tak. – Mila umieściła gotówkę w kartonowej teczce, w której trzymała чеки. –

Och, jeszcze jedno – powiedziała. – Nie zapomnij, że w ten piątek masz być na przyjęciu koktajlowym Kesper Society.

Zmarszczyłem brwi.

– Nie możesz wysłać do nich listu? Napisać, że jestem zbyt chory, żeby przyjść?

Odpowiedziała takim samym zmarszczeniem brwi.

– Jakaż byłaby ze mnie Mamka, gdybym zrobiła coś takiego?

– Najlepsza na świecie.

Dwa dni później Marcus znowu rozwijał ulubiony temat. Najnowszych przypadków Amerykańskiej Ślepoty.

– Czy wiesz, co naprawdę doprowadza mnie do szału? – spytał, a właściwie warknął. – Wszyscy ci raperzy, którzy zdobywają sławę, śpiewając o zabijaniu gliniarzy. Potem robią karierę i biorą udział w programach i filmach telewizyjnych. I w końcu jakie grają role? Pieprzonych gliniarzy.

Musiałem przyznać mu rację. Zdecydowanie była to jedna z jego celniejszych wypowiedzi.

O czwartej ponownie poprosiłem Sam Kent do mojego gabinetu. Dżinsy i bluzę zastąpiła elegancka garsonka z szarej flaneli. Ponadto makijaż i biżuteria. Jasne włosy, poprzednio schowane pod baseballową czapkę, teraz były rozpuszczone i długie. Wyglądała bardzo dystygowanie.

– Sądzę, że trochę przesadziłaś z elegancją – zauważyłem.

– Uroczysty lunch z przyjaciółką – wyjaśniła, zajmując fotel naprzeciwko mnie. – Nawiasem mówiąc, przyznałam się jej, że do ciebie chodzę, a ona dobrze wiedziała, kim jesteś. Najwidoczniej czytała jakiś artykuł o tobie.

– Naprawdę?

– Tak, i słuchając jej, doszłam do wniosku, że jest tobą zauroczona.

– To mi pochwlebia.

– Powinno. Jest bardzo atrakcyjna i samotna.

– To pochwlebia mi jeszcze bardziej.

– Przekażę jej to. A tymczasem mogę zadać ci osobiste pytanie?

– Myślałem, że to moje zajęcie.

– Wiem – odparła. – Chodzi o to, że moja przyjaciółka wspomniała, że przed kilkoma laty straciłaś żonę. Czy to prawda?

– Tak, to prawda.

– Tak mi przykro.

– Dziękuję.

– Zastanawiałam się... – Zamilkła.

– Nad czym?

– Cóż, czy to, że jesteś psychologiem, pomogło ci, czy też jeszcze pogorszyło sytuację? No, wiesz, zważywszy na to, jak zarabiasz na życie, sądzę, że mogłeś być trochę zbyt świadomy swoich emocji, a przynajmniej spodziewanych emocji, żeby rozpaczać.

Wielu pacjentów popełnia ten błąd. Zakładają, że ponieważ ujawniają najgłębsze, najmroczniejsze, najbardziej osobiste sekrety, mają prawo wiedzieć o mnie wszystko. To ryzyko zawodowe zmuszające mnie do nieustannego balansowania na linie. Nie mogę im powiedzieć, że to nie ich cholerny interes, chociaż tak jest. To zniszczyłoby zaufanie i

szczerłość, na których opiera się terapia. Tak więc stałem się mistrzem uników. W takich przypadkach rzucam jakąś luźną uwagę, która w tym samym stopniu odnosi się do mnie, co do pytającego. Już miałem to zrobić, kiedy Sam zreflektowała się.

– Co ja wyprawiam? To nie moja sprawa. Przepraszam. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło.

– W porządku – uspokoilem ją. Tak też było. Przyjąłem to z ulgą.

– Mamy mówić o mnie i trzymajmy się tego – dodała. – O czym dziś będziemy rozmawiać?

– O czym tylko chcesz.

– To zbyt wiele możliwości. Jak już powiedziałam w zeszłym tygodniu, musisz zadawać mi pytania.

– Dobrze. Wspomniałaś, że gdybyś próbowała rozwieść się z mężem, on postarałby się, żeby odebrano ci prawo do opieki nad synem. Pytam ponownie, jak by tego dokonał?

– Gdzie twoje jedwabne rękawiczki?

– Zamierzasz w końcu mi to wyjaśnić, prawda?

– Chyba tak.

– Czemu więc zwlekać?

– Dlatego, że niechętnie o tym myślę – odparła.

– Może jeśli mi powiesz...

– Próbowałam się zabić – wyznała zupełnie spokojnie.

Spodziewałem się łez. Nie było ich. Jej twarz pozostała nieprzenikniona.

– Kiedy to było? – spytałem.

– Kilka lat temu.

– Zanim zaszłaś w ciążę?

– Boże, tak.

– Co dokładnie zrobiłaś?

– Połknęłam trzydzieści tabletek halcionu i popiłam butelką wina. Zdaje się, że Pinot Grigio.

– A mimo to jesteś tutaj – zauważyłem.

– Znalazł mnie mąż. Miał pójść na obiad z klientem. Był już w restauracji, kiedy klient zadzwonił i odwołał spotkanie z ważnych powodów rodzinnych. Zabawne, co? W każdym razie mąż wrócił do domu i znalazł mnie.

– Miałaś szczęście.

– Wtedy nie patrzyłam na to w ten sposób.

– Mogę sobie wyobrazić – rzekłem, kiwając głową. – Powiedz mi, co zrobił mąż?

– Gdy już wyłamał drzwi naszej sypialni, żeby dostać się do środka? No, niech pomyślę. Zobaczył puste opakowanie po tabletkach, leżące obok łóżka, i zapytał, kiedy je zażyłam. Powiedziałam mu, że dostatecznie dawno, albo coś w tym stylu, co najwidoczniej nie było prawdą, ponieważ nadal byłam przytomna. Wtedy mąż podszedł do apteczki i chwycił buteleczkę nalewki z ipekakuany. Nawet nie wiedziałam, że mamy coś takiego w domu. On najwidoczniej wiedział. Wmusił we mnie kilka łyżeczek i zanim się zorientowałam, rzygałam

jak kot. Połknęłam trzydzieści tabletek, a zwróciłam dwadzieścia osiem.

Sam Kent podwinęła nogi i zamilkła. Czekałam, aż powie, że mąż zadzwonił do szpitala. Nie wspomniała o tym.

– Co zdarzyło się potem? – zapytałam.

– Zasnęłam jak dziecko i obudziłam się następnego ranka.

– Nie byłaś w szpitalu?

– Nie.

– Dlaczego?

– Wiedziałam, że nic mi nie będzie. Przynajmniej fizycznie – odparła. – A w nocy nie udzieliliby mi doraźnej pomocy psychiatrycznej. Zapewniłam męża, że nie muszę jechać do szpitala.

– Nie miał nic przeciwko temu?

– Powiem więcej. Z pewnością poczuł ulgę – odrzekła. – Prawdę mówiąc, oto cały on: lepsza żona, która popełniła samobójstwo, niż taka, która próbowała je popełnić. Gdybym pojechała do szpitala, ta historia mogłaby się rozjechać. Wywołać falę plotek. To jest źle widziane w interesach, a jeszcze gorzej w kręgach towarzyskich.

– Zatem nigdy nikomu nie mówiłaś o tamtej nocy? – zapytałam.

– Aż do tej pory nie.

– A mąż?

– Żywej duszy. Chyba powinnam dodać „na razie”. To jego as atutowy. A także odpowiedź na twoje pierwsze pytanie. Przysięga, że jeśli kiedyś wypełnię pozew rozwodowy, opowie w sądzie o mojej próbie samobójczej. A to oznacza, że stracę syna. – Zmrużyła oczy i zacisnęła usta. – Sądy nic przyznają opieki nad dziećmi matkom o samobójczych skłonnościach.

– Nie jest tak źle, jak myślisz – powiedziałam. – Sądy zasięgają opinii ekspertów. Zazwyczaj takich jak ja. Gdy usiłowałaś targnąć się na życie, nie byłaś jeszcze matką. Zdarzyło się to przed laty. Okoliczności się zmieniają. Ludzie również. Może sąd zdecydowałby, że nic jesteś już zagrożeniem dla samej siebie.

– W tym cały problem. W słowie „może”. Stawka jest zbyt wysoka, żebym pokładała wiarę w tym jednym słowie.

– Iz tego powodu wybrałaś inną możliwość – nieszczęśliwe małżeństwo.

– Tak, ponieważ w ten sposób mogę być z synem.

– Teraz jednak widzisz i rozumiesz konsekwencje tego wyboru – zauważyłam. – Wiesz, że to nie jest życie.

– Łagodnie mówiąc.

– To dziwne, Sam. Im dłużej cię słucham, tym mniej rozumiem twojego męża i jego przypuszczalne motywy. Co z tego ma?

– Całkowitą wolność, ot co – odparła. – Robi, co chce i kiedy chce. A nawet z kimkolwiek chce.

– Twierdzisz, że ma romanse? Skinęła głową.

– Jesteś pewna?

- Tak pewna, jak tylko można być.
- Czy rozmawiałaś z nim o tym?
- Po co? Po prostu by zaprzeczył i zarzucił mi urojenia. Taki już jest.

Zabrakło mi dalszych pytań. A także komentarzy. Siedziałem, patrząc na Sam Kent, i dostrzegając oczywistą prawdę: ta kobieta powinna się rozwieść, i to jak najszybciej. Ona też to wiedziała. Właśnie dlatego do mnie przysłała. Po siłę, która pozwoli jej odejść od męża, jak powiedziała. Pozostało tylko jedno pytanie: jak mam spełnić jej oczekiwania.

- O czym myślisz, Davidzie? – zapytała, przerywając milczenie.
- Myślę, że zasługujesz na coś lepszego – odparłem.

Rozdział 7

Darmowa porada prawna. Oto dlaczego dobrze jest mieć przynajmniej jednego przyjaciela, który jest prawnikiem. Czasem dzieliłem się tym spostrzeżeniem z Parkerem tylko po to, żeby go zirytować lub sprowokować pytanie, czego od niego chcę. Oczywiście oczekiwałem darmowej porady prawnej.

Zadzwoiłem do kancelarii następnego ranka, w piątek, między sesjami o dziesiątej i jedenastej. Połączyła mnie jego sekretarka.

– Mogę przez chwilę wykorzystać twój mózg? – zapytałem.

– Pod koniec tygodnia niewiele z niego zostało, ale wał śmiało – odparł.

– Chodzi o moją pacjentkę...

– Oo, to musi być coś poważnego.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ponieważ jeszcze nigdy nie mówiłeś mi niczego o żadnym ze swoich pacjentów, a ja nie pytałem.

Parker miał rację. Jeszcze nigdy nie rozmawiałem z nim o kimś, komu pomagałem, nawet w najbardziej ogólnikowy sposób. Przestrzegąłem tajemnicy lekarskiej.

– No cóż, uznaj, że masz dziś szczęśliwy dzień – powiedziałem. – Słuchając o jednej z moich pacjentek, powinieneś zdać sobie sprawę, jak bardzo.

– Wybacz, że na razie wstrzymam się z oceną – odrzekł. – W czym rzecz?

– Ta kobieta chce się rozwieść – zacząłem. – Mają dwuletniego syna. Przed urodzeniem dziecka i zanim się dowiedziała, że jest w ciąży, próbowała popełnić samobójstwo. Połknęła całe opakowanie tabletek nasennych. Jednak kilka minut później mąż znalazł ją i podał środek wymiotny. Wyszła z tego bez szwanku. Przynajmniej na ciele. A teraz zaczynają się schody. Nie tylko nie udali się po tym do szpitala, ale nigdy nie szukali pomocy specjalisty.

– Dlaczego?

– Masz godzinę?

– Nieważne.

– Powiedzmy, że oboje chcieli uniknąć skutków – wyjaśniłem. – Tylko że teraz mąż grozi, że ujawni sprawę i odbierze jej dziecko. Oczywiście jeśli ona spróbuje się z nim rozwieść. Tak więc jeżeli ona to zrobi i wniesie pozew rozwodowy, jakie ma szanse na uzyskanie opieki nad dzieckiem? Jakie znaczenie będzie miała próba samobójcza?

Parker wydał cichy pomruk. Był to jego oficjalny sygnał oznaczający głęboki namysł.

– Po pierwsze, to prawo rodzinne, czyli nie moja działka – rzekł. – Pomimo to, jak każdy prawnik, jestem skłonny uważać, że wiem wszystko. Zatem tak. Czy próba samobójcza będzie miała znaczenie? Tak. Jak duże? Jak w życiu, to zależy. Sprawa o przyznanie opieki, jaką byłby ten spór, jest ukierunkowana na dobro dziecka. Wszystko, co może w najmniejszym stopniu naruszać to dobro, jest poważnym argumentem. Czy uważasz, że pacjentka nadal stanowi zagrożenie dla siebie?

Zastanawiałem się najwyżej sekundę.

– Prywatnie nie sędzę – odparłem. – Natomiast zawodowo, a zapewne tylko to się liczy, nie mogę być tego pewien. Mamy za sobą dopiero dwie sesje, podczas których ustalenie tego nie było dla mnie najważniejsze. Na plus trzeba zaliczyć, że próba samobójcza miała miejsce przed trzema laty.

– Punkt dla niej. A teraz kluczowe pytanie. Czyjej mąż ma pieniądze?

– Taak, czemu pytasz?

– Ze względu na jego adwokatów. To proste. Dobry prawnik nie będzie bazował na tym, że jakiś lekarz stwierdzi, iż ona nie nadaje się na matkę. Założy, że opinia lekarska będzie dla niej przychylna, i spróbuje toczyć zmagania na innej płaszczyźnie.

– Na jakiej?

– Całokształtu jej postępowania – odparł. – A konkretnie na tym, co ukazuje lub sugeruje jej nieodpowiedzialność. Na przykład: czy ona pije, czy zażywa jakieś środki przeciwdepresyjne, czy kiedykolwiek była aresztowana... Niczego nie przeoczy. Wszystko wyolbrzymi. Jeden mandat za przekroczenie szybkości, w porządku. Dwa mandaty i kobieta ma skłonności samobójcze. A wtedy adwokat zacznie grać tą kartą. Nie ujmie tego w tych słowach, ale taką przekaże wieść: jeśli nie możemy pozwolić temu dziecku wsiąść do samochodu prowadzonego przez matkę, to jak możemy się zastanawiać nad tym, czy pozwolić mu zamieszkać z nią pod jednym dachem?

Prychnąłem.

– To przesada.

– Nie, to prawo rodzinne – odparł Parker.

– Założmy przez chwilę, że moja pacjentka jest wzorową obywatelką – powiedziałem. – Co wtedy?

– Wtedy ma szansę. Jeśli wynajmie dobrych prawników, zaczną wygrzebywać takie same brudy z przeszłości męża. Nawet gdyby był skautem, przygwoźdzą go za to, że nie zapewnił pomocy lekarskiej żonie, gdy próbowała skończyć ze sobą. To on powinien zawieźć ją do szpitala. Fakt, że tego nie zrobił, świadczy o jego głupocie. – Parker zaśmiał się. – Matka samobójczyni, a ojciec idiota. Kiedy dorośnie, dzieciak będzie żałował, że go nie adoptowano.

– Cudownie.

– Mówiłeś, że ile lat ma ten chłopiec?

– Dwa.

– No, to może nie będzie tak źle. Nie będzie nawet pamiętał procesu. Cóż, jeśli chcesz, mogę skontaktować cię z facetem, który nie zajmuje się niczym innym poza sporami o opiekę nad dziećmi.

– Może później skorzystam z tej propozycji – odparłem. – Na razie to, co mi powiedziałeś, bardzo mi pomogło. I jeszcze jedno. Pomijając wszystkie te fakty, zdradz mi, jakie ma szanse... w procentach.

Ponownie usłyszałem cichy pomruk Parkera. Jak warkot odkurzacza w odległym pomieszczeniu.

– Pomijając fakty? Sześćdziesiąt procent – powiedział. – Sześćdziesiąt pięć, jeśli jest

ładna.

A jeśli jest bardzo ładna?, chciałem zapytać, ale pomyślałem, że lepiej nie.

– To całkiem niezłe szanse – zauważyłem.

– Nie, wcale nie – rzekł. – Niezależnie od sytuacji, matka zawsze jest na uprzywilejowanej pozycji. Hej, jesteś pewien, że nie chcesz pogadać z tym facetem od prawa rodzinnego?

– Taak, jestem pewien. Mimo to dzięki.

Odłożyłem słuchawkę, ale pozostałem za biurkiem. Patrzyłem w pustkę i rozmyślałem.

Dwie sesje. Tylko tyle czasu z nią spędziłem. Łącznie godzinę i czterdzieści minut. Mimo to wciąż była obecna w moich myślach. Sam Kent. Jej głos opowiadający mi tę historię, szczegóły nieudanego małżeństwa. To nie był związek, ale umowa. W dodatku bardzo niekorzystna. Słyszałem te dźwięki. Urywany oddech, gdy Sam płakała w moim gabinecie tamtego pierwszego dnia. Łkanie. Dusił się.

Chciałem jej pomóc. W cieniu męża jej poczucie własnej wartości nie miało szans wykielkować. Zamierzałem to zmienić, tak by odzyskała wiarę w siebie. Tak, chciałem pomóc, i nie było w tym niczego złego. Chciałem pomóc wszystkim moim pacjentom. To moja praca.

Jednak ten przypadek był inny i zdawałem sobie z tego sprawę.

Mur zaczął się kruszyć. Został wzniesiony podczas wielu lat nauki i doświadczeń, zapewniając odpowiedni dystans między pacjentem a lekarzem. Niczego osobistego. Czysto zawodowe podejście. Tak musiało być.

Odłóż przecinak, Davidzie, próbowałem sobie powiedzieć.

Niech mur nadal stoi.

Rozdział 8

Dobroczynność. To, co posiadacze robią dla nieposiadających, nie patrząc na nich. Bardzo cyniczny pogląd na filantropię, który usiłowałem zmienić. Niestety, przyjęcie koktajlowe Kesper Society nie ułatwiało mi tego zadania.

Krótko mówiąc, Kesper Society zostało założone przez niejakiego Arnolda Kespera. Tego od konsorcjum łączności satelitarnej, Kesper Communications, oraz gór forsy. Facet był nieco ekscentryczny – cecha charakteru często spotykana u multimilionerów – i rzadko rezygnował z okazji podbudowania tego wizerunku. Mógłbym podać niezliczone przykłady, aczkolwiek moim zdaniem żaden nie może się równać z faktem, że Kesper ma własnego testera potraw. Nie żartuję. Młodego człowieka, z pochodzenia Duńczyka, którego jedynym zajęciem jest sprawdzanie, czy nikt nie próbuje otruć jego szefa.

Można rzec, że to dość niezwykle zajęcie.

Zgodnie z oczekiwaniami Kesper okazał się ekscentryczny nawet w swej działalności charytatywnej. Urządził zawody. Pod pretekstem lepszego zaznajomienia się z wszystkimi problemami świata, razem ze swoją żoną dwa razy w roku wydawał wielkie i eleganckie przyjęcia koktajlowe, na które zapraszał przedstawicieli różnych organizacji. Rozmawiał z nimi, słuchał, co mieli do powiedzenia, a potem zapewne zastanawiał się i podejmował decyzję, jakie sumy przeznaczyć na każdą z tych spraw.

Zaproszenie na jeden z tych koktajli było dobrą wiadomością, gdyż oznaczało, że otrzyma się dotację. Zła wiadomość polegała na tym, że ich wysokość bywała bardzo różna i wprost proporcjonalna do wrażenia, jakie wywarłeś na gospodarzu w ciągu tych kilku pełnych napięcia godzin. Mówiono, że im częściej całowałeś tyłek Kespera, tym więcej znajdowałeś zer na czeku.

– Zabawisz się w dupoliza, dobrze, Davidzie?

Tak powiedział mi przez telefon Bennett Larson. Zadzwoił dwa dni wcześniej i zawiadomił, że w dniu przyjęcia nie będzie go w mieście. Niezbyt uszczęśliwiła mnie ta wiadomość. Bennett Larson, którego z pewnością nie można nazwać typowym psychologiem, był uśmiechniętym, dowcipnym, urodzonym komplementarzem w stylu „cholernie miło mi pana poznać”. Innymi słowy, miał wszystkie cechy potrzebne facetowi, który zamierza skłonić grube ryby do rozstania się z forszą. Robił to doskonale, jako najlepszy „finansowy lobbysta” Crescent House. Albo, jak chętnie przyznawał, sprzedajna dziwka.

Wszystko w słusznej sprawie.

Taką był Crescent House – przychodnia psychoterapii i psychoanalizy dla ubogich i nieubezpieczonych, w której od ponad dwóch lat prowadziłem darmową praktykę i niedawno zostałem członkiem zarządu. Mając tylko jeden lokal w Queens, Crescent House snuł plany ekspansji. Najpierw do sąsiednich dzielnic, a potem innych miast. Wielu psychoterapeutów chętnie poświęcało czas. Niektórzy nawet pieniądze. Jednak fundusze na cegły i zaprawą, nie mówiąc już o parceli pod budowę, wymagały dobroczynności znacznie wyższego szczebla. Ściśle mówiąc takiej, jaką reprezentował Arnold Kesper.

Tak więc tamtego piątkowego wieczoru zamiast Larsona to ja oraz kilku innych członków zarządu Crescent House wkroczyliśmy do wielkiej sali Metropolitan Museum of Art, gdzie odbywało się przyjęcie koktajlowe Kesper Society. Już samo to, że przedstawiciele Crescent House zostali zaproszeni, był niemałym osiągnięciem. Poprzednio trzykrotnie usiłowaliśmy dostać się na listę gości Kespera, ale bez powodzenia.

Larson wpadł nawet na pomysł, żeby wysłać Kesperowi model ludzkiej czaszki z napisem POSTANAWIA POMÓC C !RESCENT HOUSE, umieszczonym na uwidocznionej w przekroju korze mózgowej. Dlaczego? Nie rozumiałem. Ten pomysł wydał mi się głupi i bezsensowny.

– Właśnie – powiedział mi wtedy Larson – głupi i bezsensowny jak sam Arnold Kesper.

No i jak łatwo się domyślić, niedługo po tym, jak wysłaliśmy mu ten model ludzkiej czaszki, otrzymaliśmy pocztą zaproszenie od Kesper Society. Dośpiewajcie sobie resztę.

– Na tym polega problem z kapitalizmem. Stwarza konieczność istnienia klasy nieuprzywilejowanej. Właśnie dlatego na tych, którzy odnieśli sukces – szczęśliwcach, którym w kapitalizmie doskonale się powodzi – spoczywa obowiązek podjęcia próby zminimalizowania tej dysproporcji i rozpaczy. Jestem pewien, że wszyscy się z tym zgodzą.

Ochoczo przytaknąłem Arnoldowi Kesperowi, tak samo jak wszyscy stojący przy mnie członkowie zarządu Crescent House. Minęło półtorej godziny przyjęcia i w końcu dostąpiliśmy zaszczytu rozmowy z gospodarzem. Jedną z jego pomocnic, drobna i smutna kobieta ściskająca w rękę notatnik, wyłowiła nas po kolei z tłumu gości. Zebrała w przeznaczonym do tego kącie, po czym zaprowadziła przed oblicze Kespera.

– Panie Kesper, pozwoli pan sobie przedstawić przedstawicieli Crescent House – powiedziała uroczystym tonem.

Potem, nieco ciszej, kolejno przedstawiała każdego z nas po nazwisku. Równie dobrze moglibyśmy być w Watykanie.

Zważywszy na to, może pytanie, jakie mi zadał, nie było aż tak bardzo zaskakujące.

Do tej chwili rozmowa była stosunkowo banalna. Kesper zapytał, co robimy w Crescent House, a my wyjaśniliśmy najlepiej, jak potrafiliśmy. Jakie są typowe problemy naszych pacjentów? Czy uważamy naszą działalność za skuteczną? Jak widzimy przyszłość Crescent House? Przeważnie miękkie piłki. Kesper wyraził podziw dla naszych wysiłków i wydawał się naprawdę rozumieć nasze cele. Był uroczy. Dobroduszny. Już zacząłem podejrzewać, że jego reputacja ekscentryka jest nieuzasadniona. Wtedy podeszła do nas służąca z talerzem kanapek. Zanim Kesper sięgnął po jedną zerknął na wysokiego i jasnowłosego Skandynawa, stojącego pod ścianą. Młodzieniec dyskretnie skinął głową. Najwidoczniej kanapki z łososiem nie były zatrute.

No i zaczęło się.

Kiedy kobieta z tacą ruszyła dalej, Kesper obrócił się na pięcie i spojrzał na mnie.

– Niech mi pan powie, doktorze Remler, czy uważa pan, że on był winny? – zapytał.

– Słucham?

– Rabin, którego skazano – wyjaśnił cierpliwie Kesper.

– Myśli pan, że był winny? Ponieważ, prawdę mówiąc, ja nie jestem tego pewien. Moim zdaniem był niewinny. A jeśli dobrze rozumiem, to pańskie zeznania doprowadziły do jego skazania.

Zaskoczył mnie i jestem pewien, że mój wyraz twarzy wyraźnie o tym świadczył. Udział w procesie był ostatnią sprawą, jaką spodziewałem się omawiać z Arnoldem Kesperem. A jednak właśnie to robiliśmy. Zazwyczaj nie obchodziłoby mnie to, co myśli o mnie taki facet jak on. Jednak zerknąwszy na pozostałych członków zarządu Crescent House, którzy odpowiedzieli mi zbiorowym i nerwowym spojrzeniem mówiącym „nie zawieź nas, Remler”, postanowiłem zachować wstrzemięźliwość.

– Sądzę, iż z całą pewnością jest możliwe, że rabin był winny – wyjaśniłem Kesperowi. – Chociaż sprawa bynajmniej nie była oczywista.

Multimilioner pokręcił głową. Z kpiącym rozczarowaniem.

– To za bardzo dyplomatyczna odpowiedź – rzekł. – Proszę mnie powstrzymać, jeśli jestem zbyt wścibski, ale odnoszę wrażenie, że w głębi serca ma pan jasno sprecyzowane zdanie na ten temat. A może się mylę?

– Nie myli się pan – przyznałem. – Po prostu sądzę, że będzie lepiej, jeśli moje zdanie zostanie właśnie tam. W głębi serca.

Kesper wydał wargi. Wysunął szczękę.

– Chyba w tym momencie powinienem powiedzieć panu, że szanuję pańską decyzję, doktorze Remler – rzekł. – Choć muszę przyznać, że niepokoi mnie myśl, iż pańska wstrzemięźliwość może być spowodowana niechęcią do spierania się ze mną. Może powinienem pana zapewnić, że pańskie zdanie w tej kwestii nie będzie miało żadnego wpływu na moją ocenę Crescent House.

– Nie sądzą, żeby to było konieczne – odrzekłem.

– Och, niech pan da spokój, to oczywiste, że tak pan uważa. Powszechnie wiadomo, że jestem człowiekiem kierującym się dziwnymi przesłankami. Łagodnie mówiąc. Rzecz w tym, że chociaż tak nie powinno być w tym przypadku, skłamałbym, gdybym nie przyznał, że jeśli nie wypowie się pan na temat rabina, nie wyjawi pan swojego przekonania o jego winie czy niewinności, istotnie wpłynie to znacząco na moją decyzję w sprawie Crescent House. Co mam powiedzieć? Tak to już jest. Być może, biorąc pod uwagę pański zawód, nie jest to dla pana tak szokujące jak dla innych. – Kesper rozłożył ręce, jakby sprawdzał, czy pada. – Hej, zgadzam się, że to nie fair. Mimo to jestem szczery. Tak więc obawiam się, że mamy impas.

Wszyscy patrzyli na mnie, czekając na odpowiedź. Nie miałem pojęcia, dlaczego ten facet chce mnie wkurzyć, ale postanowiłem poświęcić się dla dobrej sprawy. Do diabła z dumą. Trzeba wybudować więcej takich przychodni jak Crescent House. Odchrząknąłem.

– Winny jak diabli – wykrztusiłem.

– Słucham? – powiedział Kesper, który niewątpliwie doskonale mnie usłyszał.

– Powiedziałem, że moim zdaniem rabin był winny. Winny jak diabli.

– No tak, właśnie tak usłyszałem. – Kesper wepchnął ręce w kieszenie i lekko się zgarbił. Kąciki jego ust rozciągnęły się i uniosły. Wstęp do morału tej historii. Wygłosił go szeptem: – To zadziwiające, co zrobimy dla pieniędzy, prawda?

Milczałem. Nikt się nie odezwał. W głuchoj ciszy Kesper ciągnął z wyraźnym rozbawieniem:

– Chociaż w pańskim przypadku w dobrej sprawie. O większości ludzi nie można tego powiedzieć. – Wyjął ręce z kieszeni i dwukrotnie klasnął. – Dziękuję panu, doktorze Remler. Dziękuję, Crescent House. Bardzo, bardzo dziękuję.

Patrzyłem, jak cofa się, a potem odchodzi. Z uśmiechem. Z satysfakcją.

Byłem niebotycznie zdumiony.

Oto cały Arnold Kesper.

Zostałem jeszcze tylko po to, żeby w ciągu dziesięciu minut wychylić trzy bourbony z wodą sodową. W połączeniu z tymi trzema, które wypilem przed spotkaniem z Kesperem, oznaczało to, że był najwyższy czas opuścić przyjęcie.

Wyszedłem przed muzeum na rześkie nocne powietrze. Przez chwilę stałem tam pod latarnią, wdychając je. Moment zmienił się w minutę. Nagle usłyszałem za plecami głos.

– Miło cię tutaj spotkać.

Rozdział 9

Odwrociłem się i zobaczyłem schodzącą po stopniach postać. Długa czarna suknia i czerwony szal na ramionach. W ręce torebka. Skojarzyłem dopiero po sekundzie. Znajoma osoba w nieznanym otoczeniu. Potem uświadomiłem sobie, że patrzę na Sam Kent.

Pokonała na szpilkach ostatni schodek i podeszła do mnie.

– Już myślałam, że mnie nie poznałeś – powiedziała.

– Bo w pierwszej chwili nie poznałem – przyznałem. – Sądzę, że pasuje tu określenie „nie na swoim terenie”.

– Wiem. Czy to nie zabawne? To, że oboje byliśmy na tym przyjęciu. Chociaż dziwi mnie, że nie spotkaliśmy się w środku.

– Mnie też. Na rzecz jakiej słusznej sprawy kwestowałeś?

– Byłabym szczęśliwa, gdyby to był jednostkowy przypadek – odrzekła. – Niestety, obawiam się, że regularnie bywam na takich imprezach. Firma mojego męża zarządza funduszem dobroczynnym Kesper Society. Zgodnie z filantropijną etykietą to czyni mnie stałym gościem.

– Gdzie twój mąż? – spytałem czujnie.

– W Singapurze – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Zawsze udaje mu się gdzieś wyjechać, a wtedy nie pozostaje mi nic innego, jak reprezentować nas oboje, chociaż najchętniej wykręciłabym się z tego. Jednak pomimo ekscentryzmu i rozдутego ego Arnold Kesper naprawdę pomaga wielu ludziom. A ponadto jego żona jest cudowna.

– Nie poznałem jej.

– To szkoda. Twardo stoi na ziemi. W przeciwieństwie do Arnolda. Nawiasem mówiąc, ładny garnitur.

– Dziękuję.

Dobre wychowanie nakazywało mi zrewanżować się komplementem i powiedzieć Sam, że ona też ładnie wygląda. Tak też było. Jednak była moją pacjentką. W tym momencie starałem się o tym pamiętać.

– Czujesz się nieswojo? – zapytała.

– Co masz na myśli?

– Spotykając pacjentkę w publicznym miejscu.

– Nie – odparłem. – Dlaczego pytasz?

– Nie wiem. Kobięca intuicja?

– Znacznie przeceniana – zażartowałem.

– Może przez tych, którzy jej nie mają – odparowała. Oboje uśmiechnęliśmy się.

– Ty też wyglądasz bardzo ładnie – powiedziałem.

– Dziękuję.

Przez chwilę milczeliśmy. Uświadomiłem sobie, że tego wieczoru Sam zachowywała się nieco inaczej. Była swobodniejsza i rozmowniejsza. Może wypła kilka drinków. A może był to wpływ naszego przypadkowego spotkania.

Spojrzała na zegarek.

– Dokąd teraz zmierzasz?

– Chyba do domu – odparłem.

– Wiesz, właśnie dlatego nienawidzę tych przyjęć. Trzeba się wystroić, sporo wypić, dają ci tylko zaostarzające apetyt przekąski, a potem wyrzucają bez kolacji na ulicę. To po prostu zbrodnia.

– Chyba masz rację.

– Zdecydowanie. – Rozejrzała się wokół.

– Hej, wiesz, co powinnam zrobić?

– Co takiego?

– Postawić ci kolację.

– Czyżby?

– Tak.

– A to dlaczego? – zapytałem.

– Ponieważ mi pomagasz. Uważam, że jestem ci to winna.

– Nie przy moich honorariach.

– To dobrze wydane pieniądze, Davidzie. I właśnie dlatego powinieneś pozwolić, żebym postawiła ci kolację. Co ty na to?

Była zdecydowana. Wahałem się. Było to po mnie widać.

– Poczekaj, nie odpowiadaj – dodała. – Oczywiście! Myślisz o tym, że to nie zrobiłoby dobrego wrażenia, gdyby zobaczono nas razem. Z pewnością psycholog nie powinien utrzymywać towarzyskich kontaktów z pacjentami.

– To nie jest dobrze widziane.

– Przez kogo, jeśli wolno spytać?

– Przez tych, którzy naprawdę się tym przejmują. – Czy to oznacza, że ty się do nich nie zaliczasz?

– Nie. Po prostu nie jestem fanatykiem – odparłem. – Jeśli jednak chodzi o kolację w restauracji, obawiam się, że należy przestrzegać pozorów.

– No właśnie. Oto rozwiązanie.

– Jakie?

– Nikt nas nie zobaczy – powiedziała. – Zamiast postawić ci kolację, przygotuję ci ją.

– Sam, nie jestem pewien, czy...

– Co? Oboje jesteśmy dorośli i głodni. Nie ma w tym nic złego.

– Tak, wiem, ale...

– Właściwie to bardzo zabawne, kiedy się nad tym zastanowić. Aby uniknąć podejrzeń, musimy zrobić coś znacznie bardziej podejrzanego. – Oparła dłoń na biodrze. Potem powiedziała żartobliwie: – No, to jak, Davidzie... Do ciebie czy do mnie?

Pomachałem ręką z udawanym zdumieniem:

– Czy mnie słuch nie myli?

– Nie, ale jeśli pozwolę ci wtrącić jeszcze słowo, spróbujesz odwieść mnie od tego pomysłu – odrzekła. – Zaczekaj chwilkę, właśnie coś sobie uświadomiłam. – Z

rozczarowaniem tupnęła nogą. – Nie możemy iść do mnie. Celeste, niania, pilnuje dziś wieczorem naszego dziecka. Jest bardzo gadatliwa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ścisłe mówiąc, to straszna papla. Rzeczywiście nie byłoby dobrze, gdyby cię zobaczyła. Hm. Wygląda na to, że pójdziemy do ciebie.

Stała i patrzyła na mnie.

W końcu miałem szansę coś powiedzieć. Najwyższy czas, żeby to zrobić. Powinienem wykonać jakiś zręczny unik. Wycofać się z wdziękiem... sam.

Jednak milczałem. Byłem zbyt zajęty oglądaniem tego, czego nie powinienem zauważać. Lśnienia jej włosów. Obcisłej sukni. W istocie, poważnie zastanawiałem się nad tą propozycją.

Ochłoń, Davidzie.

Byłem człowiekiem, który powinien zachować rozsądek. Jednak byłem również mężczyzną, który od długiego czasu nie zwracał uwagi na kobiety. Ponadto ten mężczyzna niedawno wypił sześć bourbonów z wodą sodową na pusty żołądek. Bariery opadły. Dzwonki alarmowe chwilowo się zepsuły.

– Naprawdę mam pustki w lodówce – powiedziałem. Uśmiechnęła się.

– Nie martw się, poradzę sobie.

Sam niezwłocznie podeszła do krawężnika, by złapać taksówkę. Gdyby trwało to kilka minut, zapewne zdążyłbym się rozmyślić. Raz na zawsze zrezygnować z tego pomysłu. Jednak, oczywiście, taksówka napatoczyła się już po kilku sekundach. Robiłem, co mogłem, żeby nie przypisywać temu zbyt wielkiego znaczenia.

„Przeznaczenie” to takie pompatyczne słowo.

Rozdział 10

Trzydzieści przecnic miłej rozmowy oraz kilka spektakularnych wymówek, jakimi usprawiedliwiałem się w duchu. A wszystko to podczas podróży taksówką do mojego mieszkania. Wciąż powtarzałem sobie, że nie zrobiłem nic złego. I nie zrobią. Mimo to czerwone światła denerwowały mnie, niezbyt subtelnie sugerując potrzebę zakończenia tej eskapady.

Po dziesięciu minutach przybyliśmy na miejsce.

Na nowojorskich odźwiernych można polegać pod dwoma względami. Po pierwsze, że powiedzą coś miłego i oczekiwanego, a po drugie, że jednocześnie pomyślą coś wręcz przeciwnego.

– Dobry wieczór, doktorze Remler.

Tylko tyle powiedział ten, który pełnił służbę, gdy Sam i ja weszliśmy do budynku. A gdybym umiał czytać w jego myślach? Hej, może ten biedny sukinkot wreszcie przeleci panienkę. Albo: chyba jednak nie jest gejem.

Sam i ja mieliśmy windę dla siebie.

– Właściwie trochę mi ich brak – odezwała się, kiedy zamknęły się drzwi. – Mówię o odźwiernych.

– W waszym budynku ich nie ma?

– Nie, mieszkamy w willi. Jednak przed ślubem mieszkałam w budynku, w którym był odźwierny. Czułam się bezpieczniej.

– Powiedziałbym to samo, ale ilekroć naprawdę, późno wracam do domu, ten facet przeważnie drzemie.

– To musi wspaniale wpływać na jego bożonarodzeniowe napiwki.

– Prawdę mówiąc, w zeszłym roku zamiast pieniędzy dałem mu poduszkę.

Dziesiąte, jedenaste i dwunaste piętro. Ciekłokrystaliczny wyświetlacz mierzył przebytą drogę.

– Jak długo tu mieszkasz? – zapytała.

– Prawie trzy lata.

Nieznacznie kiwnęła głową, zdając się dodawać dwa do dwóch. Wychodziło trzy. Tyle lat minęło od śmierci mojej żony. Można było spokojnie założyć, że potem przeprowadziłem się do innego mieszkania.

Dwudzieste i dwudzieste pierwsze piętro. Potem moje – dwudzieste drugie.

Po wejściu do mieszkania zdjąłem płaszcz, a Sam podała mi szal. Powiesiłem obie rzeczy na wieszaku w przedpokoju. Kiedy ruszyłem pozapalać światła, ona natychmiast udała się na wycieczkę bez przewodnika. Zamarudziłem moment w salonie, układając gazety na stosik i zbierając kilka pustych butelek po piwie. Mimo wszystko bałagan nie przekraczał akceptowalnej normy dla mieszkania samotnego mężczyzny. – Sam zawołała z biblioteki:

– Chyba spodziewałam się więcej boazerii!

– Mam nadzieję, że nie jesteś zawiedziona.

– Wprost przeciwnie! – odskrzyknęła. – Prawdę mówiąc, obiecałam sobie w duchu, że jeśli zobaczę stojak z fajkami, natychmiast wyjdę.

Opuściła bibliotekę, nie patrząc na mnie, skrzyła za róg i skierowała się do sypialni. Najpierw dla gości, potem do mojej. Ja po prostu stałem tam. Facet, który nie wie, co robić we własnym domu.

Pojawiła się ponownie.

– Podoba mi się twoje mieszkanie – oznajmiła. – Bezpretensjonalne.

– Czy to uprzejma wersja „bez wyrazistego stylu”?

– Nie. To po prostu oznacza, że jesteś niebanalny.

– Dzięki Bogu.

Na stoliku pod ścianą zauważyła ramkę z fotografią. Wzięła ją do ręki.

– Czy to twoi rodzice?

– Tak.

– Sympatyczni. Gdzie zrobiono to zdjęcie?

– Na tylnym tarasie ich domu na Zachodnim Wybrzeżu.

– Gdzie dokładnie?

– Santa Barbara.

– Nieźle.

Sam jeszcze przez chwilę spoglądała na zdjęcie. Ukazywało moją matkę siedzącą na kolanach ojca. Para zakochanych siedemdziesięciolatków.

– Mówiłaś mi, że twoi rodzice mieszkają w Arizonie... W Tempe, zgadza się?

Nie odpowiedziała.

– Sam? Spojrzała na mnie.

– Przepraszam, co takiego?

– Właśnie mówiłem, że podczas pierwszego spotkania powiedziałaś mi, że twoi rodzice po przejściu na emeryturę zamieszkali w Tempe, prawda?

– Och. – Westchnęła.

– Tak.

Sposób, w jaki to powiedziała, kazał mi sądzić, że chciała coś dodać. A może przemilczeć. Patrzyłem na nią, gdy wciąż przyglądała się zdjęciu, które trzymała w ręku.

– Wszystko w porządku? – zapytałem. Ponownie podniosła głowę.

– Boże, przepraszam. Czasem coś mnie nachodzi, kiedy patrzę na zdjęcia czyichś rodziców.

Miałem ochotę zadać nasuwające się pytanie: dlaczego? Jednak liczyłem na to, że sama mi powie.

– Moi rodzice w Tempe tak naprawdę są moim przybranymi rodzicami. Nie wspominałam o tym dotychczas, ponieważ... No, po prostu nie.

– W porządku, nie musisz wyjaśniać. Ponadto wiesz, jacy są psychoterapeuci. Uważamy, że wszystko jest powiązane z rodzicami. Gdybyś mi powiedziała, zacząłbym cię zamięczać pytaniami, więc naprawdę nie mam ci tego za złe.

Uśmiechnęła się.

– Masz bardzo miły zwyczaj.

– Jaki?

– Zawsze mówisz to, co powinienes.

– Nieee, po prostu czasem mi się udaje – odrzekłem z uśmiechem. – Rzykując zniszczenie tego pochlebnego wizerunku, czy masz coś przeciwko temu, że zapytam cię o coś?

– Chodzi o moich naturalnych rodziców, prawda?

– Tak. Spotkałaś ich kiedyś? Pokręciła głową.

– Nie. Najwidoczniej mój ojciec zmarł w wyniku wypadku przy pracy, zanim jeszcze się urodziłam. Co do mojej matki, to wiem tylko, gdzie mieszka, oraz to, że jest naprawdę uboga, i właśnie dlatego musiała mnie oddać do adopcji.

– Nigdy nie chciałaś się z nią skontaktować?

– Kiedy byłam młodsza, za bardzo miałam jej to za złe. Gdy dorosłam, coraz częściej o tym myślałam.

– I?

– Chyba zawsze wydawało mi się to zbyt skomplikowane, a jak dobrze wiesz, komplikacje to ostatnia rzecz, jaka jest mi potrzebna.

– Rozumiem, dlaczego tak uważasz, ale być może czekałoby cię przyjemne zaskoczenie. Załatwienie jednej od dawna odwlekanej sprawy często potrafi w cudowny sposób pomóc uporać się z drugą.

– No, nie wiem...

Po prostu zastanów się nad tym.

Minęło tyle czasu. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że pokochałabym obcą osobę, a nie matkę.

Może w pierwszej chwili. Z czasem zmieniłabyś zdanie.

Widziałem, że zaczyna czuć się nieswojo. To przypominało sesję psychoterapeutyczną, a nie powinno. Już zamierzałem zmienić temat, kiedy ona dostrzegła okazję i sama to zrobiła.

Odstawiła zdjęcie na miejsce. Przypadkiem obok stał telefon.

– Masz coś przeciwko temu, że zadzwonię do domu? – spytała. – Chcę powiedzieć Celeste, gdzie jestem.

Jasne. Żaden problem. Sam podniosła słuchawkę i wybrała numer. Poszedłem do kuchni, by pozbyć się butelek po piwie. Będąc tam, słyszałem, jak mówiła niani, że wpadła do znajomego i wróci do domu nieco później. Potem znowu zawołała do mnie: Davidzie, jaki tu jest numer? Podeszedłem do drzwi kuchni i powiedziałem jej. Dwukrotnie powtórzyła numer Celeste.

Za każdym razem odnoszę wrażenie, że muszę podać jej co najmniej dwa numery telefonów – zauważyła, odłożywszy słuchawkę. – Ma numer mojego telefonu komórkowego, ale nie ułam tym urządzeniem. Przeważnie z nikim nie można się połączyć.

Wiem, co masz na myśli.

Spojrzała mi przez ramię.

A więc to twoja kuchnia?

Gotowa. Czeka.

Dobrze. Zaczniemy czary.

Poszedłem za nią do najmniej używanego pomieszczenia mojego mieszkania i patrzyłem, jak rozglądała się przez kilka minut, zanim podeszła do lodówki.

Nie żartowałeś – orzekła, otworzywszy ją i zajrzawszy ilu środka.

Wiem. Mówiłem ci, że to jałowe pustkowie. Okoliczni restauratorzy na pewno cię uwielbiają.

– Tak, raczej mnie lubią – przyznałem.

Sam obróciła się na piacie i popatrzyła na szafki.

– Makaron – oznajmiła. – Powiedz mi, że go masz.

Podszedłem i otworzyłem szafkę obok kuchenki. Na najwyższej półce, za kukurydzą do prażenia w mikrofalówce i kilkoma puszkami zupy, stała paczka makaronu. Z tego co wiedziałem, mogła mi się dostać razem z mieszkaniem.

– Czy ronzoni się psuje? – zapytałem, wyjmując ją.

Sam podeszła i wyjęła mi opakowanie z rąk. Obróciła je w dłoniach i spojrzała na skład.

– Zobaczmy... siarczan żelaza, azotan tiaminy. – Spojrzała na mnie z kamiennym wyrazem twarzy. – Nie za ludzkiego życia.

Byliśmy uratowani. Wróciła do lodówki i wyjęła z niej jajka, masło i słoiczek kaparów, o których sam nie wiedziałem, że je mam. Otworzyła zamrażalnik i zaczęła w nim szperać.

– Twój zamrażalnik zupełnie zamarzył – orzekła.

Zanim zdążyłem wymyślić jakąś dowcipną odpowiedź, usłyszałem „aha”! Odwróciła się i pokazała mi paczkę siekanej polędwicy.

– To mi wystarczy – powiedziała. – Teraz potrzebna mi tylko duża miska i połowa twojego stojaka z przyprawami.

Znalazłem jej miskę i otworzyłem szafkę z półeczkami pełnymi rozmaitych przypraw.

– Chcesz fartuszek? – zapytałem.

– To chyba dobry pomysł – odparła. Wygrzebałem jeden i dałem jej.

– No i co takiego robimy?

– Ta potrawa nie ma nazwy.

– Interesujące. Makaron Bez Nazwy. Podoba mi się. Sam przechyliła głowę.

– Mnie też – powiedziała. – Sugeruje zero odpowiedzialności szefa kuchni.

Z uśmiechem oparłem się o blat i patrzyłem, jak się krząta. Mięso do mikrofalówki, żeby je rozmrozić. Białka jajek, przyprawy i kilka kaparów do miski.

– Wygląda na to, że naprawdę wiesz, co robisz – zauważyłem.

– To tylko pozory – odparła. – Chociaż cieszę się, że zdołałam cię zwieść.

– Całkowicie – potwierdziłem. – Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie. Pamiętaj, że to ja miałam przygotować kolację.

– Znajdź dla mnie jakieś zajęcie. Namyslała się chwilę.

– Może mógłbyś otworzyć butelkę wina? Masz jakąś, mam nadzieję.

– Tak sędzę – odparłem. Prawdę mówiąc, byłem tego pewien. Wino było zwyczajowym prezentem, jaki otrzymywałem przy różnych okazjach od pacjentów. W ciągu wieloletniej

praktyki dostałem tyle butelek, że nie wiedziałem, co z nimi robić. Tak więc w tym momencie z zadowoleniem stwierdziłem, że wiem, co zrobię przynajmniej zjedną z nich. Mimo wszystko, idąc do pokoju stołowego po butelkę, nie mogłem nie dostrzec zabawnej strony tej sytuacji. Winem od jednego pacjenta miałem częstować inną pacjentkę.

Wybrałem czerwone. Cabernet Joseph Phelps rocznik 97, który zaniósłem do kuchni i odkorkowałem. Napełniłem dwa kieliszki.

– Za Makaron Bez Nazwy – wzniosłem toast.

Sam podniosła kieliszek.

– Za to i za lepszą przyszłość – dodała. – Znacznie lepszą. Skorzystałem z okazji.

– Posłuchaj, Sam, omówiłbym tę sprawę z tobą w gabinecie, ale w tych okolicznościach lepiej zrobić to teraz.

– Uhm. Czy to dobra, czy zła wiadomość?

– Dobra – odparłem. – Rozmawiałem z przyjacielem o twojej sytuacji. To prawnik i...

Natychmiast zaczerwieniła się z przejęcia.

– Chyba nie wymieniłeś mojego nazwiska? – zapytała lekko drżącym z przestrochu głosem.

– Nie, nie, skądże – zapewniłem pospiesznie. – Powinienem być od razu to wyjaśnić. Przepraszam. Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł.

– To ja przepraszam, po prostu...

– Nie, nie mam ci za złe, że zareagowałaś w ten sposób. Nie powiedziałem mojemu przyjacielowi niczego, co mogłoby zdradzić twoją tożsamość. Rzecz w tym, że chciałem zasięgnąć rady prawnika po tym, jak powiedziałaś, że mąż jest gotowy wykorzystać twoją próbę samobójstwa jako środek do odebrania ci prawa opieki nad dzieckiem.

– Jeśli spróbuję się z mm rozwieść?

– Właśnie.

– I co poradził twój znajomy?

– No cóż, po pierwsze, chociaż jest bardzo dobrym prawnikiem, nie zajmuje się prawem rodzinnym. Tak więc jego opinia nie jest w żadnym razie wiążąca. Według jego oceny masz duże szanse na zwycięstwo, jeśli staniesz przed sądem.

– Jak duże?

– Ponad sześćdziesiąt procent.

– Na czym opiera tę ocenę?

– Na kilku faktach. Upływie czasu, jaki minął od próby samobójstwa, na tym, że nie byłaś jeszcze matką, kiedy ją podjęłaś, oraz na najważniejszym – że jesteś matką teraz. – Posłałem jej krzepiący uśmiech. – I to dobrą, prawdą?

Skinęła głową. Wyglądała na lekko oszołomioną.

– O co chodzi? – spytałem.

– O wszystko – odparła powoli. – O to, że mam być osądzana, i o to, że wszystko będzie wywlekane przed sądem. Nie wiem, czy zdołam to znieść.

– Myślę, że zdołasz. Co więcej, sądzę, że nie masz innego wyjścia. Rozmawiając z tobą podczas sesji, dowiedziałem się, z czym nie możesz sobie poradzić... ze swoim życiem takim,

jakie jest teraz. Zgadzasz się z tym?

Przerwała nam seria donośnych pisków. Mikrofalówka nad kuchenką. Mięso rozmroziło się, więc podszedłem, żeby je wyjąć. Jedną ręką otworzyłem drzwiczki mikrofalówki, a drugą... Cholera! Złapałem lewą dłoń, sycząc z bólu.

– Co się stało? – przeraziła się Sam. I zaraz zrozumiała. Palnik był włączony. – O mój Boże! Zapomniałam postawić garnek.

Czuła się okropnie. Ja też nie czułem się najlepiej. Spojrzałem na wnętrze mojej pulsującej dłoni. Zostałem napiętnowany przez GE Profile Range.

Sam podbiegła do lodówki i przyniosła trochę lodu.

– Tak mi przykro – powiedziała, kolistymi ruchami pocierając kostką lodu moją dłoń. – Tak bardzo mi przykro.

– W porządku – odrzekłem. – Nic mi nie będzie.

– Poczekaj... Masło!

– Co?

– Powinieneś posmarować oparzenie masłem. Masz, trzymaj. – Wcisnęła mi do ręki kostkę lodu. Wróciła do lodówki i znalazła opakowanie Country Crock. Wygarnęła trochę masła i zaczęła wcierać mi w dłoń. – Jestem potwornie roztargnioną idiotką – powiedziała, kręcąc głową.

Próbowałem zapewnić, że nie jest tak źle, jak sądzi. Nadal wyglądała na przejętą.

– Wiesz co, ściśle mówiąc, nie sądzę, że to jest masło – zauważyłem.

Spojrzała na mnie.

– He?

– Country Crock. Prawdę mówiąc, to chyba nawet nie margaryna. Co jest napisane na etykiecie?

Sam podniosła opakowanie i powoli zaczęła obracać je w palcach. Robiła to z rosnącym zdziwieniem.

– To dziwne. Napisano tylko Shedd's Spread Country Crock. Nic nie piszą, co to właściwie jest.

– A widzisz? Mówiłem. Bardzo ciekawa sprawa.

– Zaczekaj, mam też dobrą wiadomość – oznajmiła, spojrzawszy na wieczko. – Cokolwiek to jest, podobno zawiera o jedną trzecią mniej kalorii niż margaryna.

Znów zerknąłem na Sam, wciąż masującą moją dłoń.

– Wspaniale. Z pewnością nie chcemy, żebym miał łapę jak szufla.

Roześmiała się. O to mi chodziło. Odrobinę luzu.

Poczułem się lepiej i najwidoczniej ona też. W tym momencie oboje coś zauważyliśmy. Dzieliło nas najwyżej dziesięć centymetrów. Staliśmy twarzami do siebie. Trzymaliśmy się za ręce i patrzyliśmy sobie w oczy. Właściwie wpatrywaliśmy się w siebie.

Miała piękną cerę i pełne wargi. Była tak blisko, że słyszałem jej oddech.

To ja powinienem podjąć decyzję.

Chciałem ją pocałować. Bardzo. Kto wie, może bym to zrobił. Może jej uroda – i tak, pożądanie – skłoniłoby mnie do zapomnienia o zawodowej odpowiedzialności i zrobienia

tego, czego mi nie wolno. Jednak w tym momencie zauważyłem coś. Spojrzałem w dół i zobaczyłem wyhaftowany napis na fartuszku: „Pocałuj szefa!”. Uświadomiłem sobie, że to fartuszek, który kiedyś dałem w prezencie Rebecce.

Cofnąłem się. Sam puściła moją dłoń.

– Dobrze się czujesz? – zapytała. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Rzeczywiście tak było.

Rozdział 11

Ten incydent mógł nam popsuć humor. Tak się nie stało. Sam mogła spytać, dlaczego zmieniłem zdanie. Nie zapytała. Zamiast tego przygotowała kolację, podczas gdy ja nakryłem do stołu i puściłem muzykę. „Lay It Down” Cowboy Junkies. Jedliśmy, rozmawialiśmy, piliśmy wino i zachowywaliśmy się tak, jakby nic się nie stało. Tak istotnie było.

Mimo wszystko pokusa miała jeszcze drugą szansę.

Wychwaliwszy pod niebiosa Makaron Bez Nazwy i uparłszy się, że posprzątam po kolacji, zauważyłem, że Sam z trudem powstrzymuje ziewanie.

– Chyba nadeszła moja pora – oznajmiła. – Jesteś pewien, że poradzisz sobie ze zmywaniem?

– Jestem pewien.

– Gdybyś pozwolił mi to zrobić, byłoby mi łatwiej prosić cię o przysługę.

– Nie przejmuj się tym – odparłem. – Jaka to przysługa?

– Odprowadzisz mnie do taksówki?

– Czuję się urażony – oznajmiłem, uśmiechem dając jej znać, że ja też żartuję. – Naprawdę myślałaś, że nie zamierzam tego zrobić?

Wykręciła się.

– Nie chciałam niczego zakładać.

– W takim razie zrobię, coś więcej – powiedziałem. – Odwiozę cię do domu.

– Nie bądź głupi. Nie musisz.

– Ale chcę. W imię wymierających dżentelmenów. Nawet nie próbuj mnie od tego odwieść.

Zmrużyła oczy i przechyliła głowę.

– W porządku. Jednak musisz wiedzieć, że mieszkam na końcu Upper West Side.

– Teraz mi to mówisz!

Zaśmiała się i chwyciła torebkę. Ja zdjąłem z wieszaka płaszcz oraz szal, który podałem Sam. Za drzwi, na dół windą, na róg ulicy i do taksówki.

– Numer pięćdziesiąt sześć przy Zachodniej Osiemdziesiątej Pierwszej. Zaraz za Central Park West – powiedziała Sam kierowcy.

Dodałem, że to kurs w dwie strony. Mruknął coś i ruszyliśmy.

Rozmawialiśmy o najnowszych filmach. Widziała ich wiele, ja prawie żadnego. Mówiliśmy o nadchodzącej zimie, która zapewne będzie mroźna. Potem zadałem niewłaściwe pytanie.

– Kiedy twój mąż wraca z Singapuru? Odwróciła się do mnie.

– A już myślałam, że to był cudowny wieczór.

– Przepraszam.

– Żartowałam. Wraca jutro w nocy.

– Często podróżuje?

– Tak, na szczęście.

Kilka przecznic milczenia. Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. Spojrzałem za okno, prosto na szyld szkoły jogi.

– Naprawdę go nienawidzę, Davidzie – powiedziała, gdy zapaliło się zielone światło i pojechaliśmy dalej.

– Wiem.

– Naprawdę nienawidzę.

– I właśnie dlatego musisz poważnie zastanowić się nad tym, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Możesz wygrać. Możesz się uwolnić... i zatrzymać syna.

– Chcę ci wierzyć...

– Zatem zrób to.

– Kiedy to mówisz, wydaje się takie łatwe.

– Wcale takie nie będzie, wiem. Jednak mogę ci pomóc przez to przejść.

Taksówka zatrzymała się. Zachodnia Osiemdziesiąta Pierwsza numer pięćdziesiąt sześć. Dokładnie przed bramą.

– Domu, słodki domu – odezwała się z ironią, spoglądając przez okno na wolno stojący dom.

Nachyliłem się, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Naprawdę było na co popatrzeć. Cegła i kolumny. Wysokie okna. Skrzynki z pięknymi kwiatami. Nad samym wejściem znajdował się kamienny posąg orła z rozpostartymi skrzydłami. Gigantyczny.

– Taak, wiem, że to olbrzymi ptak – powiedziała, wciąż patrząc przez szybę. Jakby czytała w moich myślach. – Ujmijmy to tak: nie ja go wybrałam.

Znowu odwróciła się do mnie i powtórzył się ten szczególny moment. Blisko siebie, twarzą w twarz. Pokusa jak diabli. Chociaż tym razem łatwiej było ją zwalczyć. Nabrałem wprawy.

– Jeszcze raz dziękuję za kolację – powiedziałem.

– Przynajmniej tak mogłam się odwdziaczyć.

– Zatem zobaczymy się w czwartek, tak?

– Tak, w czwartek – potwierdziła.

– A do tego czasu przemyśl to, dobrze?

– Dobrze.

Chwyciła za klamkę. Ja również.

– Zaczekaj, odprowadzę cię do drzwi.

– Nie. Tak będzie lepiej – odparła. – Prawdę mówiąc, Celeste ma tak sprawny radar, że pewnie już odchyła zasłonę i sprawdza, czy to ja. Lepiej jeśli to będę tylko ja.

– Strzeżcie się wścibskiej niani.

– Wiem, że to trochę głupie. Przepraszam.

– Nie musisz. Zaczekam, aż wejdiesz do środka, dobrze?

– Oczywiście – powiedziała. – Nie chcemy narażać na szwank twojej reputacji dzentelmena. – Już miała wysiąść z taksówki. – Och, o mało nie zapomniałam. Pozwól, że zapłacę za taksówkę.

– Nie trzeba.

– Na pewno?

– Zdecydowanie.

Uśmiechnęła się i nakryła dłonią moją dłoń.

– Dzięki, Davidzie. Dziękuję za wszystko.

Patrzyłem, jak wysiadła i powoli poszła w kierunku drzwi domu. Sięgnęła do torebki, znalazła klucze i pomachała mi ręką. To wystarczyło taksówkarzowi. Odjechał, ale zdążyłem jeszcze spojrzeć na nią ostatni raz. Sam Kent. Piękna. Delikatna.

Moja pacjentka.

Dwa wieczory później oglądałem w telewizji kablowej program na jednym z tych kanałów o domu i ogrodzie. Widziałem go już. Był to rodzaj reality show oparty na sprzedaży nieruchomości.

Kamery co tydzień towarzyszyły innej parze i agentowi biura nieruchomości, który próbował znaleźć dla nich nowy dom. Ponieważ żadna z występujących osób nie miała przygotowania aktorskiego, wszystkie dialogi i gesty były rwane i sztuczne. Może dlatego ten program był taki zabawny.

Z pewnością nie z powodu zaskakującego scenariusza. Każdy odcinek przebiegał według tego samego schematu. Agent zabierał klientów do pierwszego domu, który z wielu różnych powodów im się nie podobał. Wtedy agent pokazywał im drugi, który również nie przypadł im do gustu. Potem, kiedy sytuacja zaczynała wyglądać na beznadziejną, agent mówił coś w rodzaju: „Jest jeszcze jeden dom, który chciałbym wam pokazać, i myślę, że ten się wam spodoba”. I oczywiście, w tym ostatnim zakochiwali się od pierwszego spojrzenia. Składali propozycję zakupu – która, rzecz jasna, była od razu akceptowana – i od tej pory żyli długo i szczęśliwie.

Gdyby tylko w prawdziwym życiu wszystko tak łatwo dawało się przewidzieć.

Obejrzawszy zapowiedź programu emitowanego w przyszłym tygodniu i okłamawszy się, że nie będę go oglądał, poszedłem spać. Liczyłem tablice „Na sprzedaż” i zasnąłem w mgnieniu oka.

Nie na długo.

Po paru godzinach obudził mnie telefon. Było około 2.30. Z na wpół zamkniętymi oczami podniosłem słuchawkę.

– Halo?

Cisza w słuchawce.

– Halo? – powtórzyłem.

W końcu usłyszałem głos. Niemal nie do rozpoznania.

– Zrobiłam to – jęknęła cicho.

– Sam, czy to ty?

– Zrobiłam to, Davidzie.

Mocniej przycisnąłem słuchawkę, próbując lepiej ją usłyszeć.

– O czym ty mówisz? Co zrobiłaś?

Cisza.

– Sam, odezwij się. Co zrobiłaś? – Nagle coś przyszło mi do głowy. – Czy odeszłaś od męża?

– Nie, Davidzie – odparła i znów zamilkła na chwilę. – Zabiłam go.

Zerwałem się z łóżka, zaskoczony tym, co powiedziała, a także sposobem, w jaki to zrobiła. Brzmieniem jej głosu. Wyczerpanego. Beznamiętnego.

Zmęczonego.

– Sam, gdzie jesteś? – spytałem. Słyszałem jej cichy płacz.

– Sam, gdzie jesteś?

– W domu.

– Posłuchaj mnie. Brałaś coś? Połknęłaś środki nasenne? Żadnej odpowiedzi.

– Do licha, Sam. Odpowiedz!

Jednak ona nie odpowiadała. Może nie mogła. W tej sytuacji to bez różnicy. Krzyknąłem ile sił w płucach, pytając, czy próbuje się zabić... znowu. W końcu odezwała się.

– To był jedyny sposób, Davidzie – szepnęła. – Jedyny sposób.

Potem usłyszałem głuchy łoskot.

Odgłos uderzającej o podłogę słuchawki.

Część 2

Rozdział 12

Gatki, podkoszulek, skarpety i spodnie. Miałem wrażenie, że zakładam wszystko jednocześnie.

To niemożliwe.

Sięgnąłem po leżący na biurku portfel i straciłem go na podłogę. Szybko przyklęknąłem, żeby go podnieść, i rąbnąłem głową w otwartą szufladę. Nawet tego nie poczułem. Nie było czasu, żeby czuć ból.

Czy ona naprawdę mogła to zrobić?

Gotowy do wyjścia. Nie, chwileczkę – klucze. Wypadłem z sypialni i pobiegłem prosto do stolika przy kanapie stojącej w salonie. Miseczka przywieziona z Meksyku. Tam zawsze je trzymałem. Kluczyki. Cholera. Gdzie one są? Sprawdziłem w kuchni i w bibliotece. Ponownie w sypialni.

Oczywiście, że mogła to zrobić. Przecież sama, cholera, mi o tym mówiła.

To tyle jeśli chodzi o ostatnie miejsce, w którym szukasz. Znalazłem kluczyki, kiedy ponownie zajrzałem do kuchni. Od razu powinienem był to zrobić. Leżały obok pustej szklaneczki po podwójnym bourbonie z wodą sodową. Moja własna wersja somineksu. No właśnie – środek nasenny. „To był jedyny sposób, Davidzie” – powiedziała przez telefon Sam.

Umierająca.

Zerwałem z wieszaka płaszcz, zatrzasnąłem drzwi mieszkania i przekląłem windę za to, że nie nadjechała dostatecznie szybko. Dwadzieścia dwa piętra w dół i sprintem obok odźwiernego, który – co za niespodzianka – spał za biurkiem. Wypadłszy na ulicę, nie tyle zatrzymałem taksówkę, co wyskoczyłem przed jej maskę.

– Róg Osiemdziesiątej Piątej i Central Park West – warknąłem do kierowcy. Nie, chwileczkę, to nie ten adres. – Raczej Osiemdziesiątej...

Urwałem. Osiemdziesiątej której? Nie mogłem sobie przypomnieć. Musiałem sobie przypomnieć. Czy to była Osiemdziesiąta Piąta czy Osiemdziesiąta Pierwsza?

Taksówkarz, gruby facet z okruciami w brodzie, patrzył na mnie z rosnącym zniecierpliwieniem.

– Niech pan jak najszybciej jedzie na Central Park West i do Osiemdziesiątych – poleciłem.

Włączył taksometr i ruszyliśmy.

Opadłem na siedzenie i próbowałem złapać oddech. Przed nami zapaliło się żółte światło. Gdyby kierowca dodał gazu, przejechalibyśmy przez skrzyżowanie. Zamiast tego zwolnił, zanim zapaliło się czerwone. Nie zrozumiał, że powiedziałem, jak najszybciej? Najwyraźniej potrzebował dodatkowego bodźca.

– Dwa dolary za każde czerwone światło – oznajmiłem. Taksówkarz spojrzał na moje odbicie w lusterku.

– He?

– Powiedziałem, że dam panu dodatkowo dwa dolary za każde czerwone światło, na jakim się pan nie zatrzyma.

Podrapał się po brodzie, strząsając kilka okruchów.

– Nie, nie warto ryzykować... Nie sądzę – narzekał z obcym, choć ledwie słyszalnym akcentem. Prawdopodobnie Rosjanin.

– Niech będzie pięć dolców – powiedziałem.

To najwidoczniej zmieniło sytuację. Znów na mnie spojrzał.

– Zobaczę, co się da zrobić.

Dwa kwartały dalej spisał się całkiem nieźle. Zjechawszy na pas dla autobusów, żeby ominąć rząd samochodów czekających na zmianę świateł, zarobił pierwsze pięć dolarów. Trzymałem się mocno i patrzyłem, jak obraca głowę, sprawdzając, czy z prawej i lewej nie ma nadjeżdżających pojazdów. Nie mówiąc o policjantach.

Cholera.

Policja. Rzecz jasna, okoliczności nie sprzyjały trzeźwemu rozumowaniu. Jednak w pośpiechu nie zadzwoniłem na policję. Błąd. Być może zrozumią, ale jednak błąd. W rzeczy samej, zareagowałem jak David Remler, facet, który dwa dni temu spędził w swoim mieszkaniu wieczór z Sam. Nie jak David Remler, który przez ostatnie dwa tygodnie widywał ją jako pacjentkę. David Remler psycholog miał zawodowy obowiązek zawiadomić „odpowiednie organa”.

Pospiesznie przetrząsałem kieszenie. Oczywiście, nie zrobiłem jeszcze czegoś. Nie zabrałem telefonu komórkowego.

Skręciliśmy w lewo, kierując się na zachód Pięćdziesiątą Siódmą. Taksówkarz zarobił już piętnaście dolarów. Przemknęliśmy obok dwóch budek telefonicznych i zastanawiałem się, czy nie zawołać do kierowcy, żeby się zatrzymał. Mógłbym wysiąść i zadzwonić na policję. Powiedzieć im, co się stało, żeby wysłali karetkę, że będę na nich czekał przed domem Sam.

Jasne, Davidzie, jeśli tylko zdołasz sobie przypomnieć, gdzie to, do diabła, jest.

Nie odezwałem się i rozpaczliwie usiłowałem sobie przypomnieć. Pędziliśmy dalej, zbliżając się do Columbus Circle. Wiedziałem, że mógłbym podać policji kilka faktów, które być może pozwoliłyby im ustalić adres. Na przykład jeden charakterystyczny szczegół – tego ogromnego orła rozpościerającego skrzydła nad wejściem. W końcu by go znaleźli.

Nie. Prawdziwy powód tego, że nie skorzystałem z budki telefonicznej, wskazywał mój zegarek. Czas. Od telefonu Sam minęło dziesięć minut. Ile upłynęło od chwili, gdy połknęła tabletki? Sądząc po tym, jak brzmiał jej głos, sporo. Zatrzymując się, żeby zadzwonić, straciłbym jeszcze więcej czasu. I tak nie mogłem się pozbyć wrażenia, że się spóźnię. Przyjadę tam, ale za późno.

– Pan krwawi – powiedział taksówkarz.

– Co takiego?

– Pan krwawi – powtórzył. Spojrzałem w lusterko, a on wskazał palcem. – Tu, na czole.

Podniosłem rękę i dotknąłem palcem czoła nad brwiami. Suche, suche... wilgotne. Lepka i ciepła ciecz na prawej skroni. Opuściłem rękę i zobaczyłem krew. Ciemnoczerwoną i matową w słabym świetle wpadającym do kabiny samochodu. Drugą ręką sięgnąłem do

kieszoni, najpierw jednej, a potem drugiej, szukając chusteczki, serwetki lub czegoś takiego. Nie znalazłem.

– Proszę – powiedział taksówkarz.

Spojrzałem i zobaczyłem, że podaje mi zmięty w kulę papierowy ręcznik. Podziękowałem mu. Rozwinałem ręcznik, zignorowałem plamy po musztardzie i złożyłem w kwadrat. Kilkakrotnie otarłem krew z czoła. Było jej sporo. Przycisnąłem ręcznik do skaleczenia, próbując zatamować krwawienie. Im dłużej przyciskałem, tym wyraźniej wyczuwałem zapach wędzonki.

Dojeżdżaliśmy. Byliśmy już na północnym odcinku Central Park West, przy Siedemdziesiątych. Premia za czerwone światła osiągnęła wysokość trzydziestu dolarów i wciąż rosła. Spojrzałem za okno po lewej, usiłując dostrzec coś, co pobudziłoby moją pamięć. Jakiś sklep. Budynek. Może szyld.

Zobaczyłem. Tuż przed narożnikiem Osiemdziesiątej Pierwszej. Szyld. Umieszczony w oknie wystawowym na pierwszym piętrze. Wielkie litery. JOGA! – oraz numer telefonu. Przypomniałem sobie, że widziałem go tamtego wieczoru, kiedy odwoziłem Sam. Zaraz potem skręciliśmy.

– Osiemdziesiąta Pierwsza! – prawie krzyknąłem na taksówkarza. – Skręć pan w Osiemdziesiątą Pierwszą!

Po trzech sekundach i kolejnych pięciu dolarach zrobił to. Skręcił na czerwonym świetle, gwałtownie obracając kierownicą, z piskiem opon, rzucając mnie na prawe drzwiczki taksówki.

– Jaki numer? – zapytał zaraz potem.

– Poznam, kiedy zobaczę – odparłem i natychmiast dodałem: – Tam! To ten po lewej, za tą latarnią.

Dom Sam. Cegły i kolumny. Wysokie okna. Skrzynki z kwiatami.

Charakterystyczny orzeł.

Taksówkarz zahamował i wyłączył taksometr. Kurs za 8,50.

– Plus dziewięć czerwonych świateł – przypomniał mi. Naprawdę było ich tylko siedem, ale nie zamierzałem się spierać. Już prawie wysiadłem z taksówki, wyjąwszy z portfela sześćdziesiąt dolarów i wrzuciwszy je do przegródki. Uniwersalna definicja manny z nieba: reszty nie trzeba.

Zatrzymał ją sobie i pospiesznie odjechał, gdy tylko zatrzasnąłem drzwiczki. Zdażył jeszcze wymamrotać coś w rodzaju „dziękuję”.

Stałem na chodniku i spojrzałem na dom Sam. Wszystkie okna były ciemne. Przeskakując po trzy stopnie, wbiegłem po schodach i dotarłem do frontowych drzwi, a raczej wierzei. Załomotałem w nie pięścią. Rąbnąłem kołatką. Zauważyłem przycisk dzwonka i zacząłem go naciskać jak młodociany fanatyk gier komputerowych. Czyste chciejstwo. Chociaż musiałem spróbować, było raczej mało prawdopodobne, żeby Sam otworzyła mi drzwi. Nawet jeśli jeszcze była w stanie coś usłyszeć.

Plan B.

B od „Być włamywaczem”. Zbiegłem po schodach i spojrzałem na wysokie frontowe

okna. Jednak to był Nowy Jork, a nie Iowa. Za kwietnikami znajdowały się stalowe kraty. Zakląłem i zacząłem nerwowo dreptać w miejscu. Zniechęcony, ponownie wbiegłem po schodach i załomotałem do drzwi. Znów rąbnąłem kołatką i wydobyłem z gongu kakofonię dźwięków. Złapałem za mosiężną klamkę i już miałem...

– Co do...?

Moja dłoń lekko obróciła się w przegubie. Automatyczny rygiel z głośnym traskiem schował się w prowadnicy. Tak po prostu. Bez oporu. Drzwi były cały czas otwarte. Nie mogłem w to uwierzyć. Jednak to Iowa. A może coś innego. Tak. Nie mogło być innego wytłumaczenia. Sam zadzwoniła do mnie. Chciała, żebym przyjechał, żebym ją uratował. Celowo zostawiła otwarte drzwi.

Wszedłem.

W kompletną ciemność. Rozjaśniało ją tylko światło sączące się z ulicy, wystarczające, by rzucać długie cienie, nic poza tym. Jednak to, czego nie zdołałem dostrzec, mogłem wyczuć. Pustkę wielkiego przedpokoju... oraz głuchą ciszę znajdujących się dalej pomieszczeń. Po omacku odszukałem na ścianie włącznik z dużą obracaną gałką ściemniacza. Nad moją głową zapalił się wielki kryształowy żyrandol.

– Sam?! – zawołałem.

Żadnej odpowiedzi.

Ponownie zawołałem ją po imieniu, tym razem głośniej.

Z tym samym rezultatem.

Po lewej i prawej znajdowały się drzwi do innych pomieszczeń. Przede mną wielkie, kręte schody z mahoniowego drewna. Przedpokój wchodził pod nie i dalej krył się w mroku. Pozwoliłem sobie na chwilę namysłu. Gdzie bym był na jej miejscu, gdybym zabił męża i próbował popełnić samobójstwo?

Instynkt podpowiadał mi, że na górze.

Pobiegłem, dwukrotnie prawie się potykając, a raz naprawdę uderzywszy piszczelą o krawędź schodka. Mahoń pod wieloma względami przypomina beton, co szczególnie jasno uświadamiasz sobie, kiedy nań upadniesz. Czasem siniak po prostu rośnie w oczach.

Jako jednoosobowa grupa poszukiwawcza pobiegłem po schodach, przez cały czas wołając Sam. Dotarłem na piętro i tam też zapaliłem światło. Zobaczyłem szeroki korytarz z dwójgiem drzwi po obu stronach. Na końcu jeszcze jedno drzwi. Wszystkie były zamknięte.

Obawa, adrenalina, niepokój, a przede wszystkim strach. Otwierając kolejne drzwi, bałem się najgorszego. Pierwszy był pokój gościnny. Sprawiał wrażenie nieużywanego. Tak jak wszystkie pozostałe.

Przemknąłem przez korytarz i wpadłem do następnego pokoju. Mały gabinet. Zapaliłem światło i zobaczyłem kanapę, fotel, mnóstwo książek i biurko. Pokój do pracy. Nigdzie nie było Sam. Ani jej męża.

Następne drzwi – trzecie z kolei – i druga sypialnia. Nieco większa, chociaż też nieużywana. Chyba po raz setny zawołałem Sam. Zaczynałem chrypieć. Brakowało mi tchu. Pot ściekał mi z czoła i podniosłem rękę, żeby je otrzeć. Okazało się, że to krew. Na dłoni została mi szeroka czerwona smuga.

Znów wybiegłem na korytarz. Wpadłem do łazienki. Umywalka, toaleta i natychmiast ogarnęły mnie złe przeczucia. Zobaczyłem zasłonkę prysznic, szklisto białą i równo naciągniętą. Zamarłem. Poczuję się jak bohater horroru. Nieuchronny powolny marsz do zasłonki. Zebranie sił na to, co za nią czeka. Szybki ruch i odchylenie zasłonki. Zrobiłem to wszystko. Zobaczyłem tylko pustą wannę.

Sprawdziłem cztery pokoje. Został jeden.

Był to ten na samym końcu korytarza. Zapewne główna sypialnia. Nabrałem tchu, wypuściłem powietrze z płuc, po czym chwyciłem klamkę i przekręciłem ją, jednocześnie popychając drzwi. Bez rezultatu. Klamka ani drgnęła. Drzwi również. Były zamknięte.

– Sam! – zawołałem jeszcze jeden raz.

Załomotałem pięścią w drzwi.

Nic.

Musiała tam być. Zaraz poprawiłem się w myślach: musieli tam być oboje. Sam i jej mąż. Pytanie, jak ujmą to w gazetach. Morderstwo i samobójstwo czy też morderstwo i próba samobójstwa?

Cofnąłem się kilka kroków i napiąłem mięśnie.

Czas się przekonać.

Rozdział 13

Włożyłem w to wszystkie siły, jakie mi pozostały. Raz po raz kopałem w drzwi obcasem prawego buta. Celowałem w klamkę, mając nadzieję, że trzaśnie drewno przy zamku. Kilka pierwszych prób zakończyło się żalostną klęską. Potem poczyniłem pewne postępy. Usłyszałem trzask i zobaczyłem pęknięcie.

Kopnąłem jeszcze raz. Bach! Pojawiło się więcej pęknięć. Bach! Drzwi dygotały przy każdym mocnym kopnięciu, aż w końcu ustąpiły, z impetem odchylając się na zawiasach i waląc w ścianę. Wszedłem. Gdy stanąłem w cieniu wydętych zasłon, owiał mnie zimny podmuch. Wszystkie okna były otwarte na oścież. W powietrzu zobaczyłem parę mojego oddechu.

Przez drzwi za moimi plecami do pokoju wpadało z korytarza światło i po chwili oczy oswoiły się z półmrokiem. Zobaczyłem włącznik na ścianie. Nacisnąłem go i pokój zaalała łagodna poświata. Spojrzałem na toaletkę i nocny stolik. Na pościel na łóżku oraz szezlong. Już miałem zajrzeć do szaf, kiedy coś przykuło mój wzrok. To łóżko, nakryte kołdrą.

Zbyt grubą, uświadomiłem sobie.

I wtedy zobaczyłem. Kształt głowy... i chyba ramienia... oraz nóg. Niewyraźny, lecz charakterystyczny zarys ciała nakrytego pościelą, którą będę musiał odchylić. Powtórka z łazienkowego horroru. Tylko że tym razem z całą pewnością coś tam było. A raczej ktoś.

Zadrzałem. Z zimna i z powodu tego, co zaraz miałem zrobić. Na samą myśl poczułem ściskanie w dołku i mdłości. Odnosiłem wrażenie, że patrzę na siebie z boku.

Mogło być tylko gorzej.

Zasłony falowały na wietrze. Podeszedłem do łóżka i mocno chwyciłem za róg kołdry. Nie będzie odliczania, nabierania tchu. Tylko szybkie i zdecydowane szarpnięcie. Popatrzę i nie będę mógł oderwać oczu.

Od Sam Kent. Samantha Kent. Pani Samantha Kent.

Nic takiego. Na łóżku, twarzą do materaca, leżał mężczyzna. Martwy mężczyzna. Wprawdzie nie jestem lekarzem medycyny, ale byłem tego pewien. I na nim, i na pościeli było mnóstwo krwi. Miał na sobie spodnie od dresu i bawełnianą koszulkę. Ta ostatnia była podziurawiona. Dziury zostawiło ostrze noża, wbijając się w ciało. Nieważne, że nigdzie nie widziałem tego noża. Nie było żadnych wątpliwości.

„Zrobiłam to, powiedziała Sam. Zabiłam go”.

Wyglądało na to, że wiele razy.

Z mocno bijącym sercem usiłowałem ogarnąć to, co się tutaj stało. Jej niekontrolowany wybuch gniewu. Gwałtowną reakcją, tak nie pasującą do kobiety, którą zaczynałem poznawać. I szczerzy żal. Z powodu tego, że nie poznałem jej dość dobrze i dostatecznie szybko.

Wciąż gapiłem się na zwłoki. Gdzieś miałem podręcznik, który przestrzegał, żeby nie dotykać niczego na miejscu zbrodni. Najwidoczniej go nie czytałem. Spoglądałem na tył głowy nieboszczyka i nie widziałem jego twarzy. Wydawało mi się to niestosowne. Z

jakiegoś powodu uznałem, że powinienem ją zobaczyć. Jakby to miało coś zmienić. Wsunąłem rękę pod jego prawe ramię i zacząłem ciągnąć. A więc to mają na myśli, mówiąc „martwy ciężar”, pomyślałem. Musiałem użyć obu rąk i pociągnąć silniej. W końcu nieboszczyk przekręcił się na plecy.

Niewiarygodne.

Mogłem sobie wybrać, co właściwie przejmuje mnie dreszczem. Wypływająca krew, która zebrała się na jego piersi, gęsta i lepka. Szeroko otwarte oczy, pełne bólu i przerażenia, którymi zdawał się we mnie wpatrywać. Jednak z tego wszystkiego najbardziej niepokojące było to, że patrząc na twarz męża Sam, miałem wrażenie, że skądś go znam.

Może to typowe, że widząc martwego faceta, natychmiast myślisz, że wygląda znajomo. Upiorny figiel, płatany nam przez umysł. Niepokój wywołany współczuciem. Nie wiedziałem. Po prostu odniosłem nieodparte wrażenie, że już gdzieś go widziałem. Nie na zdjęciu, ale osobiście. Nie mogłem sobie przypomnieć kiedy i gdzie. Mimo to byłem tego pewien.

W następnej chwili ta myśl usunęła się na dalszy plan. Musiała. Znalazłem jej męża, ale nie Sam. Zostało mi jeszcze kilka pomieszczeń do przeszukania. Cały parter. Oto mantra sanitariusza na polu walki: ratować tych, których się da, nie tracić czasu na pozostałych.

Wypadłem z sypialni i zbiegłem po schodach. Sprawdzałem kolejne pomieszczenia, zaglądając we wszystkie kąty.

Biblioteka.

Powrót na korytarz, do salonu, a potem do stołowego.

Do bawialni z ogromnym telewizorem.

Do kuchni i spiżarni.

Sprawdziłem każdy centymetr tego domu. Przeszukałem wszystkie pomieszczenia i otworzyłem każde drzwi.

Oprócz jednych.

Zobaczyłem je za lodówką, w samym kącie kuchni. Były wąskie. Założyłem, że prowadzą do następnej spiżarni. Kiedy jednak je otworzyłem, nie znalazłem za nimi puszkowanych brzoskwiń ani żadnych innych konserw. Ujrzałem schody, strome i opadające w ciemność. Była jeszcze jedna kondygnacja do sprawdzenia. Piwnica.

Kilka kroków dalej zachęcająco wisiała goła żarówka. Pociągnąłem za sznurek i zostałem nagrodzony światłem ledwie wystarczającym, żebym nie spadł i nie skręcił sobie karku, co tym łatwiej mogło się zdarzyć, że schody nie miały poręczy.

Zacząłem schodzić. Przy każdym moim kroku drewniane stopnie trzeszczały ze starości. Ten budynek z pewnością został zbudowany przed wojną. Pytanie tylko którą?

Dotarłem na dół. Powietrze tam było lepkie, wilgotne i pachniało sosnowym odświeżaczem, maskującym woń silnego detergentu. Dostrzegłem stojącą w pobliżu pralkę i suszarkę oraz bojler. Kilka metalowych regałów z różnymi gratami. I nadal ani śladu Sam.

Rozejrzałem się za następnym sznurkiem lub włącznikiem, chcąc zapalić kolejną żarówkę. Byłem przekonany, że gdzieś tu jest, tylko po prostu nie mogę jej znaleźć. Równie pewien byłem tego, że Sam jest w tym domu, tylko ja nie potrafię jej odszukać. Zrozumiałem,

że wpadam w desperację, gdy zacząłem zaglądać do pralki.

Do diabła, gdzie ona jest?

Przyszła mi do głowy ponura myśl. Sam wyszła z domu. Wprawdzie nie miało to sensu, ale czy mogłem oczekiwać logicznego rozumowania wobec morderstwa i próby samobójstwa?

Może jednak nie chciała, żebym ją uratował. Może wyszła z domu i nie zamknęła drzwi, gdyż w tym momencie zabezpieczenie przed kradzieżą nie było dla niej najważniejszą sprawą. Takie przypuszczenie miało sens. Jeśli tak zrobiła, to otwarte drzwi nie miały nic wspólnego ze mną.

Wszystko to czyste spekulacje. Rzecz w tym, że nie miałem poszlak. Jednego, czego byłem pewien, to tego że Sam nie ma w tym wielkim domu. Mogła się udać dokądkolwiek. W znane sobie miejsce albo bez celu, przed siebie. I właśnie w tym momencie mogła leżeć w pozycji płodowej na chodniku lub w zaułku, zapadając w wieczny sen. Jeśli tak było, to traciłem tu czas. Potrzebne będą szeroko zakrojone poszukiwania. To, czego nie zrobiłem wcześniej, teraz stawało się palącą koniecznością. Musiałem wezwać policję.

Zawróciłem i najszybciej, jak mogłem, wbiegłem po schodach. Dotarwszy do kuchni, spostrzegłem bezprzewodowy telefon na kuchennym blacie. Zrobiłem krok w jego kierunku, potem drugi. Nie doszedłem dalej. Chciałem zadzwonić pod 911. Najwidoczniej ktoś mnie ubiegł.

– Nie ruszaj się!

Odwróciłem się i zobaczyłem dwóch policjantów stojących w drzwiach kuchni. Jeden był niski, a drugi wysoki. Poza tym byli bardzo podobni do siebie. Obaj wyglądali na zdenerwowanych, w rękach trzymali rewolwery, których lufy celowały prosto w moją pierś. Zapewne dlatego pierwsze słowa, jakie wydobyły się z moich ust, zabrzmiały nieco niezrozumiale.

– Dzięki Bogu! – Odetchnąłem z ulgą.

– Podnieś te pieprzone łapy do góry! – warknął w odpowiedzi pierwszy policjant.

– Panowie, ja...

Wbili stopy w podłogę i mocniej zacisnęli broń w dłoniach. Obaj zrobili kilka niepewnych kroków w moim kierunku. Pojąłem aluzję. Podniosłem ręce.

– Czy pan tu mieszka? – spytał drugi gliniarz. Ten wysoki.

– Nie, ja...

– Kim pan jest i co pan tu robi? – zapytał szorstko.

– Jestem doktor David Remler i jestem psychologiem – odparłem, starając się odzyskać spokój.

Potem popełniłem prawdziwy błąd nowicjusza: próbowałem sięgnąć po portfel.

Obaj policjanci odwidli kurki i ostrożnie przeszli kilka kolejnych kroków w moim kierunku.

– Trzymaj te pieprzone łapy w górze! – zawołali zgodnym chórem.

– Przepraszam! Przepraszam! – odkrzyknąłem w odpowiedzi. Ponownie podniosłem ręce.

– Ja tylko chciałem pokazać dokument.

– Po prostu powiedz nam, co tutaj robisz – rzekł pierwszy gliniarz.

Trzeba przyznać, że tylko przy swoim partnerze wyglądał na niskiego.

– Odebrałem telefon... od jednej z moich pacjentek... Sam Kent – zacząłem. Brzmiało to, jakbym nadawał telegram, ale nic nie mogłem na to poradzić. Im dłużej patrzyłem na rewolwery, tym bardziej brakowało mi tchu. Zacząłem bełkotać. – Właściwie Sam to skrót od Samantha. Naprawdę Samantha Kent, bo to kobieta. W każdym razie powiedziała mi, że zabiła męża i...

Gliniarze spojrzeli po sobie. Pierwszy rzekł: • – Chwileczkę, kto tak powiedział? I – Ona nazywa się Samantha Kent. To jej dom – wyjaśniłem.

– Ona powiedziała panu, że zabiła męża?

– Tak.

– I gdzie ona jest? – zapytał drugi.

– Właśnie o to chodzi. Nie wiem – odparłem. – Myślałem, że zastanę ją tutaj. Dlatego tu jestem. Jednak dokładnie przeszukałem cały dom i nigdzie nie mogę jej znaleźć.

Drugi gliniarz:

– A co z... ?

– Jest na górze – skrzywiłem się. – Obawiam się, że mówiła prawdę. Pełno tam krwi.

Zaledwie te słowa wyszły z moich ust, a obaj policjanci znów obrzucili mnie czujnymi spojrzzeniami, szczególnie moje zakrwawione czoło i prawą dłoń. Czerwone chorągiewki w dosłownym znaczeniu tego słowa.

– Gdzie się pan skaleczył? – zapytał pierwszy policjant, wyraźnie podejrzliwym tonem.

– Aa, to... – odparłem, mrugając oczami. – Nie, w pośpiechu uderzyłem się w moim domu, chcąc jak najszybciej tu przyjechać. To nie tak, jak panowie myślą.

– Co takiego? – podchwycił pierwszy gliniarz. – Co mielibyśmy myśleć?

– Nie wiem. Może że miałem coś wspólnego z tym... Drugi gliniarz przerwał mi. Albo był bardziej niecierpliwy, albo znacznie lepiej znał prawa Mirandy.

– Niech nam pan jeszcze raz powie, jak się pan nazywa? – zapytał.

– David Remler – odpowiedziałem. – Doktor David Remler.

Kiwnął głową.

– Doktorze Remler, myślę, że powinien pan jednak pokazać nam dowód tożsamości – rzekł. – Tylko powoli.

– Tak jest – odparłem.

I jak kiepski mim sięgnąłem po portfel. Wyjąłem z niego prawo jazdy. Potem karty kredytowe i wizytówkę. Legitymację American Psychological Society. O mało nie wyjąłem mojej karty wstępu do siłowni. Nerwy.

Drugi policjant podszedł do mnie, wciąż trzymając rewolwer wycelowany w moją pierś. Obejrzał dokumenty i kiwnął głową do partnera, dając mu znać, że jestem tym, za kogo się podaję.

Odetchnąłem z ulgą. Jednak była ona krótkotrwała.

Uświadomiłem sobie, że moja chęć jak najszybszego odnalezienia Sam nieco ustąpiła miejsca innemu pragnieniu – nie zostać zastrzelonym. Kiedy to zagrożenie minęło,

przypomniałem sobie o mojej pacjentce.

– Jest jeszcze coś – powiedziałem. – I dlatego musimy się pośpieszyć. Jestem prawie pewien, że gdziekolwiek podziła się Samantha Kent, połknęła garść tabletek nasennych.

– Dlaczego pan tak twierdzi? – zapytał pierwszy policjant.

– Po pierwsze, na podstawie tego, co mi powiedziała przez telefon – odparłem. – Po drugie, jestem jej psychologiem.

– Twierdzi pan, że ona ma samobójcze skłonności? – spytał policjant.

– Ja tylko mówię, że jestem jej psychologiem – odparłem.

Instynkt podpowiedział mi instynkt. Później dziwiłem się, że w takiej chwili potrafiłem dochować tajemnicy lekarskiej. Pierwszy gliniarz:

– Jest pan pewien, że nie ma jej w domu?

– Prawie pewien. Czy możemy sprawdzić okolicę?

– Po kolei – rzekł drugi policjant. – Najpierw niech nam pan pokaże, gdzie leży jej mąż.

Rozdział 14

Rytm i rutyna morderstwa na Manhattanie.

A przynajmniej czynności po morderstwie, kiedy znajdują ofiarę. Gdy zaczynają się kręcić tryby. Kiedy pojawia się zgraja ludzi żyjących ze śmierci innych. To parszywa robota, naprawę, i zdziwiłem się, widząc, ilu jest takich, którzy muszą ją wykonywać.

Zobaczyłem to na własne oczy. Pod pewnymi względami był to niemal rytuał. Pod innymi kompletny chaos. Porównałem to do wyszukanego utworu jazzowego, wykonywanego przez odważny zespół, składający się z uzdolnionych i nie znających nut weteranów oraz bandy facetów w gumowych rękawiczkach. Ci faceci – a byli to wyłącznie mężczyźni – robili i mówili swoje. I wszyscy bez wyjątku mieli ten zmęczony wygląd, którego nie zdoła usunąć jedna noc spokojnego snu.

Na razie jednak byłem tam sam z dwoma gliniarzami.

Spełniłem ich życzenie i zaprowadziłem ich do męża Sam. Po schodach na górę i korytarzem. Po drodze nie byłem im przyjacielem ani wrogiem. Kimś pośrednim, co Jeszcze się okaże”. Co oznaczało, że jeden z nich cały czas miał mnie na oku. Albo na muszce.

Przy drzwiach do sypialni odwróciłem się i spojrzałem na nich.

– Były zamknięte – wyjaśniłem, widząc ich zdziwienie na widok wyłamanych drzwi. – Musiałem je wyważyć.

Nie skomentowali tego.

Weszliśmy do środka. W pokoju było jeszcze zimniej niż przedtem. Chłodna październikowa noc wciąż sączyła się przez otwarte okna. Chociaż miałem na sobie płaszcz, lekko zadrżałem. Mojej eskorcie najwidoczniej nie przeszkadzało ziąb. Mieli inne problemy. Na przykład czy nie będzie następnych niespodzianek. Tak więc przede wszystkim sprawdzili łazienkę i garderobę. Jeden z nich przez cały czas osłaniał drugiego. Czysto. Stanęli przy łóżku i dobrze przyjrzeni się nieboszczykowi.

– Taak, nie żyje jak nic – powiedział pierwszy gliniarz. Drugi spojrzał na mnie i ponownie na ciało.

– Czy tak go pan znalazł?

– Właściwie był przykryty kołdrą – odparłem. – Odchyliłem ją.

– A co z ciałem? – dociekał. – Dotykał je pan?

Ton jego głosu świadczył o tym, że nie spodoba mu się moja odpowiedź na to pytanie.

– Leżał twarzą do dołu. Obróciłem go na plecy – odrzekłem.

Natychmiastowe zmarszczenie brwi.

– Dlaczego? – zapytał pierwszy gliniarz, również niezbyt zachwycony moją odpowiedzią.

– Chyba chciałem zobaczyć jego twarz.

– Dlaczego? – spytał ponownie. – Znał go pan? Cholernie dobre pytanie. Nadal miałem wrażenie, że go spotkałem, jednak nie miałem pojęcia gdzie. W tym rzecz.

– Czy go znałem? – powtórzyłem. Zważywszy na okoliczności, odpowiedź „może” wydawała się naprawdę kiepskim wyborem. Tego słowa zazwyczaj używają ludzie, którzy

mają coś do ukrycia. A ja już i tak sprawiałem takie wrażenie dlatego, że się tu znalazłem. – Nie – odparłem. – Nie znałem go.

Taka odpowiedź została zanotowana.

Nie było żadnych pytań, niczego, co mogłoby świadczyć, że mi nie uwierzyli. Zamiast tego podjęli rutynowe działania. Nadszedł czas, żeby złożyć meldunek. Drugi gliniarz zadzwonił na posterunek, zgłosił morderstwo i podał adres Sam. Kiedy skończył rozmowę, powiedział do partnera, że spodziewa się przybycia „pierwszej klasy”. Chociaż nie wiedziałem, co to ma znaczyć, domyślałem się, że nie mówi o uczniach.

– Jezu, dzieciak... – mruknąłem do siebie. Chyba za głośno.

Policjanci spojrzeli na mnie.

– Gdzie jest dzieciak? W pierwszej chwili pomyślałem, że Sam zabrała go ze sobą. Zaraz jednak przypomniałem sobie, jak przeszukiwałem dom. Czy widziałem pokój dziecienny? Nie, nie widziałem.

Policjanci spoglądali na mnie, czekając, aż coś powiem. Zacząłem wyjaśniać, że Sam ma dwuletniego syna. Nie wspominałem, że nie widziałem tu jego pokoju ani dlaczego matka chciała tej nocy zrobić z niego półsierotę. Mimo to nalegałem, że trzeba ją odnaleźć.

– Dobrze – rzekł drugi gliniarz, z subtelnym podtekstem „bylebyś wreszcie się zamknął”.

– Jak ona wygląda?

Opisałem Sam Kent. Metr sześćdziesiąt pięć. Szczupła. Jasne włosy, jeśli rozpuszczone, to sięgające poniżej ramion.

– Domyśla się pan, dokąd mogła się udać? – spytał.

– Nie.

– A jak mogła być ubrana?

– Nie wiem.

– Sądzi pan, że zażyła tabletki nasenne?

– Tak – odparłem, popierając to skinieniem głowy. Zaraz jednak zastrzegłem: – Chociaż, jak już mówiłem, nie ma co do tego pewności.

Drugi policjant ponownie połączył się z posterunkiem i podał rysopis, zalecając przekazać go wszystkim patrolom. Poprosił również o sprawdzenie w izbach przyjęć okolicznych szpitali. Przekazał informacje o Sam, włącznie z tą o przypuszczalnym zażyciu środków nasennych, monotonnym głosem sugerującym zamawianie lunchu, a nie kwestię życia lub śmierci. Nie przejąłem się tym. Zrobiłem co w mojej mocy. A to oznaczało, że jeszcze była nadzieja.

– Chodźmy – powiedzieli mi policjanci.

Musieli się upewnić, że poza nami w domu nie ma nikogo. Podczas gdy pierwszy sprowadził mnie na dół i pilnował mnie w przedpokoju, drugi sprawdzał pomieszczenie po pomieszczeniu. Na piętrze, na parterze, w piwnicy. Dokładnie.

Przez chwilę stałem tam w milczeniu z pierwszym gliniarzem. Kiedy zaczął postukiwać obcasem o marmurową posadzkę, rozejrzałem się wokół, nie szukając niczego konkretnego. Myślałem o Sam i o tym, gdzie mogła się podziać... O jej synu i o tym, czy był razem z nią... O jej mężu i tym, skąd, do diabła, go znałem. Wszystko to było cholernie frustrujące. Nadal

nie znajdowałem żadnych odpowiedzi na te pytania.

Bababach!

Nagle na ulicy rozległa się seria strzałów. Błyskawicznie odwróciłem się twarzą do drzwi i już miałem rzucić się na podłogę, gdy zobaczyłem, że pierwszy gliniarz nawet nie drgnął.

– Fajerwerki – wyjaśnił spokojnie. – To Noc Hakerów. Potrwało chwilę, zanim uspokoiłem się i zrozumiałem, o czym mówił. Uświadomiłem sobie, że jest 30 października, noc poprzedzająca Halloween. Na przedmieściach, gdzie się wychowałem, nazywano ją Nocą Kawałów. Najwidoczniej w mieście używano lepiej brzmiącej nazwy. Tak czy inaczej, ten incydent dowodził, jak bardzo byłem spięty. Gdyby na zewnątrz naprawdę ktoś strzelił, pewnie wziąłbym to za wybuch nuklearny.

Znowu zapadła cisza. Zaczynałem się niecierpliwić.

– Czy mogę jeszcze coś dla was zrobić? – zapytałem policjanta.

– Znow postukał obcasem o marmur.

– Bardzo wiele – odparł. – Jednak nie dla nas. Za kilka minut pojawią się tu detektywi i będzie mógł pan wykazać dobre chęci.

– Oczywiście – powiedziałem. Nasunęło mi się jeszcze jedno pytanie. Chyba po prostu rozpaczliwie chciałem uzyskać choć jedną odpowiedź. – Jest jeszcze coś.

– Co takiego?

– Właśnie miałem dzwonić na dziewięćset jedenaste, kiedy pojawiliście się w kuchni. Skąd wiedzieliście – wezwał was ktoś z sąsiadów?

Policjant zawahał się. Wyraźnie zastanawia! się, czy powinien odpowiedzieć.

– Alarm – rzekł w końcu. – Najwidoczniej bezgłośny. Uruchomił pan instalację alarmową.

– Przecież frontowe drzwi były otwarte – zauważyłem.

– To bez znaczenia, jeśli instalacja była włączona. – Ruchem głowy wskazał na sufit. W narożniku zobaczyłem białe pudełeczko z przezroczystym kwadracikiem szkła na przedniej ścianie i czerwone światełko. – Detektory ruchu.

Kiwnąłem głową. Zacząłem się zastanawiać. Po chwili dołączył do nas drugi policjant.

– Nic – oznajmił, mówiąc o wyniku przeszukiwania domu.

– Dobrze – odparł pierwszy.

Spojrzał na zegarek. Jakby na dany sygnał przedpokój i przylegające do niego pokoje zmieniły się w dyskotekę czerwonych i niebieskich błysków. Sąsiadom oszczędzono wycia syren i pobudki o trzeciej nad ranem. Po chwili w domu zaroilo się od policji.

Pierwsi przybyli detektywi z wydziału zabójstw. Dwaj. Niemal zaraz po nich zjawili się dwaj EMT i jeszcze dwaj detektywi z wydziału techniki śledczej – w kurtkach z odblaskowymi naszywkami. Wkrótce potem dwaj faceci z kostnicy. Jedyнным samotnikiem był przedstawiciel prokuratury okręgowej, młodzian wyglądający na Irlandczyka, który ku mojemu ogromnemu zdziwieniu nie odezwał się do mnie słowem.

W przeciwieństwie do detektywów z wydziału zabójstw.

Obejrawszy sypialnię na piętrze i spędziwszy kilka minut z parą mundurowych, przyszli do mnie i przedstawili się. Od razu zauważyłem różnicę. Tamci dwaj policjanci zamierzali

pozostać po prostu dwoma gliniarzami. Pierwszym i drugim. Żadnych nazwisk. Nie musieli się przedstawiać, nie musieli mnie znać. Natomiast ci dwaj detektywi bardzo chcieli mnie poznać.

Rozdział 15

– Doktorze Remler, jestem detektyw Joseph Trentino, a to mój partner, detektyw Frank Lopez.

Spojrzałem na nich. Było oczywiste, że nie będziemy sobie ścisnąć rąk. Ograniczyliśmy się do kiwnięć głowami. Trentino, mężczyzna po czterdziestce, był średniego wzrostu, krępy, o kwadratowej szczęce. Nosił okulary w grubych oprawkach i najwyraźniej ni cholery nie przejmował się tym, że traci włosy. Zaczesał je do tyłu, nie próbując zasłonić początków łysiny. Dorzucmy do tego stanowczy głos i otrzymamy jasną wiadomość: detektyw Joseph Trentino to facet, który nie lubi pieprzenia głupot.

To samo można było powiedzieć o jego partnerze, Franku Lopezie. Chociaż nieco wyższy, szczuplejszy i – głównie dzięki gęstym włosom – młodziej wyglądający, Lopez był równie rzeczowy. Trzeba jednak przyznać, że obaj zachowywali się uprzedzająco uprzejmie. Beznamiętnie. Nie potrafiłem odgadnąć, czy wynikało to z charakteru ich pracy, czy z kodu genetycznego. Mimo to mogłem spokojnie założyć, że żaden z nich nie był w szkole klasowym żartownisiem.

Pierwsze pytanie było proste, jasne i zgodne z przewidywaniami.

– Jak znalazł się pan w tym domu? – spytał Trentino.

Oczywiście, tak naprawdę mówił mi coś innego: W porządku, koleś, w tym domu znaleźliśmy dwie osoby. Ciebie i nieboszczyka. Teraz gadaj i staraj się, żebyśmy ci uwierzyli. Staralem się.

Powiedziałem im wszystko, co mogłem, nie naruszając tajemnicy lekarskiej. Wyjaśniłem, dlaczego się tu znalazłem. O tym, że Sam była moją pacjentką. I telefonie od niej. Jak przyjechałem do jej domu i rozpocząłem poszukiwania. O wszystkim aż do chwili, kiedy kazano mi się nie ruszać.

Detektywi słuchali. Robili notatki. Nie dawali po sobie poznać, co myślą. Potem zaczęli zadawać pytania. Trentino rzucił kilka pierwszych.

– Mówi pan, że o której zadzwoniła do pana pani Kent? – zapytał.

– Nie mogę podać dokładnego czasu – odparłem. – Około drugiej trzydzieści.

– Skąd pan wie?

– Jadąc taksówką, w pewnej chwili spojrzałem na zegarek. Wtedy dochodziła trzecia.

Trentino zapisał coś w notesie.

– Mówi pan, że frontowe drzwi były otwarte, kiedy pan tu przyjechał?

– Tak.

– Jednak drzwi do sypialni były zamknięte?

– Tak.

– Wyłamał je pan?

– Tak.

– Kiedy dostał się pan do środka, zobaczył pan leżącą na łóżku ofiarę?

– Tak... a właściwie nie – szybko poprawiłem się. – Zobaczyłem coś nakrytego kołdrą, co

wyglądało jak ciało. Jak już mówiłem policjantom, zdjąłem ją. Mówię o kołdrze.

– A ten gość patrzył prosto na pana, co? – wtrącił się detektyw Lopez.

Obrzuciłem go szybkim, czujnym spojrzeniem. Mogła to być niewinna uwaga, wynikająca z niewiedzy. Może policjanci nie wspomnieli o tym, że dotykałem ciała. Jednak być może dobrze wiedział, co robi. Sprawdzał mnie.

– Jak mówiłem już policjantom – odparłem – obróciłem go na plecy. Początkowo leżał twarzą do dołu.

Lopez lekko się skrzywił. Nie musiał mówić głośno tego, co mundurowi powiedzieli mi wcześniej: dotykane zwłok to kompletny idiotyzm. Oczywiście zakładając, że nie mijałem się z prawdą, co obaj detektywi najwidoczniej próbowali ustalić. Lopez spytał:

– Czy myślał pan, że być może ten człowiek jeszcze żyje?

– Właściwie nie.

– Zatem obrócił pan ciało, ponieważ... Wzruszyłem ramionami.

– Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Wcale się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu to zrobiłem.

Trentino przewrócił kartkę w notesie. Wyraźnie czegoś szukał. Znalazł.

– Widzę, że powiedział pan policjantom, że nie zna pan ofiary – rzekł, wciąż patrząc w swój notes.

Nie dodał nic więcej. Ja też nie. Po chwili spojrzał na mnie.

– Przepraszam, czy to było pytanie? – spytałem, zyskując kilka sekund.

– Formalnie chyba nie – odrzekł, lekko uśmiechając się po raz pierwszy. – Spróbujmy jeszcze raz. Czy znał pan ofiarę?

Mniejsze zło. Oto jaki miałem wybór. Musiałem podjąć błyskawiczną decyzję. Podtrzymać wcześniejsze twierdzenie, chociaż niekoniecznie musiało być prawdą. Albo próbować przekonująco wyjaśnić, że po namyśle doszedłem do wniosku, że być może spotkałem tego faceta, być może, ponieważ nie mogłem sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Prawdziwy dylemat. Powiedzieć prawdę, ryzykując, że w wyniku tego zostanę – paradoksalnie – uznany za łgarza. Albo skłamać, co podtrzyma moją wiarygodność. Miałem zamęt w głowie.

– Nie, nie znałem tego faceta – odparłem.

Taka odpowiedź została zanotowana.

Zadawali następne pytania. Jedno po drugim. Głównie o to, co Sam powiedziała do mnie przez telefon. Jakich dokładnie użyła słów. Jakich zdań. Czy można z nich wywnioskować, dokąd mogła się udać. Ratata! Potem skupili uwagę na moim czole. Na skaleczeniu. Ledwie zdążyłem ponownie wyjaśnić, że uderzyłem się o szufladę komody, gdy detektyw Trentino przywołał przechodzącego obok EMT. Chciał, żeby sanitariusz mnie obejrzał. Sprawdził, czy nie trzeba założyć mi szwów.

– Zobaczmy, czy uda nam się zetrzeć krew z czoła doktora Remlera – powiedział.

EMT spełnił jego życzenie. Podszedł i stanął tuż przede mną, po czym mocno złapał mnie za głowę. Odchylił się w lewo i spojrzał; potem odchylił się w prawo i zrobił to samo. Następnie zawarł swoją zawodową opinię w jednym przeciągłym „Niii”, wypowiedzianym z

silnym brooklyńskim akcentem. Przekład: niepotrzebne mi szwy. Za pomocą wilgotnego opatrunku i wacika na patyku, wyglądającego jak część wyposażenia sekundanta w ringu, otarł mi krew z czoła i oczyścił ranę. Potem nakleił na nią dwa plastry opatrunkowe.

– Może chodzić – orzekł, kiedy skończył. Pomyślałem, że to wspaniały pomysł. Pójść sobie stąd.

Wrócić do domu, do łóżka i obudziwszy się, odkryć, że to był tylko przejaw aktywności fazy REM. A gdy nadejdzie czwartek, o czwartej po południu otworzyć drzwi gabinetu i zobaczyć czekającą na mnie Sam Kent. Całą i zdrową. Co więcej, całą, zdrową i gotową rozpocząć nowe, lepsze życie.

Właśnie tak powinno być. Niestety, to było istne szaleństwo. Widziałem zakrwawione ciało, wymierzoną we mnie broń trzymaną w drżących rękach i poddawano mnie przesłuchaniu trzeciego stopnia jako ewentualnego – jeśli nie głównego – podejrzanego.

Wszystko to spowodowało ból głowy wielkości Montany. Ze znaczną częścią Wyoming na dokładkę. Zużyłem już adrenalinę, która dodawała mi sił od momentu telefonu Sam. Teraz czułem obezwładniające zmęczenie. Spojrzałem na zegarek, powstrzymując ziewnięcie. Za kwadrans czwarta. I wciąż nic się jeszcze nie wyjaśniło.

– Chłopcy, mogę zamienić z wami słowo?

Trentino i Lopez ledwie wznowili przesłuchanie, gdy pojawił się pierwszy policjant, domagając się rozmowy. Odciągnął obu detektywów na bok. Czekałem i patrzyłem, jak coś im opowiada. Po chwili dowiedziałem się co.

Było tego sporo.

– Mamy okazję sprawdzić kilka faktów – rzekł Trentino. – Wybacz mi pan, ale nie możemy wierzyć panu na słowo. – Ponownie posłał mi ten półuśmieszek. Już drugi. – Na początek, tak jak pan twierdzi, Samantha Kent rzeczywiście mieszka w tym domu. Chociaż okazuje się, że Kent to jej panięńskie nazwisko. Czy wiedział pan o tym, doktorze Remler?

– Nie, nie wiedziałem. Trentino ciągnął:

– Jej mąż nazywa się Conrad Birch. A raczej powinienem powiedzieć nazywał się, ponieważ to on leży w sypialni na piętrze.

Conrad Birch... Birch... Birch. Trzykrotnie powtórzyłem w myślach to nazwisko i z ulgą stwierdziłem, że nic mi nie mówi.

– I wreszcie to – rzekł Trentino, biorąc się pod boki. – Wygląda na to, że jest pan tym, za kogo pan się podaje, doktorze Remler. Adres pańskiego gabinetu się zgadza i domowy również. Pewnie jednak już pan to wie.

Tej nocy chyba tylko to wiedziałem.

– Tak więc, doktorze Remler, na razie chcemy zadać panu tylko jeszcze jedno pytanie – ciągnął Trentino. – Nie zamierza pan w najbliższym czasie wyjechać z miasta?

Czekałem na trzeci półuśmieszek. Nie doczekałem się. Mówił najzupełniej poważnie. Dobra rada zamaskowana jako proste pytanie.

– Nie – odparłem. – Nie zamierzam opuszczać miasta.

– Dobrze – rzekł. – Może więc pojedzie pan do domu i prześpi się trochę.

Zamrugalem z niedowierzaniem.

- Mówi pan, że mogę już iść?
- Owszem, zgadza się. Może pan iść.

Stałem... i nie ruszałem się z miejsca. Zamiast tego gorączkowo myślałem. Odruchową ulgę faceta, który znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, szybko zastąpił niepokój.

– A co z Samanthą? – spytałem.

– Nasi ludzie jej szukają – wyjaśnił Lopez.

– Mimo to chyba wolałbym tu być, kiedy ją znajdziecie – oznajmiłem. – Co więcej, naprawdę chciałbym pomóc w tych poszukiwaniach.

– Jestem tego pewien, doktorze Remler, i doceniamy to – rzekł Trentino w sposób sugerujący coś wręcz przeciwnego. – Jednak dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli uda się pan do domu, trochę odpocznie i zaczeka na telefon. Kiedy znajdziemy panią Kent, będzie pan jednym z pierwszych, którzy się o tym dowiedzą.

– Może trzeba sporządzić rysopis – zasugerowałem – a jeszcze lepsze byłoby jej zdjęcie. Musi tu jakieś być.

Wszyscy trzej odruchowo rozejrzeliśmy się po foyer. Mnóstwo obrazów, ale żadnych zdjęć.

– Ponownie sprawdzimy dom i na pewno jakieś znajdziemy – powiedział Lopez. – A nawet jeśli nie, podany przez pana rysopis jest dostatecznie dobry.

– Na pewno? – spytałem. – Mogę wam pomóc. Może jest jeszcze ślad, który przeoczyliśmy.

– Nasi ludzie pracują nad tym, doktorze Remler – rzekł Lopez.

Najwidoczniej nie potrafiłem na nic ich namówić.

– W porządku – ustąpiłem. – W takim razie podam panom mój domowy numer telefonu.

– Nie trzeba, uzyskamy go – powiedział mi Trentino.

– Jest zastrzeżony.

– Nie dla nas – odparł.

No i doczekałem się. Trzeci półuśmieszek.

Powiedziałem detektywom dobranoc. Właściwie powinienem powiedzieć dzień dobry. Wychodząc z domu Sam, widziałem pierwszą zapowiedź świtu, rozjaśniającą niebo. Nowy dzień. Ściśle mówiąc, Halloween. A ponadto poniedziałek, uświadomiłem sobie. Chryste. Za prawie trzy godziny powinienem siedzieć w gabinecie i wysłuchiwać czyjejs opowieści o łąkach i rozczarowaniach. „Ach tak?” – mógłbym rzec z urazą, gniewnie spoglądając na pacjenta. „Pan pozwoli, że opowiem o moich problemach...”

Mimo wszystko sprawdziłem okolicę.

Przeszedłem kilka przecznic w każdym kierunku, a nawet zajrzałem do Central Parku. Nie mogłem wrócić do domu, nie podjąwszy choć takiej rozpaczliwej próby. Chociaż bardzo chciałem znaleźć Sam, jednocześnie bardzo się tego obawiałem. Resztki optymizmu, jakie jeszcze mi pozostały, zużyłem na wymyślanie sensownych happy endów. Przypadkowy przechodzień udzielił pomocy Sam. Ktoś uprawiający jogging. Albo lekarz. Do licha, lekarz

uprawiający jogging. Leżała w szpitalu po pompowaniu żołądka i w ustabilizowanym stanie. Kiedy policja sprawdzała wszystkie izby przyjąć, przeoczono jej kartą. Zagubiono. Całkiem prawdopodobne w nowojorskim szpitalu.

Świt nadszedł już oficjalnie. Ludzie zaczęli wychodzić z budynków, bloków, jaskiń: pracusie spieszący rzucić się w wir zajęć. Patrzyłem na nich i ich sprężysty chód. Mój nie był taki. Zostałem za nimi w tyle o cały dzień. Kilka ostatnich godzin ciągnęło mi się jak rok.

Wciąż miałem nadzieję, ale zaprzestałem poszukiwań szpilki w wielkim mieście. O tej porze na ulicach królowały taksówki, więc podniosłem rękę i zatrzymałem jedną. W drodze do mojego i łomu mieliśmy może ze dwa czerwone światła. Taksówkarz /utrzymał się na obu.

W końcu znów u siebie. Rzuciłem płaszcz na wieszak, a kluczyki do ceramicznej wazy na stoliczku obok kanapy. Sprawdziłem automatyczną sekretarkę. Może Sam próbowała zadzwonić do mnie jeszcze raz. Światelko nie mrugało.

Poszedłem do kuchni i umyłem ręce. Wciąż miałem na nich własną krew. Napelniłem szklaneczkę bourbonem na wysokość jednego palca i zapatrzyłem się w nią. Nie na długo. Dwa łyki. No, może trzy. I pusta szklanka.

Wróciłem do salonu i usiadłem na kanapie. Wstałem z niej. Wyjrzałem przez okno. Podniosłem słuchawkę telefonu.

Mila powiedziała mi kiedyś, że im jest starsza, tym mniej snu potrzebuje.

– W ten sposób moje ciało mówi mi, że wkrótce będzie na to mnóstwo czasu – wyjaśniła.

Myślałem o tych jej słowach, kiedy wybierałem numer. O tym przyjaznym miejscu, z którego płynęły.

Zgłosiła się po pierwszym sygnale. Jej głos był rzeński, choć cichy. Już była na nogach.

– Mila, tu David – powiedziałem.

Nie wyjawiałem jej, co się stało ani gdzie byłem. Usłyszała tylko, że źle się czuję. Muszę odwołać spotkania z pacjentami. Doktor Remler bierze dzień chorobowego.

O nic nie pytała. Nie naciskała. Nie powiedziała ani nie zrobiła niczego, czego nie robiła dotychczas, kiedy dzwoniłem do niej z wiadomością, że źle się czuję. Mimo to wiedziałem, że coś przeczuwa. Cała Mila. Moja Mamka. Instynktownie czytała między wierszami i domyślała się, co się skrywa pod udawanym opanowaniem. Nie przeziębienie, ale coś innego. Coś, czego nie mogę wyjaśnić w tym momencie, ale może zrobię to później.

– Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej – powiedziała.

– Dziękuję, Mamko.

Odłożyłem słuchawkę i nalałem sobie następną porcję bourbona. Potem jeszcze jedną. Pomimo zmęczenia wiedziałem, że tylko dzięki temu uda mi się zasnąć. Samo zamknięcie oczu nic mi nie da.

Czekając, aż alkohol wywrze pożądany skutek, rozmyślałem o detektywach, o Trentinie i Lopezie. O pytaniach, jakie mi zadali, a także o tym, o co mnie nie spytali.

Było oczywiste, na czym skupili uwagę. Przede wszystkim usiłowali odtworzyć wydarzenia minionego wieczoru. Ani razu nie zapytali o Sam jako moją pacjentkę lub o jej ewentualne motywy. Chcieli tylko wiedzieć, co było bezpośrednią przyczyną śmierci Conrada Bircha. Znowu zacząłem się zastanawiać. To pytanie raz po raz przebiegało mi przez głowę

jak melodia ze zdartej płyty.

Skąd go znałem?

Nie zbliżywszy się ani trochę do wyjaśnienia i dostatecznie znieczulony bourbonem, w końcu byłem gotowy iść spać. Powlokłem się do sypialni. Korytarzem, przez drzwi i... Jezu. Stałem jak wryty, patrząc na moje łóżko. Było pościelone. A pod kołdrą widać było zarys... Nie, to niemożliwe. Na pewno nie. Podbiegłem i odrzuciłem pościel. Koc. Kołdrę.

Nie było jej tam.

Sam Kent nie było w moim łóżku. Tylko w moich myślach. Zacząłem mieć zwidy.

Rozdział 16

Ponownie zbudził mnie telefon. Dzwonił w mojej sypialni. Dzwonił w mojej głowie. Odwróciłem się twarzą do zagraconego nocnego stolika. Drobne monety, pomięte kwity, szklanka wody sprzed co najmniej dwóch dni i książki, w których nie więcej niż pięćdziesiąt pierwszych kartek miało pozaginane rogi, co prawdopodobnie nigdy się nie zmienia. Gdzieś między tymi rupieciami znajdował się telefon. Wciąż dzwonił.

Niezdarnie sięgnąłem po słuchawkę i wychrypiałem „Halo”.

– Doktor Remler? – powiedział ktoś.

– Tak.

– Mówi detektyw Trentino. Spotkaliśmy się...

– Tak... w nocy.

Sygnał zanikł na moment. Trzaski. Potem usłyszałem sam koniec zdania.

– ... mnie pan?

– Proszę powtórzyć. Trzaski ucichły.

– Słyszysz mnie pan, doktorze Remler?

– Tak, teraz słyszę.

– Dobrze. Zastanawialiśmy się, czy moglibyśmy zabrać panu jeszcze kilka minut.

– Hm, pewnie – odparłem. I zaraz ożywiłem się. – Chwileczkę, czy są jakieś wieści o Sam?

– Właśnie o tym chcemy z panem pomówić – rzekł Trentino.

Zły znak, pomyślałem. Ze ściśniętym gardłem zapytałem:

– Dlaczego nie możecie mi powiedzieć teraz?

– Ależ możemy, doktorze Remler. Stoimy przed drzwiami pańskiego mieszkania.

Próbowaliśmy pukać i dzwonić, ale...

– Spałem. Przepraszam.

– Nie ma sprawy.

Spojrzałem na zegarek. Była prawie dwunasta.

– Dajcie mi minutę. Zaraz otworzę.

Pospiesznie włożyłem te same gacie, podkoszulek, skarpetki i spodnie, które miałem na sobie w nocy. Jedynym dodatkiem była baseballowa czapeczka na rozczochrane włosy. Ona i łyk scope. Ranek był wystarczająco kiepski. A już zbliżało się popołudnie.

Poszedłem do drzwi.

– Przepraszam za zwłokę – powiedziałem, wpuszczając detektywów.

– Żaden problem – odparli zgodnie.

Zabrzmiało to jak nagranie stereo. Przez chwilę staliśmy w drzwiach. Nikt się nie odzywał. To, czego od nich oczekiwałem, było jasne – wieści o Sam. Natomiast nie było oczywiste, kto mi je przekaże. Trentino popatrzył na Lopeza. Ten skinął głową. Niema rozmowa partnerów. Dla mnie niezrozumiała.

Nie mogłem już dłużej czekać.

- No i co? – spytałem. – Znaleźliście ją?
- Znaleźliśmy, a jakże – powiedział Lopez. Odetchnąłem z ulgą.
- Zatem nic się jej nie stało?
- Niezupełnie – padła odpowiedź. – Jej mąż nie żyje. No właśnie.
- Ale ona żyje?
- Jak najbardziej.

Obaj detektywi znowu wymienili jakieś wiadomości w sobie tylko znanym języku. Jednak tym razem dostrzegłem w ich spojrzeniach lekkie rozbawienie.

- Gdzie ją znaleźliście? – spytałem. Odpowiedział mi Trentino.

– W tym rzecz, doktorze Remler. To ona znalazła nas. Kiedy wróciła rano do domu... z wizyty w Bostonie.

Wyraz mojej twarzy zapewne mówił wszystko. Głębokie tłumienie. Niewątpliwie wyczuwalne również w moim głosie. – Nie rozumiem.

– My też nie – powiedział Trentino. – Jednakże wiemy to na pewno. Zeszłej nocy była w Bostonie. Prawdę mówiąc, przez cały weekend.

- Przecież to nie ma sensu – zauważyłem.

– Rzeczywiście, nie ma. Z pewnością w kontekście tego, co nam pan powiedział. Jednak najdziwniejsze jest to – rzekł Trentino – że Samantha Kent twierdzi, iż wcale pana nie zna.

Rozdział 17

Na chwilę odebrało mi mowę ze zdumienia. Stałem w moim mieszkaniu, nie dalej niż metr od detektywów Trentina i Lopeza, którzy przekazali mi tę informację o Sam. Doskonale ich słyszałem. Każde słowo. Mimo to jedyne, co zdołałem teraz wykrztusić, to:

– Co?!

O czym oni mówią? Dlaczego twierdzą, że Sam była w Bostonie? I dlaczego powiedziała, że wcale mnie nie zna?

– Mówimy o Samancie Kent, prawda? – powiedziałem i nagle przestałem być czegokolwiek pewien. – Metr sześćdziesiąt pięć. Szczupłej. Jasne włosy opadające poniżej ramion.

– Właściwie, doktorze Remler, ta Samantha Kent, którą poznaliśmy, ta mieszkająca pod numerem pięćdziesiąt sześć przy Zachodniej Osiemdziesiątej Pierwszej, jest trochę wyższa – rzekł Trentino.

– Macie jej zdjęcie?

– Nie, nie przy sobie – odrzekł.

– Ale jest jasnowłosa i szczupła?

– Tak, jest.

– W porządku, może ująłem jej trochę wzrostu.

– To zależy – wtrącił się Lopez. – Czy ponad dziesięć centymetrów to trochę?

Znowu oniemiałem.

– Co?

– Ta Samantha Kent, z którą rozmawialiśmy, Samantha Kent, żona Conrada Bircha, ma co najmniej metr siedemdziesiąt pięć.

– To niemożliwe. Nie może być taka wysoka.

– Może po prostu dobrze się jej pan nie przyjrzał – powiedział Trentino. – To możliwe, nie sądzi pan?

Musiałem przyznać, że tak.

– A co z tym pobytem w Bostonie?

– Samantha Kent przebywała w hotelu Ritz-Carlton przy Arlington Street przez piątek, sobotę i niedzielę. Była tam na jakiejś konferencji...

– Jestem pewien, że Children's Aid Society – ponownie wtrącił się Lopez.

Trentino skinął głową.

– Tak, zgadza się. W każdym razie rozmawialiśmy z organizatorami konferencji oraz pracownikami hotelu, którzy potwierdzili, że widzieli ją tam. Och, czy mógłbym dostać szklankę wody?

W tych okolicznościach był to niezwykle przerywnik. Niesamowity.

– Hę? – zdziwiłem się.

– Przepraszam – rzekł Trentino. – Po prostu mieliśmy długą noc, nie mówiąc już o poranku. Jestem bardzo spragniony. Czy mógłbym napić się wody?

– Jasne – odparłem, obrzucając go spojrzeniem mówiącym „chyba żartujesz”. – Zaraz wrócę – zapowiedziałem i ruszyłem do kuchni.

Znalazłszy się tam, wyjąłem z szafki szklanek i zacząłem napełniać ją wodą Poland Spring z pojemnika.

– Ładna kuchnia – usłyszałem za plecami głos Lopeza. Odwróciłem się i zobaczyłem, że obaj detektywi postanowili dotrzymać mi towarzystwa. Jak dobrzy koledzy.

– Proszę. – Podąłem Trentinowi szklanek wody.

– Dziękuję. Od jak dawna pan tu mieszka? – spytał.

– Od trzech lat. Podrapał się po brodzie.

– Przyjemna okolica. Mój kuzyn mieszka niedaleko stąd. Cóż to, towarzyska pogawędka? Czas skierować rozmowę na Sam. A może powinienem użyć liczby mnogiej?

– Detektywi, w świetle tego wszystkiego, co mi powiedzieliście, chyba powinienem zobaczyć tę kobietę.

– Ma pan na myśli prawdziwą Samanthę Kent? – zapytał Lopez.

W czasie mojej krótkiej znajomości z detektywami zdążyłem się już zorientować, że chociaż obaj byli gliniarzami w stylu Jacka Webba* [Jack Webb – aktor i producent słynnego amerykańskiego serialu telewizyjnego „Dragnet”, w którym grał policjanta Joego Fridaya.], Lopez wykazywał skłonności do sarkazmu.

Zignorowałem tę uwagę i sugestię, że jestem stuknięty, kłamie, albo jedno i drugie.

– Nie uważacie, że powinienem się z nią spotkać? – zapytałem.

– Tak, powinniśmy zorganizować to spotkanie – przyznał Trentino. – Tylko że teraz, jak łatwo może pan sobie wyobrazić, ona jest wstrząśnięta i nie ma ochoty przyjmować gości.

– Szczególnie takich, których nie zna – dodał Lopez. – O przepraszam, których podobno nie zna.

– Przecież chyba właśnie to jest najważniejsze, prawda? – powiedziałem, przyzwyczajając się już do wiców Lopeza. – Powinniśmy wyjaśnić całą tę sytuację.

Trentino przyglądał resztki włosów.

– Jak już wspominałem, doktorze Remler, zorganizujemy to spotkanie.

– Doskonale.

– Hej, czy pan wie, że brakuje panu noża? Obróciłem się do Lopeza, który zadał to pytanie, po czym powiodłem wzrokiem za jego spojrzeniem do solidnego drewnianego stojaka obok kuchenki. Zrozumiałem, o czym mówił. W ośmiu otworach stojaka tkwiło tylko siedem noży. Już miałem powiedzieć coś w rodzaju „nie, nic o tym nie wiedziałem”, kiedy nagle pojawiłem, do czego to prowadzi. Koniec uprzejmej pogawędki.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – zapytałem tonem świadczącym, że doskonale wiem.

Lopez podszedł do stojaka i powoli wyjął jeden z noży, po czym obejrzał go.

– Ja tylko zapytałem, czy pan wie, że w stojaku brakuje jednego noża. To wszystko. I co pan na to?

Zmierzyłem ich wzrokiem. Jakbym dopiero zobaczył ich naprawdę.

Wszyscy trzej mieliśmy na sobie te same ubrania, w jakich byliśmy podczas naszego

pierwszego spotkania, ale nie ulegało wątpliwości, że teraz patrzyliśmy na siebie inaczej. Zupełnie inaczej. Detektywi jasno dali mi to do zrozumienia. Nadeszła moja kolej. Głupi upór od stanowczego oporu dzieli bardzo wieka granica, której postanowiłem teraz pilnować.

– Detektywie Lopez, obaj widzimy stojak na noże i siedem sterczących z niego rękojeści oraz jedną pustą przegródkę – zacząłem. – Jednak pozostaje faktem, że pan nie wie, czy jest (o komplet. A jeśli nawet, to nie wie pan również, czy nie składał się on z siedmiu noży i czy zaci ludzie od J. A. Henckelsa nie uznali za stosowne sprezentować ludziom dodatkową przegródkę. Dlatego kiedy pyta mnie pan, czy wiem, że brakuje mi jednego noża, ja również pana pytam: czy wie pan na pewno, że mi go brakuje?

– Doktorze Remler, nie ma powodu się złościć – rzekł Trentino.

– Ani bronić – dodał Lopez.

– Macie rację. Jedyne, czego teraz chcę, to żebyście przesiali kluczyć. Jeżeli macie coś do powiedzenia, mówcie. Jeśli nie, to nie. Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale od początku tej historii niezmiennie okazywałem chęć współpracy. Odpowiadałem na każde wasze pytanie i starałem się pomóc w każdy możliwy sposób. Jeśli to, co wam powiedziałem, nie zgadza się z tym, czego się dowiedzieliście, to powinniśmy ustalić, kto się myli.

Przez moment słychać było tylko cichy pomruk lodówki.

– Przykro mi, jeśli źle nas pan zrozumiał – rzekł w końcu Trentino. Tym razem spokojniejszym i przyjaźniejszym tonem. – Doceniamy pańskie starania i zdajemy sobie sprawę z tego, że wykazał pan chęć współpracy. Wyobrażam sobie, że w ciągu ostatnich dwunastu godzin wiele pan przeszedł, a to, co powiedzieliśmy, wcale nie poprawiło sytuacji. Oczywiście, podzielamy pańskie zdziwienie. Ostatnią rzeczą, jakiej chcemy, to wyciągać pochopnie wnioski. Jestem pewien, że bardzo szybko ustalimy prawdę.

– Tak – potwierdził Lopez, usiłując majestatycznie skinąć głową. Z kiepskim rezultatem. – Bardzo szybko.

Detektywi podziękowali mi za poświęcony im czas i zapowiedzieli, że będziemy w kontakcie. Odprowadziłem ich do drzwi. Nie miałem pojęcia, jakie wrażenie wywarła na nich moja niespodziewanie stanowcza postawa, ale przed wyjściem na korytarz obaj obrzucili mnie przeciągłymi spojrzzeniami. Zgodnie z kolejnością ostatnie słowo należało do Lopeza.

– Wesołego Halloween – powiedział.

Zostałem sam. Wróciłem do kuchni, żeby zaparzyć świeżą kawę. Na kuchennym blacie stała szklanka wody, o którą prosił detektyw Trentino. Niezły trik. Szklanka była pełna tak jak w chwili, kiedy mu ją podałem. Człowiek, który twierdził, że jest okropnie spragniony, nie wypił ani kropli.

Sam Kent. Samantha Kent. Pani Samantha Kent.

Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer.

Rozdział 18

Połączyła mnie z nim sekretarka.

– Hej, co się dzieje? – usłyszałem głos Parkera.

– Mnóstwo – powiedziałem. – Muszą z tobą porozmawiać.

– To mów.

Ta historia nosiła wyraźny stempel „w cztery oczy”.

– Nie przez telefon. Mogę wpaść do kancelarii?

– Taak, oczywiście. Wszystko w porządku?

– Nie jestem pewien.

– Wiesz co... Jadłeś już lunch? Nawet nie myślałem o jedzeniu.

– Nie – odparłem.

– Ja też nie. Japońszczyzna?

Jeśli o mnie chodzi, równie dobrze mógł zaproponować kanadyjskie żarcie.

– Jeżeli tylko będziemy mogli spokojnie porozmawiać – powiedziałem.

– Znam takie miejsce. Spotkaj się ze mną o pierwszej na północnowschodnim rogu Dwudziestej Trzeciej i Lex, dobrze?

– Dobrze.

Ledwie zdążyłem wziąć szybki prysznic i narzucić na grzbiet czyste rzeczy (w końcu), a potem złapać taksówkę na róg Dwudziestej Trzeciej i Lexington. Parker już tam na mnie czekał.

– Co się stało? – zapytał natychmiast, spojrzawszy na moje skaleczone czoło i dwa kawałki plastra.

– To długa opowieść.

– I powód, dla którego chciałeś ze mną porozmawiać?

– Właśnie.

– Zatem chodź, to miejsce jest niedaleko przy tej ulicy – rzekł, ruszając na wschód w kierunku Trzeciej Alei.

– Dokąd idziemy? – spytałem.

– Zobaczysz.

W połowie kwartału Parker zatrzymał się przed drzwiami pomalowanymi lśniąca czarna farbą. Nie było szyldu. Ani nawet numeru.

– To chyba nie jest jeden z tych lokali, w których zjada się sushi z nagiej kobiety, co? – zapytałem półzartem.

– Owszem, właśnie tak jadam lunch we wtorki – odparł z powagą Parker. – Prawdę mówiąc, często spotykam się tu ze Stacy.

Poprowadził mnie do środka długim, pustym korytarzem. Na końcu czekała winda, ciasna i ciemna, o lustrzanych ściankach. Wjechaliśmy na trzecie piętro, podczas gdy ja koso patrzyłem na Parkera, a on doskonale się bawił. Drzwi windy otworzyły się i wyszliśmy.

– Staraj się nie wytrzeszczać oczu – szepnął do mnie. – Oni tu bardzo tego nie lubią.

Jednak nie mogłem się powstrzymać. Ujrzałem niezwykle widok, a przynajmniej taki, którego nie byłem w stanie natychmiast zaklasyfikować. Czy to była restauracja? Czy też czyjś dom? Wyglądało to na wielki luksusowo umeblowany salon, z rozstawionymi tu i ówdzie stoliczkami oraz krzątającymi się między nimi kelnerami. Większość klientów jadła. Niektórzy jednak grali w karty lub domino. W jednym kącie znajdował się bar sushi, a w drugim dwaj dobrze ubrani starsi panowie siedzieli w fotelach, czytając gazety i paląc cygara. Byli Japończykami. Wszyscy tu byli Japończykami. A przynajmniej ogromna większość. Co do paru wyjątków, to nieliczni gringos wyglądali na takich, którzy mogą być, kimkolwiek zechcą. Nachyliłem się do Parkera i szepnąłem:

– Nie sędzę, żeby ten lokal znajdował się w przewodniku Zagata?

– Nie ma go nawet w książce telefonicznej.

– I dlatego jest taki niezwykle?

– Moja firma ma wielu klientów z Tokio. To ich Harvard Club, a ja jestem jego honorowym członkiem.

Podszedł do nas młody i nienagannie ubrany Japończyk, mniej więcej trzydziestoletni. Ścisłe mówiąc, podszedł do Parkera.

– Miło znów pana widzieć, panie Mathis.

Ani śladu akcentu. Doskonale mówił po angielsku. Z dystygowanym skinieniem głowy, mocno uściśnął dłoń Parkera.

– Mnie również, Jimmy – odparł Parker. – Pozwól, że przedstawię ci mojego przyjaciela. Jimmy, to doktor David Remler.

Wprawdzie Parker nie wymówił mojego tytułu ze szczególną emfazą, ale niewątpliwie podał go z rozmysłem. Chociaż nigdy nie napawałem się statusem społecznym gwarantowanym przez dyplom, w tym momencie nie protestowałem. Aczkolwiek nie wiedziałem, czy zrobił jakieś wrażenie. Jedno, co było pewne, to że dzięki Parkerowi ja również zostałem obdarzony uściśkiem dłoni i dystygowanym ukłonem.

– To dla mnie zaszczyt, doktorze Remler. Witam.

– Dziękuję.

Jimmy odwrócił się i powiedział coś po japońsku do najbliższej stojącego kelnera. Ten ruchem głowy wskazał stolik pod ścianą i w mgnieniu oka zostaliśmy przy nim posadzeni.

Parker miał rację. To miejsce zapewniało dyskrecję. Nieliczni goście, którzy mogliby nas podsłuchać, wydawali się nawet nieświadomi naszej obecności.

– W porządku, więc co się dzieje? – zapytał.

– Może najpierw powinniśmy zamówić – podsunąłem.

– Tak jakbyśmy już to zrobili.

Ostatnio miałem już dość niespodzianek i nie potrzebowałem następnych. Parker błyskawicznie to zrozumiał.

– Przepraszam, powinienem był ci wyjaśnić. – Zachichotał. – Tutaj nie ma menu. Prawdę mówiąc, nie ma nawet kuchni. Tu jada się tylko sushi przywożone z Japonii, ściśle mówiąc, z wybrzeża Kiusiu. Jest tylko jedno danie, a jakie, to zależy od porannej dostawy. Specjalność szefa, jak mówią.

- Rozumiem. Musi być okropne.
- Tak, najgorsze jakie jadłeś.
- Jednak przynajmniej tanie, zgadza się?
- Po prostu darmocho.
- To dobrze, ponieważ nie mógłbyś wpisać go sobie w koszty, prawda?
- Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Były to tylko nasze typowo bezsensowne, żartobliwe przekomarzania, a jednak bardzo ważne. Przywracały do rzeczywistości, krzepiły, przypominały o tym, że nie wszystko się pochrzało. Jak powiadają, nigdy nie trać poczucia humoru. Jeśli je stracisz, to cię pokonali.

- Zatem, jak już pytałem, co się dzieje? – powtórzył Parker.

Wiedziałem, że to pytanie – już dwukrotnie zadane – będzie motywem przewodnim naszego lunchu. Mimo to przez chwilę siedziałem, nic nie mówiąc. Tyle było do opowiedzenia, a ja jeszcze nie miałem pojęcia, jak to zrobić. Od czego powinienem zacząć?

Doszedłem do wniosku, że najlepiej od tego, o czym Parker już wiedział.

- Pamiętasz pacjentkę, o której niedawno ci opowiadałem?
- Mówisz o tej z dzieciakiem?

Natychmiast pochyliłem głowę. Dzieciak. Wciąż o nim zapomniałem. Detektywi nic o nim nie wspomnieli, a ja nie pytałem. Byli w moim mieszkaniu, gawędząc o sztucach I wzroście Sam Kent, a ja nawet nie zapytałem o jej syna. Co się z nim stało? Zapewne nic. Chociaż wyglądało na to, że ostatnio poczyniłem zbyt wiele błędnych założeń.

- Davidzie?

Błądziłem myślami, wyobrażając sobie dwuletniego chłopca. Niewinną ofiarę. Przeprosiłem Parkera, pozbierałem się i najlepiej jak umiałem, zabrałem się do wyjaśnienia, co się stało.

Zacząłem od telefonu Sam i jej wyznania, jej rwącego się głosu i moich podejrzeń, że podjęła następną próbę samobójczą. Zn kończyłem na detektywach, którzy bez uprzedzenia przyszli do mojego mieszkania. Zrekonstruowałem przebieg wydarzeń, kilkakrotnie przerywając i zastanawiając się, czy czegoś nie pomiąłem.

Przez ten czas Parker próbował siedzieć na dwóch stołkach. Przyjaciela i prawnika. Jako przyjaciel okazywał niepokój, od czasu do czasu przechodzący w niedowierzanie: „Jasna cholera... Żartujesz... Jezu”. Takie rzeczy. Jako prawnik chciał wiedzieć kto, co, kiedy, gdzie i dlaczego. Jeśli jakaś moja wypowiedź nie wyjaśniała tego, zasypywał mnie gradem pytań.

W pewnym momencie przyniesiono lunch. Wielkie okrągłe liderze nie tyle z potrawami, co dziełami sztuki. Kolory, kształty, faktura. Koncentryczne kręgi sushi i sashimi, które oglądane pod pewnym kątem, sprawiały wrażenie dzieła impresjonisty. Chociaż nie byłem głodny i nie miałem nastroju, żeby cieszyć się jedzeniem, nie mogłem zaprzeczyć, że wyglądały wspaniale, a smakowały jeszcze lepiej. Przynajmniej mojemu żołądkowi poprawił się humor.

Jedząc, rozmawialiśmy dalej. Kiedy zaznajomiłem Parkera z całą sytuacją, kilkakrotnie postukał o talerz pałeczkami z kości słoniowej. Czekałem na przeciągły pomruk, przypominający warkot odkurzacza. Doczekałem się. Trwał dłużej niż zwykle. Trudno się

dziwić. Miał się nad czym zastanawiać.

– Oto w czym rzecz – powiedział w końcu. – Mamy dwie grupy faktów albo twierdzeń udających fakty: te, o których wiesz, oraz te, które ci podano. Pierwsza grupa – to, co wiesz – obejmuje tylko to, czego możesz dowieść. Nic więcej. Natomiast druga, czyli to, co ci powiedziano, tworzy większą część twojej opowieści. Szczególnie tę najdziwniejszą. Dwukrotnie spotkałeś się z tą Kent i z detektywami, którzy nawciskali ci różności. Powtarzam, to są relacje z drugiej ręki. – Podkreślił to, szeroko rozkładając ręce. – Pierwsza grupa... i druga. Teraz już wiesz, czego nie powinieneś robić?

Patrzyłem na niego niepewnie. Parker nachylił się do mnie.

– Musisz przestać jednakowo traktować obie grupy. Rozumiesz? – Nie czekał na odpowiedź. – Weźmy, na przykład, tych detektywów. Oni muszą mówić prawdę dopiero wtedy, kiedy staną na podium dla świadków. Do tego czasu wszystko to gra. W chowanego. Oni sądzą, że coś ukrywasz, i usiłują dowiedzieć się co.

– Przecież ja niczego nie ukrywam.

– To nieistotne. Traktowaliby cię tak samo, nawet gdybyś był papieżem. Całowałiby twój pierścień, ale i tak myśleliby, że coś przed nimi ukrywasz. Dlatego to pierwsza rzecz, jaką powinieneś zrobić. Odróżnić prawdę od podpuszczania.

– To, że Sam Kent wyjechała z miasta i utrzymuje, że mnie nie zna... Chcesz powiedzieć, że to nieprawda?

– Nie. Mówię ci tylko, żebyś nie wierzył w to tylko dlatego, że tak ci powiedziano – odparł Parker. – Przykład. Mówiłeś, że detektywi twierdzili, że Sam niewątpliwie była w Bostonie, w hotelu Ritz-Carlton. Bzdura. Mogła tam być i zapewne była, ale na razie detektywi w żaden sposób nie są w stanie tego dowieść. Pomimo to już oświadczają, że są tego pewni, a nawet mają świadków. W ten sposób cię podpuszczają.

– Czy to zgodne z prawem?

– To zależy. Popelniono morderstwo, które znajduje się na bardzo dalekim miejscu listy czynów zgodnych z prawem. Sądzę, że dobrym określeniem na postępowanie detektywów jest w tym przypadku „swoboda działania”.

– Co więc powinienem zrobić?

– Dokładnie to, co zrobiłeś. Pogadać z prawnikiem – odparł. – Wizyta detektywów w twoim mieszkaniu, podstęp ze szklanką wody, żeby dostać się do kuchni, wszystko to miało jeden cel. Co więcej, jestem pewien, że nic ci o tym nie powiedzieli.

– O czym?

– Znaleźli narzędzie zbrodni.

– Nóż?

– Taak. Teraz chcą ustalić, czy mógł należeć do ciebie. To nagroda za to, że zeszłej nocy znalazłeś się w nieodpowiednim miejscu w niewłaściwym czasie.

– Zapewne to, że zdenerwowałem się na nich dziś rano, w niczym nie poprawiło sytuacji.

– Nie przejmuj się tym. Kto nie zirytowałby się na twoim miejscu? Byłeś zmęczony, zdenerwowany, więc twoja reakcja była najzupełniej normalna. Jednakże znowu grałeś według ustalonych przez nich reguł, opierając się na podanych przez nich tak zwanych

faktach. Być może powiedzieli prawdę, ale niekoniecznie. Jak już mówiłem, od tej chwili musisz skupić się wyłącznie na tym, czego jesteś pewien, na faktach, które możesz udowodnić. A wszystko obraca się wokół twojej pacjentki!

Poczułem to, zanim dokończył ostatnie zdanie. Nagłe zrozumienie. Przykre uczucie rodzące się w żołądku, w którym studolarowa porcja surowej ryby próbowała popłynąć pod prąd. Mdłości. Niepokój.

Zgroza.

Odkryłem drogę, którą podążało rozumowanie Parkera. Dobrze wiedziałem, do czego zmierzał. Rzecz w tym, że ja już tam byłem. Wszystkie kawałki łamigłówek znalazły się na swoim miejscu. I natychmiast całość zaczęła się rozpadać.

Parker rzekł:

– Powinieneś teraz zebrać wszystkie fakty, które czynią Samanthę Kent twoją pacjentką. Na przykład, czy zapłaciła ci czekiem, czy kartą kredytową?

Zamknąłem oczy i pomasażowałem tył głowy.

– Zapłaciła mi gotówką – odparłem głosem ledwie głośniejszym od szeptu.

– Ach tak?

– Powiedziała, że nie chce, by jej mąż dowiedział się o tym, że chodzi do psychoterapeuty. Twierdziła, iż on przegląda zestawienia bankowe wszystkich czeków i transakcji kartą kredytową.

– A inni pacjenci? Może któryś z nich widział ją w twoim gabinecie?

Zastanowiłem się.

– Nie, nie sądzę.

– Zaczekaj, a Mila? Przecież musiała rozmawiać z Milą, żeby się zarejestrować, prawda?

– Email.

– Co? Zaczynałem mamrotać.

– Email – powtórzyłem nieco głośniejszym głosem. – Skontaktowała się z Milą za pomocą poczty elektronicznej. Nie rozmawiały.

– Chryste, Davidzie, jak mogłeś... – Parker urwał. Powstrzymał się. W jego głosie słyszałem wzburzenie, a w oczach dostrzegłem napięcie. Jako prawnik zaczął układać kawałki łamigłówek i robiąc to, o mało nie zapomniał o roli przyjaciela. – Przepraszam – rzekł.

– W porządku – zapewniłem go. – Pozwól mi wyjaśnić. Streściłem mu moją pierwszą sesję z Sam. Jak mówiła, że nie podała Mili numeru telefonu z powodu planowanej przeprowadzki. Potem ojej łzach i wyznaniu, że boi się męża. Ojej obawie, że może go zabić.

– Jak poważnie to zabrzmiało? – zapytał.

– Nie dość poważnie, żeby zawiadomić policję, jeśli o to pytasz. Sprawiała wrażenie zbyt zrównoważonej.

– W porządku, mów dalej. Zrobiłem to.

Z początku dziwnie się czułem, omawiając z kimś szczegóły sesji. Miałem wrażenie, że popełniam zdradę. Szybko jednak przewyciężyłem opory. Tajemnica lekarska obejmuje sprawy pacjentów. Nagle nie byłem już pewien tego, czy Sam Kent była moją pacjentką. Ani,

skoro o tym mowa, kim była naprawdę. Natomiast stawało się coraz bardziej oczywiste, że nie była żoną Conrada Bircha. Detektywi Trentino i Lopez istotnie spotkali prawdziwą małżonkę. To nie było podpuszczanie.

– No i co mamy? – zapytał Parker. Mówił bardziej do siebie niż do mnie. – Leczyłeś pacjentkę, która podała się za Sam Kent. Skłamała. Nie wiesz, kim ona jest naprawdę, ani nawet nie możesz udowodnić jej istnienia.

– Moje notatki – powiedziałem. – A moje notatki?

– W tym problem. To twoje notatki. Jak doniesienia o UFO. Niczego nie dowodzą.

Przyszło mi do głowy jeszcze coś.

– A co z jej telefonem do mojego domu? Nie możemy ustalić, skąd dzwoniła?

– Czy zadzwoniła na twoją komórkę?

– Nie, na stacjonarny. Pokręcił głową.

– BOK rejestruje tylko rozmowy wychodzące.

– Jaki bok?

– BOK – wyjaśnił – czyli biuro obsługi klienta, które sporządza wykazy rozmów.

Kelner przypląnął i zabrał puste talerze.

– Kawa? – zapytał.

Obaj odmówiliśmy i czekaliśmy w milczeniu, aż odejdzie. Nagle w mojej głowie zaskoczył jakiś trybik. Coś sobie przypomniałem.

– Przyjęcie – powiedziałem.

– Co takiego?

– Przyjęcie koktajlowe organizowane przez Kesper Society. Mówiłem ci, że wybieram się jako przedstawiciel Crescent House, prawda?

Kiwnął głową.

– Ona też tam była.

Bingo, mówiła mina Parkera.

– Chcesz powiedzieć, że tłum ludzi widział was tam razem? Znowu poczułem mdłości. Niepokój. Zgrozę.

– Niezupełnie – powiedziałem i oklapłem. – Podeszła do mnie na chodniku, kiedy opuściłem budynek. Była ubrana wieczorowo i zeszła po schodach muzeum, jakby była w środku.

– Jednak nie była.

– Na to wygląda.

– Skąd wiedziała, że tam będziesz? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

– Prawdę mówiąc, jeśli się nad tym zastanowić, to mogła przeczytać w gazecie. Organizacja Kespera rozsyła do gazet zawiadomienia o przyjęciu, wymieniając wszystkie zaproszone organizacje. Dzięki temu piszą o koktajlu we wszystkich rubrykach towarzyskich. Mogła przeczytać w którejś o Crescent House.

Kiwnąłem głową. Nieważne, że mogłem policzyć na palcach jednej ręki, ile razy czytałem rubrykę towarzyską, i jeszcze zostałyby mi pięć palców.

- Mimo wszystko – ciągnął – musiała podać ci jakiś powód swojej obecności, prawda?
- Powiedziała, że jej mąż zarządza funduszami Kesper Society.
- A jej mężem był Conrad Birch?
- Nigdy nie wymieniła jego nazwiska.
- Jednak była sama?
- Tak. Powiedziała, że mąż wyjechał.
- Bardzo dogodne.
- Bardzo.

Parker powoli pokręcił głową.

– To cholernie niewiarygodne, kiedy się nad tym zastanowić – zauważył niemal z podziwem. – Mówię o tym, o czym to świadczy. O starannym zaplanowaniu intrygi, o... – Urwał. Tym razem z powodu spojrzenia, jakie mu posłałem. Żalostnego. – O co chodzi? – spytał.

Opowiedziałem mu wszystko. Ale tylko to, co wydarzyło się od chwili, gdy w nocy zbudził mnie telefon. Świadomie czy nu:, przemilczałem to, co się zdarzyło po przyjęciu Kesper i iciary, o tym, jak przyjechała do mojego mieszkania i przygotowała mi kolację. Jakże pasował Makaron Bez Nazwy do kobiety, która podszywała się pod kogoś.

Parker uważnie wysłuchał mojej relacji, której seksualny podtekst był oczywisty.

- Powiedz, że nie... – nie dokończył.
- Nie – odparłem. – Tylko przygotowała mi kolację.
- Jednak podobała ci się?
- Tak – przyznałem.
- I wydawało się, że ty jej także?
- Tak.
- Czy choć na chwilę została sama w kuchni?

Zastanowiłem się.

- W pewnym momencie poszedłem po butelkę wina.
- Zastanawiam się, gdzie go schowała?
- Wino?
- Nie, nóż. Musiała jakoś wynieść go z twojego mieszkania.
- Przypuszczasz...

– Więcej niż przypuszczam. Brakuje ci noża. Tego samego, którym zabito Conrada Bircha.

– Kurwa.

– Do kwadratu – rzekł Parker. Odchylił się na krześle i założył ręce na piersi. – Gratuluje, Davidzie. Zostałeś wrobiony w morderstwo.

Rozdział 19

Pocieszające było to, że nie musiałem pędzić do pracy. Też mi pociecha.

– Jutro też weź sobie wolne – poradził mi Parker. Zapłacił rachunek za lunch i właśnie pożegnaliśmy się z Jimmym. Idealny gospodarz zapamiętał moje nazwisko. Włącznie z doktorskim tytułem.

– Nie mogę odwołać jutrzejszych sesji – powiedziałem, kiedy znaleźliśmy się w windzie.
– Jeżeli martwisz się o stan mojego umysłu, to nie przejmuj się, Parker. Nic mi nie będzie.

– Nie dlatego to mówię – odparł. – Chociaż owszem, martwi mnie stan twojego umysłu. Jutro przez cały czas musisz być dla mnie osiągalny, na wypadek gdybym postanowił przeprowadzić z nimi rozmowę.

– Z kim?

– Z detektywami.

– Po co?

– Żeby wyjaśnić sytuację. W przeciwnym razie będziesz nieruchomym celem.

Wyszliśmy z windy i ruszyliśmy długim korytarzem. Gdy dotarliśmy do błyszczących lakierowanych drzwi, otworzyły się i do środka weszli dwaj japońscy biznesmeni. Wymieniliśmy krótkie, porozumiewawcze spojrzenia. Uściski dłoni bez podania sobie rąk.

Musisz natychmiast załatwić kilka spraw – powiedział, kiedy znaleźliśmy się na ulicy. – Najpierw spróbuj się przypomnieć, skąd, jeśli w ogóle, znasz tego Conrada Bricha. To jest najważniejsze. Jeśli ta kobieta naprawdę wycięła ci numer, a na razie na to wygląda, być może przecucie dobrze ci podpowiada i istnieje między wami jakieś powiązanie. Jeżeli uda nam się je ustalić, będę miał z czym iść do detektywów. A jeśli nie?

Wtedy zdamy się na nasze szczęście i jeszcze zaczekamy. Zastali cię na miejscu zbrodni i na razie nie masz alibi. Mają narzędzie, którym popełniono morderstwo i które, jak wszystko na to wskazuje, jest twoją własnością. Jedyne, czego im brakuje, to motywu. Nie potrzebują go, żeby cię aresztować, ale z pewnością poprawiłby humor prokuratorowi. Dlatego jestem gotowy się założyć, że detektywi złożą ci kolejną wizytę.

– Mam współpracować?

– Już nie – odparł. – Zanotowano twoje zeznanie, że nie znałeś Bricha. Nie możesz pozwolić, żeby uznali cię za kłamcę. Jeśli znów do ciebie przyjdą, nie mów ani słowa, tylko zadzwoń do mnie, a ja wszystkim się zajmę. A na razie wykonam kilka telefonów. Mam paru przyjaciół w policji, którzy mogą coś wiedzieć o tym śledztwie.

– Co jeszcze mam zrobić?

– Przejrzyj notatki, które zrobiłeś po sesji z tą kobietą – odparł. – Tą fałszywą Samantha Kent.

Fałszywa Samantha Kent. Byłoby to zabawne, gdyby zdarzyło się komuś innemu, nie mnie.

– Czego mam szukać? – zapytałem.

– Śladów, jakiegoś błędu, czegokolwiek. Czegoś, czym mogła się zdradzić. Choćby była

nie wiem jak sprytna, nikt nie jest doskonały. – Podniósł palec. – Skoro o tym mowa, kup sobie jeden z tych miniaturowych dyktafonów na wypadek; gdyby okazała się głupia i znów do ciebie zadzwoniła.

– W porządku. Co jeszcze?

– Myślę, że to wszystko – rzekł. – Och, po namyśle uważam, że powinieneś być pójść z tym czołem do lekarza. To paskudne rozcięcie. Może trzeba będzie założyć kilka szwów.

– Sanitariusz uznał, że wystarczą plastry.

– Jaki sanitariusz? Jeden z tych, którzy byli na miejscu zbrodni?

– Taak.

– Nie opatrzyłeś sobie sam tej rany?

– Nie. Detektywi kazali jednemu z sanitariuszy, żeby ją obejrzał.

– I to on ją opatrzył?

– Tak, a dlaczego pytasz?

Parker zastanawiał się chwilę, a potem pokręcił głową.

– Nieważne. Nie przejmuj się tym.

Nie uwierzyłem mu. Moje spojrzenie z pewnością to zdradzało.

– Posłuchaj, wszystko będzie dobrze – zapewnił. – Może nie będzie przyjemnie, ale dobrze się skończy. Tak więc trzymaj się, w porządku?

– A mam inne wyjście?

Parker dostrzegł nadjeżdżającą taksówkę i machnął ręką.

– Dokąd chcesz jechać? – zapytał.

Jego biuro było niedaleko, w pobliżu Wall Street.

– Do gabinetu – powiedziałem. – Zamierzam przejrzeć notatki, tak jak sugerowałaś.

Taksówka zatrzymała się.

– No już, wsiadaj – zachęcił Parker.

– Nie, jedź ty. Ja trochę się przejdę.

– Na pewno?

– Tak. Słuchaj, dziękuję za wszystko. Naprawdę nie wiem co... No wiesz, po tym wszystkim, co się stało, nie miałbym nikogo, komu...

– Davidzie?

– Co?

– Zaczynasz popadać w sentymentalizm.

– Okropna cecha, prawda?

Pokręcił głową, zaśmiał się i otworzył drzwiczki.

– Porozmawiamy później, dobrze?

– Jasne.

Ruszyłem z powrotem do centrum. Szybko straciłem nadzieję, że dzięki temu rozjaśni mi się w głowie. Odtwarzałem w myślach ostatnie wydarzenia. Zeszłej nocy i kilku ostatnich tygodni. Robiłem to mimo woli i nie potrafiłem przestać. Co przecznie odkrywałem kolejną rewelację. Następnym fragmentem zagadki, jaką była fałszywa Samantha Kent.

Moja Tajemnicza Pacjentka.

Ta historyjka o niani. Jak miała na imię? Celinę? Celeste? Byłem prawie pewien, że Celeste. Rozmowa na chodniku przed muzeum, po przyjęciu koktajlowym Kespera. To z powodu Celeste musiała ugotować mi kolację w moim mieszkaniu. A kiedy już tam byliśmy, niania podobno odebrała telefon i zanotowała mój numer. Zastrzeżony numer. Był jej potrzebny, żeby mogła zadzwonić do mnie dwa dni później.

Moja Tajemnicza Pacjentka.

Grzeczność, o jaką mnie poprosiła. Żebym odprowadził ją na dół, do taksówki. Wiedziała, że to żadna łaska. To był mój obowiązek. Jako dżentelmena. Zapewne przygotowała sprytny sposób, aby wyjawić mi swój adres. Jakaś bajeczkę. Wypowiedzianą mimochodem uwagę. Coś, co wydawałoby się zupełnie naturalne i rzuciło ziarno na podatny grunt, żebym przypomniał sobie ten adres, kiedy przyjdzie na to czas. Gdy popędzę jej na pomoc.

Och, jak bardzo jej to ułatwiłem. Nie musiała mi niczego mówić. Wsiadłem z nią do taksówki i odwoziłem do domu. Próbowałem być idealnym dżentelmenem. Zabawne, ale niewiele brakowało, a przeceniłaby moją pamięć. O mało nic: zapomniałem jej adresu. Jednak przecież widziałem ten dom. Wiedziała, że znalazłbym go, nawet gdybym musiał obejrzeć wszystkie domy w Upper West Side. Chcąc mieć całkowitą pewność, zwróciła moją uwagę na olbrzymiego ptaka nad wejściem. Sprytnie.

Moja Tajemnicza Pacjentka.

Na pewno ona zabiła Conrada Bircha. Miała klucz do tego domu. Musiała skądś go znać. Wiedziała, że prawdziwa Samantha Kent wyjedzie z miasta. Idąc, zerknąłem na dłoń lewej ręki. Na jej środku ujrzałem ślad pozostawiony przez palnik kuchenki. Gdybym go nie zobaczył, wszystko stałoby się snem.

Jednak naprawdę miałem ślad po oparzeniu.

Te nowe rewelacje wywołały nowe pytania. Nie mówiąc już o ogromnej potrzebie znalezienia odpowiedzi na najważniejsze z nich. Jakie były jej motywy? Dlaczego pragnęła śmierci Conrada Bircha i dlaczego skierowała podejrzenia właśnie na mnie? Byłem coraz bardziej przekonany, że skądś znałem Conrada Bircha. A to oznaczało, że znaliśmy go oboje, zanim jeszcze się spotkaliśmy. Pomimo to musiało istnieć między nami jakieś powiązanie. Wybrała i wrobiła mnie z konkretnego powodu.

Jakiego?

Przeszedłem jeszcze kilka kroków i stanąłem jak wryty. Odwróciłem się, podniosłem rękę i wyszedłem na jezdnię, rozglądając się za wolną taksówką. Odniosłem wrażenie, że wiem, gdzie szukać kilku odpowiedzi, i właśnie zamierzałem się tam udać. Jednak już nie na piechotę. Miałem mało czasu.

Rozdział 20

To było niemal niesamowite.

Mrok i cisza gabinetu. Tyle razy spędzałem tu samotnie wiele godzin, a jednak tym razem czułem się inaczej – niczym intruz na własnym terenie. To śmieszne, powtarzałem sobie. Chociaż trudno się temu dziwić. W bardzo krótkim czasie zdominowałem rynek niesamowitych przypadków. Zapaliłem światła, podszedłem do szafki z aktami i otworzyłem szufladę. Kiedy wysunęła się na prowadnicach, cała szafka zatrzeszczała, jakby budziła się ze snu. Akta Samantha Kent nie były pierwszymi, po które sięgnąłem. Kierowało mną nieprzyjemne przeczucie. Litera B. Baxter... Bernstein... Bibby. Moje palce z mechaniczną sprawnością przewracały kolejne karty z ich wystającymi plastikowymi identyfikatorami. Jedną po drugiej... aż znalazły.

Birch, Conrad.

Rzeczywiście gdzieś go spotkałem. We własnym gabinecie. Wyjąłem akta, położyłem je na biurku i otworzyłem. Zaledwie to zrobiłem, a zrozumiałem, dlaczego tak słabo go pamiętałem. W jego teczce znajdowała się tylko jedna kartka. Z pierwszej i, jak się okazało, ostatniej sesji. Conrad Birch był jednym z tych, którzy najpierw zanurzają palec.

Średnio zdarza się jeden taki pacjent na dziesięciu Są to ludzie, którzy z jakiegoś powodu po pierwszej sesji postanawiają nie kontynuować terapii. Wzbudziła tylko przelotne zainteresowanie i rezygnują z niej, jakby zanurzyli palec w basenie i doszli do wniosku, że nie mają ochoty pływać. W ciągu kilkuletniej praktyki miałem takich wystarczająco wielu, żeby nie pamiętać ich nazwisk, a często również twarzy. Jednak zawsze robiłem notatki na temat każdego z nich.

Doskonale.

Natychmiast spojrzałem na górny prawy róg kartki. Data. Niedawno minął rok, od kiedy Conrad Birch siedział w moim gabinecie. Próbowałem go sobie przypomnieć. Jego ubranie albo cechy szczególne. Czy usiadł na kanapie, czy w fotelu? Na próżno. Wszelkie wspomnienia tamtego dnia zaginęły w mrokach niepamięci. Głównie z powodu upływu czasu, ale także pod wpływem okropnego widoku, jaki wciąż uparcie stawał mi przed oczami: Conrad Birch, martwy na swoim łóżku.

Przejrzałem notatki. Raz, a potem drugi. Krótkie, urywane zdania, jakie nauczyłem się pisać z biegiem lat. Rodzaj stenografii. Nazywałem to moim psychologicznym zaczynem, mającym dać początek większej całości. Kompletnej osobowości.

Wyglądało na to, że Conrad Birch przyszedł do mnie z problemem tyleż typowym, co skomplikowanym. Miał romans i był zaniepokojony. Powiedział, że nie może opuścić żony, i rozumie, że powinien zostawić kochankę. Jednak obawiał się, jak ona to przyjmie. Miała gwałtowny temperament. Była niebezpieczna. Chciał się dowiedzieć, co powinien zrobić.

To wszystko. Do tego sprowadzało się wszystko, co napisałem... Poza ostatnim zdaniem: „rozmawiano, jak ma zerwać z kochanką”.

Nie rozwodziłem się nad tym. Nie musiałem. Jak już powiedziałem, to problem zarówno

powszechny, jak i złożony. Mało które postępowanie jest równie typowe dla ludzi jak cudzołóstwo. „Problem nie tkwi w głowie – często mówiłem – lecz w DNA”. To niczego nie usprawiedliwiało, tylko czyniło zjawisko powszechnym.

Tak więc zapewne powiedziałem Birchowi to samo, co wielu ludziom przed nim. Powinien znaleźć równowagę. Zrozumieć uczucia kochanki, a jednocześnie stanowczo wyrazić własne. Być uczciwym, ale nie ranić.

Nie zalecałem okrucieństwa ani oszustwa, tylko realizm. Z definicji, zerwanie czegokolwiek – czy to związku, czy owocu z drzewa – powoduje zniszczenia. Zrozumienie tego oznacza przyjęcie do wiadomości, że nie ma cudownych środków. Żadnych magicznych eliksirów. Uwaga drobnym drukiem: ktoś zostanie zraniony. Chodziło o to, żeby zminimalizować szkody. Jeśli to się uda, obie strony będą zadowolone.

Oczywiście nie w przypadku Conrada Bircha, który skończył w kostnicy.

Czy to miało związek z ostatnimi wydarzeniami? Czy jego kochanka była moją Tajemniczą Pacjentką? Porzuconą kochanką, szukającą zemsty? Chociaż byłyby to motywy zabójstwa, nie wyjaśniał, dlaczego chciała zrzucić winę na mnie. „Miała gwałtowny temperament. Była niebezpieczna”. Tak powiedział.

Wróciłem do mojej szafy i przejrzałem akta na literę K. Kass... Kebner... Keddilson. Wskazującym palcem dotknąłem najnowszej plastikowej plakietki.

Kent, Samantha.

Znów usiadłem za biurkiem i przeczytałem to, co zanotowałem. Trzy kartki po dwóch sesjach. Szukałem błędu, potknięcia. Jak to ujął Parker, czegoś, czym mogła się zdradzić.

Problem w tym, że ona robiła to cały czas. Nie ukrywała zamiarów. Zasugerowała mi, że jej małżeństwo jest koszmarem, a mąż zimnym manipulatorem. Przedstawiła się jako matka małego dziecka, szantażowana swoją nieudaną próbą samobójczą.

„Przyszłam tutaj, ponieważ chcę go zabić”, wyznała.

Nie można bardziej odsłonić swoich kart. A wszystko w jednym celu. I tak, kiedy zadzwoniła do mnie w środku nocy i słabym głosem oznajmiła, że naprawdę to zrobiła, uwierzyłem jej. Zareagowałem zgodnie z jej oczekiwaniami.

Zamknąłem teczkę. Właściwie zatrzasnąłem ją. Im dłużej czytałem notatki, tym lepiej zdawałem sobie sprawę z tego, jakim byłem frajerem. Próbowałem sobie wytłumaczyć, że to mogło przydarzyć się każdemu. Jednak to nie przynosiło mi ulgi. Przydarzyło się mnie i byłem zde gustowany. Nie, gorzej.

Bezradny.

Rozdział 21

Szczupły mężczyzna o siwych włosach wkładał płaszcz, jednocześnie rozmawiając z kimś. Zobaczyłem go, gdy przeszedłem przez obrotowe drzwi. W następnej chwili on zauważył mnie. Natychmiast obrócił się na pięcie.

– Dzięki Bogu, że pan tu jest, doktorze Remler! – zawołał.

Człowiek, którego wcześniej nie spotkałem.

Wyszedłem z gabinetu, trzymając w dłoni akta, po czym wróciłem taksówką do mojego mieszkania. W holu był Robert Gordon, właściciel budynku. Dotychczas widziałem go tylko im zdjęciu – zawsze tym samym – w kolejnych kwartalnych biuletynach, w których wyjaśniano lokatorom przyczyny podwyżek czynszu. Teraz, kiedy do mnie podszedł, mimo woli pomyślałem, że najwyższy czas, żeby pan Gordon zrobił sobie nowe zdjęcie. Na tym zamieszczanym w biuletynach, najwyraźniej zrobionym jeszcze za kadencji Reagana, był już zupełnie niepodobny do siebie.

– Robert Gordon z Gordon Holdings – przedstawił się, wyciągając rękę.

Uścisnąłem ją i powiedziałem, że wiem, kim jest.

– Ja poznałem pana z okładki pańskiej książki – wyznał, być może w odpowiedzi na moją lekko zdziwioną minę.

Kiwnąłem głową i czekałem, co powie.

– Wielkie nieba, pan nic nie wie, prawda? – rzekł w końcu.

– O czym? – zapytałem.

– Przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Coś takiego jeszcze nigdy nie zdarzyło się w żadnym z moich budynków, więc nie byłem pewien, czy mają do tego prawo. Nawet zadzwoniłem do mojego prawnika i zapytałem, czy mogą to zrobić pod pańską nieobecność.

– Panie Gordon, obawiam się, że...

– Jednak okazało się, że nakaz rewizji daje im wolną rękę.

– Co?!

– Nakaz rewizji – powtórzył. – Dopiero co skończyli. Przybyli dwaj detektywi i umundurowany policjant, żeby przeszukać pańskie mieszkanie. Kazali dozorczy, Javierowi, otworzyć drzwi. No, wie pan, Javier natychmiast zadzwonił do mnie i... Doktorze Remler, niech pan zaczeka!

Byłem już kilka metrów dalej, kierując się prosto do wind. Gdyby jedna z nich stała na parterze, nie zdążyłby się zorientować.

I znowu:

– Doktorze Remler, proszę zaczekać!

Kiedy nadusiłem przycisk „w górę”, pan Gordon mnie dopadł.

– Mówi pan, że kiedy się to stało? – zapytałem.

– Mniej więcej pół godziny temu – odparł, łapiąc oddech. – Wtedy się tu zjawili.

– A kiedy odjechali?

– Byli w pana mieszkaniu jeszcze dziesięć minut temu. Przyjechała winda. Obaj

wsiedliśmy i nacisnąłem przycisk dwudziestego drugiego piętra.

Kiedy zamknęły się drzwi, pan Gordon odchrząknął.

– Może powinienem wspomnieć, że po przybyciu tutaj zażądałem, by jeden z detektywów pokazał mi nakaz rewizji. Wprawdzie nie jestem ekspertem w tych sprawach, ale dokument wyglądał na prawdziwy.

– Z pewnością był – powiedziałem.

– Czy to oznacza, że pan wie, o co im chodziło?

Obrzuciłem go przeciągłym, przenikliwym spojrzeniem. Wszyscy ludzie są wścibscy. Niektórych po prostu trudniej z tego wyleczyć.

– Nie, niestety nie – odparłem tonem sugerującym, że to nie jego interes. Chyba zrozumiał. Prawie.

– Jak może pan sobie wyobrazić, doktorze Remler, administracja będzie zmuszona przeprowadzić własne dochodzenie w tej sprawie.

Winda akurat zatrzymała się na dwudziestym drugim piętrze, co oszczędziło mi szukania odpowiedzi. Drzwi otworzyły się i ponownie wystartowałem jak faworyt, zostawiając pana Gordona w tyle, niczym starą chabetę. Z jakiegoś powodu oczekiwałem, że drzwi do mojego mieszkania będą oklejone pajączyną żółtej taśmy. Zapewne dlatego, że zeszłej nocy widziałem jej tyle w tamtym domu. Kiedy dotarłem do drzwi, nie zobaczyłem żadnego śladu świadczącego o wizycie, pożądanej czy nie. Nie wiadomo dlaczego to jeszcze pogorszyło sprawę.

Próżny trud, pomyślałem, chwytając klamkę.

Istotnie. Drzwi były zamknięte. Jakże rozsądnie ze strony policji. Boże broń, żeby ktoś inny zabrał coś z mojego mieszkania.

Wyciągnąłem klucze. Pan Gordon znowu mnie dogonił.

Otwierając drzwi, spodziewałem się najgorszego: hollywoodzkiej wersji rewizji. Powyciąganych szuflad, porzrzucanych ubrań, nieodłącznej rozerwanej poduszki i unoszącego się jeszcze w powietrzu pierza. Zabawne, ale hollywoodzka wersja rewizji niewiele się różni od hollywoodzkiej wizji włamania.

Stałem w progu i spojrzałem.

Nie było unoszącego się w powietrzu pierza. Prawdę mówiąc, mieszkanie wyglądało niemal tak, jak je zostawiłem. Niemal. Kiedy wszedłem do środka i zacząłem przyglądać się nieco uważniej, dostrzegłem ślady. Poduszki leżały inaczej, zasłony były lekko rozsunięte. Tak było w salonie.

Łatwo się domyślić, które pomieszczenie sprawdziłem w następnej kolejności. Wszedłem do kuchni i natychmiast zobaczyłem to, czego się spodziewałem. A raczej nie zobaczyłem, bo tego nie było. Mojego stojaka na noże. Zabrali cały zestaw J. A. Henckelsa. Oni? Kogo oszukiwałem? Nie wątpiłem, że to detektyw Lopez z uśmiechem satysfakcji zapakował go w plastikowy worek na dowody. Nie żeby Trentino dobrze się nie bawił. Ta szklanka wody, którą mu dałem i z której nie upił ani kropli, stała dokładnie w tym samym miejscu na kuchennym blacie. Tylko że teraz była pusta.

Zaczynałem naprawdę nie lubić tych facetów.

Poza tym w kuchni panował porządek, więc wróciłem do salonu. Tam odkryłem, że pan Gordon bawił się jak nigdy w życiu. Węszył po kątach, jakbym był Jeffreyem Dalimerem i trzymał poprzednich lokatorów – a przynajmniej ich resztki – zamarynowane w słoikach i czekające na odkrywcę.

– Trzymam ich w zamrażarce – powiedziałem.

Na dźwięk mego głosu podskoczył, o mało nie wywracając regału z pełnym wydaniem „Drugiej wojny światowej” Churchilla.

– Słucham? – powiedział z kiepsko udawaną nonszalancją.

– Nieważne. – Przygładziłem dłonią włosy. – Niech pan posłucha, panie Gordon, doceniam to, że przyjechał pan tutaj i osobiście zajął się sprawą. A teraz, jeśli pan pozwoli, muszę wykonać kilka telefonów, jak łatwo sobie wyobrazić. Tak więc, jeśli nic więcej nie mogę...

– Nie, nie, rozumiem – powiedział. – I tak muszę już iść. Nie ruszył się z miejsca. Musiałem ja to zrobić. Podszedłem do drzwi i szeroko je otworzyłem.

– Cieszę się, że nie odjechałem przed pańskim powrotem – dodał. – Nie chciałbym, żeby dozorca, a nawet Javier, przekazał panu tę wiadomość.

Spojrzałem na niego.

– Ja również, panie Gordon. Jeszcze raz dziękuję panu za wszystko, co pan zrobił.

Nadal nie ruszał się z miejsca.

– Może kiedy wszystko się uspokoi, zadzwoni pan do mnie i poda mi bliższe szczegóły – zaproponował.

– Z pewnością – skłamałem.

– To na pewno okropne nieporozumienie, prawda? Facet był jak kamień u szyi.

– Tak, właśnie tak – potwierdziłem. – Jedno wielkie nieporozumienie.

Uśmiechnął się, chociaż widziałem, że nie był przekonany. W końcu ruszył do drzwi. Idąc, sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel. Wyjął z niego wizytówkę.

– Może zadzwoni pan do mnie jutro – powiedział, podając mi ją.

Wziąłem wizytówkę i prawie wypchnąłem go za drzwi.

– Może – odparłem. Wyglądał, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale szybko wymamrotawszy „jeszcze raz dziękuję” i zamknąwszy mu drzwi przed nosem, zdusiłem ten pomysł w zarodku.

Żegnam, panie Gordon.

Rozdział 22

Nalałem sobie drinka. Potem następnego. Później podniosłem słuchawkę i wybrałem numer. Odebrała Stacy.

– Cześć, Davidzie – powiedziała. – Już go daję.

Zwykle pogawędzilibyśmy chwilę, ale najwidoczniej Parker wyjaśnił jej sytuację. Usłyszałem jego głos.

– Cześć, koleś.

Z nim też nie zamierzałem gawędzić. Od razu przeszedłem do rzeczy.

– Dranie przeszukali moje mieszkanie.

– Wiem – odparł Parker.

– Wiesz?

– Taak, dowiedziałem się o tym jakieś dwadzieścia minut temu. Od przyjaciela ze śródmieścia. Dzwoniłem do twojego gabinetu, ale najwyraźniej już wyszedłeś.

– Tak, i po powrocie do domu czekała mnie miła niespodzianka.

– Wywrócili wszystko do góry nogami, tak? – zapytał.

– Raczej poprzesuwali – odparłem. – Zabrali noże.

– To ma sens, zważywszy na to, że istotnie znaleźli narzędzie zbrodni.

– Czy to potwierdzona wiadomość?

– Tak.

– Zatem miałaś rację.

– Wierz mi, wolałbym się mylić.

– Gdzie go znaleźli?

– W zaułku opodal domu. Nóż był czysty: żadnych śladów krwi czy odcisków palców, ale natrafiono na niego pod jednym z okien sypialni. Biorąc pod uwagę, że ostrze pasuje do zadanych ran, jego przypadkowa obecność w tym miejscu musiałaby być naprawdę niezwykłym zbiegiem okoliczności.

– Mogą robić takie rzeczy? Po prostu wejść do mojego mieszkania i zabierać moje noże?

– Między innymi.

– O czym ty mówisz?

– Jeszcze nie wiem. Zdołałem się dowiedzieć tylko tyle, że oprócz noży znaleźli jeszcze jakiś obciążający cię dowód – odparł. – Co wpisali w protokole rekwizycji?

– W czym?

– To kartka, którą powinni zostawić. Jest na niej spis tego, co zabrali.

– Nie widziałem niczego takiego. Gdzie jej szukać?

– Powinna leżeć na widocznym miejscu, ale czasem chcą się trochę zabawić. Mogli równie dobrze przykleić ją do sedesu.

– Boki zrywać.

– Tak, wiem.

Sprawdziłem łazienkę. Zajrzałem do sypialni. Nigdzie nie było kartki.

– Gdzie jeszcze nie szukałeś? – zapytał.

– Tylko w bibliotece.

Jasne. Protokół rekwizycji leżał na siedzeniu mojego fotela przy biurku. Przytrzymał go dowód dobrego humoru przeszukujących. Starannie wybrana z mojej biblioteki książka „Zbrodnia i kara” Dostojewskiego.

Przeczytałem Parkerowi protokół. Istotnie, figurowały w nim dwie rzeczy, tyle że opisu drugiej – po nożach – z całą pewnością nie można było nazwać dokładnym. „Różne papiery”.

– Co to ma znaczyć? – zapytałem. – Przecież to może być wszystko.

– W tym rzecz. Nie chcieli, żebyśmy wiedzieli. Obejrzyj biurko. Czy czegoś na nim brakuje?

Pospiesznie przerzuciłem kilka stosików papierów.

– Na oko nie. Kiedy skończymy rozmawiać, sprawdzę dokładniej.

– Nie przejmuj się tym. Wkrótce i tak się dowiemy.

Ponownie spojrzałem na kwit.

– Czy oni nie powinni zostawić również kopii nakazu rewizji?

– Prawdę mówiąc nie, nie muszą tego robić. Jestem jednak pewien, że go mieli. Brak noża w twoim zestawie był wystarczającym powodem dla każdego sędziego – odparł, po czym zmienił temat. – Powiedz mi, znalazłeś coś w swoim gabinecie?

– Skoro o tym mowa, to tak. Sprawdziłem kartotekę. Conrad Birch odbył ze mną jedną jedyną sesję ponad rok temu.

– Nie żartuj.

– To nie wszystko. Wiesz, czym się trapił? Miał romans i chciał go zakończyć. Bał się, jak zareaguje kochanka. Opisał ją jako niebezpieczną osobę.

– Myślisz, że...

– Zdecydowanie istnieje taka możliwość – odparłem – że moja Tajemnicza Pacjentka była jego kochanką.

– Rzeczywiście musiałyby być niebezpieczna. Jednak to by wiele wyjaśniało, prawda?

– Tak, oprócz tego, dlaczego ja zostałem wrobiony w to morderstwo.

– Racja – przyznał Parker. – I to był twój jedyny kontakt z Birchem? Ta jedna sesja?

– Właśnie.

– Nie ma nic więcej w twoich notatkach?

– Nie, a przynajmniej nic nie rzuca mi się w oczy.

– W porządku, a teraz powiedz mi, że nie zapłacił ci za sesję gotówką.

– To byłoby coś, no nie? – zaśmiałem się. – Niestety, jestem pewien, że zapłacił czekiem lub kartą kredytową. Poproszę Mile, żeby zajrzała do ksiąg.

– Nie spieszy nam się, by dowieść, że go znałeś. Dobra wiadomość to ta, że wiemy, skąd go znasz. Zła, że powiedziałeś policji, że go nie znałeś.

– Nie możemy po prostu wyjaśnić dlaczego?

– Możemy, chociaż muszę to jeszcze przemyśleć. Nie mogą uzyskać wglądu do twojej kartoteki pacjentów, więc powstaje pytanie, jak mogą się o tym dowiedzieć.

– Nie chcę kłamać, Parker.

– Nie chcesz także iść do więzienia.

Na samą myśl przeszedł mnie dreszcz. Nabrałem tchu.

– To tylko sen, prawda?

– Obawiam się, że nie.

– Kiedy przyśni mi się coś przyjemniejszego?

Nie odpowiedział. Nigdy nie słyszałem bardziej złowieszczej ciszy.

– Jesteś tam, Parker?

– Jestem.

– Czego mi nie mówisz? Teraz to on nabrał tchu.

– Sytuacja wygląda tak – zaczął. – Zanim jednak wpadniesz w panikę, uwierz mi, nie jest tak źle, jak się wydaje.

– Parker...

– W porządku, w porządku – rzekł. – Jutro zostaniesz aresztowany pod zarzutem zamordowania Conrada Bircha.

Wpadłem w panikę.

Pozwolił mi na to przez chwilę. Jakbym był błękitnym marlinem, który właśnie połknął hak. Kłąłem. Szalałem. Wściekałem się. Dopiero kiedy zacząłem głądzić o więzieniu i życiu cwela, mój najlepszy przyjaciel zdecydował, że czas zwinąć żyłkę.

– No dobrze, oto co udało mi się na razie wynegocjować – zaczął. – Rozmawiałem z prokuraturą i policja otrzymała instrukcje. Nie przyjadą po ciebie. Zgłosisz się sam. W ten sposób nie będzie błyskających fleszy. Okazuje się, że Conrad Birch był grabą rybą na Wall Street. Wiedziałeś o tym?

Ledwie słyszałem, co Parker do mnie mówi.

– Davidzie, musisz się skupić – rzekł.

Miał rację i dobrze o tym wiedziałem. Musiałem wziąć się w garść. Skupić i skoncentrować. Chodziło o moje życie.

– Grubą rybą z Wall Street? Nie, nie wiedziałem o tym.

– Cóż, on najwidoczniej...

– Zaczekaj, wiedziałem!

Nagle przypomniała mi się moja pierwsza sesja z Samanthą Kent. A właściwie z fałszywą Samanthą Kent. Z trudem oswajałem się z faktem, że było ich dwie. Kimkolwiek była, twierdziła, że jej mąż jest znanym biznesmenem. Nawet zapytałem ją, czy to oznacza Wall Street. Przypomniałem sobie o tym ze względu na jej odpowiedź. Zacytowała zdanie, które podobno często powtarzał jej mąż. „Ponieważ tam są pieniądze”.

Jej perfidia była niesamowita. Doskonale pomieszała prawdę z fikcją. Wyjaśniłem to wszystko Parkerowi i obaj zgodziliśmy się, że teoria, iż Tajemnicza Pacjentka była kochanką Conrada Bircha nabiera prawdopodobieństwa.

– Wróćmy do mojego rychłego zapuszkowania – powiedziałem.

Nie mam pojęcia, jak w tej sytuacji zdobyłem się na lekki ton. Parker ciągnął:

– Mówiłem, że postaramy się maksymalnie złagodzić skutki. Obiecałem prokuraturze, że okażesz chęć współpracy, a oni przyrzekli mi spotkanie. Wprawdzie zostaniesz aresztowany,

ale podczas spotkania dowiemy się, co na ciebie mają. A ponadto szybciej staniesz przed sądem.

– To ma mnie pocieszyć?

– Tak, ponieważ stanie się to jeszcze tego samego dnia i nie spędzisz nocy w areszcie.

Potem mi podziękujesz.

– Zgodzili się na to wszystko?

– Nie od razu.

– Jestem niewdzięcznikiem, tak?

– Nie spodziewałem się, że będziesz fikał koziółki z radości, więc nie przejmuj się tym – odparł. – Teraz pomówmy o kaucji. Ile jesteś wart?

– Nie mam pojęcia.

– Na pewno coś masz. Zastanów się. Akcje, lokaty, oszczędności. Wynajmujesz mieszkanie, ale w razie potrzeby możesz liczyć na sporą sumę ze sprzedaży...

Parker zamierzał wspomnieć o sprzedaży domku nad jeziorem, który należał do mnie i Rebecki. Wiedziałem, dlaczego zamilkł. Zapewne pomyślał, że to chyba nie jest najlepsza chwila, żeby wspominać o mojej nieżyjącej żonie.

Za późno. Już zacząłem o niej myśleć i w rezultacie zatęskniłem za nią jak jeszcze nigdy w życiu. Sprawiała to samotność i gniew, nie mające nic wspólnego z tym, co nazywamy domem. Po prostu nagle uświadomiłem sobie, że to wszystko nigdy by się nie wydarzyło, gdyby Rebecca wciąż żyła.

– W każdym razie – dokończył Parker – spróbuj podać przybliżoną kwotę.

Zacząłem liczyć. Tantiemy za „Ludzkie wahadło” były jak manna z nieba.

– Trzy i pół miliona – powiedziałem mu w końcu. – Mniej więcej tyle jestem wart.

– Ile z tego w gotówce?

– Prawie dwa.

– Dobrze – powiedział. – W razie czego zawsze mogę ci pomóc uzyskać pożyczkę.

– Dzięki.

– Hej, od tego są przyjaciele.

– Tak. Kto by pomyślał?

– Wiem, że to paskudna sprawa...

– Nie o to chodzi. Zawsze wiedziałem, że jesteś moim przyjacielem. Tylko kto by pomyślał, że będziesz również moim adwokatem? Milczenie.

– To druga wiadomość – rzekł ostrożnie.

– Jaka?

– Nie będę twoim adwokatem.

Jeszcze jedna niespodzianka w tym pełnym wrażeń dniu.

– O czym ty mówisz? – zapytałem. – Czy chodzi o konflikt interesów?

– Nie, nie w tym rzecz – odparł. – Pierwszy bym ci o tym powiedział. Jestem nie najgorszym obrońcą w sprawach kryminalnych. I chociaż to nieźle brzmi, rzeczywistość nie wygląda tak różowo. Jestem tak dobry między innymi dlatego, że wiem, kiedy potencjalny klient potrzebuje czegoś, czego ja mu nie mogę zapewnić.

– Myślę, że się nie doceniasz, Parker.

– Nie w tej sprawie. Ona będzie zupełnie inna. Głośna. Będzie się o niej mówić i pisać. A to oznacza, że potrzebujesz kogoś równie sławnego. Kogoś, kto jest przyzwyczajony do rozgłosu. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc o lepszym prawniku.

– Jesteś pewien?

– Nigdy niczego nie byłem bardziej pewien. Sporo o tym myślałem i już wszystko załatwiłem. Spotkaj się ze mną w holu Chrysler Building jutro rano, punktualnie o dziewiątej.

– Chcesz mnie przedstawić prawnikowi, który jest lepszy?

– Nie – rzekł Parker. – Zamierzam cię przedstawić facetowi, który jest najlepszy.

Rozdział 23

Zanim tego wieczoru położyłem się spać, zadzwoniłem do Mili i powiedziałem jej, że biorę jeszcze jeden dzień chorobowego. Co najmniej. Ponadto potwierdziłem to, co już podejrzewała. To nie miało nic wspólnego z chorobą.

– Powiedzmy, że i tak nie zamierzałam ci ugotować *kasiczki* – powiedziała Mila.

To danie było jej wersją rosółu. Nieważne, że nie była to zupa i na pewno nie z kury.

Przeprosiłem za wykręty i jeszcze raz za to, że nie mogę opowiedzieć jej całej historii. Moja niechęć do podawania szczegółów była tyleż spowodowana wyczerpaniem, co dyskrecją. Wyjaśniłem, że problem ma związek z moją nową pacjentką, Samantha Kent. A raczej, jak powiedziałem Mili, kobietą podającą się za Samantha Kent.

– *Do prdele!* – wykrzyknęła, usłyszawszy tę wiadomość. Mimo bardzo ograniczonej znajomości czeskiego, nie miałem problemu z przetłumaczeniem. – Ok... !

Na zakończenie zapytałem Milę, czy mogłaby obejrzeć rachunek Bircha.

– Jest z tym jakoś związany? – spytała, przeglądając papiery.

– Bardzo możliwe – potwierdziłem, ale nie rozwijałem tematu.

Ona nie naciskała, zapewne wiedząc, że wyjaśnię jej to, kiedy przyjdzie czas.

– Mam – powiedziała. – Och, dobrze, zapłacił czekiem. W czerwcu zeszłego roku.

Mila zawołała „och, dobrze”, ponieważ robiła kserokopie wszystkich otrzymywanych czeków przed oddaniem ich do depozytu.

– Mam ci go dostarczyć? – zapytała.

– Nie, na razie się wstrzymaj. Dam ci znać, jeśli będę go potrzebował.

– Żaden problem. Jeszcze coś?

Rzeczywiście, było coś jeszcze. Zapytałem ją o te pierwsze emaile przysłane przez moją Tajemniczą Pacjentkę.

– Może masz je jeszcze na dysku?

Milczenie Mili było wystarczająco jasną odpowiedzią. Skasowała je.

Nie zdziwiłem się i nie byłem rozczarowany. Zważywszy na konsekwencję, z jaką Tajemnicza Pacjentka starała się zasłużyć na ten przydomek, bardzo wątpiłem, żeby pozostawiła elektroniczny ślad. Wyobrażałem sobie, jak siedzi przy jednym z tych publicznych terminali w kawiarence internetowej.

– Przepraszam, Davidzie – powiedziała Mila.

– Nie przejmuj się.

Dodałem jeszcze kilka krzepiących słów i pożegnałem się. Odłożyłem słuchawkę i wbiłem wzrok w ścianę. Nie miałem żadnego dowodu na poparcie moich słów.

Tej nocy spałem jak zabity może ze dwanaście minut.

Zaraz po dziewiątej następnego ranka spotkałem się z Parkerem w holu Chrysler Building, na rogu Czterdziestej Drugiej i Lex. Byłbym punktualnie, ale zastanawiałem się, co mam włożyć. Jak należy się ubrać przed aresztowaniem?

Gdy jechaliśmy windą na czterdzieste piąte piętro, Parker powiedział mi co nieco o człowieku, z którym mieliśmy się spotkać.

– Nazywa się Victor Glass.

Był starszym partnerem w spółce Edwards, Vode, Isadore & Locke, jednej z najstarszych w mieście i budzących zarówno szacunek, jak i strach.

– Założyciele byli bezwzględni – wyjaśnił Parker. – Z tych, co to kopną psa i zabiorą dziecku cukierka. Rozumiesz, a jeśli nie, to zwróć uwagę na skrótową nazwę firmy.

Zaczekał, aż złożę ją z pierwszych liter nazwisk założycieli. Edwards, Vode, Isadore & Locke* [Evil (j.ang.) – zły, zło.].

Uśmiechnąłem się z rozbawieniem.

– Oczywiście to było dawno temu – rzekł. – Teraz wszyscy nie żyją. Pewnie udzielają porad prawnych firmie Heli Inc.

Po czym wrócił do Victora Glassa.

Chociaż złośliwością nie dorównywał założycielom firmy, nie był miły i przyjacielski. Parker opisał go jako twardego, charyzmatycznego faceta, który w mgnieniu oka potrafi zmienić się z inkwizytora w czarusia i odwrotnie. Trzeba też dodać, że był błyskotliwym prawnikiem i wygrywał ponad osiemdziesiąt procent spraw. W przypadku prokuratora robiłoby to wrażenie. W przypadku adwokata specjalizującego się w sprawach kryminalnych, jakim był Victor, gwarantowało miejsce na prawniczym Olimpie.

– Skąd go znasz? – zapytałem.

– Spotkaliśmy się przed kilkoma laty na imprezie organizowanej przez stowarzyszenie prawników. Wkrótce potem pomogłem mu – wyjaśnił Parker. – Teraz on mi pomaga.

Wysiedliśmy z windy i weszliśmy do przestronnej, supernowoczesnej recepcji firmy Edwards, Vode, Isadore & Locke. Różniła się od tego, czego oczekiwałem po firmie o takiej długiej historii. Pomieszczenie było harmonijną kompozycją łuków i ostrych kątów, spartańsko umeblowane, oświetlone łagodnym światłem i ozdobione dziwnymi dziełami sztuki. Jakby Frank Lloyd Wright połączony z Frankiem Gehrym i Frankiem Zappą. Żadnego tradycyjnego mahoni.

– Zmienili wystrój – rzekł Parker, rozejrzawszy się. – Pociągnął nosem. – Bardzo niedawno.

– Ma zapach nowego samochodu, prawda?

Podeszliśmy do elegancko ubranej recepcjonistki, która nacisnęła guzik i zapowiedziała nas przez maleńki mikrofon połączony ze słuchawkami. Miała pięknie modulowany głos. Czekać na odpowiedź, kilkakrotnie stuknęła w klawiaturę komputera.

– W porządku, dziękuję – powiedziała do mikrofonu, po czym rozłączyła się. Spojrzała na nas z miłym uśmiechem. – Pan Glass przyjdzie do panów za kilka minut.

Usiedliśmy na czymś w rodzaju ławki obitej skórą. Chociaż wyglądała przerażająco, była bardzo wygodna. Parker sięgnął do nesesera.

– Masz – powiedział, wręczając mi teczkę.

– Co to jest? – zapytałem.

– Dossier prasowe Victora.

Wzięłem folder i spojrzałem na Parkera, lekko unosząc brwi.

– Ten facet ma dossier prasowe?

– Taa.

– Ty też je masz?

– Nie. Zrozumiałem.

Otworzyłem folder i zacząłem przeglądać rozmaite wycinki i kserokopie artykułów. Było ich zdumiewająco dużo. O Victorze Glassie pisano wszędzie, od „Harvard Law Review” po „Playboya”. Patrząc na jego zdjęcie zamieszczone obok artykułu w „Esquire”, zdałem sobie sprawę z tego, że już go gdzieś widziałem. Zapewne w telewizji, na jednym z kablowych kanałów informacyjnych. Nie zapamiętałem nazwiska, tylko twarz.

Tak jak Conrada Bircha.

Przeglądałem dossier. O Victorze Glassie naprawdę napisano wiele. W końcu natrafiłem na coś, co napisał on sam. Obszerny artykuł w „New York Times”, zatytułowany „Ślepa sprawiedliwość”. Argumentacja była prosta. Od adwokatów wymaga się odpowiedniego wykształcenia. Od sędziów również. Dlaczego nie od przysięgłych?

To była fascynująca lektura. Szczególnie kilka ostatnich akapitów.

W tym świetle rozważcie moją końcową tezę.

Dziesięciu z dwunastu sędziów przysięgłych na procesie O.J. Simpsona nie chodziło do college’u. Czy to powinno uniemożliwiać im korzystanie ze swobód obywatelskich? Oczywiście, że nie. Czy to powinno uniemożliwiać im decydowanie o swobodach obywatelskich innego człowieka?

Lepiej uwierzcie, że tak.

Okoliczności, które nie pozwoliły komuś na ukończenie college’u mogą być istotne przy ubieganiu się o pracę, ale nie dla wymiaru sprawiedliwości. Tu stawka jest zbyt wysoka. Pozostaje faktem, że poziom wykształcenia bezpośrednio wpływa na zdolność rozumowania, w tym na ocenę dowodów i zeznań świadków. Zaprzeczanie temu jest sprzeczne nie tylko ze zdrowym rozsądkiem, ale także z ponad setką prac opublikowanych przez niezależnych badaczy. Z „górną dowodów”, jeśli wolicie tak to ująć.

Od naszych adwokatów i sędziów wymagamy dyplomów college’u. Tymczasem, choć to naprawdę odpowiedzialne zawody, czyż może być bardziej odpowiedzialna praca od tej, jaką wykonuje przysięgły?

Może stanowisko prezydenta USA, ale ten przykład tylko potwierdza moją tezę. Wyobraźcie sobie, że moglibyśmy wybrać szefa państwa, który nigdy nie uczęszczał do college’u.

Victor Glass jest autorem książki „ Gdyby Jezus miał adwokata „. Jest prawnikiem na Manhattanie.

– Do waszej wiadomości: wylaliśmy dekoratora – usłyszałem.

Spojrzałem w kierunku biurka recepcjonistki i zobaczyłem stojącego tam Victora Glassa.

Był bez marynarki, a rękawy koszuli miał podwinięte do łokci. Bardzo ciekawe, pomyślałem. Nie przysłał po nas sekretarki, wołał powitać nas osobiście. Bardzo miłe podejście. Właściwie.

Parker ponownie rozejrzał się wokół.

– Hm, nie wygląda tak źle – rzekł, wstając.

– Owszem, jeśli jesteś Rayem Charlesem – odparł Victor.

Elegancko ubrana recepcjonistka usiłowała ukryć rozbawienie, a Victor podszedł i serdecznie uścisnął dłoń Parkera. Powiedzieli sobie wzajemnie, że cieszą się ze spotkania. Wstałem i Parker przedstawił mnie.

– Victorze, to jest David Remler.

– Istotnie – powiedział. – Rozumiem, że to nie jest pański najlepszy tydzień.

– A to dopiero wtorek – odparłem.

Victor błysnął zębami w uśmiechu. Miał bardzo białe zęby. Do tej pory chyba nie rozumiałem, co kryje się pod określeniem „hollywoodzka uroda”. Teraz rozumiałem. Szczupły i wysportowany, z włosami zaczesanymi do tyłu, był typem faceta, który zwykle gra prawnika w filmie. Tylko że on naprawdę był adwokatem i jeśli Parker miał rację, to jednym z najlepszych w tym fachu.

I najwyżej czterdziestoletnim.

– Może wejdziemy do mojego gabinetu – zaproponował – i porozmawiamy o tym, czy reszta tygodnia może być przyjemniejsza.

– Dobry pomysł – rzekł Parker.

Victor jeszcze raz obrzucił podejrzliwym spojrzeniem recepcję, a szczególnie rzeźbę w kącie. Była wykonana z metalowych łyżek.

– Nawet nie chcę wiedzieć, co to miało być! – prawie krzyknął, kręcąc głową.

Potem mrugnął do recepcjonistki, która lekko się zarumieniła.

Poszliśmy za nim długim korytarzem. Skręciliśmy w prawo, w następny długi korytarz. Po drodze minęliśmy kilka wielkich obrazów. Czterech dystyngowanych facetów, co jeden to z bardziej marsowym wyrazem twarzy.

– Niesławna Paskudna Banda – rzekł Victor, nie zwalniając kroku. – Przenieśliśmy tutaj te portrety, kiedy odnowiliśmy hol. Myślę, że wszyscy czterej mają mi to za złe.

Szliśmy dalej. Gabinet Victora znajdował się w narożniku budynku. Pilnowały go dwie sekretarki, obie w typie seksownej bibliotekarki. Jedna brunetka, druga blondynka.

– Nie łącz mnie z nikiem, Ashley, dobrze? – powiedział do blondynki, która siedziała po lewej stronie drzwi. Brunetka siedząca po prawej wstała i poszła z nami do gabinetu Victora.

– Panowie, chcecie kawę lub coś innego? – zapytał Victor. Obaj odmówiliśmy. Sekretarka numer dwa odwróciła się z uprzejmym uśmiechem i wyszła.

– No dobrze – powiedział Victor. Wskazał nam miejsca dla gości, czyli cztery przepastne klubowe fotele. Usiadłem i rozejrzałem się. Pod najbliższą ścianą znajdowała się ogromna biblioteka. Naprzeciwko wielki kredens. W kącie, przed panoramicznym oknem na East River, stało masywne biurko Victora. Nic dziwnego, że facet robił takie wrażenie.

Wszyscy trzej usiedliśmy.

– Jak tam Karen? – zapytał Parker Victora.

– Mówisz o mojej byłej żonie?

– Od kiedy byłej?

– Od kilku miesięcy.

– Przykro mi to słyszeć.

– Tobie i mojemu bankowi – odparł. Znowu się uśmiechnął. – Nie, żartowałem. Życzę jej wszystkiego najlepszego.

Z wielkiego stołu ze szklanym blatem wziął notatnik i długopis.

– No, dosyć o moich problemach.

Parker już zapoznał Victora z ogólnym obrazem sytuacji, utytułowanym „Jak mój przyjaciel David Remler wdepnął w to gówno”. Mimo to Victor chciał usłyszeć to z moich ust.

Od początku do końca. Poczynając od tego, jak ta kobieta Przyszła do gabinetu i przedstawiła się jako Samantha Kent. Opowiedziałem wszystko najspokojniej, jak umiałem. Victor kilkakrotnie przerywał mi, zadając różne pytania. Zdawał się myśleć dwutorowo. Pozornie chodziło mu tylko o uzupełnienie luk, tego, co wydawało się niejasne lub o czym Po prostu nie wspomniałem. Jednocześnie sprawdzał moją opowieść, pytając mnie o szczegóły. Co ona miała na sobie i kiedy? Jakie wino piliśmy w moim mieszkaniu? Takie szczegóły – Zdawał się przywiązywać większą wagę do sposobu, w jaki udzielałem odpowiedzi niż do ich treści. Wyraźnie chodziło mu o to, czy przypominam sobie te fakty, czy też je zmyślam.

– I w ten sposób spotkaliśmy się tu dzisiaj – podsumowałem.

Victor zapisał coś w notatniku, po czym przez chwilę przeglądał swoje zapiski. Potem podniósł głowę i spojrzał mi w oczy.

– No cóż, a więc zabił pan Conrada Bircha czy nie?

Na moment odebrało mi mowę. Czyżby ten facet wcale mnie nie słuchał?

– Przecież właśnie powiedziałem, że nie.

– Nic podobnego – odparł Victor. – Podał mi pan wszystkie argumenty przemawiające za tym, że pan tego nie zrobił.

Nie dostrzegalem tej subtelnej różnicy.

– W porządku – rzekł. – Zadałem pytanie i otrzymałem odpowiedź. Pańska reakcja jest wystarczająco wymowna. Nie zabił pan Conrada Bircha.

– Dobrze że przynajmniej mój adwokat mi wierzy – zauważyłem żartobliwie.

– Taak, tylko że ja nie będę pańskim adwokatem – rzekł Victor.

Spojrzałem na Parkera, który do tej pory siedział w milczeniu i słuchał. Teraz wyglądał na równie zaskoczonego jak ja. Rozłożyłem ręce.

– Czy nikt nie chce mnie reprezentować?

Parker już miał coś powiedzieć. Victor uprzedził go.

– Nie będę pańskim obrońcą – wyjaśnił. – Jeśli rzeczywiście dojdzie do procesu.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Ponieważ jestem facetem, oto dlaczego.

Zamierzał rozwinąć tę myśl, kiedy wtrącił się Parker, który zrozumiał jego intencje.

– Ponieważ zostaniesz oskarżony o zabicie faceta, a linia obrony ma opierać się na

obwinianiu kobiety – wyjaśnił.

Victor skinął głową.

– Co więcej, kobiety, której istnienia na razie nie możemy udowodnić – dodał. – Prokurator zgromadzi na ławie przysięgłych jak najwięcej kobiet i postara się, żeby dobrze przyjrzały się pogrążonej w żalu wdowie, siedzącej w pierwszym rzędzie.

– Och – tylko tyle zdołałem z siebie wydobyć. Victor ciągnął:

– Tak więc ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujesz, to takiego cwaniaka jak ja, reprezentującego cię w sądzie. Będę tam. Wezmę czynny udział w procesie. Dopilnuję, żeby wszystko przebiegło zgodnie z planem. Jednak tak naprawdę, potrzebny ci obrońca mający cycki.

– W dodatku duże – usłyszeliśmy.

Obejrzałem się. Wszyscy trzej obejrzelśmy się. Stała w drzwiach. Miała na sobie białą bluzkę i granatową spódniczką do kolan. Jednak najbardziej rzucał się w oczy jej pewny siebie uśmiech.

Przybyła moja pani adwokat.

Rozdział 24

– O wilku mowa – powiedział Victor, gdy weszła do pokoju.

Wstaliśmy.

– Nie, Victorze, wilk to ty – zaproponowała. Podeszła do Parkera i wyciągnęła rękę. – Jestem Terry Garrett.

– Parker Mathis – przedstawił się.

Uścisnęli sobie dłonie. Potem odwróciła się do mnie. Jednak zamiast podać mi rękę, zmierzyła mnie wzrokiem.

– Jest pan przystojny, to dobrze – zauważyła. – Może jednak nie będziemy mieli nic przeciwko przewadze kobiet w ławie przysięgłych.

Kiedy podziwiałem rzeczowy i beznamiętny sposób, w jaki oceniła mój wygląd, Parker zerknął na Victora. Przewaga kobiet w ławie przysięgłych? Victor też o tym wspomniał.

– Czyżbym się mylił, czy też ściany mają tu uszy? – zapytał Parker.

Victor wzruszył ramionami.

– Przepraszam. Chodzi o to, że mężczyźni w tarapatach znacznie bardziej się pilnują w obecności kobiety. Biorąc pod uwagę szczególną sytuację Davida, jego ewentualne zaangażowanie uczuciowe, chciałem mieć pewność, że niczego nie pominie w swojej relacji. Oczywiście, wolałem również uniknąć konieczności powtarzania tej rozmowy. – Wskazał na mikrofon stojący na stoliku obok. – Dzięki temu Terry jest na bieżąco.

– Chwała Wielkiemu Bratu – rzekł Parker. – Czy też raczej powinienem powiedzieć Wielkiej Siostrze?

– Hej, ja tu tylko sprzątam – wtrąciła Terry. – Zaskarżcie Victora. To on ma pieniądze.

– W tej firmie nikt nie jest ubogi – zauważył jej szef. Usiedliśmy.

– Terry jest najnowszym członkiem naszej rodziny. Przyszła do nas od Weissa, Stone'a i Wilcoxa z Los Angeles.

Victor powiedział to w sposób sugerujący, że nie chodzi o pierwszą lepszą kancelarię prawniczą.

– Wspaniała firma – zauważył Parker.

– Taak. No cóż, Weiss wciąż się do mnie nie odzywa – powiedział Victor.

– Myślę, że Victor wolałby sądzić, że mnie podkradł. W głębi serca zawsze byłam dziewczyną ze Wschodniego Wybrzeża.

– Drugą na roku na Wydziale Prawa Harvardu – rzekł Victor.

– Tak, a moją matkę interesowało tylko to, kto był pierwszy – powiedziała Terry.

– Chyba oboje mieliśmy tę samą matkę – zauważył Parker. Terry roześmiała się. Parker też. Victor rzucił jakiś żart.

Spojrzałem na nich z miną mówiącą wyraźnie: hej! Nie chcę psuć wam zabawy, ale jutro mają zamiar mnie aresztować!

Zauważyli to i szybko wróciliśmy do głównego tematu spotkania. Właściwie powinienem użyć trzeciej osoby liczby mnogiej. Podałem im piłkę, a oni przejęli ją i zaczęli dobierać

odpowiednią taktykę oraz warianty rozgrywki. Czy w budynku są zainstalowane kamery, które mogły zarejestrować moje ostatnie wyjścia i powroty oraz towarzyszące mi osoby? A jeśli tak, to jak długo przechowywano taśmy?

Po chwili podsunąłem im następny pomysł: należy spróbować odszukać taksówkarza, który wiozł mnie tamtej nocy. Na pewno zapamiętał faceta, który zapłacił mu po pięć dolarów za każde zignorowane czerwone światło. – Obawiam się, że to żadne alibi – powiedziała Terry. Nie chodziło jej o znikome szanse odnalezienia nieznanego kierowcy. Sens tych poszukiwań przekreślało to, że wszystkie okna w sypialni Conrada Bircha były otwarte. Rześkie nocne powietrze wychłodziło ciało do temperatury bliskiej zera, w rezultacie rozszerzając szacunkowy czas zgonu o kilka godzin. Tak więc miałbym dość czasu, żeby zabić Bircha, pojechać do domu i wrócić taksówką na miejsce zbrodni, udając, że chciałem pomóc pacjentce. No i pomysł psu na buty.

W końcu moja prawnicza trójka przeszła od omawiania faktów do układania taktyki na resztę dnia. Najpierw mieliśmy spotkać się z detektywami i przedstawicielem prokuratury. Potem stanę przed sądem, który wyznaczy kaucję.

Gdy Terry, Victor i Parker dyskutowali o taktyce, ja siedziałem w milczeniu i słuchałem. Z początku myślałem, że będzie mnie bronił mój najlepszy przyjaciel. Ten przedstawił mnie facetowi, który jego zdaniem najlepiej się nadawał do tej roboty. A facet stwierdził, że tak naprawdę to potrzebna mi do tego kobieta. Krótko mówiąc, nie powiedziałbym, że to mnie uspokoiło.

– Dobrze się czujesz, Davidzie? – zapytała po chwili Terry.

Widocznie nie wyglądałem najlepiej.

– Prawdę mówiąc, nie – odparłem. – Siedzę tu już od ponad godziny i wciąż czekam, aż ktoś wyjaśni mi jedno. Dlaczego jakaś kobieta postanowiła udawać żonę Conrada Bircha i wrobić mnie w jego morderstwo?

– Dlaczego? – powtórzył Victor. – Davidzie, może to zabrzmie trochę dziwnie, ale to naprawdę nieistotne. Szczególnie jeśli chodzi o uchronienie cię przed więzieniem. Tak więc nie przejmuj się dlaczego. Musimy zająć się przede wszystkim tym, jak przekonać sędziów, że tak mogło być.

– Mimo wszystko chciałbym to wiedzieć, ponieważ to nie ma sensu.

– Nie mam ci tego za złe – powiedziała Terry. – Jednak na tym polega problem z irracjonalnym postępowaniem. Każdy doszukuje się racjonalnego wyjaśnienia. – Posłała mi nikły uśmiech. – Zdaje się, że wyczytałam to w książce „Ludzkie wahadło”. Słyszałeś o niej?

– Coś mi się kojarzy – odparłem.

– A to nasuwa mi pytanie, na które chyba już znam odpowiedź – dodała. – Założę się, że w trakcie rozmowy z tobą Tajemnicza Pacjentka ani razu nie wspomniała o książce, prawda?

Zastanowiłem się.

– Tak, jestem pewien, że nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Terry zerknęła najpierw na Parkera i Victora, a dopiero potem na mnie.

– To tylko przecucie, ale założyłabym się o milion dolarów, że ona przeczytała „Ludzkie wahadło” od deski do deski. Jeśli nie kilkakrotnie.

Victor kiwnął głową i spojrzał na zegarek.

– Chyba już czas – oznajmił.

– Masz rację – przytaknął Parker. Zwrócił się do mnie. – Jesteś gotowy?

– Bardziej nie będę – odparłem. Obciągnąłem sportową marynarkę i strzepnąłem dłonią dzinsy.

Wszyscy wstaliśmy.

– No, to w porządku. – Victor podszedł do mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Chodźmy i dajmy cię aresztować.

Część 3

Rozdział 25

Sądzę, że David Byrne i jego grupa Talking Heads podsumowali to najlepiej w prostych słowach: „Jak się tu znalazłem?”.

Tu, czyli w nowojorskim Sądzie Najwyższym, ściśle mówiąc, na bardzo niewygodnym krześle przy stole obrońcy. Po mojej prawej siedziała Terry Garrett. Po lewej Victor Glass. Istna prawnicza kanapka, w której byłem wkładką. Być może mięsem armatnim, jeśli ktoś chciałby ocenić moje szanse.

Najpierw jednak wróćmy do zasadniczego pytania: jak się tu znalazłem?

Minęło siedem miesięcy od pierwszego spotkania w gabinecie Victora Glassa. Siedem miesięcy od kiedy przedstawiono mnie Terry Garrett. Od tej chwili przeszedłem skrócony kurs amerykańskiego systemu prawnego i przekonałem się o słuszności starego porzekadła: jeśli chodzi o poznanie wad i zalet czegokolwiek, nic nie zastąpi własnego doświadczenia.

Lekcja 1: Strzeż się darmowej opieki medycznej.

Tamtego pierwszego poranka z przestronnego wnętrza gabinetu Victora przenieśliśmy się do ciasnego pokoju przesłuchań w dwudziestym komisariacie. Był niewiele większy od szafy – w przybliżeniu dwa i pół metra na trzy. Wszystko w nim było z metalu. Meble. Żaluzje. Nawet letnia kawa, którą nas poczęstowali, miała metaliczny posmak.

Biorąc pod uwagę wyłącznie liczebność, siły obu zespołów były wyrównane. Po jednej stronie stołu siedzieli detektywi Trentino i Lopez. Dołączył do nich zastępca prokuratora okręgowego, niejaki Glenn Hemmerson. Był szczupłym, mniej więcej czterdziestoletnim mężczyzną o wielkich oczach, odstających uszach i fryzurze sugerującej, że albo on, albo jego fryzjer służył w wojsku. Na początku rozprawy wyjaśniono, że prokurator, który przybył na miejsce zbrodni, jest mocno zaangażowany w sprawę innego zabójstwa. Jego miejsce zajął Hemmerson.

Po drugiej stronie stołu siedział mój zespół. Trzyosobowa grupa. Parker, Terry i Victor. Odpowiednio, trzysta pięćdziesiąt, trzysta pięćdziesiąt i pięćset dolarów za godzinę. Hm. Parker trochę obniżał koszty, dając mi specjalną, stuprocentową zniżkę dla najlepszego przyjaciela. Pomimo to, nawet przy jego gratisowych usługach, czekały mnie spore wydatki. Wystarczająco poważne, żebym mimo woli liczył w myślach, kiedy Victor przed chwilą przeprosił i poszedł do toalety. Facet sikał za trzydzieści trzy dolce.

Wcale nie twierdzę, że nie był tego wart.

Szybko zdałem sobie sprawę z tego, że Parker oddał mnie w bardzo kompetentne ręce. Terry była ostra jak brzytwa i emanowała pewnością siebie. A ponadto, z braku lepszego określenia posłużę się terminem sportowym, umiała „grać ciałem”. Chociaż obaj detektywi sprawiali wrażenie nieco odporniejszych na jej urodę, Hemmerson, czyli zastępca prokuratora, wyraźnie był pod jej urokiem. Jego libido szalało. Ilekroć Terry zabierała głos, jej oczy – o długich rzęsach i tak dalej – zawsze kierowały się na Hemmersona. Za bardzo mu

się to podobało, żeby chciał protestować.

No i Victor.

Nigdy nie widziałem faceta, który w takim stopniu panowałby nad salą sądową. Oczywiście, wcale nie był układowy. Nie odwoływał się do zawodowej kurtuazji i nie puszczał im dymu w oczy. Pochlebstwa to nie w jego stylu. Jeśli już, to był arogancki, wyniosły i nieustępliwy. Prawdziwy pistolet. Nie miałem pojęcia, w jakim stopniu to tylko poza. Natomiast widziałem, że skuteczna. Trzymał przeciwną stronę na baczność i dyktował przebieg spotkania, co było wyczynem tym bardziej godnym podziwu, że miał w ręku bardzo niewiele atutów.

Jednak chociaż z przyjemnością patrzyłem, jak Trentino i Lopez nieco tracą pewność siebie, nie dało się zaprzeczyć, że zebrali sporo dowodów. Było gorzej, niż przypuszczałem. Znacznie gorzej.

Już to co wiedziałem, wchodząc na salę sądową, było wystarczająco przygnębiające. Znalazłem się na miejscu zbrodni z powodu, którego nie byłem w stanie dowieść. Zarzut numer jeden: narzędzie zbrodni było moją własnością. Zarzut numer dwa: te fakty były niepodważalne. Gdyby Trentino i Lopez ujęli swój wywód w formie testu, kratka obok pytania „Czy miał możliwość i okazję?” byłaby zakreślona.

Potem pojawiło się jeszcze coś. Motyw.

A przynajmniej silna poszlaka wskazująca na powód zbrodni. Skąd się wzięła? Z mojej biblioteki. W końcu wyjaśniło się, co kryło się pod pozycją „Różne papiery” w protokole rekwizycji.

Napisany na maszynie list parafowany przez Conrada Bircha i najwidoczniej wysłany do mnie miesiąc wcześniej. Gdy Hemmerson wyjął z teczki kserokopię listu i położył na stole przede mną, odtworzyłem w myślach wieczór z moją Tajemniczą Pacjentką. Jak wpadliśmy na siebie po przyjęciu koktajlowym wydanym przez Kesper Society. Jej samotną wycieczkę po moim mieszkaniu, gdy tylko weszliśmy do środka. Zabawne uwagi wykrzykiwane z biblioteki o tym, że spodziewała się wszędzie drewnianej boazerii i zamierzała uciec, jeśli zobaczy stojak na fajki. Fajne teksty. Odwracające uwagę. Dające jej czas potrzebny do podrzucenia listu. Zarzut numer trzy.

Pochyliłem się nad stołem i przeczytałem list. Victor, Terry i Parker zebrali się za moimi plecami i zrobili to samo. Dwa krótkie akapity, pojedyncza interlinia. Conrad Birch napisał, że nie podobają mu się moje pogrożki. Nie mógł niezwłocznie przelać pieniędzy na moje konto z powodu pomyłki banku. To wszystko. Nic się nie stało, co podkreślał z naciskiem, więc nie mam powodu do obaw. Wkrótce wszystko wyjaśni. Do tego czasu prosił mnie o cierpliwość.

– Czy może nam pan wyjaśnić, o co chodzi w tym liście, doktorze Remler? – zapytał Hemmerson.

– Nie, nie może – wtrącił szybko Victor, zanim zdążyłem coś powiedzieć.

– Nie może czy nie chce? – rzekł Hemmerson.

– Jedno i drugie – odparował Victor. – Dopóki nie uzyskamy ekspertyzy grafologa.

Hemmerson uśmiechnął się szyderczo.

– Doskonale – rzekł. – Może jednak jest to odpowiednia chwila, żeby ponownie dać doktorowi Remlerowi szansę odpowiedzi na pytanie, na które już raz odpowiedział. – Zwrócił się do mnie. – Czy znał pan Conrada Bircha?

Natychmiast spojrziałem na Victora, który nawet nie mrugnął okiem.

– Pan Birch był pacjentem doktora Remlera – powiedział. – Aczkolwiek tylko podczas jednej sesji.

– Słucham? – zapytał z niedowierzaniem Hemmerson.

– Słyszał pan – odparł Victor.

Sięgnął do teczki i wyjął kserokopię czeku Bircha, sporządzoną przez Mile.

Hemmerson zerknął na dokument.

– Czemu więc pański klient okłamał policję? – zapytał.

– Nieujawnianie tożsamości pacjentów jest zawodowym obowiązkiem doktora Remlera.

– Może w innych okolicznościach. Jednak ten człowiek był martwy. Zamordowany.

– To niczego nie zmienia.

– To pan tak twierdzi.

– Ja i co najmniej dziesięciu różnych sędziów w tym stanie, kiedy ostatnio to sprawdzałem.

Hemmerson nie miał pojęcia, czy Victor rzeczywiście odrobił pracę domową, czy też wspaniale blefuje. Spróbował inaczej:

– Zatem co z tak zwaną Tajemniczą Pacjentką doktora Remlera? Dlaczego nie objął jej tym przywilejem? Dlaczego bez oporu przyznał, że ją leczył?

Victor odparował błyskawicznie:

– Ponieważ była to kwestia życia i śmierci, oto dlaczego.

– Ma pan na myśli życie lub śmierć osoby, której istnienia oskarżony nie potrafi dowieść.

– Jak szybko zapominamy, na kim naprawdę spoczywa ciężar dostarczenia dowodów – rzekł Victor.

Hemmerson ponownie szyderczo się uśmiechnął.

– Gdyby ktoś mnie pytał, nie wygląda na to, żeby miał to być ciężki obowiązek.

Na tym zamknięto ten temat, przynajmniej chwilowo, co w znacznym stopniu odzwierciedlało wynik tego spotkania. Pewną nieuchronność wszystkiego, co dopiero miało nastąpić. Chociaż Victor był naprawdę dobry, jego interwencja nie rozwiała wątpliwości sądu. A Terry, pomimo swych umiejętności i uroku, nie była czarodziejką. Nie mogła sprawić, by wszystkie te przytłaczające dowody nagle rozplynęły się w powietrzu. Niezależnie od wszelkich starań moich prawników, mieliśmy przed sobą bardzo długą i wyboistą drogę.

– Jeszcze jedno – powiedział Hemmerson. – Zechciałby pan wyjaśnić, w jaki sposób i dlaczego krew pańskiego klienta znaleziono na ciele ofiary?

Parker zareagował błyskawicznie. Jakby przez cały czas czekał na to pytanie. Niczym środkowy napastnik na celne podanie.

– Po pierwsze, wiadomo panu, że doktor Remler zeznał, iż przypadkowo dotknął zwłok pana Bircha po ich znalezieniu – stwierdził zimno. – Natomiast co do tego, skąd macie próbkę

krwi doktora Remlera, cóż, pozostawmy tę kwestię pod rozwagę sądu, który podczas przesłuchania rewizyjno-dowodowego odrzuci nielegalnie uzyskane dowody.

Spojrzałem na Parkera. Terry i Victor również. Hemmerson także. Tylko Trentino i Lopez nie patrzyli na Parkera. Pewnie dlatego, że to on patrzył na nich. Właściwie przeszywał ich wzrokiem.

– Jak mam rozumieć pańskie słowa? – zapytał Hemmerson.

– Może powinien pan spytać o to swoich detektywów – odparł Parker. – Kiedy kazali sanitariuszowi oczyścić skaleczenie na czole doktora Remlera, z pewnością poprosili o pozwolenie pobrania próbki krwi do analizy, prawda?

Przypomniałem sobie wahanie Parkera, kiedy powiedziałem mu o sanitariuszu. Ten jego wyraźny, choć przelotny niepokój. Zapytałem go o to, a on odparł, że to nic poważnego.

A jednak to było ważne. Domyślił się, co tam zaszło, że detektywi dali znak sanitariuszowi. Wiedział, jakby przy tym był.

Zastępca prokuratora zerknął na Trentina i Lopeza, którzy nie zamierzali odezwać się słowem. Hemmerson najwidoczniej nie lubił niespodzianek. Szczególnie takich, które komplikują życie prokuratorowi. Mimo wszystko zdołał ukryć niezadowolenie.

– To bardzo dobry dowód. Parker pokręcił głową.

– Raczej bardzo wątpliwej wartości.

– Zobaczymy.

– Owszem, zobaczymy. Terry przerwała ten pojedynek.

– Panowie, może przejdziemy dalej – zaproponowała, nie odrywając oczu od Hemmersona.

Natychmiast zmiękł i entuzjastycznie przystał na ten pomysł. Jak grzeczny piesek. Terry kompletnie go zauroczyła. Odnosiłem wrażenie, że gdyby powiedziała: „Panowie, a może tak wszyscy po kolei skopimy Hemmersonowi tyłek, a potem wyrzucimy go przez okno”, entuzjastycznie zgodziłby się i na to.

Tymczasem Parker odwrócił się do mnie i lekko uniósł brwi. Jak bezgłośnie echo moich myśli. Czy domyślałem się, co detektywi knuli z sanitariuszem? Nie. Dopiero teraz zrozumiałem, co usiłował zasygnalizować mi już w trakcie lunchu. Gra przeszła na całkiem nowy poziom. Taki, na którym nie tylko obowiązują zupełnie inne reguły, ale czasem po prostu nie ma ich wcale. Będę musiał się przystosować.

Podsumowując, zapamiętajcie: strzeż się darmowej opieki medycznej.

Lekcja 2: Nie garb się.

Odciski palców. Policyjne zdjęcie. Wypełnianie formularzy. Po całym tym cyrku, jakim było spotkanie stron, wynik był zgodny z oczekiwaniami: żadna z nich nie zmieniła zdania. Odczytano mi moje prawa i oficjalnie aresztowano. Kodeks karny stanu Nowy Jork, paragraf 125.25. Morderstwo drugiego stopnia. Zanim przewieziono mnie do głównego aresztu przy Centre Street, ścienny zegar pokazywał wpół do drugiej. Sprawdziłbym godzinę na moim zegarku, ale zostawiłem go Parkerowi w komisariacie. Oddałem mu go na przechowanie,

razem z portfelem i pękiem kluczy. W przeciwnym razie policja umieściłaby je w za dużej kopercie, rzekomo w celu zabezpieczenia. To dziwne, że mamy „rzeczy osobiste” jedynie wtedy, kiedy jesteśmy w więzieniu lub martwi.

Tuż przed drugą znalazłem się w areszcie, czekając na dalszy rozwój wypadków. Na szczęście głównie dlatego, że zgłosiłem się dobrowolnie, przesłuchanie wstępne miało odbyć się jeszcze tego samego dnia po południu. Niestety, już po dziesięciu minutach siedzenia w areszcie zacząłem wychodzić z siebie. Do tej pory reakcję na to, co mi się przydarzyło, łagodziło wewnętrzne przekonanie, że wszystko się wyjaśni, że sprawiedliwość zwycięży. Teraz nie byłem już tego taki pewien.

I to śmiertelnie mnie przerażało.

Spojrzałem w kąt pomieszczenia i zobaczyłem patrzącą na mnie kamerę. To przypomniało mi ślepy zaułek, jakim zakończyła się jedna z prób udowodnienia, że moja Tajemnicza Pacjentka istniała naprawdę. Od administracji budynku, w którym mieszkałem, Terry dowiedziała się, że zainstalowane przez nich kamery wideo nie rejestrowały podglądu.

Okolo czwartej trzydzieści zostałem wyprowadzony z aresztu przez siwowłosego i grubego strażnika, który wraz ze mną skierował się długim korytarzem na salę sądową i ławkę pod ścianą. Chrząknął trzy razy, co uznałem za zaproszenie do zajęcia miejsca. Usiadłem, a on stanął obok.

Najpierw dostrzegłem Parkera. Siedział na drugim końcu sali. Posłał mi uśmiech i krzepiące skinienie głową. Na szczęście nie należał do facetów, którzy unoszą kciuk, bo w tym momencie na świecie nie było dosyć optymizmu, pozwalającego mi kupić taki gest.

Obok Parkera siedziała Terry. Przeglądała papiery, które trzymała na kolanach, ale nagle podniosła głowę i spojrzała na mnie. Ona również obdarzyła mnie uśmiechem i krzepiącym skinieniem głową. Potem dała mi znak, którego w pierwszej chwili nie zrozumiałem. Podparła dłonią brodę i powoli wyprostowała ramiona.

He?

Wyprostowała się jeszcze bardziej i wtedy zrozumiałem. Siedz prosto, Davidzie. Właśnie to chciała mi przekazać. Spojrzałem. Rzeczywiście, garbiłem się. I to mocno. Być może w ten sposób ciało reagowało na stan umysłu. Natychmiast podniosłem głowę i wyprostowałem plecy. Terry obserwowała to i kiedy skorygowałem postawę, mrugnęła do mnie. Znacznie lepiej, Davidzie.

Terry znów zajęła się papierami, a ja zacząłem się zastanawiać. Wynająłem adwokata czy matkę? Oczywiście po chwili zdrowy rozsądek doszedł do głosu i zrozumiałem. Pomijając obawy o skoliozę, właśnie otrzymałem pierwszą dobrą radę od mojego obrońcy. Rób dobre wrażenie. Bystrego. Niewinnego.

Niczego nie zakładaj z góry i wykorzystuj każdą okazję, by dać po sobie poznać, że zostałeś niesłusznie oskarżony.

Innymi słowy, prawidłowa postawa ma znaczenie. Zarówno dla sądu, jak i ławy przysięgłych.

Jednak na przesłuchaniu wstępnym był tylko sędzia. W dodatku stosunkowo młody. O blond włosach, kwadratowej szczęce i okularach w rogowych oprawkach. Obserwując go,

doszedłem do wniosku, że facet zapewne nie zna słowa „zwlekać”. Mówił szybko, żywo przy tym gestykulując, a kiedy ktoś nie odpowiadał niezwłocznie, popędzał go, mówiąc jeszcze szybciej. Gdybym powiedział, że błyskawicznie tracił cierpliwość, sugerowałbym, że takową miał. A nie miał. Przynajmniej ja niczego takiego nie zauważyłem. W ciągu pięciu minut zganił trzech prawników za to, że nie dość szybko odpowiedzieli na jego pytania. Czułem się jak kibic na meczu ping-ponga.

Po kilku minutach zostałem zawodnikiem. Woźny sądowy wywołał moje nazwisko donośnym głosem, będącym idealnym połączeniem apatii i znużenia. Pilnujący mnie strażnik wyciągnął rękę i oparł pulchną dłoń o moje wyprostowane plecy. Popchnął mnie, a ja wstałem. Podeszliśmy do masywnego dębowego stołu przed sędzią, gdzie dołączyli do mnie Parker i Terry. Dopiero wtedy zauważyłem, że nie ma Victora. Ledwie znałem tego człowieka, ale wiedziałem o nim dostatecznie dużo, żeby zaniepokoić się jego nieobecnością. Gdzie do diabła jest Vi...

Był tam. Właśnie przechodził przez podwójne drzwi na końcu sali, jednocześnie poprawiając krawat. Podeszedł do nas swobodnym krokiem, ze spokojną miną. W tej zatłoczonej sali – pełnej prawników, adwokatów i urzędników, którzy wyglądali tak, jakby chcieli w tym momencie być daleko stąd, Victor Glass sprawiał wrażenie więcej niż zadowolonego. Najwyraźniej czuł się tu jak w domu.

Znów miałem przy sobie trzyosobowy oddział, lecz zanim doszliśmy do sędziego, ten już oddał pierwszą salwę.

– Czy wnosicie o...

– Tak, wnosimy o odczytanie zarzutów, Wysoki Sądzie – odpalił Victor.

Znajdował się jeszcze ponad trzy metry od stołu. W innym sądzie uznano by to za przerywanie sędziemu. W tym spełniał jego oczekiwania, nie tracąc czasu.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Nastąpiła ożywiona wymiana zdań między sędzią a zastępcą prokuratora okręgowego. Hemmerson, najwidoczniej znający styl pracy sędziego, mówił dwukrotnie szybciej niż podczas naszego porannego spotkania. Mówił rzeczowo i, niemal nie patrząc w moim kierunku, podsumował zarzuty stawiane w sprawie wytoczonej mi przez naród. Do licha, nawet nie zerknął na Terry.

Następnie sędzia zadał kilka pytań Victorowi. Znaczna część z nich to był prawniczy żargon, a w połączeniu z szybkością, z jaką płynął z ich ust, równie dobrze mogliby mówić po portugalsku. Ja tylko stałem i starałem się nie garbić.

Sytuacja zmieniła się w chwili, kiedy Hemmerson wniósł o zatrzymanie mnie w areszcie. To zrozumiałem. Victor natychmiast zaczął wychwalać mnie jako wzorowego obywatela, który nigdy nie miał kłopotów z prawem. Prosił sędziego o ustalenie kaucji w rozsądnej wysokości. Hemmerson skontrolował, przypominając ciężar zbrodni, o jaką mnie oskarżono, i sposób, w jaki została dokonana – z okrucieństwem i brakiem poszanowania ludzkiego życia. Publiczny interes wymagał, żebym pozostał za kratami.

Victor już miał na to odpowiedzieć, gdy wtrącił się Parker, poprzedzając wypowiedź głośnym kasznięciem.

– Wysoki Sądzie – rzekł. – Doktor Remler jest psychologiem mającym wielu pacjentów, którzy często wymagają jego nieustannej opieki. Jak sądowi wiadomo, dotychczas jego wina nie została dowiedziona, tak więc przed podjęciem decyzji proszę zważyć negatywne skutki pozbawienia chorych porad doktora Remlera, które...

Sędzia mu przerwał. Parker i tak zdołał powiedzieć więcej niż ktokolwiek na tej sali.

– Nie sądzi pan, mecenasie, że pacjenci uciekną od uwielbianego doktora, gdy tylko dowiedzą się o jego kłopotach?

Parker uśmiechnął się.

– Z całym szacunkiem, Wysoki Sądzie, spodziewam się czegoś wprost przeciwnego.

– Dlaczegoż to?

– To proste – odparł Parker. – Nieszczęście uwielbia towarzystwo.

Nazwijcie to cudem. Sędzia na moment odchylił się w fotelu i zachichotał. Potem wyciągnął rękę, chwycił młotek i podniósł go.

– Wyznaczam kaucję w wysokości miliona dolarów – oznajmił.

Bach. Młotek opadł.

Mój trzyosobowy oddział i ja pospiesznie opuściliśmy salę, ponieważ sędzia natychmiast zajął się następną sprawą. Wyszedłszy na korytarz, podziękowałem Parkerowi za jego efektowne poczucie humoru. Terry też wyraziła uznanie i wspomniała, że kiedyś czytała artykuł, według którego ponad sześćdziesiąt procent sędziów korzysta z psychoterapii. Co do Victora, to z olśniewającym uśmiechem zapytał Parkera, czy jest zadowolony ze swojego obecnego pracodawcy. Uznałem to za prawdziwy komplement.

Lekcja 3: Ławnicy oskarżyliby nawet bulkę z szynką.

Wyszedłem za kaucją. Ta siedmiocyfrowa suma delikatnie przypominała mi o tym, że pospieszny wyjazd na długie wakacje w jakiejś południowoamerykańskiej wiosce to zapewne nie najlepszy pomysł. Mimo wszystko wolność, nawet jako słowo opatrzone wielką gwiazdką, pozostaje wolnością. Chociaż nie wiedziałem, czy nie jest tylko tymczasowa, z pewnością była lepsza niż jej alternatywa. Bez dwóch zdań.

Skutki uboczne.

Prawie sławna osoba oskarżona o zabójstwo innej prawie sławnej osoby oznacza żywe zainteresowanie wszystkich środków przekazu. W końcu Manhattan jest finansową i wydawniczą stolicą, nie wspominając już o niekwestionowanej palmie pierwszeństwa pod względem częstotliwości występowania neuroz, a tu psycholog i autor bestsellera został oskarżony o zamordowanie rekina z Wall Street. Zanim wróciłem do domu po załatwieniu formalności związanych z wpłatą kaucji, w holu budynku koczował tłum reporterów i kamerzystów. Mogłem tylko wyobrażać sobie minę zanego administratora, pana Roberta Gordona, kiedy się o tym dowiedział.

Przynajmniej nie będzie musiał oglądać tego w wieczornych wiadomościach. Gdy tylko taksówka wyjechała z za rogu i ujrzałem rząd zaparkowanych furgonetek, kazałem taksówkarzowi podjechać do służbowego wejścia. Wbiegłem do budynku, niezauważony

przez nikogo.

W mieszkaniu czekały na mnie wiadomości od dziennikarzy „Timesa”, „Journala”, „News”, „Post”, „Observera”, „Voice” i „Newsday”. Przedstawiciele CNN, CNBC, MSNBC, FOX i wszystkich lokalnych stacji również próbowali się ze mną skontaktować. Załatwiłbym sobie nowy, zastrzeżony numer telefonu, gdyby Parker nie powiedział, że reporterzy z łatwością zdobędą każdy potrzebny im numer, zastrzeżony czy nie. Tak samo jak detektywi.

– Najlepiej zrobisz, jeśli pozwolisz im przez kilka dni nagrywać się na automatyczną sekretarkę. Potem nikt nie będzie cię niepokoił aż do procesu.

Do procesu.

Nie użył sformułowania „chyba że dojdzie do procesu” czy „ewentualnego procesu” lub jakiegoś innego, sugerującego, że nie jest to jeszcze przesądzone. Słuchając Parkera, jak również Terry i Victora, odkryłem, że na tym świecie są tylko trzy – a nie dwa – pewniaki. Śmierć, podatki oraz proces Davida Remlera.

Przesłuchanie miało odbyć się za trzy tygodnie. Zakładałem, że będę zeznawał. Myliłem się. W porze lunchu, omawiając strategię w swoim biurze, Victor wyjaśnił mi, że choćbym uważał się za nie wiem jak elokwentnego i przekonującego, w rezultacie tylko bym się pograżył. Zapytałem dlaczego.

– Pamięć – odparł Victor, przetykając ostatni kawałek wołowiny z ryżem. – Pamięć jest najbardziej zawodną z wszystkich ludzkich umiejętności. Z natury wybiórcza i bardzo nietrwała. – Podniósł szklaneczkę z wodą mineralną i upił łyk. – W tym momencie możesz lub nie przypomnieć sobie sto procent wydarzeń z ostatniego miesiąca. Jednak gwarantuję, że po sześciu miesiącach niektóre fakty zatra się częściowo, jeśli nie całkowicie. A oni tylko na to czekają. Powiedz jedno na przesłuchaniu wstępnym, a drugie na procesie i bach! Prokurator oskarży cię o brak konsekwencji. Zrobi z ciebie pieprzonego Pinokia.

Spojrzałem na Victora, przetrawiając te słowa.

– Ponadto – dodał – ławnicy oskarżyliby nawet bułkę z szynką, gdyby ją przed nimi postawić.

No i tak. Otrzymałem lekcję numer trzy.

Oczywiście, sąd pierwszej instancji podtrzymał stanowisko prokuratury, co wedle mojej szybko rosnącej wiedzy prawniczej oznaczało, że zostałem oskarżony. Trzy dni później znalazłem się w Sądzie Najwyższym stanu Nowy Jork, gdzie wysłuchałem (ponownie) zarzutów. Przebieg tego spotkania niemal niczym nie różnił się od poprzedniego. Jediną nowością było to, że omawiano terminy rozpraw i wyboru ławy przysięgłych. Totalne nudziarstwo. Nic dziwnego, że nigdy nie widziałem tego w żadnym dramacie sądowym, jakie puszczają w telewizji.

Wciąż uczyłem się czegoś nowego. Każdy dzień przynosił nowe terminy prawnicze. Materiał dowodowy, kwestie proceduralne, analiza wieloaspektowa. Większość byłem w stanie zrozumieć, kiedy mi je wyjaśniono, przy innych tylko kiwałem głową. W końcu ograniczałem się do podstawowego pytania zadawanego przez licealistę: czy to będzie na egzaminie? Jeśli to coś nie miało ograniczać zdolności zrozumienia procesu, nie chciałem tego wiedzieć.

Jedynym wyjątkiem było przesłuchanie rewizyjno-dowodowe.

Chodziło w nim o ustalenie legalności zebranych dowodów i według harmonogramu było ostatnim przesłuchaniem przed procesem. Po raz pierwszy usłyszałem o nim podczas krótkiej wymiany zdań między Parkerem a Hemmersonem na temat sposobu, w jaki detektywi zdobyli próbkę mojej krwi. Słuchając, jak ci dwaj rozmawiali tamtego ranka w komisariacie, spodziewałem się potężnej eksplozji. Jednak lontu nie podpalono. W ten sposób otrzymałem kolejną porcję wiedzy o naszym systemie prawnym: czasem wystarczy grzecznie poprosić.

Właśnie to zrobił Hemmerson, który zadzwonił do Parkera dzień przed zapowiedzianym przesłuchaniem rewizyjno-dowodowym. Najwidoczniej zrozumiał, że chociaż ma spore szanse na uznanie próbki za legalny dowód, może jeszcze je zwiększyć, prosząc o pobranie nowej.

Istotnie, Parker wcale nie powiedział, że nie zamierzamy dostarczyć próbki mojej krwi. Chodziło mu jedynie o sposób, w jaki ją pobrano. O bezczelne wyłudzenie. Tak więc kiedy Hemmerson zadzwonił i uprzejmie poprosił o próbkę mojej krwi do analizy, Parker nie stawiał przeszkód. Zanim się obejrzałem, już miałem w pokoju sanitariusza, który wbił mi igłę w żyłę. Zabawne, ale odniosłem wrażenie, że jest to ten sam sanitariusz, co poprzednio.

Potem zapytałem Parkera, dlaczego wcześniej robił z tego wielkie halo.

– Jeśli nie miałeś nic przeciwko temu, żeby pobrali mi krew do analizy, dlaczego nie pozwoliłeś im wykorzystać pierwszej próbki?

– Ponieważ wszystko jest ważne, Davidzie. Szczególnie kiedy masz do czynienia z takimi facetami – odparł. – To, co powiesz i czego nie mówisz, czemu się sprzeciwiasz i co cię nie wzrusza. W tym przypadku było to tylko przyjacielskie napomnienie. Dobra rada.

– Jaka? – zapytałem.

– Nie pogrywajcie sobie z nami.

– Aha.

I tak to się toczyło.

Proces, do którego doszło wyjątkowo szybko ze względu na zainteresowanie mediów, rozpoczął się prawie siedem miesięcy po aresztowaniu. Był początek maja, ale nikt by tego nie odgadł, patrząc na termometr. Niezwykle zimna i wilgotna wiosna się nie skończyła i wyglądało na to, że do lata jest jeszcze daleko.

Wchodząc pierwszego ranka do gmachu sądu, Victor z najwyższą przyjemnością wygłosił oświadczenie do tłumu dziennikarzy, którzy tam przybyli. Omówiwszy już tę sprawę jako gość programu „Imus in the Morning” na kanale prawniczym oraz we wszystkich wiadomościach popołudniowych nadawanych na żywo w mieście, dopracował i wyuczył się na pamięć głównych tez.

Biuro Prokuratora Okręgowego popełniło okropną pomyłkę, oznajmił Victor. Tak zwane dowody były w najlepszym razie poszlakami. W odpowiednim czasie w wyniku tego procesu doktor David Remler opuści gmach sądu jako wolny człowiek. Do tego sprowadzała się jego przemowa.

Słuchając Victora, mimo woli pomyślałem, że jest po prostu stworzony do tego typu wystąpień. Podczas gdy wszyscy wokół niego kulili się i dreptali w miejscu w porannym

chłodzie, Victor stał spokojnie, prosty jak świeca. Był elokwentny. Był natchniony. Unosząca się z jego ust para tylko podkreślała to, co i tak było już oczywiste. Victor Glass ział ogniem i był gotowy do walki.

Niezły show.

Kim są ci wszyscy ludzie?, taka była moja pierwsza myśl po wejściu na salę sądową. Ławki po obu stronach zapchane były widzami, którzy jak jeden mąż odwrócili głowy, żeby gapić się na mnie. Cudownie. Gdyby stali i uśmiechali się, poczułbym się jak panna młoda.

Powiodłem wzrokiem po twarzach widzów. Niewątpliwie niektórzy byli reporterami, ale nie miałem pojęcia, kim jest większość. Z pewnością nie było wśród nich nikogo znajomego. Oczywiście poza Parkerem.

On już siedział w pierwszym rzędzie, tuż za stołem obrońcy. To miejsce dobrze odzwierciedlało jego związek ze sprawą – nieustanną obecność w pobliżu. Duchowe wsparcie. Czujną uwagę. Drugą linię obrony.

Z początku sądziłem, że Parker zostanie moim obrońcą. Potem powiedział mi, że nim nie będzie. Obaj myliliśmy się i obaj mieliśmy rację. Chociaż Parker miał innych klientów, którymi musiał się zajmować – takich, którzy płacili – ani na chwilę nie przestawał myśleć o moim procesie i układać planów działania. Nie musiałem być psychologiem, by wiedzieć, że czuł się odpowiedzialny za wybór obrońcy i chociaż zdawał się nie wątpić w słuszność tej decyzji, najwyraźniej robił, co mógł, żeby naprawdę okazała się słuszna. Byłem mu wdzięczny. Victor i Terry też. Jeśli w mojej sprawie dwie głowy były lepsze niż jedna, to trzy okazywały się wprost nieocenione.

– Stacy chciała tu przyjść, ale ma jakąś kryzysową sytuację w pracy – powiedział mi Parker, wstając z miejsca, żeby mnie powitać.

– Wyobraźcie sobie – odparłem. – Kryzys w kobiecym centrum kryzysowym.

Uśmiechnął się.

– Dobrze. Jesteś na luzie. To bardzo ważne.

– Mam nadzieję, że nie najważniejsze, bo w głębi duszy jestem cholernie spięty.

– Dopóki tego nie widać, to bez znaczenia. – Rozejrzał się wokół. – Hej, jeszcze nie zapytałem, czy twoi rodzice przylecieli?

– Chcieli, ale powiedziałem im, że będzie najlepiej, jeśli zostaną w domu – odparłem. – To dla nich i tak wystarczająco ciężkie przeżycie. Ostatnią rzeczą, jakiej im potrzeba, to przelecieć przez pół kraju, żeby przeżywać to z bliska.

Parker kiwnął głową i w tym momencie podeszli do nas Terry oraz Victor. Chcieli omówić ostatnie szczegóły związane z oświadczeniem początkowym. Parker brał udział w jego opracowaniu.

Kilka minut później otworzyły się drzwi na prawo od ławy. Sąd miał wejść na salę. Parker wrócił na swoje miejsce, a my skierowaliśmy się do stołu obrony, jednak nie wcześniej niż Terry pociągnęła mnie za rękaw i pospiesznie udzieliła jeszcze jednej rady.

– Zawsze siadaj pomiędzy mną a Victorem – powiedziała. – W ten sposób w razie potrzeby będziemy mogli jednocześnie szeptać ci do ucha.

Usiedliśmy. Terry po mojej prawej. Victor po lewej. Ja w środku. W środku tego

wszystkiego.

I możesz zadać sobie pytanie, jak ja się tu znalazłem?

Oto jak.

Rozdział 26

Westchnąłem:

– Nie idzie nam najlepiej?

Terry spojrzała na mnie znad notatek, nad którymi ślęczała przy biurku. Siedzieliśmy w jej gabinecie. Proces trwał już od trzech dni.

– Davidzie, jeszcze nawet nie pokazaliśmy, na co nas stać – odparła.

– Ale oni już to zrobili. Odniosłem wrażenie, że mocno nam dołożyli.

– Bo dołożyli.

– Och, wspaniale. Teraz czuję się znacznie lepiej. Kąciki jej ust uniosły się. Wesoły uśmiech nie pasował do następnych słów.

– A co mam ci powiedzieć? Że Tajemnicza Pacjentka wycięła ci niezły numer. Dostarczyła prokuraturze mnóstwo dowodów.

– To dlaczego się uśmiechasz? – spytałem. Zmrużyła oczy. Zarumieniła się.

– Ponieważ teraz nasza kolej.

Prokuratura spoczęła na laurach. Miała na czym, pomyślałem. Wobec ich dowodów na wszystko od A do Z, wyczerpującej analizy krwi, grafologa potwierdzającego prawdziwość podpisu Conrada Bircha na liście podrzuconym w mojej bibliotece oraz szczegółowych zeznań detektywów Trentina i Lopeza, nawet ja zacząłem się zastanawiać, czy nie zabiłem Conrada Bircha. Mogłem sobie tylko wyobrazić, co myśleli sędziowie przysięgli. Przysięgli.

– Nie bój się na nich patrzeć – poradził mi Victor, zanim rozpoczął się proces. – Nawiążuj kontakt wzrokowy. Nie uśmiechaj się, nie marszcz brwi, tylko patrz. Z pewnością niektórzy poczują się nieswojo i odwrócą wzrok. Jednak inni nie i właśnie na tych powinieneś się skupić. U tych ludzi sprawiedliwego wyroku nie wydaje umysł ani nawet serce. Wydaje go instynkt. Tak więc pozwól, żeby dobrze ci się przyjrzeni. Niech ich przeczucia mają oparcie.

Kiwnąłem głową. Jeśli chodziło o coś, co dzieje się na sali sądowej, bardzo rzadko – jeżeli w ogóle – Victor nie miał na ten temat wyrobionego zdania. A szczególnie dumny był ze swych umiejętności postępowania z przysięgłymi. Jak ich dobierać. Jak z nimi rozmawiać. Jak czytać w ich myślach. A nawet, co odkryłem, jak na nich patrzeć. Niektórzy ludzie lubią porównania sportowe, podczas gdy inni wolą cytować poetów i pisarzy. Jeśli chodzi o Victora i sędziów przysięgłych, to wszystko było prostą grą karcianą.

– Wszyscy myślą, że ławę przysięgłych tworzy dwunastu ludzi – powiedział mi. – Nie. Dwanaście osób zasiada, ale liczy się tylko dziesięć. Ponieważ dziesięć osób niemal zawsze potrafi przekonać pozostałe dwie. Szczególnie kiedy mają w perspektywie kolejną zarwaną noc. Tak więc skup się na dziesięciu, a wtedy wszystko sprowadza się do karcianej rozgrywki. Czy grasz w dzin, Davidzie?

– Częściej go piję.

– To wygląda tak – tłumaczył mi. – Ława przysięgłych to twoja ręka. Trzymasz w niej kilka dobrych kart, czyli ludzi, których z pewnością chcesz mieć. Teraz rozpoczyna się rozgrywka. Musisz wiedzieć, kogo potrzebujesz, a z kogo powinieneś zrezygnować. I przez

cały czas powinienes uważać na to, co robi przeciwnik. Kogo zatrzymuje, a kogo odrzuca. Jeśli jesteś dobry, sam ułatwi ci zadanie. Jeśli jednak nie będziesz uważał, to pomożesz mu wygrać. Oczywiście oprócz tego wszystkiego i niezależnie od twoich umiejętności, potrzebujesz trochę szczęścia, żeby zwyciężyć. – Victor pokiwał głową. – Tak jest przy grze w karty... i z ławą przysięgłych.

Ja również kiwnąłem głową. To była interesująca teoria. Jednak najbardziej przekonała mnie jego pewność siebie. On tak nie myślał, on wiedział.

Natomiast podejście Terry do sędziów przysięgłych bardziej pasowało do mojej łączki. Jej częste wzmianki o takich facetach jak Freud i Jung zdradziły mi, jaki dodatkowy przedmiot wybrała sobie na Princeton. Psychologię.

– Ja patrzę na to tak – powiedziała mi przed wyborem ławy przysięgłych. – Przeważnie wszystkich pisarzy darzy się sporym szacunkiem. Tak więc jednym z naszych zadań przy doborze ławników powinien być wybór jak największej liczby tych, którzy czytali „Ludzkie wahadło” albo chociażby słyszeli o tej książce. Prokurator, oczywiście, będzie dążył do wprost przeciwnego celu. Jednak wymowa książki stawia cały proces na głowie. „Ludzkie wahadło” głosi nieprzewidywalność ludzkiej natury. Twierdzi, iż wzorowe zachowanie o niczym nie świadczy i że każdy z nas w pewnych okolicznościach może popełnić zbrodnię. Nie ma wyjątków, nikt nie jest odporny na zło.

Skinąłem głową.

– Również autor.

– Szczególnie autor – podkreśliła Terry. – Każdy, kto czytał twoją książkę, musi wziąć pod uwagę pokusę, na jaką byłeś wystawiony. Mordując Conrada Bircha, mogłeś dowieść swojej racji.

– Zatem potrzebni nam sędziowie przysięgli, którzy nie czytają książek i nie znają mojej, tak?

– Właśnie. Poświęcimy szacunek na rzecz niewiedzy. Jednak nie potrzebujemy słabo wykształconych. Bóg wie, że Victor jest na to szczególnie uczulony.

– Tak. Czytałem jego artykuł na temat procesu J.O. Simpsona.

– To jeden z moich ulubionych – przyznała. – Nie, potrzebujemy mądrych, ale niespecjalnie odcytanych. Tych ostatnich będzie szukał nasz przyjaciel prokurator, chyba że go przeceniam.

Miała rację. Kiedy doszło do wybierania składu ławy przysięgłych, jednym z pierwszych pytań, jakie zadawał kandydatom Hemmerson, było, czy czytali „Ludzkie wahadło”. Ci, którzy czytali, natychmiast zostawali jego najlepszymi przyjaciółmi. Natomiast ci, którzy nie znali książki, stawali się przyjaciółmi Terry.

Walka trwała.

Jednak w końcu zwyciężyła rzeczywistość. Ludzi, którzy zrobili ze mnie autora bestsellera, po prostu nie było wśród kandydatów na przysięgłych.

– Dżin! – oznajmił Victor.

Z siedmiu wybranych kobiet oraz pięciu mężczyzn – wśród których było pięcioro białych, troje czarnych, troje Azjatów i jeden Latynos – nikt nie czytał „Ludzkiego wahadła”. Tylko

dwie osoby słyszały o tej książce.

Jeszcze nigdy nie byłem tak zadowolony z umiarkowanej popularności mojej książki.

Pomimo to Hemmerson maksymalnie wykorzystał ten atut. W ciągu trzech dni, podczas których przedstawiał sprawę sądowi, codziennie przypominał o książce. Wmawiał sędziom, że postanowiłem wprowadzić moją teorię w życie. Zaangażowałem się w jakieś ciemne interesy i objawiłem swą skrzętnie skrywaną, gwałtowną naturę. Na szczyt swej inwencji wspiał się drugiego dnia procesu, kiedy stanął przed ławą przysięgłych i głośno oznajmił całej sali sądowej, że już skontaktował się z redakcją „Księgi rekordów Guinnessa”.

Ponieważ tworząc „Ludzkie wahadło”, napisałem najdłuższe w historii wyznanie winy.

Pewien reporter radiowy, komentując tego wieczoru jego wypowiedź, zażartował:

– Można powiedzieć, że dosłownie przytrzasnął doktora Remlera jego własną książką.

Rozdział 27

Wciąż siedziałem w gabinecie Terry, oplakując sukcesy Hemmersona i prokuratury, kiedy wszedł Victor. Miał na sobie dwie części trzyczęściowego garnituru. Był bez marynarki, a rękawy koszuli równo podwinął do łokci.

– Zrobi to czy nie? – zapytał bez ogródek.

Nie chodziło mu o to, czy ufarbuję włosy. Pytał, czy będę zeznawał, czy nie. Właśnie o to mu chodziło: czy powinienem zeznawać.

Ryzyko polegało na tym, że Hemmerson mógł zastawić na mnie pułapkę, a ja mogłem w nią wpaść. Mógł mnie prowokować, wyprowadzać z równowagi, irytować. A kiedy człowiek się poci, ludzie uznają to za dowód winy. Gdybym jednak wytrzymał jego ataki – albo jeszcze lepiej, wzbudził sympatię przysięgłych – nagrodą byłaby bezcenna fontanna ich wątpliwości.

Zrobi to czy nie?

– Trudna sprawa – odparła Terry. – Szczególnie że Hemmerson dostał naprawdę dużo luzu. Mam wrażenie, że Lomax nigdy nie spotkał się ze sprzeciwem obrony, którego nie mógłby odrzucić.

Mówiła o sędzim Bartonie Lomaksie, starym sztywniaku, który zdawał się nie siedzieć w fotelu, ale z niego wyrastać.

W ciągu niemal trzydziestu lat sędziowania na Manhattanie ujawnił wiele różnych cech, z których – zdaniem Victora – żadna nie budziła sympatii. Lomax był uparty, sarkastyczny, niecierpliwy i nie tolerował podważania swego autorytetu.

Terry przyglądała mi się przez chwilę, wciąż zastanawiając się, czy powinienem zeznawać.

– Poczekajmy – powiedziała. – Zobaczmy, jak potoczą się sprawy w ciągu paru najbliższych dni, i wtedy zdecydujemy.

Victor odparł bez wahania:

– W porządku, ty tu jesteś szefem. Przyłożyła dłoń do ucha.

– Słucham?

– Spryciara – rzekł Victor. Odwrócił się do mnie. – „Ty tu jesteś szefem” to jej ulubione powiedzenie.

– Tylko wtedy, kiedy ty tak mówisz, szefie – dodała. Zachichotał i podciągnął jeden zrolowany rękaw powyżej łokcia.

– W porządku, co jeszcze?

– Lista świadków – odparła. – Przejrzyjmy ją.

Victor zajął miejsce w fotelu z obiciem w kwiatki. W porównaniu do tego, który stał w jego gabinecie, ten miał zupełnie przeciętne rozmiary.

Przez następne dwadzieścia minut rozmawialiśmy o różnych ludziach, którzy mogli uratować mój tyłek. Żadna z tych osób nie miała składać oświadczeń na temat mojego charakteru, gdyż moja dziewicza podróż po morzu literatury w zasadzie przekreśliła sens takiego świadectwa.

Następna sprawa: ocena strat.

Pierwsze i najpoważniejsze spowodowali detektywi Trentino i Lopez. Atutowe karty prokuratury. Obserwując ich i słuchając, łatwo było się domyślić, że w ciągu wielu lat pracy często stawali na podium dla świadków. W napiętej atmosferze procesu o morderstwo zachowywali wyjątkowo zimną krew. Starannie dobierali słowa, spokojnie formułowali opinie. Kiedy Hemmerson na początku poprosił każdego z nich o podanie stopnia, wreszcie zrozumiałem, co miał na myśli ten mundurowy, który powiedział do partnera, że przyjedzie „pierwsza klasa”. Jak Hemmerson wyjaśnił sądowi, ranga detektywa zależy od jego doświadczenia i umiejętności. Są detektywi pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia. Dowiedziałem się, że Lopez i Trentino są detektywami pierwszego, czyli najwyższego. W dodatku wyróżniającymi się w swoim fachu.

Hemmerson kazał im odtworzyć naszą rozmowę. Najpierw powtórzył ją Trentino, potem Lopez. Chociaż obaj praktycznie powiedzieli to samo, takie dwukrotne zeznanie sugerowało, że podają fakty, a nie swoją opinię. Uznałem to za oznakę współczesności. W dawnych dobrych czasach słowo człowieka noszącego odznakę było równie dobre jak czek. Teraz na ulicy czy w ławie przysięgłych nie znalazłoby się człowieka, który nie słyszał o komórce policji nazywanej wydziałem spraw wewnętrznych. Nie wspominając już o tym, że jego pracownicy zawsze mają mnóstwo roboty.

Tak więc Hemmerson najwidoczniej postanowił nie ryzykować. Opracował bardzo dokładny scenariusz, a detektywi ściśle się go trzymali. Co wcale nie oznacza, że obyło się bez niespodzianek. Hemmerson uwzględnił w scenariuszu kilka obciążających mnie uwag, nie mających żadnego oparcia w faktach. Przypominało to mecz piłki nożnej. Celnie podawał pytanie Trentinowi lub Lopezowi, którzy wbijali piłkę do siatki.

Na przykład:

– Niech mi pan powie, detektywie Lopez, czy zauważył pan coś dziwnego lub niezwykłego w zachowaniu oskarżonego, kiedy odwiedziliście go w jego mieszkaniu?

– Chyba tak – zaczął Lopez. – Moim zdaniem doktor Remler zachowywał się nieco dziwnie.

– Co pan przez to rozumie?

– Był trochę rozkojarzony. Zarówno detektyw Trentino, jak i ja czuliśmy od niego alkohol.

– Czy uważa pan, że był wtedy nietrzeźwy?

– Nie mogłem mieć pewności, nie używając alkometru.

Jednak zachowanie doktora Remlera niewątpliwie było niekonsekwentne. Raz okazywał chęć współpracy, to znów robił się agresywny.

Hemmerson udał, że jest wstrząśnięty – po prostu wstrząśnięty – tą odpowiedzią.

– Czy czuł się pan zagrożony? – zapytał.

– To pojęcie względne, ponieważ noszę broń – odparł Lopez, wyraźnie się nadymając. – Wystarczy powiedzieć, że moim zdaniem nie zachowywał się całkiem racjonalnie.

I tak dalej.

Oczywiście Terry przejechała się po tym, kiedy przyszła jej kolej. Zanim skończyła z

Trentinem i Lopezem, sąd dowiedział się, że moje „dziwne” zachowanie zapewne mogło mieć coś wspólnego z tym, że zostałem zbudzony przez dwóch detektywów. Następnie wpuściła Lopeza, który sugerował, że piłem. Zapytała go, czy jego zdaniem można było wyczuć alkohol w moim oddechu poprzedniej nocy, w domu Conrada Bircha. Z naciskiem wymówiła słowo „można”, a Lopez uczepił się tego jak pijany płotu.

– Czy można było? – powtórzył. – Tak, sądzę, że tak.

– Dlaczego więc nie nakazaliście badania alkomatem lub nie pobraliście próbki krwi doktora Remlera? W tej sytuacji wystarczyło samo podejrzenie, żeby uzyskać aprobatę sądu.

Lopez nie znalazł na to odpowiedzi. Wymamrotał coś o zamieszaniu, w którym nie wszystko dało się zrobić.

Mimo wszystko Hemmerson dopiął swego. Zasiał ziarno podejrzenia...

Zrobił ze mnie pijaka.

Zaprzeczenie byłoby równie skuteczne, jak wypieranie się sypania ze świnia. Obojętnie ile przedstawiłbym dowodów, przysięgli i tak wyobrażaliby sobie mnie kopulującego w błocie przed chlewem w rytm utworów Barry’ego White’a.

Jeśli było w tym coś pocieszającego, to tylko jedno: zdałem sobie sprawę z tego, że naprawdę za dużo piłem. A raczej, ściśle mówiąc, piłem z niewłaściwych powodów. Najpierw śmierć Rebecki, potem proces. W obu przypadkach usiłowałem znieczulić się alkoholem. Problem w tym, że znieczulenie było całkowite.

Widziałem zbyt wielu pacjentów, którzy nie rozumieli, że istnieje ogromna przepaść między nadużywaniem alkoholu a alkoholizmem. Mimo wszystko mniejsze zło z tych dwóch i tak pozostaje złem. Dlatego siedząc na sali sądowej z przyprawioną gębą zoofila, postanowiłem na jakiś czas odstawić alkohol. Zostać harcerzem. Krótko mówiąc, zdecydowałem, że nie będę potrzebował czterech lub pięciu kieliszków, żeby zasnąć.

Teraz, trzy dni później, siedząc w gabinecie Terry i omawiając zeznania detektywów, miałem ogromną ochotę na drinka.

Przeszliśmy do następnego tematu.

Mila.

Biedna kobieta. Tak bardzo chciała mi pomóc. Jednak stała się mimowolną przyczyną kłopotów i w rezultacie kluczowym świadkiem oskarżenia. Aczkolwiek niechętnym.

W sali sądowej Hemmerson rzekł:

– Pani Benninghoff, nigdy pani nie rozmawiała z kobietą, którą doktor Remler nazywał Sam Kent, ani jej nie widziała, prawda?

– Jestem pewna, że ona...

– Proszę odpowiedzieć tylko tak lub nie, pani Benninghoff.

Mila spojrzała na sędziego Lomaksa, jakby chciała zapytać:

„Czy on może to robić?”. Sędzia popatrzył na nią tak, jakby chciał powiedzieć: „Przykro mi, ale takie są reguły”.

– Nie, nigdy nie widziałam tej kobiety – powiedziała Mila do Hemmersona.

– Ani nie rozmawiała pani...

– Nie. Jednak próbowałam już...

– Dziękuję, pani Benninghoff. Tak więc nigdy nie rozmawiała pani ani nie widziała tej hipotetycznej Tajemniczej Pacjentki, ani nie widziała wpłaconej przez nią należności w innej formie niż gotówka, którą dał pani doktor Remler, zgadza się?

– Pan nie rozumie...

– Tak czy nie, pani Benninghoff?

– Nie.

– Co oznacza, że ta osoba równie dobrze mogła być wymyślona przez doktora Remlera, prawda?

– Nie.

– Nie? Dlaczego nie, pani Benninghoff?

– Ponieważ nie wierzę, żeby David mógł zrobić coś takiego.

– No właśnie – rzekł Hemmerson z taką miną, jakby Mila wpadła w pułapkę zastawioną przez Perry’ego Masona. – Ufała mu pani. A on wiedział, że pani mu ufa. Tym łatwiej mu było stworzyć tę fikcyjną postać.

Terry zgłosiła trzeci sprzeciw w ciągu najwyżej trzech minut. Pierwsze dwa dotyczyły nękania świadka. W ostatnim wytknęła, że Hemmerson nie zadał świadkowi konkretnego pytania. Za każdym razem sędzia Lomax reagował błyskawicznie. Odrzucony, odrzucony, oraz – co za niespodzianka – podtrzymany.

Z wyraźnie wyczuwalnym sarkazmem Lomax rzekł:

– Proszę odpowiedzieć tak lub nie, panie Hemmerson. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka?

Hemmerson natychmiast wycofał się rakiem. I tak już dopiął swego.

– Nie, Wysoki Sądzie. Nie mam więcej pytań.

Terry wstała i rozpoczęła krzyżowy ogień pytań, ale fakty były takie, jakie były. Mila tak samo jak ja nie mogła udowodnić, że jedyną zagadką nie było – jak twierdził oskarżyciel – istnienie lub nie Tajemniczej Pacjentki, ale jej tożsamość. Co więcej, dalsze zapewnienia Mili, że nigdy nie mógłbym sfabrykować czegoś takiego – a już na pewno nikogo bym nie zabił – tylko skierowałyby uwagę na moją książkę. Tak więc kiedy Terry podeszła do podium dla świadków i ciepło uśmiechnęła się do Mili, nie miałem pojęcia, jakie zada pytania. Okazało się, że tylko jedno.

– Pani Benninghoff, oskarżenie chciałoby, żebyśmy uwierzyli, że to doktor Remler przesłał pani emaile, podając się za Sam Kent. Jeśli jednak doktor Remler zamierzał stworzyć fikcyjną postać, którą później mógłby podawać za kochankę Conrada Bircha, to dlaczego najpierw kazałby pani sądzić, że to mężczyzna?

– Nie mam pojęcia.

– Ja również – powiedziała Terry, po czym zwróciła się do sędziego. – Nie mam dalszych pytań, Wysoki Sądzie.

Wtedy nie wiedziałem, o co jej chodziło. Teraz, w swoim gabinecie, zamierzała mi to wyjaśnić.

– Robią z ciebie geniusza zbrodni, Davidzie. Nie tylko zwodziłeś obcych ludzi, ale nawet tych, którzy bardzo dobrze cię znali. Byłeś sprytny, przewidujący, pomysłowy. Teraz

rozumiesz, co musimy zrobić, prawda?

– Co takiego? – zapytałem. Terry uśmiechnęła się.

– Musimy dowieść, że mają rację. Udowodnić, że naprawdę jesteś geniuszem zbrodni.

Wytrzeszczyłem oczy, a Victor parsknął śmiechem.

– To mi się podoba – rzekł. – Nawet bardzo.

– A co ty o tym myślisz, Davidzie?

– Myślę, że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Zostałeś przyłapany! – przypomniała. Victor wtrącił radośnie:

– To jedyny punkt, którego nie wyjaśniło oskarżenie. Jeśli jesteś taki sprytny, to dlaczego dałeś się tak głupio złapać. Kiedy to wytkniemy, przysięgli zaczną się zastanawiać, czy prawdziwym geniuszem zbrodni nie jest czasem ktoś inny.

– Nie rozumiesz, Davidzie? Jeśli zaczną się zastanawiać, może uda nam się ich przekonać

– powiedziała z zapalem Terry – że nasza Tajemnicza Pacjentka jest jak najbardziej realna... i pozostaje na wolności.

Rozdział 28

Parker sięgnął po czek, a ja natychmiast wyrwałem mu go z ręki.

– Chyba żartujesz – powiedziałem.

Parker zerknął na siedzącą przy stole obok niego Stacy, po czym znowu na mnie. Wzruszył ramionami.

– O co ci chodzi?

– Po tylu godzinach darmowej pracy dla mnie naprawdę sądzisz, że pozwolę ci postawić mi obiad?

– On ma rację, kochanie. – Stacy mrugnęła do mnie. Z udawanym rozczarowaniem pokręciła głową. – Wiedziałam, że powinnam zamówić homara.

Był piątkowy wieczór i siedzieliśmy we troje w Manhattan Ocean Club. Przy kolacji obowiązywała jedna zasada: żadnych rozmów o procesie. Przez większą część wieczoru udawało nam się jej przestrzegać. Na szczęście przyćmione światło i przytłaczająca przewaga turystów sprawiły, że nikt mnie nie rozpoznał. Zainteresowanie mediów procesem wcale nie osłabło.

Położyłem na stole kartę kredytową, a kelner natychmiast ją zgarnął.

– Wiesz, zapewne mógłbym to przełożyć – powiedział Parker.

– Nie mów głupstw – odparłem.

Mówił o szeregu spraw, które w ciągu kilku nadchodzących dni musiał załatwić dla jednego z klientów. Z tego powodu nie mógł pojawić się na procesie.

– Może ja mogłabym przyjść – odezwała się Stacy. – W ostatnich dniach w ośrodku kryzys został już opanowany.

Roześmiałem się.

– Jesteś niewątpliwie najgorszą kłamczucha na świecie – powiedziałem jej. – Jeśli w Crescent House czasem bywa spokojnie, to w twoim ośrodku trwa nieustający kryzys. Nawet nie myśl o tym, żeby się wymknąć tylko po to, żeby udzielić mi moralnego wsparcia.

Stacy zwróciła się do Parkera.

– Naprawdę jestem taką kiepską kłamczucha?

– Najgorszą – rzekł.

– A co mnie zdradza?

– Twoja twarz. Kurczy się, kiedy wciskasz kit.

– Kurczy?

– Taak, jakbyś jadła cytrynę.

Stacy spojrzała na mnie. Skinąłem głową.

– Wspaniale – powiedziała szczerze rozbawiona. – Jednomyślni świadkowie.

– Och – jęknął Parker. – Uwielbiam, kiedy odzywa się jak prawnik.

Zarobił kuksańca.

– A skoro mowa o Crescent House – znów zwróciła się do mnie – to jakie skutki wywarł twój proces?

– Wiesz jacy są psychoterapeuci – odparłem. – Wszystko jest wielowarstwowe. Oficjalnie jestem niewinny, dopóki nie udowodnią mi winy. Nieoficjalnie do czasu ogłoszenia wyroku powinienem ograniczyć moją obecność w przychodni. Do minimalnej lub żadnej.

– Co za wielkoduszność – mruknęła.

– Ty mi to mówisz. Chociaż może powinienem powiedzieć, że wcale nie mam im tego za złe. Planujemy rozszerzyć działalność, więc najważniejsze jest zdobywanie funduszy. Podejrzany o morderstwo osobnik zasiadający w radzie nadzorczej może źle wpłynąć na dotacje. Łatwo to sobie wyobrazić.

– A można by sądzić, że w jakiś perwersyjny sposób przyciągnie ofiarodawców – zauważył Parker.

– Zabawne, ale dokładnie to samo powiedziałem niedawno Bennettowi Larsonowi. Jest opoką Crescent House, jeśli chodzi o pieniądze. Obawia się, że Arnold Kesper zamierza cofnąć dotację.

– A ile dał?

– Milion.

– Poważnie?! – wykrzyknęła Stacy. – Muszę umieścić mój ośrodek na liście jego gości.

– Uważaj, bo może ci się to uda – ostrzegłem.

– A co, ten facet naprawdę jest taki stuknięty?

– Prawdę mówiąc, tak. Męczył mnie o zeznanie na procesie rabina. Jednak miałem na myśli całe to jego przyjęcie.

– Mówisz o tym, po którym lekkomyślnie zaprosiłeś Tajemniczą Pacjentkę do swojego mieszkania?

Parker parsknął śmiechem.

– No, ładnie, bardzo taktownie, kochanie.

Ja również się roześmiałem. Stacy rzadko, jeśli w ogóle, była taka bezpośrednia.

– Tak, poważnie, przestań owijać w bawełnę, dobrze?

– Hej, czasem potrzeba kobiety, żeby wyjaśniła, jak stoją sprawy – powiedziała z uśmiechem. – Jednak to mi coś przypomina w związku z tamtą nocą. Czy portier nie widział, jak z nią wszedłeś?

– Widział, ale nie pamięta, jak wyglądała – odparłem. Parker z niesmakiem potrząsnął głową.

– Owszem, przesłuchaliśmy tego faceta, ale nic nam to nie dało. Przyznał się, że z trudem poznaje wszystkich lokatorów.

Już miałem rzucić żarcik łączący lobby z lobotomią, gdy zauważyłem coś kątem oka. Zbliżał się do mnie mężczyzna. Zdumiewający zbieg okoliczności. Zaledwie minutę po tym, jak wspomniałem o Arnoldzie Kesperze, który zamęczał mnie pytaniami o proces rabina, przy naszym stoliku zatrzymał się prokurator prowadzący tamtą sprawę. Ethan Greene.

– Teoretycznie nie powinienem z panem rozmawiać – rzekł i zachichotał.

– Wiem. Bratanie się z wrogiem – odpaliłem. Uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem przedstawiłem mu Parkera i Stacy. Parker i on słyszeli o sobie, ale jeszcze nigdy się nie spotkali.

– Czy jest coś, co może pan zrobić dla gwiazdy tamtego procesu? – zapytał Ethana.

– Przykro mi – odparł. Spojrzał na mnie. – Wiem, że jestem panu coś winien, ale w tej sytuacji nie mogę się odwdzińczyć.

Powiedziałem, że to rozumiem, bo tak było.

– Hemmersona i mnie raczej nie można nazwać przyjaciółmi.

– Dlaczego? – spytałem.

– Żadnych szkolnych animozji – odparł. – Powiedzmy, że nie zawsze jednakowo patrzymy na niektóre sprawy. – Zachichotał. – A ponadto dlatego, że za każdym razem dostawał ode mnie po tyłku, kiedy graliśmy w tenisa. Ten facet nie lubi przegrywać.

– Ja też odniosłem takie wrażenie – przyznałem.

– Jednak z tego, co słyszę, jest pan w dobrych rękach, Davidzie.

– Muszę za to podziękować Parkerowi.

– Tylko jeśli wygramy – wtrącił mój przyjaciel.

Ethan skinął głową.

– Terry Garrett wie, co robi. A jeśli chodzi o Victora Glassa, to on wie wszystko.

Ethan zerknął przez ramię w kierunku swojego stolika. Siedząca tam młoda kobieta upiła łyk wina.

– Czy to pańska żona? – zapytałem.

– Może kiedyś, jeśli dobrze to rozegram.

– W takim razie lepiej niech pan nie każe jej czekać. Ponownie podaliśmy sobie rękę. Tym razem jego uścisk był silniejszy. Spojrzał na mnie prawie ze współczuciem.

– Wie pan co? – zaczął. – Stoję tutaj i mówię sobie, że pan tego nie zrobił. Sęk w tym, że myślę tak z powodu tego wszystkiego, co pan napisał w swojej książce, a co właściwie przekreśla sens takiego myślenia. Co mam powiedzieć?

– Może po prostu życzyć mi szczęścia?

– To mogę zrobić – rzekł. – Powodzenia, Davidzie.

– Dziękuję. Będzie mi potrzebne.

Ethan odszedł i dołączył do swojej dziewczyny. Po chwili kelner wrócił z rachunkiem i kartą kredytową. Napiwek, suma i podpis. Mogliśmy iść. Jednak Parker, Stacy i ja siedzieliśmy w milczeniu. Udało nam się nie rozmawiać o procesie. Natomiast po spotkaniu z Ethanem wydawało się, że o niczym innym nie mówiliśmy.

Stacy próbowała ratować sytuację. A przynajmniej tak jej się zdawało.

– Chcesz, żebyśmy zajechali do ciebie jutro wieczorem i zabrali cię? – zapytała.

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem.

– Dokąd?

– Na przyjęcie Cassandry – odparła z miną oznaczającą „Hej, wróc na ziemię”. – Nie mów mi, że znów mamy cię namawiać.

– Nie, nie musicie tego robić – powiedziałem.

– To dobrze. – Stacy odetchnęła z ulgą.

– Nie, niedobrze – rzekł Parker, pojmując sytuację.

Zostałem oskarżony o morderstwo. Najwidoczniej to wystarczyło, żeby Cassandra Nance

skreśliła mnie z listy gości, na której zawsze figurowałem. Byłem teraz persona non grata na przyjęciach koktajlowych w Upper East Side.

– Nie zostałem zaproszony – wyjaśniłem.

– To niemożliwe. – Stacy zbyła to machnięciem ręki.

– Czy teraz powinniśmy powiedzieć, że to na pewno przeoczenie? – zapytał Parker.

Kiwnąłem głową.

– Uhm.

– Jest choć cień szansy, że nam uwierzysz?

– Nie.

– Och, chłopcy, dajcie spokój – wtrąciła Stacy, nie mogąc pogodzić się z moim nowym statusem pariasa. – Z pewnością zaproszenie zginęło na pocztce.

Zerknąłem na nią z ukosa.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Prawdę mówiąc, tak. Zacząłem się śmiać.

– No, co? – zjeżyła się. Zaśmiałem się jeszcze głośniejsze.

– O cholera, skrzywiłam się, prawda?

Demonstrując poparcie i protestując przeciwko niesprawiedliwemu potraktowaniu mojej osoby, Parker i Stacy zbojkotowali przyjęcie Cassandry. Wybrali się do kina. Nie chcąc być piątym kołem u wozu, odrzuciłem ich zaproszenie i nie poszedłem z nimi.

Siedząc w kuchni nad chińszczyzną na wynos, mimo woli rozmyślałem o przypadkowym spotkaniu z Ethanem Greene'em. To rzeczywiście był niezwykle zbieg okoliczności.

Jednak na tym się nie skończył.

Kilka godzin po tym, jak zjadłem ciasteczko szczęścia, włączyłem lokalne wiadomości. Sensacją numer jeden było morderstwo w Queens. Na drugim miejscu było samobójstwo na przedmieściach Nowego Jorku.

Słuchałem ze zdumieniem, jak prezenterka mówiła o „procesie rabina, który wstrząsnął miastem” w zeszłym roku. Następnie na ekranie pokazano rabina, a potem kobietę, za zabójstwo której został skazany. Kiedy znowu pojawiła się prezenterka, powiedziała po krótkiej i precyzyjnie odmierzonej chwili milczenia:

– Dziś wieczorem ten rabin umarł.

Jego śmierć wyglądała na samobójstwo. Chociaż słowo „wyglądała” niezbyt pasuje do sytuacji, kiedy powieszono go znajduje się w zamkniętej więziennej celi. Gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, „wiarygodne źródła” doniosły, że rabin zostawił pożegnalny list. W tym liście przyznał się do morderstwa. Rzeczywiście zamordował tę kobietę.

I jeszcze coś.

Obraz na ekranie znowu się zmienił, gdy prezenterka oddała głos reporterowi stojącemu przed Butler Correction Facility w okręgu Wayne. Mając w tle więzienne druty, wyjaśnił, w jaki sposób rabin „zakończył życie”.

Pokrętne drogi losu – przy czym kluczowym słowem jest określenie „pokrętne” – sprawiły, że zabił się dokładnie w taki sposób, jaki jego obrońcy usiłowali przypisać jego

ofierze. Popęłnił samobójstwo przez uduszenie.

Za pomocą sznurowadła i łyżki rabin postanowił pojednać się ze swoim Bogiem.

Obejrzałem jeszcze wiadomości sportowe i prognozę pogody. Mimo to nie potrafiłbym powiedzieć, kto wygrał jaki mecz i czy na początku tygodnia wreszcie się ociepli. Kiedy ta sama prezenterka kazała mi czekać na sobotnie wiadomości na żywo, wyłączyłem telewizor i poszedłem spać. Nie miałem pojęcia, co powiniennem teraz czuć.

Dlatego w końcu nie czułem nic.

Rozdział 29

– Dziwisz się, że mnie tu widzisz? – zapytała.

Był poniedziałkowy ranek i właśnie wyszedłem z męskiej toalety w gmachu sądu. Dopiero co minęła dziewiąta. Za kilka minut sąd miał wezwać pierwszego świadka obrony w mojej sprawie. Przystanąwszy na moment przy kaloryferze, żeby zawiązać sznurówkę, poczułem lekkie klepnięcie w ramię. Odwróciłem się i zobaczyłem ją. Uśmiechniętą.

Spojrzałem na nią... i też się uśmiechnąłem.

– Naprawdę cieszę się, że cię widzę – powiedziałem. To była Emily Morgan. Teraz, w poniedziałek o dziewiątej, powinna być w moim gabinecie. Była siedemdziesięcioczworoletnią wdową i od ponad trzydziestu lat mieszkała w tym samym lokatorskim mieszkaniu na rogu Lex i Osiemdziesiątej Ósmej. Znałem ją od czterech lat. Jeśli ktoś mógł podważyć prawdziwość „Ludzkiego wahadła”, to tylko ona. Była naprawdę porządnym człowiekiem.

– Czy zdajesz sobie sprawę, Davidzie – powiedziała, spoglądając w głąb długiego korytarza – że przez wszystkie lata, jakie spędziłam w tym mieście, moja noga nigdy nie powstała w tym budynku?

– Uważaj się za szczęściarę – odparłem.

– A skoro o tym mowa – dodała – to również nigdy nie jadłam w Tavern on the Green.

– Obawiam się, że niewiele straciłaś.

– Naprawdę? Te wszystkie światła... Tak ładnie wygląda z zewnątrz.

Rozgrzewała się. Przygotowałem się na następną luźną pogawędkę – jedną z tych, w których Emily Morgan była niezrównana – i nie pomyliłem się. Przez chwilę opowiadała mi o jedynej przejazdce bryczką, kiedy to objechała Central Park. Potem przez minutę o swojej siostrzenicy Jennifer, która jeździ konno w New Canaan. Zanim się zorientowałem, usłyszałem, że w tym mieście nakręcono remake „Żon ze Stepford”.

Dyskretnie zerknąłem na zegarek. Chociaż Emily była bardzo miła, nie chciałem spóźnić się na proces.

Szybkie do widzenia i podziękowanie za wsparcie, po czym prawie biegiem pomknąłem na salę sądową, przy każdym kroku lekko ślizgając się na wypastowanej podłodze. Pchnąłem drzwi, zwolniłem kroku i spojrzałem na miejsce, na którym powinienem już siedzieć – na puste krzesło między Victorem a Terry. Usiadłem na nim i jak uczeń przeprosiłem za spóźnienie.

Omówienie losu rabina zajęło nam dwadzieścia sekund, po czym znowu wstałem, gdy zapowiedziano nadejście sędziego Lomaksa. Wtedy, kątem oka, zobaczyłem ją.

Sam Kent. Samanthę Kent. Panią Samanthę Kent. Tę prawdziwą.

Po raz pierwszy spotkałem ją osobiście. Dotychczas widywałem ją na zdjęciach w gazetach, tak więc miałem pojęcie, jak wygląda. Jednak zdawałem sobie z tego sprawę w bardzo mglisty, niemal surrealistyczny sposób. Chociaż nasze drogi nieoczekiwanie się przecięły, niewiele o niej wiedziałem.

To, co wiedziałem, wyczytałem z krótkich komentarzy towarzyszących zdjęciom w

gazetach. A także z przekazanych mi przez Terry informacji o tym, co Samantha Kent zeznała policji, i innych materiałów dowodowych. Zebrawszy wszystko razem, jedno było jasne: moja Tajemnicza Pacjentka dobrze się przygotowała. Udając Samanthę Kent, wykorzystwała nie tylko nazwisko.

Samantha Kent była jedynaczką.

Wychowała się w Larchmont, w stanie Nowy Jork.

I uczyła się w Brown.

Nawet pracowała jako zaopatrzeniowiec u Bergdorfa.

Oczywiście zabójczymi mogła się tego dowiedzieć w łóżku, mc musiała pracowicie zbierać tych informacji. W trakcie romansu Conrad Birch mógł po prostu opowiedzieć kochance różne rzeczy o żonie. To bez znaczenia. Tak czy inaczej, tajemnicza Pacjentka doskonale odegrała rolę żony.

Jedyną dziedziną, którą pominęła, był rodzinny interes. Domyślałem się dlaczego – nie pasował do bajeczki mającej wzbudzić współczucie. Jak zauważył „Times”, Samantha Kent była jedynym dzieckiem Archibalda Kenta, założyciela Kent Oceanie. Ta firma produkowała większość pływających po morzach drobnicowców i była warta mnóstwo pieniędzy. Siedemdziesięciosiedmioletni i owdowiały „Archie” Kent podobno zgromadził ponad 4 miliardy dolarów. To czyniło Samanthę spadkobierczynią sporej fortuny.

Jednak pomijając fakty z życia Samantha Kent, które Tajemnicza Pacjentka wykorzystwała lub nie, to właśnie te, które zmyśliła, okazały się najistotniejsze. A szczególnie dwa z nich.

Po pierwsze, niania Celeste. Jak się okazało, Samantha Kent i Conrad Birch nigdy nie zatrudniali opiekunki do dziecka. Z prostego powodu. Ponieważ – to po drugie – nie było dziecka. Nie mieli dzieci. Dwuletni chłopczyk tkwiący w centrum wszystkiego – powód ewentualnej batalii sądowej i chęci zamordowania Bircha – został zmyślony.

Co oznaczało, że do znanych mi zdjęć prawdziwej Samantha Kent mogłem dodać jeszcze jedno. Ukazujące ją głęboko zdumioną. Szczególnie gdy poruszono sprawę mojego alibi.

Zeznała, że nie miała pojęcia, iż jej mąż kiedyś był u psychologa. Zważywszy na to, co powiedział mi Conrad Birch w trakcie tej jednej jedynej sesji, jaką z nim przeprowadziłem – kiedy wyznał, że zdradza żonę – byłem skłonny jej wierzyć. Tak więc nie miałem powodu kwestionować jej zeznania, że nigdy mnie nie widziała. Moja popularność była mocno ograniczona.

Zatem co właściwie wiedziała Samantha Kent?

Odpowiedź była prosta: wszystko to, co gwarantowało, że Terry nigdy nie wezwie jej na świadka. Samantha Kent wiedziała, że pewnego ranka wróciła do domu z Bostonu i dowiedziała się, że jej mąż został brutalnie zamordowany. Wiedziała, że nóż, którym zadano mu szereg ran klutych, należał do mnie, a raczej kiedyś należał, gdyż nie potrafiłem wyjaśnić, co się z nim ostatnio działo. I wreszcie wiedziała, że w moim mieszkaniu znaleziono podpisany przez jej męża list, którego treść świadczyła, że miałem motyw. Wystarczająco nieprzyjemne było to, że detektywi Trentino i Lopez zeznali tak przed sądem. Kazać powtarzać to pogrążonej w smutku wdowie byłoby samobójstwem.

Gapilem się na nią.

Prawdziwa Samantha Kent była jaśniejszą blondynką niż na zdjęciach, które widziałem. Była także inaczej uczesana. Włosy miała do ramion, z przedziałkiem na boku i krótką skośną grzywką. Była również szczuplejsza, o wydatnych kościach policzkowych, które praktycznie ocieniały resztę twarzy. W świetle, w którym zmarszczki ma się z wyboru, naprawdę trudno odgadnąć wiek kobiety. Dawałem jej czterdzieści, najwyżej czterdzieści pięć. Podsumowując, była atrakcyjna w sposób sugerujący, że już nie tak jak kiedyś. Zapewne różnica polegała na bezwiednym i wystudiowanym seksapilu.

Wszystko to dostrzegłem. Jednak nie dlatego się gapiłem. Wszystkie te cechy – jej wygląd – zauważyłem i odnotowałem w pamięci. Jednak moją uwagę zwróciło i przykuło coś innego. Coś... nieuchwytnego. Pewna poza, stoicyzm, wysoko podniesiona głowa. Wrodzona rezerwa, chociaż nie chłód. I'otrwało chwilę, zanim zebrałem to wszystko w całość. To bogactwo Samantha Kent zwróciło moją uwagę.

Nie brylanty czy perły. To tylko blichtr. Bogactwo to coś innego. W moim zawodzie często miewałem do czynienia z ludźmi mającymi bardzo dużo pieniędzy. Mimo woli dowiedziałem się o nich tego i owego. Najprostszym i najogólniejszym wnioskiem był ten, że jedni kryli się z pieniędzmi, a inni nimi chęłpili. W obu przypadkach można to było porównać do płaszcza, który się nosi lub nie. Kwestia wyboru. Świadomego. Rozmyślnego.

Do nielicznych należeli ci, którzy nie mieli w tej sprawie wyboru. Dla tych ludzi pieniądze nie były okryciem. Raczej otoczką. Niewidzialną. Jak powietrze. Jak aura. I właśnie to jest prawdziwe bogactwo. Ponieważ nie da się tego kupić. Wydaje się być zakodowane w genach, zaszyfrowane gdzieś w podwójnej spirali. Nie da się tego ukryć, natomiast afiszowanie się tym po prostu nie wchodzi w grę. To tkwi pod skórą. Innymi słowy, jest nieodłączną cechą tych ludzi.

Wygląd Samantha Kent świadczył o bogactwie. Prawdziwym bogactwie.

Gapiłem się na nią.

Wyraźnie nie była uszczęśliwiona tym, że musi siedzieć tutaj tego ranka. Widać to było po tym, jak spoglądała niewidzącym wzrokiem ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie, nie patrząc na nic i na nikogo. Wiedząc z własnego doświadczenia, jak czuje się owdowiały małżonek na sali sądowej, niemal słyszałem, jak Hemmerson podkreśla znaczenie jej obecności na procesie. Emocjonalną wymowę tego faktu. Ponadto jej nieobecność aż do tego ranka sugerowała mi, że wypracowali kompromis. „Przynajmniej proszę tam być, kiedy obrona zacznie przedstawiać swoje stanowisko. Pani obecność tylko im to utrudni”.

Zacząłem błędzić myślami. Zupełnie zrozumiałe, zważywszy na niedawny kontakt z zącą panią Emily Morgan. Niestety, było to nie tylko naturalne, ale także przygnębiające. Zacząłem rozmyślać o mojej nieżyjącej żonie, znów boleć nad jej stratą. Jakże niesprawiedliwe było to, że życie Rebecki zakończyło się tak przedwcześnie. Wyrosłem w przekonaniu, że wiem, czym jest sprawiedliwość. Dorosłem dopiero wtedy, kiedy zrozumiałem, że nie można na niej polegać. Zbyt wiele złego zdarza się bez powodu. Nic nie możemy na to poradzić i jakże często nawet nikogo nie możemy o to winić. Życie to splot zbiegów okoliczności. Nieprzewidywanych. Nie do opanowania. Jak zbyt szybko jadący samochód, na śliskiej drodze, z dziecakiem za kierownicą.

Wciąż gapiłem się na Samanthę Kent.

Nagle, na mgnienie oka, odwróciła się do mnie. Nasze spojrzenia spotkały się. Zdaliśmy sobie sprawę ze swojej obecności, mając dostatecznie dużo czasu, żeby w pełni zrozumieć sytuację. Nie mogło to trwać dłużej niż kilka sekund, ale równie dobrze mogło trwać całe życie. A jeśli dobrze odczytałem jej spojrzenie, to nie spodobało jej się to, co zobaczyła.

Czy mogłem mieć jej to za złe?

Wiele osób mówiło jej, że jestem człowiekiem, który zamordował jej męża. Detektywi policyjni, prokuratorzy, rozmaici mądrale ze środków przekazu. Teraz zamierzałem dowieść, że oni wszyscy się mylili. A przynajmniej wzbudzić uzasadnione wątpliwości w tej kwestii. W jaki sposób? Broniąc się, stawiałem wszystko na pozornie nieistniejącą kobietę, która podobno miała romans z jej mężem. Na miejscu Samanthy Kent też nienawidziłbym takiego typa jak ja.

Znowu się w nią wpatrzyłem.

Odwróciłem wzrok, ale zaraz spojrzałem ponownie. Nie mogłem się powstrzymać. Czułem dziwne zaciekawienie, szczególne zainteresowanie. Nagle poczułem ból. To Victor Glass mocno i celnie kopnął mnie w kostkę. Oderwałem wzrok od Samanthy Kent i napotkałem jego spojrzenie. Błysnął zębami w olśniewającym uśmiechu i wycedził:

– Jak nie przestaniesz się na nią gapić, przysięgli wezmą cię za świra.

Pewnie miał rację. Mimo wszystko.

– Musiałeś mnie kopać? – spytałem. Spodziewałem się przeprosin. Zamiast nich Victor tylko kiwnął głową.

– Szczerze mówiąc, musiałem – odparł.

Rozdział 30

– Może pani wezwać pierwszego świadka, pani Garrett. Terry wstała z krzesła po mojej prawej i lekko obciągnęła zakiet. Z ciepłym uśmiechem powiodła wzrokiem po ławie przysięgłych. Nie ominęła również sędziego Lomaksa.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – powiedziała. – Obrona wzywa doktora Hansa Lenbakkera.

I tak rozpoczęła się Operacja Genialny Idiota.

Szereg świadków wzywanych w strategicznej kolejności. Jeden miał wykazać mój niekwestionowany geniusz, z jakim zaplanowałem skomplikowane morderstwo. Następny dowieść, jakim byłem idiotą, usiłując je popełnić. Potem znów ktoś wychwalający mój talent. Po nim znowu wytykający mi głupotę. I tak dalej. Od ściany do ściany. Geniusz i idiota. Powtarzane wystarczająco często, żeby przysięgli zrozumieli, w czym rzecz. Nie byłem ani dość sprytny, ani dostatecznie głupi, żeby popełnić tę zbrodnię.

Doktor Hans Lenbakker został zaprzysiężony. Zajął miejsce na podium dla świadków i natychmiast założył nogę na nogę. Miał na sobie ciemnobrązowy garnitur i krawat w niebieskie paski. Chociaż siwa broda była równo przystrzyżona, w dostatecznym stopniu sprawiał wrażenie lekko zaniedbanego Einsteina, żeby automatycznie przypisywać mu wybitną inteligencję.

– Dziękuję, że zechciał pan tu dziś przyjść, doktorze Lenbakker – powiedziała Terry, podchodząc do niego.

– Nie ma za co – odparł.

Chociaż dziesięć ostatnich lat spędził w Stanach Zjednoczonych, jego niemiecki akcent nadal był dobrze słyszalny. Sprawiał, że każde jego słowo wydawało się dobrane i przemyślane.

Terry kazała doktorowi krótko omówić zdobyte wykształcenie i sukcesy zawodowe. Zanim doszedł do obecnego stanowiska dyrektora komisji weryfikacyjnej Instytutu Smithsonian, widziałem, że słuchacze są pod wrażeniem.

– Wysoki Sądzie, obrona wnosi o uznanie doktora Lenbakkera za eksperta – powiedziała Terry.

Lomax kiwnął głową.

Jako chemik, doktor Lenbakker specjalizował się w oznaczaniu czasu rozkładu substancji organicznych i nieorganicznych. Szczególnie interesowało go datowanie obrazów oraz dokumentów spisanych na papierze i pergaminie. Od dzienników Hitlera po ostatnio odkrytą nieznaną dotychczas sztukę Szekspira, doktor Lenbakker niemal zawsze był proszony o wydanie opinii. Rzadko, jeśli w ogóle, ktoś się z nim nie zgadzał.

Teraz pojawił się na tej sali z czymś, co mogło mnie uratować.

Terry pomaszerowała z powrotem do stołu obrony, otworzyła teczkę i wyjęła wyrwaną z kołonoatnika kartkę papieru, umieszczoną w foliowej kopercie. Podeszła z nią do doktora Lenbakkera.

– Pokazuję panu dowód obrony, który został znaczone literą A – powiedziała. – Poznaje

go pan?

– Tak.

– Jak to możliwe?

– Ponieważ go badałem.

– Przed kilkoma tygodniami, zgadza się?

– Tak.

– Czy ten dowód jest dzisiaj w takim samym stanie jak wtedy, kiedy zobaczył go pan po raz pierwszy?

– Struktura papieru i atrament są, rzecz jasna, trochę starsze – odparł z uśmiechem. – Jednak poza tym, owszem, ta kartka jest w takim samym stanie.

Terry zaczęła głośno czytać moje notatki o Conradzie Birchu. Sporządzone po naszej pierwszej i ostatniej sesji. Wyznanie, że ma romans. Przekonanie, że nie może opuścić żony i strach przed oznajmieniem tego kochance. „Strach” – powtórzyła Terry. Rozwinęła ten temat, wyliczając kolejne, krótkie punkty, z których wynikało, że kochanka miała wybuchowy charakter. Była niebezpieczna. Terry spojrzała na przysięgłych i dokończyła:

– Po sesji doktor Remler zanotował, że Conrad Birch miał, cytując: „poważne obawy co do tego, jak zareaguje kochanka”.

Podeszła do doktora Lenbakera i wręczyła mu kartkę w foliowej kopercie.

– Jak pan wie, doktorze, są to notatki mojego klienta po pierwszej i jedynej sesji z Conradem Birchem – powiedziała. – W oparciu o badania tego dokumentu i pańską specjalistyczną wiedzę, kiedy zostały sporządzone? W zeszłym miesiącu? W ubiegłym roku?

Doktor Lenbakker podrapał się po brodzie charakterystycznym gestem mędrca.

– Zdecydowanie znacznie dawniej niż przed rokiem. Raczej przed dwoma laty. Świadczy o tym rozkład cząsteczek atramentu. Stopień ich utlenienia – potocznie nazywanego blaknięciem – praktycznie nie pozostawia cienia wątpliwości.

Terry odwróciła się twarzą do ławy przysięgłych.

– Tak więc, doktorze Lenbakker, pozwoli pan, że zadam panu następujące pytanie. Gdyby doktor Remler zamierzał sfabrykować dowód świadczący o tym, że kiedyś leczył Conrada Bircha, i mający zapewnić mu alibi, z pańskiej wypowiedzi wynika, że swój genialny plan zamordowania pana Bircha układał przez prawie dwa lata?

– Sprzeciw! – krzyknął Hemmerson. – Po pierwsze, morderstwo miało miejsce siedem miesięcy temu. Co więcej, doktor Lenbakker został wezwany do ekspertyzy atramentu, a nie intencji oskarżonego.

– Podtrzymany – uznał sędzia Lomax. – Pani Garrett, o tym, co pani klient planował lub nie, zadecyduje sąd.

– Przepraszam – powiedziała. – Sądziłam, że doktor I. Lenbakker może widzi to czarno na białym.

Większość sędziów przysięgłych uśmiechnęła się razem z całą salą. Terry odwróciła się do podium dla świadków.

– Dziękuję, doktorze Lenbakker. – On oddał jej kopertę, a Terry oficjalnie włączyła ją do dowodów. – Nie mam dalszych pytań, Wysoki Sądzie.

– Świadek jest pański – rzekł Lomax, kiwając głową na Hemmersona.

Zastępca prokuratora wstał, ale nie wyszedł z za stołu.

– Oskarżenie nie ma pytań do doktora Lenbakkera.

– Bardzo dobrze. Pani Garrett, pani następny świadek. Terry ledwie zdążyła wrócić na swoje miejsce.

– Wysoki Sądzie, od czasu przesłuchania detektywów Trentina i Lopeza, obrona zdała sobie sprawę, że ma do nich dodatkowe pytania, istotne dla sprawy. Zważywszy na to, że są dziś obecni na sali sądowej, proszę o pozwolenie na wezwanie ich na świadków.

Hemmerson próbował zgłosić sprzeciw, ale Lomax uciszył go, podnosząc rękę.

– Zezwalam – powiedział, chociaż jego mina wskazywała na to, że też nie podoba mu się to żądanie.

Tymczasem ja skryłem uśmiech. Terry mówiła mi, że detektywi często pozostają na sali sądowej już po złożeniu zeznań. Zrozumiałe zainteresowanie. Mimo to ani ona, ani Victor nie zamierzali na to liczyć. Dlatego dzień wcześniej napomknęli pewnemu reporterowi, że mają w zanadrzu nieoczekiwane świadka. Zgodnie z przewidywaniami, reporter zapytał detektywów, kim też może on być.

– Obrona wzywa detektywa Josepha Trentina – oznajmiła Terry.

Zdziwienie.

Detektyw podniósł się ze swego miejsca w tylnych rzędach sali i przecisnął się obok partnera, Lopeza. Wyglądał na mocniej zaniepokojonego. Chyba miałby weselszą minę, udając się z wizytą do dentysty. Gdy Trentino szedł przejściem między krzesłami, Terry obróciła się na pięcie twarzą do ławy sędziowskiej.

– Wysoki Sądzie, zamierzam prosić, żeby detektyw Lopez opuścił salę na czas składania zeznań przez detektywa Trentino.

Lomax zmierzył ją wzrokiem.

– Chciałabym usłyszeć ich niezależne, a nie uzgodnione relacje.

Tym razem Hemmerson zerwał się na równe nogi i zgłosił sprzeciw, zanim Lomax zdążył mrugnąć okiem.

– Wysoki Sądzie – rzekł wściekły – to żądanie obrony jest w istocie oskarżeniem detektywów o stronniczość, a więc krzywoprzysięstwo. Nie tylko domagam się odrzucenia tej prośby, ale także przeprosin ze strony pani Garrett.

Stłumiony chichot wydobył się z gardła Victora. Pierwszy dzień przesłuchiwanie świadków obrony i Terry już zalał Hemmersonowi za skórę. Teraz nie była już śliczną prawniczką z którą chciałby się przespać, ale kolejnym adwokatem, który zamierzał postawić go w złym świetle. Jedyna różnica polega na tym, że jej udawało się to lepiej niż innym.

Lomax zastanowił się nad wnioskiem Terry i sprzeciwem Hemmersona. Po kilku sekundach poprosił Lopeza, żeby poszedł sobie na spacer. Detektyw wstał i opuścił salę sądową z miną świadcząca o tym, że wizytę u dentysty uważałby teraz za przyjemną rozrywkę. Miałem wrażenie, że udaje się do proktologa.

Natomiast jego partner w końcu dotarł na podium. Najwidoczniej przysięga złożona podczas procesu nie ma terminu ważności, gdyż nie zaprzysiężono go ponownie.

Kiedy usiadł, Terry natychmiast odtworzyła wcześniejsze ustalenia. Gdyby ktoś w tym momencie wszedł na salę, pomyślałby, że Terry jest jednym z oskarżycieli. Jej pytania dotyczyły głównie mojej obecności na miejscu zbrodni. Jednak nie poprzestała na tym, na czym zakończył Hemmerson.

– Detektywie Trentino, spróbujmy podsumować sytuację. Na miejscu zbrodni zastajecie psychologa, który wyjaśnia, że szuka swojej pacjentki. Od razu informuje was, że ta pacjentka przyznała się do zabicia męża. Okazuje się jednak, że nie jest to jej mąż, ale mąż innej kobiety. Co więcej, ta pacjentka udawała inną osobę, a konkretnie żonę zamordowanego. Wydaje MC to bardzo skomplikowane, prawda?

– Tak, istotnie.

– Niemal niewiarygodne?

– Tak.

– Chcę powiedzieć, że gdybym próbowała stworzyć sobie alibi, to z pewnością nie wymyślałabym czegoś tak mało wiarygodnego. A pan?

Hemmerson pospiesznie zgłosił sprzeciw, twierdząc, że to zwyczajne spekulacje. Terry skontrowała, mówiąc, że detektyw w trakcie wykonywania obowiązków zetknął się z różnymi rodzajami alibi, tak więc jak mało kto może ocenić wiarygodność tego, jakie przedstawił jej klient. Sędzia Lomax zastanawiał się chwilę. Potem kazał Trentinowi odpowiedzieć na to pytanie.

Detektyw rzekł:

– Jako alibi to wyjaśnienie nie wydawało się zbyt przekonujące. Nie, nie wybrałbym sobie takiego.

– Innymi słowy, jeśli doktor Remler sfabrykował sobie alibi, to zrobił to po prostu głupio, prawda?

– To pani słowa, nie moje. Terry skinęła głową.

– A gdybym powiedziała, że doktor Remler mógł znacznie sprytniej przygotować sobie alibi, jeśli rzeczywiście je sfabrykował? Czy tak by pan to ujął, detektywie Trentino?

Zastanawiał się chwilę.

– No, jasne... pewnie, mógł to zrobić sprytniej.

– Dobrze. Dziękuję panu – powiedziała. Odczekała moment, zanim znowu się odezwała.

– Teraz wróćmy do tamtej brzemiennej w wydarzenia nocy w domu Bircha, gdzie policja zastała doktora Remlera. Wychodził z piwnicy, prawda?

– Nie było mnie przy tym, ale tak zeznali policjanci, którzy pierwsi zjawili się na miejscu zbrodni.

– Czy pan wie, co doktor Remler robił w piwnicy?

– Nie, nie wiem.

– Nie pytał go pan o to?

– Jak już mówiłem, przybyłem na miejsce dopiero wtedy, kiedy otrzymałem meldunek, że popełniono zbrodnię.

– Nie rozumiem – powiedziała Terry. – Nie zapytał pan o to, ponieważ nie przybył pan na miejsce zbrodni jako pierwszy?

Trentino zmarszczył brwi. Frustracja i stres.

– Nie, nie zapytałem go o to chyba dlatego, że powiedział nam, iż szukał swojej pacjentki.

– No tak, alibi – przytaknęła Terry, podnosząc palec. – I uwierzył pan w to, co powiedział wam doktor Remler?

– Z początku.

– Ściśle mówiąc, powiedział wam, że przeszukał wszystkie pomieszczenia w domu Bircha, zgadza się?

– Owszem, tak powiedział.

– Nadal pan w to wierzy?

Trentino zastanowił się. Nie zamierzał dać się pokonać w tym werbalnym pojedynku. Do czego zmierza ta cwana dupa?, pomyślał.

Czy słyszał pan pytanie, detektywie? – spytała go po przedłużającej się ciszy.

Tak, słyszałem pytanie – warknął. – Rzecz w tym, że nie wiem.

Terry z lekkim niedowierzaniem:

Nie wie pan, czy pan mu wierzy?

Zgadza się. Nie wiem.

Może to panu pomoże – stwierdziła, odwracając się do przysięgłych. – Odciski palców doktora Remlera znaleziono praktycznie w każdym... każdym... pomieszczeniu tego domu, wiecznie z piwnicą. To zdaje się wskazywać, że ten, kto je zostawił, kogoś szukał, prawda? Hemmerson zgłosił sprzeciw.

– Nie widzę sensu w tej linii przesłuchania – rzekł, rzucacie linę ratunkową nagle słabnącemu świadkowi.

Sędzia Lomax spojrzał koso na Terry.

– Pani Garrett, zechce pani wyjaśnić cel tych pytań albo przejść dalej?

– Wysoki Sądzie, cel tych pytań jest prosty. Oskarżenie każe nam wierzyć, że mój klient obmyślił i zrealizował skomplikowany plan morderstwa. Gdyby jednak tak było, postąpiłby wyjątkowo głupio, pozostawiając odciski palców w całym domu. Oczywiście, chyba że mój klient mówi prawdę, co usiłują udowodnić, że tamtej nocy doktor Remler naprawdę szukał swojej pacjentki i że to ona zabiła Conrada Bircha.

– Do licha, nawet nie możecie dowieść, że ona istnieje. Terry na moment zastygła. Wyglądała na szczerze zdziwioną, gdy te słowa zdawały się odbijać echem po sali. Kiedy znów się poruszyła, odwróciła się do Trentina. Powoli. Doświadczony detektyw na moment pozwolił emocjom wziąć górę nad rozsądkiem. Palnął coś bez zastanowienia i chociaż mogło to być prawdą, to było również wodą na młyn Terry. Wykorzystała moment jego słabości, zanim zdążył jej przeszkodzić sędzia lub ktoś inny.

– Ma pan rację, detektywie. A dlaczego nie możemy udowodnić jej istnienia? Ponieważ właśnie tego chciała. W ten sposób zamierza wywinąć się od kary za morderstwo. Pan uważa, że ta osoba nie istnieje, aleja mam dla pana wiadomość. Ona istnieje, a pan tańczy tak, jak panu zagrała. Ona manipuluje panem tak samo, jak manipulowała doktorem Remlerem. Jednak w przeciwieństwie do mojego niewinnego klienta, pan pozwala, i żeby uszło jej to

bezkarnie!

Twarz Hemmersona przybrała kolor i połysk jabłka odmiany Red Delicious. Tak szybko zgłosił szereg sprzeciwów, że nawet stenograf spojrział na niego ze zdumieniem. Nieuzasadnione domysły, nękanie świadka, obraza sądu.

– Detektyw Trentino nie jest podsądnym! – krzyknął. Lomax natychmiast skarcił Terry. Ponadto przypomniał Trentinowi, że siedzi na podium dla świadków i ma odpowiadać na pytania, a nie wygłaszać własne komentarze. Innymi słowy: gdybyś trzymał dziób na kłódkę, koleś, może nie skopałaby ci tak tyłka. A głośno powiedział:

– Czy ma pani jeszcze jakieś pytania do detektywa, pani Garrett?

– Nie, nie mam – odparła.

Lomax spojrział na Hemmersona i zapytał, czy chce ponownie przesłuchać Trentina. Oskarżyciel nie chciał. Jego błyskawiczne zaprzeczenie wskazywało na chęć ograniczenia strat i jak najszybszego usunięcia detektywa z podium dla świadków.

– Może pan odejść – zezwolił Lomax.

Trentino zrobił to, uprzednio obrzuciwszy zimnym spojrzeniem najmniej, jego zdaniem, sympatyczną kobietę na sali. Terry mogła udać, że tego nie widzi, ale nie. Odwzajemniła mu się równie chłodnym spojrzeniem. Popatrzyłem na Victora, który znowu tłumił chichot. Odwrócił się do mnie z promiennym uśmiechem.

– Moja dziewczyna – szepnął.

Z uśmiechem kiwnąłem głową. Dumny szef podsumował sukcesy najnowszego nabytku firmy oraz słuszną decyzję powierzenia Terry mojej obrony.

Zaraz po tej myśli przyszła następna. A jeśli było w tym coś więcej? Jeżeli Victor z radości wygadał się o tym, jakie naprawdę łączą ich stosunki? Moja dziewczyna. Nagle zacząłem się zastanawiać, czy on i Terry są parą. On był przystojnym mężczyzną, a ona atrakcyjną kobietą. On był świeżo rozwiedziony, a ona samotna. Pracowali razem i dobrze się znali. Bardzo możliwe.

Nie podobało mi się to.

Powinienem obawiać się ewentualnych komplikacji, jakie mogły z tego wyniknąć. Byłem sądzony za morderstwo i nie mogłem pozwolić na to, żeby kłótnie lub pretensje kochanków zagroziły linii mojej obrony. Obojętnie jak dobrymi profesjonalistami są tacy ludzie, nie ma mowy, żeby zdołali odsunąć na I tok sprawy osobiste – szczególnie w razie komplikacji. W życiu tak nie bywa. Ludzie nie są tacy.

A jednak wcale nie o tym myślałem. Prawdę mówiąc, po prostu nie chciałem, żeby Terry spotykała się z kimś. Nie tylko z Victorem. Z nikim. Można by sądzić, że perspektywa spędzenia reszty życia w więzieniu powinna osłabić moje zainteresowanie wszelkimi innymi sprawami. Tymczasem nie. Patrzyłem, jak Terry toczy pojedynek wzrokowy z wkurzonym detektywem i zastanawiałem się, jak do tego doszło. W jaki sposób coś do niej poczułem.

Powiedziałem sobie, że to szaleństwo. Potem zmieniłem zdanie. Lepszym słowem była błazenada. Nie tak dawno zainteresowałem się pewną kobietą, a ona wrobiła mnie w morderstwo. Teraz zaczęła mi się podobać moja adwokatka. Czyżbym w końcu zaczął odczuwać skutki samotności? Czy pragnąłem kobiecego towarzystwa?

Proces toczył się dalej. Dodając zniewagę do urazy, Terry nie wezwała partnera Trentina jako następnego świadka. Nie wezwała go wcale. Wyrzucając Lopeza z sali, zwróciła uwagę przysięgłych. Sprawiała, że zaczęli się zastanawiać, czy ci dwaj detektywi nie zachowali się jak bezduszni rutyniarze, oskarżając podejrzanego wbrew oczywistym faktom. Zważywszy na to, co pokazują w wieczornych wiadomościach i niemal w każdym programie poświęconym pracy policji, trudno było wykluczyć taką możliwość.

Terry wzywała kolejnych świadków ze swej strategicznie ułożonej listy. Jednego po drugim. Koroner oświadczył, że Conrad Birch z całą pewnością spał, kiedy otrzymał pierwsze pchnięcie nożem. To oznaczało, że zabójca napotkał słaby albo żaden opór.

Potem wezwała policjanta, który znalazł mój nóż – narzędzie zbrodni – w zaułku naprzeciw sypialni ofiary. Najwidoczniej wyrzuciłem go przez okno, chcąc się go pozbyć. Bardzo głupio postąpiłem.

Chyba że ja tego nie zrobiłem.

Chyba że to ona chciała, żeby znaleziono narzędzie zbrodni. I tak dalej. Geniusz i idiota. Terry wzywała kolejnych świadków, zręcznie i subtelnie zasiewając w umysłach przysięgłych ziarna uzasadnionych wątpliwości. Powoli, lecz nieuchronnie, moja Tajemnicza Pacjentka zdawała się ożywać na sali sądowej. Niektórzy przysięgli chwilami kiwali głowami.

– Nie sądzę, żebyś musiał zeznawać – szepnął w pewnej chwili Victor.

Istotnie. Operacja Genialny Idiota toczyła się zgodnie z planem. Doskonale. Jednak potem odpadły jej koła.

Rozdział 31

Był to ich jedyny i istotny świadek.

Obrona zakończyła, dopiąwszy swego. Nie musiałem podejmować ryzyka i stawać na podium. Była środa, dochodziła lizecia. Hemmerson podniósł się z krzesła i nie patrząc na nikogo oprócz sędziego Lomaksa, oznajmił:

– Wysoki Sądzie, oskarżenie wzywa Gabrielle Dennis. Siedzący po obu moich stronach Victor i Terry powiedzieli chórem:

– Kogo?

Wszyscy odwróciliśmy się i zobaczyliśmy bombową dziewczynę, która wstała ze swojego miejsca przy przejściu. Wyglądała na dwudziestokilkulatkę. Miała długie jasne włosy i niewiarygodnie obfity biust, który nie pozostawiał cienia wątpliwości co do jej stosunku do silikonowych implantów piersi. Byłoby to oczywiste, nawet gdyby nie miała na sobie takiej obcisłej bluzki i krótkiej spódniczki.

– I co ty o tym myślisz? – zapytała szeptem Terry. Chociaż siedziałem tuż przy niej, wiedziałem, że to pytanie nie do mnie.

– Nie wiem – odparł jeszcze ciszej Victor. – Jednak to mi przypomina, że powinienem odnowić prenumeratę „Playboya”.

Kobieta przeszła obok naszego stolika i zajęła miejsce nad podium dla świadków. Kiedy została zaprzysiężona, Victori odezwał się tonem sugerującym „a teraz poważnie”.

– Śmiało możemy założyć, że to się nam nie spodoba – rzekł. – Czy nie powinniśmy zażądać uzasadnienia jej obecności?

Terry przecząco pokręciła głową.

– Może gdyby sędzią nie był Lomax.

– Przygotuj się do kontrataku – poradził.

Kiwnęła głową i szybko coś zanotowała. Tymczasem Victor otworzył teczkę i wyjął noteboka. Zaczął szybko stukać w klawisze. Zapewne wysyłał do kogoś emaila. Nie miałem pojęcia do kogo.

Hemmerson podszedł do kobiety.

– Czy zechciałaby pani podać sądowi swoje nazwisko? Nachyliła się do mikrofonu.

– Nazywam się Gabrielle Dennis.

– Jest pani tu dzisiaj, pani Dennis, ponieważ знаła pani ofiarę, czyli Conrada Bircha, zgadza się?

– Tak, zgadza się.

Hemmerson cofnął się kilka kroków, jakby chciał ogarnąć wzrokiem całą scenę.

– Jaki był charakter tej znajomości? Nie wahała się ani chwili.

– Byłam jego kochanką.

Na sali natychmiast dał się słyszeć chóralny pomruk i kilka głośnych westchnień. Lomax poprosił o spokój, ale bezskutecznie. Powtórzył żądanie i publiczność zaczęła się uciszać. Wtedy Terry przypuściła kontratak.

– Wysoki Sądzie, nie zostaliśmy uprzedzeni o istnieniu tego świadka, a zważywszy na charakter oświadczenia pani Dennis, tak nieoczekiwane przybycie budzi co najmniej uzasadnione wątpliwości.

Hemmerson natychmiast zripostował.

– Wysoki Sądzie, pojawienie się świadka jest nie tylko uzasadnione, ale także logiczne. O istnieniu pani Dennis oskarżenie dowiedziało się wczoraj wieczorem i to tylko dzięki ożywionemu zainteresowaniu środków przekazu tym procesem. Usłyszała w wiadomościach o stanowisku obrony i uznała za swój obowiązek złożyć zeznanie.

Sędzia instynktownie spojrzął na Terry. Najwidoczniej znał się na tenisie i z przyjemnością pozwalał zawodnikom pograć, i oczywiście Terry była gotowa odbić piłkę.

– Czy oskarżenie twierdzi, że jeszcze nie miało czasu przesłuchać świadka? – zapytała z niedowierzaniem.

– Sprawiedliwość wymaga pracy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – odparł Hemmerson z drwiącym uśmiechem. – Mieliśmy dość czasu.

– Jednak najwidoczniej za mało, żeby zawiadomić obronę. Bardzo wygodnie. A może lepszym określeniem byłoby słowo „rozpaczliwie”?

Hemmerson obrzucił ją kosym spojrzeniem, po czym znowu zwrócił się do sędziego.

– Wysoki Sądzie, jeśli sąd wyrazi zgodę, szybko udowodnię wiarygodność świadka. Ponadto pani Dennis posiada informacje, które moim zdaniem zmieniają przebieg tego procesu.

Ta ostatnia wzmianka niosła zapowiedź miażdżącego zwycięstwa. Lomax podniósł rękę, jakby chciał powiedzieć „dość tego”. Odchylił się w fotelu, podrapał po siwej głowie i oznajmił, że oskarżenie może kontynuować przesłuchanie świadka. Hemmerson zarobił punkt. W tym momencie wydawało się, że uzyskał w tym meczu przewagę.

Spojrzenia skierowały się ku siedzącej na podium Gabrielle Dennis. Prawdę mówiąc, zerknąwszy na ławę przysięgłych, zdałem sobie sprawę z tego, że męska część ławy przysięgłych zapewne ani na chwilę nie oderwała od niej oczu. A zważywszy na to, co miała do powiedzenia, określenie „bombowa” bardzo do niej pasowało.

– Kiedy nawiązała pani znajomość z Conradem Birchem? – zapytał ją Hemmerson.

– Mniej więcej dwa i pół roku temu.

– Gdzie się poznaliście?

– Ćwiczyliśmy w tej samej sali gimnastycznej.

– Której?

– Max Fitness – powiedziała.

– Znajdującej się w pobliżu biura pana Bircha, tak?

– Tak, kilka przecznic dalej.

Hemmerson pokiwał głową, jakby słyszał to po raz pierwszy – Pamięta pani, kto pierwszy zaproponował spotkanie?

– Niezupełnie. Chyba zrobiliśmy to jednocześnie. Codziennie ćwiczyliśmy na sąsiednich stanowiskach. Miałam problemy z zaprogramowaniem sprzętu, a on zaproponował mi pomoc.

– I od razu coś między wami zaiskrzyło?

– Chyba tak.

– Jeśli jednak mowa o łączącym was związku, czy pani zdaniem to on go zapoczątkował?
Odczekała chwilę.

– Cóż, powtarzam, że oboje byliśmy dorośli i chętni. Jednak owszem, moim zdaniem tak właśnie było.

– Czy wiedziała pani, że był żonaty? Spodziewałem się, że pani Dennis i tym razem zastanowi się chwilę. Nie nad swoją odpowiedzią, ale ze względu na to, w jakim świetle to może ją postawić. Pomyliłem się. Odpowiedziała niezwłocznie.

– Tak, wiedziałam, że był żonaty. Powiedział mi o tym. W tym momencie uświadomiłem sobie coś. Chryste. Samantha Kent słucha tego wszystkiego, prawda? Ja sam robiłem to z przykrością. Dla niej musiało to być nieporównanie bardziej nieprzyjemne. Od kiedy Victor kopnął mnie w kostkę, starałem się na nią nie patrzeć, ale teraz nie mogłem się powstrzymać. Dotychczas zerknąłem na nią tylko raz, wcześniej rano, upewniając się, że zajmuje to samo miejsce, co w ubiegłym tygodniu. Siedziała.

Nie teraz. Nie było jej na tym miejscu ani na żadnym innym. Poczułem ulgę. Z pewnością nie powinna wysłuchiwać zeznań pani Dennis. Zmuszanie jej do tego graniczyłoby z sadyzmem. Może Hemmerson miał na tyle przyzwoitości, żeby posłać ją do domu podczas przerwy na lunch. Kontynuował przesłuchanie atutowego świadka:

– Jak długo trwał ten romans, pani Dennis?

– Prawie dziewięć miesięcy. Odwrócił się do ławy przysięgłych.

– Zatem nawiązała pani kontakty z Conradem Birchem mniej więcej dwa i pół roku temu i ten związek trwał prawie dziewięć miesięcy, zgadza się?

– Tak.

– Powodem tego, że jest pani tu dzisiaj, były media, które doniosły, iż obrona obwinia o morderstwo hipotetyczną Tajemniczą Pacjentkę, która była kochanką Conrada Bircha i...

– Sprzeciw! – krzyknęła Terry.

– Podtrzymany – powiedział Lomax. Nawet nie czekał na uzasadnienie. – Panie Hemmerson, proszę powstrzymać się od powtarzania cudzych opinii oraz sugerowania winnych przez media czy kogokolwiek innego.

– Bardzo przepraszam, Wysoki Sądzie. Będę ostrożniejszy. – Znowu zwrócił się do świadka. – Tak więc, pani Dennis, można powiedzieć, że znane było pani zeznanie oskarżonego, że Conrad Birch był jego pacjentem i powiedział mu, że ma romans, zgadza się?

– Tak.

– Według własnoręcznych notatek oskarżonego, ten romans miał miejsce w przybliżeniu dwa lata temu, co pokrywa się z okresem, w którym pani utrzymywała bliskie kontakty z Conradem Birchem, racja?

– Tak.

– Co więcej, czytała pani i słyszała w mediach, że obrona sugeruje, iż tą kochanką była Tajemnicza Pacjentka doktora Remlera, zgadza się?

– Tak, zgadza się.

– Zatem muszę panią zapytać – rzekł i zrobił dramatyczną pauzę – czy kiedykolwiek była pani pacjentką doktora Remlera?

Spojrzała na mnie gniewnym wzrokiem.

– Nie, nie byłam.

– Czy spotkała go pani kiedyś?

– Nie, nie spotkałam.

– I dlatego przyszła tu pani dzisiaj, czyż nie?

– Tak. Uznałam, że to nie w porządku. Hemmerson ponownie odwrócił się do przysięgłych.

– Chciała pani, żeby prawda wyszła na jaw. Bez względu na konsekwencje. Narazając się na przykre pytania.

– Jak już powiedziałam, uznałam, że to nie w porządku.

– Dobrze, poprzestańmy na tym, pani Dennis. Moim zdaniem, zgłaszając się, wykazała pani niezwykłą odwagę, tak więc postaram się oszczędzić pani przykrości. Proszę nam powiedzieć, jak zakończył się ten romans?

– Niezbyt dobrze. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

– Co pani przez to rozumie?

– Conrad powiedział mi, że nie może zostawić żony.

– Miała pani nadzieję, że to zrobi?

– Wiedziałam tylko, że go kocham.

– Sądzi pani, że on panią kochał?

– Tak mówił. Jednak powtarzam, powiedział mi, że nie może zostawić żony. Tak więc pomyślałam sobie, że to nie ma sensu.

– Zatem to pani zakończyła ten romans?

– Teoretycznie tak. Chociaż tak jak to widzę, nie miałam innego wyjścia.

– Dziękuję pani, pani Dennis – rzekł Hemmerson. – Nie mam dalszych pytań, Wysoki Sądzie.

Wrócił na swoje miejsce. Właściwie odmaszerował. Sędzia Lomax:

– Świadek jest pani, pani Garrett.

Terry zerknęła na zegarek. Jednak zamiast wstać, pierwsze pytanie zadała ze swojego miejsca.

Pani Dennis, gdzie zwykle robiliście to z Conradem lachem?

Sprzeciw! – wykrzyknął Hemmerson. Poderwał się ze swojego krzesła tak gwałtownie, że prawie je przewrócił. – To poniżanie świadka!

– Sformułuję to pytanie inaczej – odparła błyskawicznie Terry. – Pani Dennis, gdzie odbywały się miłosne spotkania pani i pana Bircha?

Zapytana kilka razy zamrugała zaskoczona, ale w końcu odpowiedziała. Jednak niezbyt głośno.

– Głównie w hotelach.

– Przepraszam, zechciałaby pani mówić głośniej? Gabrielle Dennis obrzuciła Terry Garrett gniewnym spojrzeniem. Nie wyglądało na to, żeby miały się zaprzyjaźnić.

– Powiedziałam, że głównie w hotelach – odparła spięta.

– Może pani wymienić nam jeden z nich?

– Wall Street Inn – wyrzuciła z siebie.

– Czy kiedykolwiek płaciła pani tam za pokój?

– Nie. Robił to Conrad.

– Czy widziała pani, żeby kiedyś płacił kartą kredytową?

– Nigdy nie widziałam, jak płacił – odparła. – To znaczy, wiem, że płacił. My po prostu...

Terry przerwała jej.

– Rozumiem, że nie chcieliście, żeby widziano was razem w publicznym miejscu. Tak więc nikt nigdy nie widział was razem, zgadza się?

– Owszem, byliśmy dyskretni.

Spojrzałem na Victora, który sprawdzał coś w notebooku. Nacisnął klawisz i zdawał się czytać. Tymczasem Terry ponownie zerknęła na zegarek. Tym razem zapytała z rozmysłem:

– A teraz, pani Dennis, porozmawiajmy o pani zerwaniu z Conradem Birchem. Według pani zeznań, powiedział, że nie zostawi żony, zgadza się?

– Tak.

– Czy to panią rozgniewało?

– Byłam zła.

– Może bardziej niż zła?

Hemmerson zgłosił sprzeciw. Chciał wiedzieć, do czego zmierza Terry. Sędzia Lomax też. Poprosił, żeby przeszła do sedna sprawy.

– Ujmijmy to następująco – powiedziała. – Pani Dennis, czy uważa się pani za osobę wybuchową?

– Nie wiem, jak mam na to odpowiedzieć.

– Wystarczy tak lub nie.

– Potrafię się rozzłościć, jeśli o to pani chodzi.

– Niezupełnie o to. Pytam, czy gdyby ktoś nazwał panią niebezpieczną, uznałaby pani, że byłaby to trafna ocena?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie, raczej nie. Terry skinęła głową.

– Czy więc zdziwiłoby panią to, że Conrad Birch powiedział mojemu klientowi, że właśnie za taką osobę uważa swoją kochankę?

– Nie, nie zdziwiłoby mnie.

– Dlaczego?

– Conrad lubił przesadzać. Czasem nawet kłamać. W końcu miał przecież romans.

– Rozumiem – powiedziała Terry, spoglądając na ławę przysięgłych. Szczególnie na siedzące w niej kobiety. – Tak więc ktoś, kto ma romans, łatwo może mijać się z prawdą. To interesujące, ponieważ pani również miała romans.

– Ale...

– A przynajmniej tak pani tu dziś twierdzi – zagłuszyła ją Terry. – Pani Dennis, jak zarabia pani na życie?

– Jestem aktorką.

Terry zamilkła na moment. Ta odpowiedź była nieoczekiwanym darem bożym.

Sugerowała bowiem odgrywanie roli.

– Czy obecnie pracuje pani w zawodzie?

– Nie, nie pracuję.

– A kiedy pracowała pani ostatnio?

– Jestem również kelnerką.

– Rozumiem. Jeśli jednak mowa o aktorstwie, to kiedy ostatnio otrzymała pani pieniądze za występ?

– Chyba sześć miesięcy temu.

– Chyba?

– Może więcej niż sześć. To był występ w spocie reklamowym. Nie pamiętam dokładnej daty.

– Skoro mowa o aktorstwie, to czy mogliśmy panią widzieć w jakiejś innej roli?

Hemmerson zgłosił sprzeciw.

– Czy to sala sądowa, czy kanał Bravo? Lomax był skłonny się z nim zgodzić.

– Przyspieszmy to, pani Garrett. Robi się późno.

Terry rozpromieniła się, jakby Lomax wypowiedział magiczne zaklęcie.

– Zgadzam się z Wysokim Sądem, że robi się późno. W rzeczy samej, zważywszy na to oraz na zaskakujące zeznania świadka, proszę o odłożenie rozprawy do jutra rana.

Lomax spojrzął na zegarek. Zegar na ścianie znajdował się za jego plecami. Pokazywał dziesięć po czwartej. Sędzia najwidoczniej uznał, że już się tego dnia napracował. Podniósł wierny młotek.

– Sąd odkłada obrady do godziny dziewiątej jutrzejszego ranka.

Bach.

Gabrielle Dennis ze swym przeczącym prawu ciążenia biustem zeszła z podium, a reszta publiczności pozbierała swoje rzeczy i wstała. Terry podeszła do Victora i do mnie.

– Przysłał ci już odpowiedź emailem? – zapytała Victora, ruchem głowy wskazując notebooka.

– Taak. Już się zabiera do roboty. Popatrzyłem na nich.

– Jakiej roboty? Co za on?

– Zobaczysz – odparł Victor.

Rozdział 32

Nazywał się Anthony Magnetti, ale Victor mówił na niego „Magnes”. Z prostego powodu, wyjaśnił. Ten facet potrafi wyciągnąć z komputera niemal każdą informację o dosłownie każdym. A mówiąc dokładniej, potrafi wydobyć ją z cudzych komputerów.

– Są hakerzy i jest Magnes – powiedział mi Victor z poważną miną. Posługując się tą hiperbolą, zdawał się nie zauważać tego, iż mówi o tym facecie jak dzieciak o Supermanie. W wyniku tego niemal zacząłem się spodziewać, że zaraz w drzwiach stanie gość w obcisłym kostiumie i pelerynce.

Zawiodłem się.

Człowiek, który pojawił się w biurze Victora po naszym powrocie z sądu, nie zainspirowałby rysownika niedzielnej gazety. Anthony Magnetti, czyli Magnes, ważył jakieś sto pięćdziesiąt kilo, co przy stu sześćdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu raczej rzucało się w oczy. Tak więc, na szczęście, nie nosił obcisłego kostiumu. Ani pelerynki. Coś jednak majtało mu z tyłu: kucyk.

– Przybył Magnes! – zawołał Victor, wstając zza biurka. Uściskali się jak dwaj starzy przyjaciele. Zgodnie z protokołem sekretarka Victora (ta brunetka) czekała w pobliżu na swych szpilkach, aż jej szef zapyta, czego gość się napije.

– Proszę kawę. Słabą i słodką – powiedział Magnes. Magnes.

Jakoś nie mogłem oswoić się z tym przydomkiem, kiedy Victor dokonał prezentacji. Na szczęście facet nie był jednym z tych, którzy zachęcają: „ale przyjaciele nazywają mnie...”. z jakiegoś powodu robię się nerwowy, kiedy to słyszę. Jakby spotkanie z facetem, który według Victora pracował zarówno dla CIA, jak i Mosadu, nie było wystarczającym powodem do zdenerwowania.

– Davidzie, to jest Magnes.

– Anthony Magnetti – rzekł, wyciągając do mnie dłoń.

– Cześć, Anthony – odparłem, ściskając ją. – David Remler.

Wyglądał na skrzyżowanie komputerowego maniaka z hipisem. Czarne okulary w grubych oprawkach kontrastowały ze skórzaną motocyklową kurtką. A wspomniany kucyk z lekko nosowym głosem. Może jego swobodny, luzacki styl bycia przechylał nieco szalę na stronę hipisa. Choć prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie spotkałem typowego maniaka komputerowego.

Victor po chwili wrócił za biurko.

– Pozwólcie, że zadzwonię po Terry.

Terry była w swoim gabinecie, sprawdzając wiadomości głosowe. Czekając na jej przybycie, usiedliśmy w wygodnych fotelach i zaczęliśmy gawędzić. Victor wyraził swoje rozczarowanie anemiczną grą Knickersów, a Magnes oznajmił, że przed kilkoma dniami udało mu się złamać nowy wewnętrzny system szyfrowania plików Pentagonu. Każdy mówił o tym, co najbardziej go interesuje.

Czarnowłosa sekretarka Victora wróciła z kawą. Bezszelestnie postawiła ją na szklanym

blacie stolika przed Magnesem.

Przyszła Terry.

– Cześć, Anthony – powiedziała, wchodząc. – Od kiedy tu jestem, to już moja trzecia sprawa i trzecie spotkanie z tobą. Ludzie zaczną plotkować.

– To dobrze – rzekł. – Powiem ci, co mówią. Jeden z moich kumpli uczy mnie zakładać podsłuchy.

Wystarczyło mi kilka minut znajomości, żeby wiedzieć, że wcale nie żartował.

Terry serdecznie uściśliła mu dłoń, po czym usiadła w fotelu. Zaczęła się narada.

Krótko mówiąc, sytuacja wyglądała następująco. Od kiedy Victor przysłał mu emaila, Magnes zaczął szukać wszelkich danych o tym zaskakującym świadku, który pojawił się dziś na procesie. O Gabrielle Dennis, czyli kobiecie podającej się za kochankę Conrada Bircha.

– W porządku – powiedziała Terry. – Mamy następujące możliwości. Pierwsza, to że naprawdę była jego kochanką i mówi prawdę. Druga, że to jeden wielki kit...

– A raczej silikon – zażartował Victor.

– Owszem, są trochę przesadnie duże, prawda? – zauważyła Terry.

Magnes odstawił filiżankę i przewrócił kartkę w notatniku.

– Gabrielle Dennis przeszła operację powiększenia piersi tutaj, na Manhattanie, cztery lata temu. Zabieg został wykonany przez doktora Ruebena Stolziera i kosztował sześć tysięcy czterysta osiemdziesiąt siedem dolarów.

Na chwilę w gabinecie zapadła cisza. Potem, niczym konferansjer, Victor wykrzyknął z szerokim uśmiechem:

– Panowie i panie, oto Magnes!

Nie mogłem się oprzeć, żeby nie zapytać. Może z poczucia obowiązku wobec pacjentów. A może po prostu ze zwyczajnej ciekawości.

– Anthony, jak się tego dowiedziałeś?

Spojrzał na mnie z głębi swych stu pięćdziesięciu kilogramów, po czym odparł:

– Myślisz, że chcesz to wiedzieć, ale wierz mi, wcale nie chcesz.

– Prawdę powiedziawszy – dodał Victor – nawet cię tu nie ma.

Och.

Terry podjęła:

– Natomiast trzecia i ostatnia możliwość to ta, że Gabrielle Dennis próbuje zrobić na tym karierę.

Wiedziałem, że to całkiem możliwe. Terry już napomknęła o tym podczas przesłuchiwania świadka, ale ta teoria potwierdziła się, kiedy sąd zawiesił proces do następnego dnia. Gdy wyszliśmy z budynku, zobaczyliśmy, że Gabrielle Dennis bynajmniej nie unika mediów. Wprost przeciwnie. Zdawała się napawać ich zainteresowaniem. Pławić w blasku fleszy. W nadziei, że jakiś producent zobaczy ją w telewizji.

– Mam pewne podejrzenia – oznajmiła Terry. – Jednak po kolei. – Zwróciła się do Anthony'ego. – Powiedz nam, co znalazłeś. Co z tą salą gimnastyczną?

Wrócił do pierwszej strony notatek i przesunął po niej palcem.

– W tym czasie ona i Birch byli członkami klubu – rzekł. – Wykorzystują tam system kart

magnetycznych Mag-Seven do identyfikacji klientów oraz zarządzania. Dane ze wszystkich filii są gromadzone w centralnym banku danych i bardzo kłopotliwie chronione, więc z łatwością ustaliłem daty wizyt tych dwojga.

– Przystań się popisywać, Anthony – powiedziała Terry. Magnes uśmiechnął się w odpowiedzi i przeszedł do rzeczy.

– Jak już mówiłem, w przeciwieństwie do Conrada Bircha Gabrielle Dennis regularnie uczęszczała do klubu.

– Czy ich wizyty zbiegały się w czasie? – spytała Terry.

– Tylko osiemnaście razy od daty, którą mi podałaś. Z tego dziesięć razy w ciągu jednego miesiąca.

– Niech zgadnę – rzekł Victor. – W styczniu. Magnes zachichotał i złapał się za wydatny brzuch.

– Najczęściej podejmowane noworoczne postanowienie, którego nigdy nie umiałem dotrzymać.

Uśmiechnąłem się. Lubię ludzi, którzy potrafią żartować ze swoich wad.

– W porządku, więc Gabrielle Dennis i Conrad Birch mogli spotykać się tak, jak twierdziła – powiedział Victor.

– Albo po prostu wiedziała, że wtedy tam bywał – wtrąciła Terry. – A co z Wall Street Inn, Anthony? Albo z innymi hotelami?

– Birch miał cztery karty kredytowe oraz jedną służbową kartę swojej finny – odparł. – Żadną z nich nie płacił w żadnym hotelu na Manhattanie, włącznie z Wall Street Inn.

– Zakładam, że mógł płacić gotówką. Karty kredytowe zbyt łatwo mogą stać się dowodem w sprawie rozwodowej – zauważył Victor. – Nie żebym znał te sprawy z własnego doświadczenia.

– Jasne, że nie – zgodziła się Terry.

Do licha. Znów to samo. Nieodparte wrażenie, że Victor i Terry są sobie bliscy. Czy on naprawdę mrugnął do niej, kiedy to mówił, czy też tylko mi się zdawało? Jedyne, czego byłem pewien, to że nie chcę, aby tak było.

Magnes ponownie sprawdził notatki.

– Co do restauracji, a szczególnie rachunków sugerujących obecność dwóch osób, to nic nie wskazuje na to, że Birch nie był ze swoją żoną. Ponieważ te lokale znajdowały się w pobliżu jego biura, przeważnie płacił kartą firmy.

– A finanse tej dziewczyny? – zapytała Terry.

– Jakie finanse? – odparł z kpiącym uśmiechem Magnes. Znów przewrócił kartkę w notesie. – W przypadku Gabrielle Dennis najlepiej określa je wyrażenie „z trudem wiąże koniec z końcem”. Miała – i nadal ma – jeden rachunek oszczędnościowy w Manhattan Chase Bank. Niewiele na nim jest, a w ciągu ostatnich trzech lat trzykrotnie miała debet.

– Żadnych większych wpłat ani wzrostu przychodów w czasie, kiedy podobno była związana z Birchem? – spytał Victor.

– Nie. Na rachunek wpływały tylko pieniądze za pracę kelnerki i czasem tantiemy z reklamówki, w której wystąpiła, a którą nadawano dwa razy dziennie przez dwadzieścia sześć

tygodni.

Patrzyłem, jak Terry i Victor zdają się przeglądać w myślach wykazy swoich pytań. Zadanych i nie. Nagle Terry najwidoczniej coś przyszło do głowy.

– A konflikty z prawem? – zapytała. Magnes pokręcił głową.

– Nienotowana przez policję, żadnych oskarżeń ani wyroków... nic – odparł. – Od pięciu lat nie ma samochodu, więc nawet nie dostała mandatu za przekroczenie czasu parkowania.

Victor wstał i podszedł do okna. Słońce zachodziło i niebo nad horyzontem przybrało pomarańczową barwę.

– Krótko mówiąc – powiedział, stojąc tyłem do nas – z jednej strony niczego podejrzanego, a z drugiej...

Terry wpadła mu w słowo.

– W jej dzisiejszym oświadczeniu nie ma niczego, czego nie mogłaby dowiedzieć się z telewizji lub gazet.

– Właśnie – zgodził się Victor. Magnes sięgnął po filiżankę z kawą.

– Pytam z czystej ciekawości. Czytaliście protokół sekcji zwłok Conrada Bircha? Miał jakieś pieprzyki lub znaki szczególne, o które moglibyście ją zapytać?

– Myślałam już o tym – powiedziała Terry. – Sprawdziłam i nie miał.

Victor odwrócił się.

– Co jeszcze, Mag? Znalazłeś jeszcze coś, o czym nie pomyśleliśmy?

– Sprawdziłem większość aptek. Przed rokiem trzykrotnie brała xanax na receptę, ale kto tego nie używa? – Znowu przejrzał notatki. – Och, o mało nie zapomniałem. Jest jeszcze coś – rzekł. – Wprawdzie to nie dymiący rewolwer, ale każe się zastanawiać, jakie są jej prawdziwe motywy.

– Co takiego? – zapytała Terry, prostując się w fotelu.

– Jej rachunki telefoniczne – odparł Magnes. – Dwa dni temu Gabrielle Dennis kilkakrotnie dzwoniła do Epic-One Media.

Nie miałem pojęcia, co to jest, ale Terry i Victor najwidoczniej wiedzieli.

– Ile dokładnie? – zapytał Victor.

– Trzy.

– Łączyła się z jakimś numerem wewnętrznym?

– Nie, za każdym razem tylko z głównym.

– Chyba mimo to moglibyśmy ustalić, z kim rozmawiała – rzekła Terry.

– Z trudem – powiedział Victor, wciąż stojąc pod oknem. – A nawet gdyby, oni nie są szczególnie chętni do współpracy. A ponadto niezbyt lubią prawników.

– Ty też byś nie lubił, jakbyś co tydzień otrzymywał pozew sądowy – odparł Magnes.

Miałem wrażenie, że oglądam zagraniczny film bez napisów.

– O kim lub o czym mowa? – zapytałem.

– Przepraszam, Davidzie – odparł Victor, siadając na fotelu. – Epic-One Media wydają „National Tabloid”.

Nie musiał więcej wyjaśniać. Przy gazecie, o której mówili, „Enquirer” i „Star” były jak „Times” i „Journal”. Małpa przy klawiaturze spisałaby się lepiej niż dziennikarze tego

brukowca.

– No cóż, próba sprzedaży tej historii z pewnością podważa jej wiarygodność – zauważyła Terry. – Jednak jej nie obala, no nie?

Magnes wzruszył ramionami.

– Jak już powiedziałem, to nie jest dymiący rewolwer.

– Mimo to całkiem niezła amunicja – rzekł Victor. Spojrzał na zegarek, a potem na Terry. Kiwnęła głową.

– Iz tymi słowami chyba wypuścimy cię stąd, Anthony – powiedziała.

Magnes z cichym pomrukiem odepchnął się od poręczy fotela i wstał. Lekko powłóczył nogami, jakby z trudem utrzymywały logo ciężar. Uścisnął mu dłoń i podziękował za starania. Czuł się dziwnie. Nie miał pojęcia, co właściwie zrobił i czy zdobyte przez niego informacje na coś się przydadzą. Ani w jaki sposób, jeśli w ogóle, zostaną wykorzystane, a także czy zdołają mnie uratować. Pomagał Davidowi Remlerowi, ale nie traktował tego osobiście. Nie ulegało wątpliwości, że zrobiłby to samo dla każdego. Przyszedł tutaj, ponieważ właśnie tym się zajmował. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że on tylko robi to, co trzeba.

Chociaż dostawał za to pieniądze, mimo woli dostrzegłem podobieństwo. „Robię tylko to, co trzeba zrobić” – to mantra supermanów.

„Są hakerzy i jest Magnes!”.

Victor znów go uściskał, a Terry zaproponowała, że odprowadzi go do wyjścia.

– Zaraz wracam – zapowiedziała. Kiedy wyszli, Victor i ja znów usiedliśmy.

– Czy mówiłem ci, że pracował dla CIA i Mosadu? – zapytał, ruchem głowy wskazując drzwi.

– Taak, wspominałeś o tym.

– Z tego co wiem, Magnetti to nawet nie jest jego prawdziwe nazwisko. Zabawne, no nie? Taki skryty człowiek ma tak łatwy dostęp do sekretów innych ludzi.

Nic nie powiedziałem. Niezbyt cieszyło mnie to, że wziąłem w tym udział.

– Taak, wiem – rzekł Victor, prawidłowo odczytując moje myśli albo moją minę. – Jednak to tak jak pluton. Możesz wykorzystać go do dobrych i złych celów. Przypadkiem uważam, że udowodnienie twojej niewinności to dobry cel.

Powiedziałem mu, że się z nim zgadzam, chociaż skrót nazwy firmy Victora – Edwards, Vode, Isadore & Locke – aż prosił się o żartobliwy komentarz. Mimo wszystko zatrzymałem ten żart dla siebie.

– Chcesz drinka? – zapytał Victor.

Wstał i ruszył do barku ozdobionego kryształowymi karafkami z trunkami, które niewątpliwie miały niewiarygodnie wiele lat.

– Nie, nie potrzebuję drinka – skłamałem.

W tym momencie mało co wydawało się równie kuszącą propozycją. Na szczęście jedną z tych rzeczy był widziany oczami duszy kolejny krzyżyk zakreślony pod napisem „od ilu dni nie piję”. Od dziesięciu, i wciąż się trzymam.

Wróciła Terry.

Usiadła, zrzuciła szpilki i położyła nogi na stole. Victor nalał sobie drinka – którym oczywiście okazał się mój ulubiony bourbon – i dołączył do nas. Przez kilka sekund tylko patrzyliśmy na siebie.

– No i co o tym myślimy? – zapytała Terry.

– Pięćdziesiąt procent szans na to, że Gabrielle Dennis mówi prawdę – odparł Victor. – Chociaż jeśli kłamie, to stawiam wszystkie pieniądze na to, że Terry Garrett jutro jej to udowodni.

– Ryzykant z ciebie – powiedziała.

– Owszem – przyznał.

Znów zapadła cisza. Victor wypił drinka. Terry przygryzła dolną wargę. Ja siedziałem i czekałem. Dowiedziałem się, że trzeba czegoś więcej niż zaufanie, żeby złożyć swój los w ręce innych ludzi. Potrzeba również wiele cierpliwości.

Ktoś zapukał do drzwi. W progu stanęły obie sekretarki Victora. Blondynka i brunetka.

– Możemy już iść, Victorze? – zapytała blondynka.

– Tak, dziękuję wam – odparł. – Dobrej nocy. Uśmiechnęły się jednocześnie i życzyły nam tego samego, po czym odwróciły się i wyszły. Kiedy znalazły się poza zasięgiem głosu, Terry zażartowała:

– Czy naprawdę potrzebujesz dwóch sekretarek, Victorze, czy też to tylko przejaw typowo męskiej potrzeby dominacji?

– Och, zdecydowanie przejaw męskiej potrzeby dominacji – odparł z uśmiechem. – Czasem jedna kobieta to za mało.

Zaczął się śmiać.

– Jasna cholera! – wykrzyknęła Terry. – Oczywiście! Obaj spojrzeliśmy na nią ze zdziwieniem. Co? Na jej twarzy ponownie ujrzałem błysk olśnienia. Tylko leszcze jaśniejszy.

– Właśnie zrozumiałam, co musimy jutro zrobić – powiedziała.

Z tymi słowami Terry podniosła się z fotela, rozmasowała skronie i zaczęła wyjaśniać. Kiedy skończyła, Victor miał do powiedzenia tylko jedno:

– Co, do diabła, jeszcze robicie w moim gabinecie, zamiast przygotowywać zeznania?

Rozdział 33

Nazajutrz rano Terry wstała i poinformowała sędziego Lomaksa, że po namyśle postanowiła nie zadawać dalszych pytań Gabrielle Dennis.

– Zamiast tego, Wysoki Sądzie, chciałabym wezwać na świadka doktora Davida Remlera. Zgodzi się czy nie?

– Przysięgam – powiedziałem urzędnikowi, trzymając podniesioną prawą rękę. Prawdę i tylko prawdę.

Lomax skinął na mnie, żebym usiadł. Terry podeszła i mimo poważnej miny krzepiąco kiwnęła mi głową. Zaczęło się.

– Prosił mnie pan, żebym wezwała pana na świadka, prawda, doktorze Remler? Uśmiechnąłem się zgodnie z oczekiwaniami.

– Może nie tyle prosiłem – odparłem – co stanowczo nalegałem.

Ta uwaga wywołała stłumiony śmiech w tylnych rzędach.

– Tak czy inaczej – powiedziała Terry – nie zamierzałam pana wzywać. Wszyscy znamy te telewizyjne dramaty sądowe, w których zręczny prokurator zastawia pułapkę na niewinnego podsądnego.

– Sprzeciw! – wykrzyknął Hemmerson. – Obrona ewidentnie mija się z prawdą!

– W kwestii niewinności mojego klienta czy pańskiej zręczności? – zażartowała Terry.

– Wystarczy, pani Garrett – rzekł Lomax. Zwrócił się do Hemmersona. – Postanawiam domyślnie przyjąć, że przysięgli są świadomi tego, o jakich programach telewizyjnych wspomniano, a także o ich czysto fikcyjnym charakterze. – Przeniósł wzrok na Terry. – Co powiedziawszy, pani Garrett, nie zamierzam pozwalać na dalsze kpiny z oskarżenia ani na nadużywanie mojej cierpliwości. Zatem, innymi słowy, proszę przestać.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie. – Przeszła kilka kroków w stronę ławy przysięgłych, jednocześnie mówiąc do mnie: – Próbowałam tylko powiedzieć, że aż do wczorajszego dnia byłam przekonana, że udaje nam się dowieść pańskiej niewinności, doktorze Remler. Właśnie dlatego postanowiłam nie wzywać pana na świadka obrony. Potem jednak usłyszeliśmy zeznanie młodej kobiety, niejakiej Gabrielle Dennis. – Zamilkła na moment. – Czy przed jej pojawieniem się tutaj widział ją pan kiedykolwiek wcześniej, doktorze Remler?

– Nie, nie widziałem.

– Iw żadnym razie nie jest ona tą kobietą, która była pańską pacjentką, podającą się za Samanthę Kent?

– Nie, to nie ta kobieta.

– Jest pan tego pewien?

– Całkowicie.

– Tak więc słysząc wczoraj, jak Gabrielle Dennis zeznaje, że miała romans z Conradem Birchem w czasie, który on panu podał, musiał pan przeżyć szok – powiedziała. – Taki ważny świadek przedstawiony przez oskarżenie. Jeśli Gabrielle Dennis nie jest tą pacjentką, która pana wrobiła, to komu powinniśmy uwierzyć? Panu czy jej?

Terry mówiła to wojowniczo. Niemal jakby oskarżała własnego klienta.

O Boże, była naprawdę dobra.

Dzięki temu moja odpowiedź wypadła jeszcze lepiej.

– Prawdę mówiąc, myślę, że logicznym wyjściem byłoby uwierzyć nam obojgu.

Terry przechyliła głowę na bok.

– Jak pan to rozumie?

– Z całym szacunkiem dla oskarżenia uważam, że oddało mi przysługę, od samego początku traktując mnie jak notorycznego kłamcę. Łączącego w żywe oczy – powiedziałem. – Jednak przedstawiając Gabrielle Dennis, oskarżenie dowiodło, że mówiłem prawdę o Conradzie Birchu, który rzeczywiście był uwodzicielem.

– Właśnie – przytaknęła Terry. – Jednak oskarżenie usiłuje zasugerować, że skoro jego kochanka nie była pańską Tajemniczą Pacjentką, to pan kłamie.

Spojrzałem na Terry. Ona na mnie. Jakbyśmy oboje znów patrzyli na sekretarki Victora. Na obie, wychodzące z gabinetu poprzedniego wieczoru.

– W rzeczywistości oskarżenie dowiodło tylko tego, że jedna z jego kochanek nie była moją pacjentką – stwierdziłem spokojnie.

– Co pan sugeruje, doktorze Remler? Przypomniałem sobie radę, którą dała mi Terry. „Mów tak, jakbyś był na zjeździe psychoterapeutów, Davidzie, a nie na sali sądowej”.

– Jako psycholog – zacząłem – zetknąłem się z niezliczonymi przypadkami mężczyzn i kobiet, którzy mieli więcej niż jeden romans pozamałżeński jednocześnie. Tak więc w przypadku Conrada Bircha wcale nie jestem zaskoczony tym, co usłyszałem wczoraj.

Terry wyduła wargi i skinęła głową.

– Tak więc, innymi słowy, jeśli nie jest pan monogamistą, to nie musi się pan zadowalać jedną kochanką?

– Właśnie – powiedziałem. – Jednak kluczowym problemem, przynajmniej u tych pacjentów, których leczyłem, jest ich głęboka niechęć do przyznania się do tego.

Jak pan sądzi dlaczego?

Uważam, że przyczyną są uwarunkowania społeczne. Chociaż nie aprobujemy tych, którzy miewają romanse, nauczyliśmy się akceptować to zjawisko jako powszechnie wyłapujące. Tak więc rzadko bywamy zaszokowani, słysząc, że Moś zdradza małżonkę lub małżonka.

Podczas gdy...

Ci, którzy miewają więcej romansów jednocześnie? Chyba można powiedzieć, że uważa się ich za znacznie bardziej winnych.

– Jednak Conrad Birch przyszedł do pana po radę, doktorze Remler. Powiedział panu, że ma kochankę. Chce pan zasugerować, że mimo to nie przyznał się do drugiego romansu?

– Krótko mówiąc, tak – odparłem. – Chociaż w przypadku Conrada Bircha musimy pamiętać o tym, jaki był cel naszego spotkania. Pacjent nie wiedział, w jaki sposób zakończyć romans. kobietą, którą uważał za niebezpieczną. Nie rozmawialiśmy u poczuciu winy.

– A jednak oskarżenie twierdzi, że sfabrykował pan całą tę historię, włącznie z notatkami z tamtej sesji, sporządzonymi dwa lata temu. Co pan na to?

– To oznaczałoby, że nie tylko wykazałem się ogromną cierpliwością, planując to morderstwo, ale także miałem niesamowite szczęście. Jakimś cudem odgadłem, że Conrad Birch ma romans.

Terry znów powędrowała w kierunku ławy przysięgłych. Tym razem dotarła aż do jej końca, po czym odwróciła się, jakby była trzynastym sędzią.

– Innymi słowy – powiedziała – jest pan nie tylko psychologiem, ale również jasnowidzem.

Na sali znów rozległy się stłumione śmiechy. Z tą różnicą, że tym razem wśród rozbawionych była większość sędziów przysięgłych.

Terry spojrzała na sędziego Lomaksa.

– Nie mam dalszych pytań, Wysoki Sądzie.

Zanim zdążyła wrócić na swoje miejsce, Hemmerson zerwał się i oddał pierwszy strzał.

– Doktorze Remler, postaram się nie oddawać panu więcej żadnych przysług, dobrze? – rzekł z niezbyt subtelnym sarkazmem. – Proszę powiedzieć, do kogo należał nóż, którym zabito Conrada Bircha, zadając mu ponad pięćdziesiąt pchnięć?

– Jeśli pyta pan, czy był w moim posiadaniu w chwili, gdy popełniono to morderstwo, to odpowiedź brzmi nie.

– Ściśle mówiąc, nie o to pytam. Krótko mówiąc: czy to, pański nóż? Tak czy nie?

– Tak.

– Tak, to pański nóż – powtórzył Hemmerson. – A list, z którego jasno wynika, że pańskie stosunki z Conradem Birchem wykraczały poza kontakt między lekarzem a pacjentem, który chyba można uznać za co najmniej obciążający... Ten list, podpisany przez Conrada Bircha, czego nikt na tej sali nie podawał w wątpliwość, gdzie został znaleziony?

– Powiedziano mi, że w moim mieszkaniu – odparłem.

Spojrzałem na Terry i Victora, którzy dyskretnie pokręcili głowami. Terry ostrzegła mnie, żebym nie był zbyt ostrożny, odpowiadając na pytania Hemmersona, gdyż przysięgli odniosą wrażenie, że kręcę. Prokurator o mało nie dowiedział, że miała rację.

– Przepraszam, doktorze Remler, czy teraz twierdzi pan, że policja nie znalazła listu w pańskim mieszkaniu? – zapytał.

Postanowiłem trzymać się programu.

– Nie, wcale tak nie twierdzę. Ten list został znaleziony w moim mieszkaniu.

– I nie zaprzecza pan, że był pan obecny na miejscu zbrodni, zgadza się?

– Zgadza.

– A pańskim alibi jest to, że spieszył pan z pomocą pacjentce – kobiecie, której istnienia nie jest pan w stanie dowieść, zgadza się?

Patrzyłem na Hemmersona i usiłowałem zachować spokój.

Nie było to łatwe. Zacząłem sądzić, że gdyby nagradzano Oscarem dupków, zdobyłby go dożywotnio.

– Zgadza się, doktorze Remler? – powtórzył. – Nie może pan dowieść, że ona istnieje.

– Tak, zgadza się.

Teraz Hemmerson pomaszerował w kierunku ławy przysięgłych.

– Jeśli dobrze pana rozumiem, chciałby pan, byśmy uwierzyli, że Conrad Birch był donżuanem z Manhattanu i miał cały harem kobiet.

– Niczego takiego nie powiedziałem.

– Nie, nie powiedział pan, ale zasugerował pan, że Conrad Birch miał jednocześnie więcej niż jeden romans. To wygodny argument, szczególnie w jedenastej godzinie trwania procesu, me uważa pan?

Terry zgłosiła sprzeciw.

– Argumentacyjne twierdzenie, Wysoki Sądzie.

– Sprzeciw podtrzymany – rzekł Lomax.

– Cofam pytanie – powiedział Hemmerson. Pozostał przed ławą przysięgłych i kontynuował. – Jest faktem, że nie może pan dowieść, iż Conrad Birch miał więcej niż jeden romans, tak samo jak nie jest pan w stanie udowodnić istnienia Tajemniczej Pacjentki. Czy zgadza się pan z tym?

– Zgadzam się.

– Natomiast co do pańskiego twierdzenia opartego na sporządzonych przez pana notatkach, że Conrad Birch miał romans... czy nie powiedział pan temu sądowi kilka minut temu, jak częstym zjawiskiem w naszym społeczeństwie jest niewierność?

– Powiedziałem, że jest powszechnie akceptowana.

– Tak samo jak powszechnie występująca. Czy kwestionuje pan fakt, że według analiz statystycznych co najmniej pięćdziesiąt procent osób pozostających w związku małżeńskim miało romans?

– Nie znam tych badań – odparłem.

Hemmerson podszedł do stolika oskarżenia i podniósł stert papierów.

– No cóż, ja je znam, doktorze Remler. Czy chciałby pan, żebym przeczytał niektóre z nich?

Hemmerson odwrócił się do Terry, spodziewając się sprzeczki. Zanim zdążyła go zgłosić, wycofał pytanie. Facet był w swoim żywiole.

– Doktorze Remler, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że na tysiąc siedemset osiemdziesiąt cztery takie przestępstwa, odnotowane w ubiegłym roku w Nowym Jorku, w tysiąc siedemset trzech przypadkach rany klute zostały zadane przez mężczyzn?

– Nie, nie wiedziałem.

– A mimo to twierdzi pan, że Conrada Bircha zadźgała kobieta?

– Tak.

– Pomimo faktu, iż sprawcami ponad dziewięćdziesięciu pięciu procent takich zabójstw są mężczyźni.

– Nie, nie pomimo. Ja po prostu wyjaśniłem, co stało się tamtej nocy, kiedy umarł Conrad Birch. Przedstawiłem moją wersję wydarzeń, które miały miejsce.

– Tak, rzeczywiście, doktorze Remler. I gdyby mnie pan pytał, to bardzo niewiarygodna wersja wydarzeń. – Odwrócił się do Lomaksa i rzekł krótko: – Nie mam dalszych pytań, Wysoki Sądzie.

Rozdział 34

Pytanie: kiedy remis jest równoznaczny ze zwycięstwem?

Odpowiedź: kiedy tak mówi ci twój adwokat.

A przynajmniej taką miałem nadzieję. Natomiast Terry wydawała się tego zupełnie pewna.

Wracaliśmy do centrum jedną taksówką. Terry jechała do biura, a ja do domu. Victor został w sądzie, żeby z kimś porozmawiać. „Podbudować faceta” – takiego użył sformułowania.

Gdy budynki i wystawy migały za szybą, nie miałem pojęcia, skąd Terry czerpie tyle optymizmu po moim występie jako świadka. Jasne, spisałem się całkiem nieźle, kiedy ona zadawała mi pytania. Dobrze mnie przygotowała, a ja zdołałem zapamiętać wszystkie odpowiedzi. Zgodnie z zaleceniem Victora, często nawiązywałem kontakt wzrokowy z sędziami. Jednak poczucie ulgi i lekki przebłysk optymizmu szybko znikły po spotkaniu z Hemmersonem i jego krzyżowym ogniem pytań. Krótko mówiąc, uważałem, że facet zjadł mnie na lunch.

– Wcale nie i zaraz wyjaśnię ci dlaczego – zaproponowała Terry, kręcąc głową. – Hemmerson może wiercił ci dziurę w brzuchu dowodami, ale nie miał niczego nowego. Sędziowie przysięgli wszystko to już słyszeli.

– A te dane statystyczne, według których to mężczyźni zadają rany klute?

– Mogą być prawdziwe, ale są nam na rękę. Powtarzam, zostałeś wrobiony. Twoja Tajemnicza Pacjentka wybrała metodę zbrodni, która znowu obciąża ciebie, a nie ją. Jeszcze jedna kropka nad i naszej tezy.

– To chyba ma sens.

– Z całą pewnością ma sens. Ważniejsze jednak jest to, że dzisiaj było oczywiste, iż Hemmerson nie zamierza wypytywać cię o tę koncepcję wielu kochanek. Krążył wokół niej, ale nie tykał psychologii. Wiedział, że to nie jego działka. A to oznacza, że pomimo całej tej nadętej gadaniny o dowodach, ława przysięgłych zastanawia się teraz nad bardzo realną i – oto kluczowe słowo – prawdopodobną możliwością, że Conrad Birch miał jednocześnie więcej niż jedną kochankę.

– Zatem Hemmerson nie zjadł mnie na lunch?

– Może trochę nadgryzł – odparła. – Jednak zarobiłeś także kilka punktów. Właśnie dlatego mówię o remisie. Spójrzmy prawdzie w oczy, remis jest równie dobry, jak zwycięstwo.

Popatrzyłem na nią z lekkim zdziwieniem. Nie po raz pierwszy nie nadażalem za tokiem jej rozumowania.

– Chwytałem wszystko do słów „spójrzmy prawdzie w oczy” – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Chodzi o oczekiwania, Davidzie. Kiedy sędziowie widzą, jak prokurator bierze się za oskarżonego, oczekują nokautu. Tacy są ludzie i w taki sposób jest skonstruowane prawo.

Chodzi o decyzję. Jesteś niewinny lub winny i w obu przypadkach werdykt musi być jednoznaczny. Ponieważ odparłeś atak Hemmersona, to on przegrał.

– Wszystko zależy od punktu widzenia – zauważyłem.

– Właśnie. To on miał cię znokautować, a nie ty jego. Patrzyłem prosto przed siebie, na plastikową szybę taksówki.

Minęło co najmniej dziesięć sekund ciszy. Potem rzuciłem żartobliwie:

– Tą rozmową chciałeś po prostu dodać mi otuchy, prawda?

– Jasne – wpadła w mój ton. – I udało mi się?

– Troszeczkę.

– To dobrze. Już zaczęłam się obawiać, że wyszłam z wprawy.

Przejechaliśmy co najmniej trzydzieści przecznic, rozmawiając o procesie, i w końcu nawet wybuchnęliśmy głośnym śmiechem. Kiedy ucichł, zauważyłem, że od Chrysler Building dzieli nas jeszcze co najmniej trzydzieści przecznic. Postanowiłem zmienić temat. Ona zrobiła to w tej samej chwili.

– Przepraszam, mów – zachęciłem.

– Nie, w porządku – odparła. – Ty pierwszy.

– Chciałem tylko zapytać, czy właśnie to zawsze planowałaś robić. No wiesz, być adwokatem.

– Uhm, chyba nie zamierzasz mnie analizować, co?

– Nie, chyba że mi powiesz, że nadmiernie wymagający rodzice zmusili cię do pójścia na studia prawnicze.

– Skądże, sama podjęłam tę decyzję. Od kiedy skończyłam dwanaście i pół roku, wiedziałam, że zostanę adwokatem.

– I pół, tak? To brzmi tak, jakbyś dokładnie pamiętała ten moment.

– Bo pamiętam. Postanowiłam tak, kiedy zobaczyłam Paula Newmana w „Werdykcie”.

Zacząłem się śmiać.

– Niesamowite.

– Dlaczego?

– Ponieważ ja postanowiłem zostać psychologiem, gdy zobaczyłem Judda Hirscha w „Zwyczajnych ludziach”.

– Żartujesz.

– Nie. W tym momencie uprzytomniłem sobie, że chcę pomagać wszystkim Timothyom Huttonom tego świata.

– Taak, czy jednak nie sądzisz, że tak naprawdę to matka potrzebowała pomocy psychiatry?

– Masz rację, ale jako nastolatek kochałem się na zabój w Mary Tyler Moore, więc zapewne nie chciałem tego przyjąć do wiadomości.

– No, no – podsumowała Terry – dwoje młodych ludzi pozwoliło, by Hollywood wywarło wpływ na całą ich przyszłość.

– Wciąż się to słyszy podczas zbiorowych seansów psychoterapeutycznych – powiedziałem. – Choć to niezwykle, że oboje zrealizowali marzenia.

- Może ty. Ja jeszcze nie.
- Jak to?
- Mój wielki plan przewidywał, że będę reprezentowała ubogich – wyznała.
- Jeśli to cię pocieszy, będę ubogi, kiedy zapłacę tobie i Victorowi.

Roześmiała się.

- Poważnie – dodałem. – A co się stało z twoim planem, jeśli mogę spytać?

– Nic. Wciąż istnieje – tylko trochę zmodyfikowany. Chociaż bardzo chcę zająć się „niskodochodowym prawem”, zrozumiałam, że niekoniecznie chcę żyć na takiej stopie jak reprezentowani przeze mnie ludzie. Nie jestem cierpiętnicą i lubię robić zakupy jak każda kobieta. Tak więc zrewidowany plan przewiduje, że około dziesięciu lat będę zajmowała się „wysokodochodowym prawem”. To powinno wystarczyć na wszystkie późniejsze lata.

- Jestem pod wrażeniem.
- Nie bądź. Jeszcze go nie zrealizowałam.
- Ale zrealizujesz.

Terry popatrzyła na mnie z wdzięcznością. Jej spojrzenie wyrażało szczere podziękowanie. W tym momencie nie byliśmy adwokatem i klientem. Poczułem się nieswojo, ponieważ oboje wiedzieliśmy, że jesteśmy tylko adwokatem i klientem.

Taksówka zatrzymała się przy północnwschodnim narożniku Czterdziestej Drugiej i Lex, przed samym frontem Chrysler Ituilding.

– Czas być błyskotliwą – powiedziała. Miała na myśli przemówienie kończące, które przygotowywała.

- Ile już napisałaś? – zapytałem.
- Prawie dwie trzecie.
- To dobrze. Już prawie gotowe.

– Tak, tylko że ta pozostała jedna trzecia jest najgorsza – I o ona powinna skłonić dwunastu ludzi, żeby powiedzieli „niewinny”.

Postukałem palcem w skroń.

- Powiedz mi, proszę, że masz ją gotową tutaj.
- Bułka z masłem.

Mrugnęła i zaproponowała mi, że zapłaci połowę należności *K1* taksówkę. Odmówiłem.

– Musisz oszczędzać na przyszłość, kiedy nie będziesz już zarabiała trzystu pięćdziesięciu dolarów na godzinę – powiedziałem.

Pojechałem do domu, a później położyłem się spać, nie wypijwszy drinka. Jedenaście dni i wciąż się trzymam. Nastawiłem budzik na ósmą rano. O siódmej czterdzieści pięć zadzwonił telefon.

- Halo?
- Davidzie, tu Terry.

W jej głosie usłyszałem niepokój.

- Czy coś się stało?
- Prawdę mówiąc, sama nie wiem – odparła. – Pięć minut temu odebrałam telefon od

sędziego Lomaksa.

– Czego chciał?

– Właściwie nie powiedział. Zadzwoił, żeby zawiadomić mnie, że chce spotkać się z nami wszystkimi w jego gabinecie o dziewiątej trzydzieści. I jakby to nie było dość dziwne, zażyczył sobie jeszcze, żebyś ty też tam był.

– To nie jest normalna procedura?

– Wprost przeciwnie.

– Jak myślisz, o co chodzi?

– Naprawdę nie mam pojęcia. Zadzwoiłam do Victora i zawiadomiłam go. Też nic mu nie przychodzi do głowy. Lomax powiedział tylko, że wydarzyło się coś bardzo niezwykłego.

Część 4

Rozdział 35

Gabinet sędziego. Punktualnie dziewięć trzydzieści. Wszyscy obecni.

Najpierw spotkałem się w holu z Terry i Victorem, który na co dzień wyjątkowo zadbany, teraz wyglądał wręcz oszalamiająco. Jego nieskazitelny strój składał się z granatowego garnituru ozdobionego jednym dodatkiem – chusteczką z czerwonego jedwabiu, sterczącą niczym kwiat origami z kieszonki na piersi.

Co do Terry, to odniosłem wrażenie, że ona także spędziła kilka dodatkowych minut przed lustrem. Nadal było widać, że preferuje minimalny makijaż, ale wydawało się, że nieco więcej uwagi niż zwykle poświęciła szczegółom. Doszedłem do wniosku, że ten efekt zawdzięczała głównie cieniowi do powiek. Włosy, zwykle rozpuszczone, schowała pod czarnym beretem o takim samym odcieniu co idealnie dopasowana spódniczka i blezer. Zakładając, że każdy z nas ma w szafie swój najlepszy strój, byłem pewien, że jej ulubionym jest ten, który widzę teraz.

Jak miałem się usprawiedliwić?

– Ominąłeś jeden guzik – od razu zauważyła Terry.

Spojrzałem i rzeczywiście, koszulę miałem wydetą na brzuchu. Nie trafiłem guzikiem w dziurkę. Albo raczej pominąłem ją. Poprawiłem to.

– No właśnie – powiedziała. – O wiele lepiej.

Kiwnąłem głową. Potem natychmiast wypiąłem pierś i wyprostowałem ramiona. Uśmiechnęła się.

– Jak myślicie, jaki jest powód tego wezwania? – zapytałem.

– Jakiś problem z sędzią przysięgłym – odparł Victor i zaraz wyeliminował tę możliwość:

– Tylko że tego nie można by uznać za „coś bardzo niezwykłego”, jak ujął to Lomax. Ponadto zatelefonował osobiście.

Terry odwróciła się do mnie i wyjaśniła:

– Zwykle w takiej sytuacji zadzwoniłby urzędnik albo sekretarka. Nie sędzia.

– Instynkt mówi mi, że został osobiście wmieszany w tę sprawę – rzekł Victor.

– Nie mam pojęcia, jak mogłoby do tego dojść – powiedziała Terry.

Victor spojrzał na zegarek.

– Ja też. Jednak czas się dowiedzieć.

Oboje odwrócili się i ruszyli. Poszedłem za nimi. Chociaż moi adwokaci nie mieli pojęcia, co czeka nas w biurze Lomaksa, przynajmniej wiedzieli, jak tam dojść. Na pierwszym rozgałęzieniu korytarzy skręciliśmy w lewo i poszliśmy aż do końca. Po drodze minęliśmy strażnika sądowego, który rozpoznał Victora i skinieniem głowy pozwolił nam przejść. Weszliśmy w przedostatnie drzwi po prawej, z częściowo przedartą tabliczką PRYWATNE.

Rozejrzałem się. Wokół uwijali się ludzie niosący teczkę z aktami lub inne papiery. Minęliśmy kilka pomieszczeń, do których z ciekawością zerkałem przez otwarte drzwi. W tym po lewej jakaś kobieta zakładała togię. Po prawej mężczyzna rozmawiał przez telefon,

trzymając nogi na biurku, a w rękę mosiężny przycisk do papierów.

Witajcie za kulisami wymiaru sprawiedliwości.

Gabinet Lomaksa znajdował się na samym końcu korytarza. Drzwi do niego też były otwarte na oścież i wszyscy troje weszliśmy do środka. Lomaksa nie było, ale Hemmerson już tam siedział i czekał, razem z asystującymi mu prokuratorami: młodą kobietą i mężczyzną. Na sali sądowej odzywali się, jedynie szepcząc do ucha Hemmersonowi. Kobieta sprawiała wrażenie bystrej i wyniosłej. Mężczyzna wyglądał tak, jakby godzinę temu ukończył studia.

– Cześć, Glenn – rzekł Victor.

– Dzień dobry, Victorze. Dzień dobry, Terry. Hemmerson obdarzył mnie lekkim skinieniem głowy, co zważywszy na sytuację, i tak przekraczało moje oczekiwania. Do tej pory nasze kontakty trudno było nazwać przyjacielskimi. Zza stołu oskarżenia płynęły na salę fale pogardy i całe zachowanie Hemmersona nie pozostawiało cienia wątpliwości, że darzy nią mnie. Trudno.

W końcu chyba na tym polega jego praca.

Pomyślawszy to, poczułem się nieswojo. Prawdę mówiąc, kiedy usiadłem na kanapie obok biurka Lomaksa, wszystko zaczęło wydawać mi się dziwne. Przez kilka minut nikt z nas nie grał swojej roli. Nasze pozycje, zmagania prawne, manewry – wszystko uległo zawieszeniu. Byliśmy tylko ludźmi . siedzącymi i czekającymi.

Nie zrozumcie mnie źle. Pozorne uprzejmości, jakie wymieniliśmy na wstępie, w niewielkim stopniu łagodziły sytuację. Minałbym się z prawdą, gdybym powiedział, że rozumiem, iż dla Hemmersona to tylko praca, i wcale nie żywi do mnie niechęci. Mimo wszystko nie mogłem zignorować niezaprzeczalnej i czysto ludzkiej reakcji. Kiedy ktoś usiłuje wpakować cię za kraty na resztę twojego życia, zawsze traktujesz to osobiście.

Ponadto ten palant znów gapił się na Terry.

No, tak jakby. Jeśli nawet Hemmerson był ogierem poza salą sądową i eunuchem w sądzie, gabinet sędziego okazał się swego rodzaju ziemią niczyją. Prokurator znów okazywał zainteresowanie, ale w znacznie subtelniejszy sposób. Tylko ktoś bardzo wyczulony zdołałby to zauważyć. Innymi słowy jedynie ja.

Moje dalsze niechętnie rozmyślenia o Hemmersonie zostały przerwane przez sędziego Lomaksa, który wmaszerował do gabinetu. W jednej ręce trzymał kubek z kawą, a w drugiej złowieszczo wyglądającą czerwoną teczkę. Z pewnością nikt z nas nie patrzył na kubek.

Lomax usiadł za zarzuconym papierzyskami biurkiem i zaczął robić na nim miejsce na segregator.

– Wszyscy obecni? – zapytał, przekładając papiery.

– Tak – odparł Hemmerson.

– Tak – powiedziała Terry.

Lomax dopiero teraz podniósł głowę. Powiódł po nas zmęczonym wzrokiem i natychmiast stało się jasne, kogo szukał. Oskarżonego. Zobaczył mnie siedzącego na kanapie, a ja próbowałem coś wyczytać z jego twarzy, ale stary lis miał pokerową minę.

Nacisnął przycisk interkomu i nachylił się do mikrofonu.

– Eunice, zechcesz tutaj przyjść, proszę?

Przełożył jeszcze kilka papierzyk, a gdy to robił, ja rozejrzałem się wokół. Dotychczas tak bardzo skupiłem się na obecnych tu osobach, że zaniedbałem inne obserwacje. Właśnie, zaniedbanie. Oto odpowiednie słowo. Podniszczone meble i niemodny wystrój wnętrza pokrywały warstwy kurzu i sterty pożółkłego „Wall Street Journal”. Gabinet, o którym zapomniał czas. Nie mówiąc o sprzątacze.

Szczupła siwowłosa kobieta – zapewne Eunice – weszła do gabinetu, niosąc maszynę do stenografii. Oczywiście bardzo stary model. Usiadła za Lomaksem, nie kłaniając się nikomu. Nie nawiązując z nikim kontaktu wzrokowego.

Lomax rzekł:

– Ze względu na niezwykle charakter tego, co zaraz nastąpi, a także nieuchronny wpływ, jaki to będzie miało na sprawę, zażądałem stenograficznego zapisu rozmowy.

Eunice zaczęła pisać, śmigając palcami po klawiaturze. Pozostali z nas ani drgnęli. Miałem wrażenie, że wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Rozmyślnie lub nie, sędzia wykazał skłonność do dramatycznych efektów.

A efekt był naprawdę dramatyczny. Kiedy Eunice przestała pisać, w pokoju słychać było tylko jeden dźwięk. To Lomax postukiwał palcem w leżącą przed nim czerwoną teczkę.

Co, do diabła, w niej jest?

Rozdział 36

W końcu przestał stukać.

Zerknąwszy przez ramię na Eunice, Lomax zaczął:

– Proszę odnotować, że oskarżony, doktor David Remler, jest obecny na tym spotkaniu. Obecni są również oskarżyciele. – Zwrócił się do mnie. – Doktorze Remler, chciałbym, żeby podał pan teraz rysopis kobiety, która podobno była pańską pacjentką. Zeznał pan, że przedstawiła się jako Samantha Kent, zgadza się?

Wymieniłem szybkie spojrzenie z Terry, która – chociaż wyglądała na równie zaskoczoną, jak ja – nieznacznie skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Mów, Davidzie”.

– Tak – odparłem, odkaszlnąwszy. – Chociaż przedstawiła mi się jako „Sam”.

– A jej rysopis? – zapytał Lomax.

Zastanawiałem się najwyżej sekundę. Podany przeze mnie rysopis kobiety, którą uważałem za Sam Kent, był już w aktach. Sędzia zadał pytanie, na które znał odpowiedź. Prawnicy często to robią. Do czego zmierzał?

– Miała około metra sześćdziesięciu pięciu. Szczupła. Jasne włosy, sięgające nieco poniżej ramion – powiedziałem.

Wtedy Lomax otworzył teczkę.

Nie całkiem. Wsunął w nią dłoń i wyjął coś. Prostokątny kartonik. Fotografiją. Ściśle mówiąc, zdjęcie zrobione polaroidem. Pokazał mi je.

– Doktorze Remler, czy to jest opisana przez pana kobieta? Wyjął zdjęcie i zadał pytanie tak szybko, że w pierwszej chwili nikt z pozostałych obecnych w gabinecie nie zareagował. I Hemmerson, tak samo jak Terry i Victor, wydawał się niemal sparaliżowany tym nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń. Ten paraliż był jednak krótkotrwały.

– Wysoki Sądzie! – wykrzyknął Hemmerson. – Z całym szacunkiem, do czego to, do diabła, zmierza?

Lomax podniósł dłoń.

– Wszystko wyjaśni się za chwilę – rzekł z kamiennym spokojem.

Chociaż wyraźnie urażony tonem Hemmersona, wyglądał również na lekko rozbawionego. Miał minę człowieka, który spodziewał się takiej reakcji i jest nią głęboko usatysfakcjonowany.

Lomax trzymał w ręku fotografię. Nachyliłem się i dokładnie się jej przyjrzałem. Ukazywała kobietę stojącą w biały dzień na rogu jakiejś ulicy. Rzeczywiście, była szczupła, średniego wzrostu, z blond włosami mniej więcej do ramion. Niewiarygodne. Wszystko pasowało do podanego przeze mnie rysopisu Tajemniczej Pacjentki. Oprócz jednego.

To nie była ona.

Muszę przyznać, że przez moment kuśiło mnie. Zważywszy na wszystkie te nieprzyjemności i grożące mi dożywotnie więzienie, przez myśl przemknęło mi, żeby krzyknąć: „Eureka, to ona!”. Tak długo nie byłem w stanie dowieść jej istnienia. Teraz nagle pojawiła się szansa przekonania niedowiarków. Skłamać dla dobra sprawy. Taak, kuśiło mnie.

– Nie – powiedziałem. – To nie ta kobieta.

– Jest pan pewien? – zapytał Lomax. – Proszę dobrze się przyjrzeć.

Już to zrobiłem.

– Nie, jestem pewny, że to nie ona.

Widziałem, że Victor i Terry nie wiedzą, jak zareagować na moją odpowiedź, chociaż z całą pewnością wyczuwałem ich rozczarowanie. Pomimo ogólnej konsternacji wywołanej poczynaniami Lomaksa, jedno było oczywiste: gdyby kobieta z tej fotografii była moją zwodniczą, enigmatyczną Tajemniczą Pacjentką, obrona doktora Davida Remlera miałaby znacznie łatwiejsze zadanie.

Dlatego Hemmerson w tym momencie miał powody do zadowolenia. A może ulgi? Jego uśmiech był nieco wymuszony. Mimo to prokurator uśmiechał się. Uniknął kuli.

Jednak to nie koniec.

Lomax oddał kolejny strzał.

Bez słowa schował zdjęcie do czerwonej teczki i wyjął z niej drugie. To nie zostało zrobione polaroidem. Ani w jednej z budek, jakie znajdują się w każdej drogerii. Kwadratowa fotografia o wymiarach osiem i pół na osiem i pół centymetra. Pokazał mi ją tak samo jak poprzednią. Spojrzałem ze zdumieniem.

Eureka.

To była ona. Moja Tajemnicza Pacjentka. Szczupła, średniego wzrostu, o blond włosach mniej więcej do ramion. Tylko że tym razem to na pewno była ona. Fałszywa Samantha Kent. Nie musiałem się nachylać, żeby przyjrzeć się dokładnie. Chociaż zdjęcie zostało wykonane w nocy, była dostatecznie dobrze oświetlona. Miała na sobie długą czarną suknię i czerwony szal na ramionach.

– Doktorze Remler?

Wytrzeszczałem oczy. Rozdziawiłem usta. i Lomax spróbował ponownie, nieco głośniej:

– Doktorze Remler?

Musiałem coś powiedzieć, choćby na użytek Eunice i jej maszyny do stenografii. W protokole musiało znaleźć się moje potwierdzenie tego, co już wszyscy obserwujący mnie wiedzieli.

– To ona.

– Jest pan...

– Tak. Jestem pewien. To na pewno ona – powiedziałem.

Początkowy szok wywołany widokiem zdjęcia szybko ustąpił miejsca zdziwieniu, kiedy uświadomiłem sobie, gdzie zostało zrobione. Kobieta stała na chodniku, oświetlona blaskiem lampy, przed bardzo charakterystycznymi schodami wiodącymi do Metropolitan Museum of Art. Po przyjęciu koktajlowym Kasper Society.

Co oznaczało...

– O co chodzi, doktorze Remler? – zapytał Lomax.

Gapił się na mnie. Nie, raczej przyglądał się badawczo. Najwyraźniej zauważył moją minę – człowieka, który właśnie dodał w myślach dwa do dwóch. Okazało się, że dokładnie wiedział, o czym myślę.

Moja Tajemnicza Pacjentka nie była sama.

Jak cyrkowy magik Lomax pokazał nam, że druga połowa fotografii dotychczas pozostała niewidoczna. Zdjęcie było równo i starannie zgięte na pół. Teraz ruchem palca odsłonił drugą połowę. Ja na niej byłem. Stałem ramię w ramię z moją Tajemniczą Pacjentką.

Jak Lomax zdobył to zdjęcie?

Z pewnością wszyscy zadaliśmy sobie to pytanie, jednak na tym skończyły się podobieństwa. Ten niespodziewany zwrot sytuacji wywołał burzę emocji.

Hemmerson przestał się uśmiechać. Sieć zmarszczek, które migle pojawiły się na jego twarzy, zdradzała nagły niepokój. Wspierająca go dwójka młodych ludzi wystarczająco zrozumiała sytuację, żeby zrobić zatroskane miny.

Teraz Victor i Terry. Ich uprzednie rozczarowanie ustąpiło miejsca nagłemu ożywieniu. Sytuacja doktora Davida Remlera rzeczywiście znacznie się poprawiła.

– Wysoki Sądzie, domagam się wyjaśnienia! – warknął Hemmerson.

Lomax znów zrobił tę na wpół urażoną, na wpół rozbawioną minę.

– Po pierwsze, proszę się uspokoić – polecił. – Po drugie, wysłuchać, co mam do powiedzenia, nie przerywając mi. – Przeniósł wzrok na Victora i Terry. – To dotyczy również obrony. Zaczął wyjaśniać.

– Kiedy wczoraj po zawieszeniu rozprawy wróciłem tutaj, do mojego gabinetu, zastałem czekającą na mnie kopertę Fed-Ex. Sędziowie zwykle nie otwierają przesyłek, których nie oczekiwali. Jednakże nadawcą był Wydział Prawa Uniwersytetu Nowojorskiego, na którym czasem wykładam. Otworzyłem kopertę. W środku było zdjęcie oraz napisana na maszynie notatka. – Lomax ponownie otworzył czerwoną teczkę i wyjął kartkę papieru. Zapewne z wspomnianą notatką. – Składała się tylko z jednego zdania, które brzmi następująco – powiedział, wskazując palcem. – „Doktor Remler mówi prawdę”.

Lomax nabrał tchu, niemal jakby prowokując Hemmersona czy kogokolwiek, żeby mu przerwał. Nikt tego nie zrobił. Na razie.

Sędzia ciągnął:

– Naturalnie, zawartość tej koperty bardzo mnie zdziwiła, szczególnie ze względu na miejsce jej nadania. A przynajmniej pozorne miejsce nadania. Skontaktowałem się z kilkoma znanymi mi osobami z wydziału prawa. Nikt z nich nic nie wiedział o przesyłce. Nie zdołali również ustalić jej ewentualnego nadawcy. Wtedy zadzwoniłem do Fed-Exu. Numer przesyłki wskazywał na to, że została nadana w jednej z ich placówek w śródmieściu. Opłacona gotówką. Oprócz tego nic więcej nie byli w stanie mi powiedzieć. Tak więc w tym momencie nie miałem pojęcia, kto był nadawcą tej koperty.

– Przepraszam, Wysoki Sądzie.

Lomax obrzucił Hemmersona zimnym spojrzeniem.

– Co mówiłem panu o przerywaniu? Najwidoczniej za mało.

Ta krótka wymiana zdań przypominała ojca karcącego syna i świadczyła o czymś, co z każdą chwilą stawało się bardziej oczywiste. Zwołując to zebranie i przyjmując taką rolę, Lomax opierał się na doświadczeniu zdobytym w trakcie niemal trzydziestoletniej praktyki sędziowskiej. Obsadził się pierwszoplanowej roli i nie zamierzał nikomu ustępować

miejsca.

Hemmerson pokornie przeprosił i Lomax podjął przerwany wątek. W rękę wciąż trzymał tę drugą fotografię.

– Odkładając na chwilę kwestię anonimowości nadawcy, najważniejszą dla mnie kwestią były skutki, jakie dla procesu przyniesie fakt, że widziałem to zdjęcie. Co sprowadza nas do pytania, jakie zapewne zamierzał zadać pan Hemmerson. Pokazałem doktorowi Remlerowi dwa zdjęcia. Jednak powiedziałem, że w przysłanej mi kopercie znajdowało się tylko jedno.

Hemmerson kiwnął głową. Nie pisnął słówka. Lomax rzekł:

– Powód po temu jest prosty, aczkolwiek niekonwencjonalny. Zanim zacznę tworzyć jakieś teorie spiskowe, prawo wymaga ode mnie domniemania niewinności doktora Remlera. Robiąc to, muszę również założyć, że nie miał nic wspólnego z przysłaniem tej fotografii. W takim jednak razie nie mogę zakładać – a raczej nie mogę polegać – wyłącznie na zeznaniu doktora Remlera. – Lomax znów wziął do ręki pierwsze zdjęcie, które mi pokazał. To wykonane polaroidem. – Dlatego pojawiła się druga fotografia. Innymi słowami, potrzebna mi była grupa kontrolna.

Zamrugałem lekko zaskoczony. Ten facet mnie sprawdzał.

– Wczoraj, niedługo po otrzymaniu tej koperty, poleciłem Eunice wyjść na ulicę z aparatem do natychmiastowej fotografii, który mamy w biurze. Poprosiłem, żeby znalazła kobietę, której rysopis odpowiada Tajemniczej Pacjentce doktora Remlera, i zrobiła jej zdjęcie. W ten sposób zdołałem się przekonać, że doktor Remler, mimo grożącego mu pozbawienia wolności, nie jest oportunistą. – Lomax zamilkł i przyjrzał się zdjęciu. – Nawiasem mówiąc, uważam, że Eunice wykonała bardzo dobrą robotę.

Zerknąłem na Eunice, która właśnie notowała komplement Lomaksa. Uśmiechnęła się nieznacznie. Domyśliłem się, że w jej przypadku oznaczało to istną burzę uczuć.

– W każdym razie – ciągnął Lomax – widzieliście, w jaki sposób wykorzystałem to zdjęcie oraz to, które mi przysłano. Widzieliście również reakcję doktora Remlera. Spodziewam się, że zdaniem niektórych z was, moje działania mogły wykroczyć poza uprawnienia sędziego. Chociaż dam obu stronom możliwość wyrażenia swoich opinii, proszę pamiętać o jednym. Z czysto prawnego punktu widzenia odrobiłem już pracę domową.

Sędzia wygodnie rozparł się w fotelu i splótł dłonie za głową. Dał w ten sposób sygnał: zaczynajcie.

Oczywiście zaczął Hemmerson.

Jak nakręcana zabawka, którą za mocno nakręcono, zaczął zadawać jedno pytanie po drugim. Kluczowym było to:

– Skąd wiemy, że to sam oskarżony lub ktoś, kto go reprezentował, nie przysłał panu zdjęcia? Gdyby tak było, kontrolna fotografia nie byłaby żadnym dowodem.

Terry posłała mi kosę spojrzenie, upewniając się, że będę trzymał buzię na kłódkę. Chociaż instynkt kazał mi się bronić – zaprzeczyć, że zrobiłem coś takiego – wystarczająco długo przestawałem z prawnikami, żeby się powstrzymać. Zrozumiałem to samo co ona i Victor. Nie miało znaczenia to, że Hemmerson właściwie ich także oskarżył o wysłanie fotografii. Mieliśmy najlepszego możliwego obrońcę. Samego sędziego.

Lomax powiedział:

– Chociaż jest możliwe to, że doktor Remler lub jego obrońcy przysłali mi zdjęcie, trudno byłoby zrozumieć, dlaczego zwlekali tak długo. Ponieważ jeśli dokładniej przyjrzy się zdjęciu, zobaczycie, że nie zostało zrobione niedawno. W rzeczy samej, zrobiono je kilka miesięcy temu. Mniej więcej tuż przed aresztowaniem doktora Remlera.

Wszyscy wyciągnęli szyje.

– Czy na zdjęciu znajduje się data? – zapytał Hemmerson.

Lomax pokręcił głową.

– Zatem skąd pan to wie?

– Ponieważ przypadkiem jestem wielbicielem Marka Rothki – odparł sędzia. To niczego nie wyjaśniało i dobrze o tym wiedział. Wskazał palcem. – Widzicie ten czerwony plakat w tle? Zapowiadał wystawę Rothki. Wiem o tym, ponieważ na niej byłem. Dwa dni przed jej zamknięciem – w październiku zeszłego roku.

I w ten sposób Mark Rothko został moim ulubionym artystą. Pokonany Hemmerson natychmiast spróbował ograniczyć straty i zaatakować w innym miejscu.

– Wysoki Sądzie, abstrahując od tego, pańska niezależność sędziowska pozwala panu zignorować zawartość tej koperty.

– Istotnie – odparł Lomax, odkładając zdjęcie. – Jednakże w tym przypadku powstają dwa kolejne problemy. Po pierwsze, ktoś wie, że otrzymałem to zdjęcie. Jeśli postanowię je zignorować, wcale nie jest pewne, że wszyscy inni też.

Hemmerson zmrużył oczy.

– Kogo pan ma na myśli?

– Na przykład dziennikarzy. Kto wie, czy oni również nie otrzymali takiej anonimowej przesyłki. Co wtedy? Nie, wolę natychmiast uporać się z tym problemem, niż czekać, aż ktoś inny ujawni go opinii publicznej.

Hemmerson był wstrząśnięty.

– Jak pan może pozwalać, żeby opinia publiczna dyktowała panu sposób postępowania?

Lomax pokręcił głową.

– Nie ogarnia pan sytuacji. To nie reakcja prasy najbardziej mnie niepokoi. Powiedziałem, że zignorowanie zawartości tej koperty stworzyłoby dwa problemy. To tym drugim przejmuję się bardziej. – Ponownie podniósł zdjęcie. – Jeśli ta kobieta istotnie była pacjentką doktora Remlera, to oznacza, że wciąż pozostaje na wolności. Do diabła, nawet jeżeli nie była jego pacjentką, gdzieś tam jest. Tylko znajdując ją, uzyskamy pewność. Obojętnie, czy jest ważnym świadkiem, podejrzaną, czy postronną osobą, musimy ją znaleźć. Ignorowanie jej istnienia nic nie da.

Hemmerson już nie był wstrząśnięty. Teraz był bliski paniki.

– Czy sugeruje pan to, co mi się wydaje?

– Zapewniam pana, że dla mnie również nie jest to przyjemne. Jednak owszem, zawieszam ten proces. Konieczne jest dalsze śledztwo. Jeśli mogę coś zaproponować, należy je zacząć od pokazania tej fotografii Samancie Kent. Tej prawdziwej. Może ona rozpozna tę kobietę.

Hemmerson zaczął przechadzać się tam i z powrotem. Jakby przy każdym kroku chciał opanować gniew. Prawie mu się udało. Chociaż nie wrzeszczał, tonu jego głosu nie można było nazwać spokojnym.

– A jeśli się okaże, że cała ta cholerna przesyłka była oszustwem albo – jeszcze gorzej – rozpaczliwą próbą odroczenia wyroku, co wtedy?

– Wtedy rozpoczniemy proces od nowa – odparł Lomax.

– Nie rozumie pan? To oznacza wygraną obrony.

– To dziwne – przerwała Terry, najwidoczniej nie mogąc się powstrzymać – myślałam, że chodzi o sprawiedliwość, a nie o to kto wygra, a kto przegra.

Hemmerson sarkastycznie kiwnął głową.

– Dziękuję za lekcję prawa, pani mecenas.

– Mówię poważnie. Nie zwycięży pan, pakując niewinnego człowieka za kraty.

– Nikogo nie pakuję za kraty. Decyzja w tej sprawie, jeśli pani zapomniała, należy do dwunastu osób. To sędziowie przysięgli wydają sprawiedliwy wyrok.

– Zatem może pokażemy im to zdjęcie i dowiemy się, co myślą?

– Bardzo zabawne.

– A czemu nie? – spytała Terry. – Twierdzi pan, że to zdjęcie niczego nie dowodzi. Jeśli tak pan w to wierzy, to dlaczego sędziowie mieliby uważać inaczej?

– No, wie pani co? Może i racja – rzekł sarkastycznie Hemmerson. – Najpierw jednak może wszyscy poddamy się badaniu na wykrywaczu kłamstw, żeby mieć pewność, że nikt z tu obecnych nie miał nic wspólnego z tym zdjęciem. Może zaczniemy od pani klienta?

– W porządku, wystarczy – przerwał Lomax. – Przysięgli nie zobaczą tego zdjęcia i nikt nie będzie badany na wykrywaczu kłamstw.

Victor chrząknął.

– Przepraszam, że przerywam, Wysoki Sądzie. Czy mogę zaproponować coś, co może należałoby zrobić?

– Proszę mówić.

– Nie wiem, jakie są pańskie zamiary w kwestii zakończenia rozprawy, ale chciałbym, żeby zaczął pan z tym przynajmniej jeden dzień.

– Po co?

– Żeby Samantha Kent mogła zobaczyć to zdjęcie, zanim media dowiedzą się o zawieszeniu rozprawy – odparł Victor. – Nie chciałbym, żeby ta tajemnicza kobieta zorientowała się w sytuacji, zanim zdołamy ją zidentyfikować.

Był to dobry pomysł i sędzia wiedział o tym.

– Rozumiem – rzekł. Spojrzał na Hemmersona. – Czy oskarżenie zgłasza jakieś zastrzeżenia?

Hemmerson potarł skronie.

– Z całym szacunkiem, panie sędzio, przy wszystkich moich aktualnych problemach związanych z tą sprawą, ten jest po prostu błahy.

– Uznaję to za zgodę – rzekł Lomax. Znacząco zakaszłał. – A teraz, za pozwoleniem, trochę źle się czuję. – Odwrócił się do Eunice. – Zechciałabyś poinstruować woźnego, że

dzisiejsze posiedzenie sądu zostało odwołane ze względu na moją niedyspozycję.

Eunice ponownie nieznacznie się uśmiechnęła. Lomax zerknął na Victora, który skinął głową.

– Jestem zobowiązany, Wysoki Sądzie – rzekł. Uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że niebawem poczuje się pan lepiej.

Na tym zakończyło się spotkanie. Nie było uprzejmej pogawędki. Terry, Victor i ja po prostu wstaliśmy i podziękowaliśmy sędziemu za poświęcony nam czas. Zważywszy na to, było to idealne wyrażenie. Jego czas. Nie trzeba było głębokiej znajomości prawa, aby wiedzieć, że młodszy sędzia, mający za sobą mniej lat zasiadania na sędziowskim fotelu, niechętnie zrobiłby to co Lomax.

Zapewne zdaniem Hemmersona sędzia postąpił w sposób typowy dla znużonego sędziego tuż przed emeryturą. Jak facet, który przestał przejmować się prawem.

Ja jednak uważałem inaczej. Moim zdaniem postępowanie sędziego nie miało nic wspólnego z apatią. Wprost przeciwnie. Widziałem w nim człowieka, który z perspektywy doświadczeń całego życia doskonale rozumiał system. Ogarnął go i wiedział, że w razie potrzeby może go odrobinę nagiąć. Jak stary przyjaciel.

I za to będę mu do zgonu wdzięczny.

Rozdział 37

Tej nocy nie świętowaliśmy, chociaż mogło to tak wyglądać. Uśmiechy, żarty, śmiech, drinki i znów drinki. Nawet toast.

– Za Widmowego Fotografę! – rzekł Victor, podnosząc kieliszek.

Wszyscy chętnie spełniliśmy ten toast* [W moim przypadku dietetyczną colą, chociaż się nad tym nie zastanawiałem. Był to już dwunasty dzień abstinencji, do dyspozycji miałem wszelkie możliwe alkohole, a mimo to odczuwałem mniejszą pokusę niż kiedykolwiek. Może ze względu na to, że sędzia Lomax przepędził widmo grożącego mi dożywocia, uczucie ulgi zagłuszyło ewentualny pociąg do alkoholu.]

Do Victora, Terry i mnie dołączyli Parker oraz Stacy. Rozbiliśmy obóz w miękkich fotelach Bar and Books przy Hudson Street. Po kolacji zjedzonej w sąsiedniej Mi Cocina.

Słuchając Victora, mimo woli powtórzyłem w myślach te słowa. „Widmowy Fotograf. „, Naprawdę zdumiewające. Chyba pasował do sprawy, której bohaterką była postać nazywana Tajemniczą Pacjentką, a moją obronę wspomagał haker o przydomku Magnes.

Otoczony przez prawników, musiałem zapytać:

– Czy spotkaliście się kiedyś z takim przypadkiem? Parker, Victor i Terry jednocześnie zaprzeczyli.

Wiedziałem dostatecznie dużo o tym, jakim torem biegną moje myśli, by zrozumieć, że próby powstrzymania się przed tym nie mają sensu. „Przed tym”, czyli przed spekulacjami na temat tego, kto zrobił zdjęcie. Oraz równie istotnym pytaniem: dlaczego? Jaki był jego czy jej motyw? Nie żywiłem wątpliwości, że posyłając zdjęcie sędziemu Lomaksowi, ktoś chciał mi pomóc, ale wydawało się bardzo mało prawdopodobne, żeby to zdjęcie zostało zrobione właśnie w tym celu. Jakimi więc motywami kierował się ten, kto mnie śledził? I czy śledził wtedy mnie?

Naturalnie, nie tylko ja zadawałem sobie te pytania. Od chwili gdy tego ranka opuściliśmy gmach sądu, Terry i Victor również się nad tym zastanawiali. Podczas obiadu do grona zdziwionych dołączyli Parker i Stacy. Nieuchronnie dyskusja osiągnęła punkt, w którym nie zostało już nic do powiedzenia. Ponieważ nie było poszlak do omawiania, nasze spekulacje były mocno ograniczone.

– Sądzę, że w końcu się dowiemy – zauważyła Terry, zamykając ten temat wkrótce po tym, jak zasiedliśmy w Bar and Books. Chociaż równie dobrze jak pozostali wiedziała, że ta nadzieja jest w znacznej mierze oparta na pobożnych życzeniach.

Tak więc gdy zmienił się temat rozmowy, ja wciąż zastanawiałem się nad tym, kto był autorem zdjęcia. Owszem, można założyć, że zrobił je ktoś, kto znał mnie albo moją Tajemniczą Pacjentkę. Jednak takie założenie wcale nie zawężyło pola poszukiwań. Wszystkie opcje nadal pozostawały otwarte. Mógł to być ktokolwiek.

Prawdziwość tego stwierdzenia uświadomiłem sobie, kiedy – trzeźwy jak niemowlę – zapatrzyłem się na Parkera i Stacy. Oczywiście musiałbym postradać rozum, żeby choć przez chwilę podejrzewać, że któreś z nich posłużyło się aparatem fotograficznym tamtej nocy po przyjęciu koktajlowym Kesper Society.

A co tam. Zapytałem ich o to.

– Taak – odparł bez namysłu Parker. – To my. I na wypadek, gdybyś się zastanawiał, to ja byłem na trawiastym pagórku* [Z którego, według niektórych opinii, miał strzelać drugi zabójca Johna Kennedy’ego.]

Stacy z poważną miną skinęła głową. Para komediantów.

– Cóż, czy możecie mieć mi to za złe? – zapytałem. Parker uniósł brew.

– Masz na myśli swoją paranoję?

– To nie paranoja, jeżeli podejrzewa, że oddaliśmy mu przysługę, no nie? – zapytała Stacy.

– Nie wiem – rzekł Parker. – To nie ja jestem psychologiem.

– Jednak to naprawdę dobre pytanie – orzekła Terry, wtrącając się do rozmowy. – Zawsze wydawało mi się, że paranoja to podejrzewanie kogoś o złe zamiary. A jak nazwać to, Davidzie, kiedy nieustannie przypisujesz komuś dobre intencje?

Zastanawiałem się chwilę nad odpowiedzią.

– Mamy dwie możliwości – odparłem. – Miłość lub ignorancja.

– Zabawne, ale zawsze uważałem, że to jedno i to samo – zażartował Victor.

Terry szturchnęła go łokciem.

– Powiedział prawdziwy rozwodnik.

– Au. Lubisz bić mężczyzn?

– Tylko tych, którzy potrafią to znieść.

– W takim razie uznaję to za komplement – zażartował.

– A skoro mowa o robieniu krzywdy facetom, to jak nasz Hemmerson przyjął dzisiejsze wydarzenia? – spytał Parker.

– Niezbyt dobrze – odrzekła Terry. Victor zachichotał.

– To poważne niedopowiedzenie, nie sądzisz, Davidzie? Kiwnąłem głową.

– Parker, powinieneś widzieć, jak Terry i Hemmerson starli się na końcu – powiedział Victor. – To było piękne. , Terry wzruszyła ramionami.

– Nie mogłam pozwolić, żeby Lomax odwalil za nas całą robotę.

– Absolutnie – przyznał Victor. – Wtrąciłaś się we właściwej chwili. W rzeczy samej, z tej okazji pozwólcie mi wznieść następny toast. – Jedną ręką objął Terry. Drugą podniósł kieliszek. – Za Terry Garrett i jej wspaniały sukces w sprawie naród przeciwko doktorowi Davidowi Remlerowi.

– Na zdrowie, na zdrowie – powiedzieliśmy wszyscy. Kiedy trąciliśmy się kieliszkami, mimo woli patrzyłem, jak dłoń Victora lekko ściska ramię Terry. Natychmiast to głęboko zanalizowałem. Czy miał podtekst seksualny? Czy tylko przyjacielski? Seksualny, ale udający przyjacielski?

Gapilem się na ramię Teny – już całkiem odsłonięte – kiedy poczułem na sobie czyjś wzrok. To ona. Zauważyła, że wpatruję się w jej ramię. Nasze spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się przelotnie, a ja odwróciłem głowę jak nerwowy uczeń.

Terry nachyliła się w fotelu i postawiła drinka na stole.

– Dziękuję, Victorze – powiedziała. – Jednak prawdziwa zasługa przypada tej specjalnej

przesyłce FedExu.

– Wierz mi, Terry, gdybyś nie spisała się tak dobrze na sali sądowej, Lomax mógłby zataić, że ją otrzymał – powiedział Parker.

– Racja – rzekł Victor. – Podtrzymuję toast. Jeszcze przez chwilę rozmawialiśmy, opowiadaliśmy różne historie i śmialiśmy się. Stacy, która potrafiła być przekonująca w sposób nienaturalny, zdołała namówić Victora na darowiznę na rzecz jej centrum kryzysowego. Ponadto Terry obiecała popracować tam społecznie.

Parker zażartował, że on i Stacy powinni teraz nas opuścić, zanim zmienimy zdanie, po czym spojrzął na zegarek.

– Poważnie mówię, robi się późno.

Łagodnie zaprotestowaliśmy i zaczęliśmy ich namawiać, żeby zostali na jeszcze jedną kolejkę.

– Naprawdę chcielibyśmy – odparł z westchnieniem Parker. – Tylko że w przeciwieństwie do niektórych, ja muszę jutro być na sali sądowej.

Oboje ze Stacy wstali i pożegnaliśmy się.

Zostaliśmy we troje.

Victor, Terry i ja zrealizowaliśmy pomysł dodatkowej kolejki. Nieważne, że już wypłem prawie litr dietetycznej coli. Wciąż świetnie się bawiliśmy. Sytuacji z pewnością nie można było nazwać niezręczną, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że nieświadomie nie chciałem pozostawić ich sam na sam.

W rezultacie to Victor nas opuścił. Zauważył kogoś znajomego. Powiedział, że chodzi o „starą znajomość ze studiów”.

– Zaraz wrócę – oznajmił. Zostaliśmy sami.

Kilka sekund milczenia.

– Dobrze się bawisz? – zapytała Terry.

– Owszem – odparłem. – Mam nadzieję, że nie wyglądam na przybitego.

– Wcale.

Znów cisza. Tym razem dłuższa. W końcu...

– Nawiasem mówiąc, nie jesteśmy – powiedziała.

– Przepraszam?

– Victor i ja. Nie jesteśmy parą.

Spojrzałem na nią tępym wzrokiem. A przynajmniej próbowałem. Gdyby mi się udało, nie dowiedziałyby się, że właśnie odpowiedziała na dręczące mnie cały wieczór pytanie.

– Och, proooszę. No i tyle z udawania.

– No dobrze, może trochę się nad tym zastanawiałem – przyznałem.

Uśmiechnęła się.

– Umiesz wytrzymać krzyżowy ogień pytań.

– Załatwiło mnie to twoje czterosylabowe „proszę”.

– Tak, nauczyłam się go, mieszkając w Los Angeles.

– Dlaczego powiedziałaś mi, że ty i Victor nie jesteście parą?

– Pomyślałam, że chciałbyś to wiedzieć. Okazuje się, że miałam rację.

- Rozumiem. Chciałaś po prostu wyjaśnić sytuację.
 - Właśnie. – Spojrzała na sufit. – Chociaż kiedy teraz o tym myślę, to gdyby Terry Garrett poślubiła Victora Glassa, nie musiałaby zmieniać monogramu na ręcznikach.
 - Naprawdę masz ręczniki z monogramami?
 - Nie.
 - Tak przypuszczałem. Nie wyglądasz na taką.
 - Jednak założę się, że Victor je ma.
 - Zapewne – przyznałem. – Ponadto nie wyglądasz na kobietę, która przyjęłaby nazwisko męża.
 - I tu się mylisz.
 - Naprawdę?
 - Choćby ze względu na dzieci. Tata i mama powinni mieć to samo nazwisko.
 - Chcesz mieć dzieci?
 - Chcę – powiedziała. – Nie mów nikomu, ale już wybrałam imię.
 - Jedno?
 - Tak. Będzie takie samo dla chłopca czy dziewczynki.
 - Aż boję się zapytać.
 - Czytałeś kiedyś „Zabić drozda”?
 - Jasne – odparłem.
 - Pierwszemu dziecku chcę dać na imię Atticus.
 - Lepiej módl się, żeby to był chłopiec.
 - A co z Atty? – spytała. – To mogłoby być imię dla dziewczynki.
 - Nie jeśli chcesz, żeby była taka jak ty.
 - Myślisz?
 - Może nie. Choć życzę szczęścia w poszukiwaniach tablicy rejestracyjnej z jej imieniem.
 - Myślę, że poradziłaby sobie z tym.
 - Zapewne – odparłem. – Jednak musiałaby być równie twarda, jak jej mama.
 - Może to odpowiedni moment, aby wyznać, że tylko udaję.
 - Chcesz mi powiedzieć, że to tylko zawodowa poza?
 - Właśnie. W wolnym czasie jestem jak galareta.
 - Chyba nie spodziewasz się, że w to uwierzę?
 - To prawda – powiedziała.
 - Miałem na myśli to, że miewasz wolny czas.
- Terry zaśmiała się i upiła łyk. Odstawiła drinka i spojrzała na mnie, jakby zastanawiała się nad czymś.
- O co chodzi? – zapytałem w końcu.
 - Mogę zadać ci osobiste pytanie?
 - Pytaj.
- Wydeła usta.
- Czy ty i twoja żona chcieliście mieć dzieci?
- Gdy tylko to powiedziała, natychmiast tego pożałowała. Z powodu mojej miny. Nie

zdołałem ukryć przygnębienia. Niemal poczułem, jak nagle zbladłem.

– Nie powinienam pytać. Przepraszam.

– Nie musisz – odparłem. Nabrałem tchu. – Rzecz w tym, że kiedy moja żona zginęła, była w czwartym miesiącu ciąży.

Terry klepnęła się w czoło.

– O Boże.

– W porządku.

– Davidzie, ja nie...

– Naprawdę w porządku. Skąd mogłaś wiedzieć? i Nie mogła. Mimo to najwidoczniej czuła się okropnie. Miała Izy w oczach.

– Daj spokój, Garrett. Nie bądź galareta. Ten tekst wywołał nikły uśmiech.

– Teraz lepiej – powiedziałem.

Już miałem wygłosić następną żartobliwą uwagę – coś o prawnikach zawsze zadających trudne pytania – gdy przypadkiem spojrzałem na moją dłoń. I pomyśleć, że nawet tego nie poczułem

Jej dłoń nakrywała moją.

Najwidoczniej zrobiła to bezwiednie i kiedy tylko to zauważyłem, ona zobaczyła to również.

– Przepraszam. – Powoli podniosła dłoń.

– Jak powiedziałem, nie ma za co.

– Nie, to było niemądre z mojej strony. Niezamierzone ale niemądre.

– A gdybym powiedział, że wcale nie?

– Przypomniałabym ci, że jesteś moim klientem. Tak jak dla ciebie pacjent. To nie powinno się zdarzyć.

Natychmiast oklapłem.

– Teraz ja czuję się jak idiota.

– Dlaczego?

– Ponieważ o mało nie przydarzyło się mnie.

– Z tą Tajemniczą Pacjentką? To co innego.

– Dzięki, ale obawiam się, że nie masz racji.

– Skądże. Tylko pomyśl, Davidzie. Jeśli dobrze się stanowiąc, zostałeś uwiedziony. To było częścią jej planu. Co więcej, ona wiedziała, że ten plan się powiedzie, ponieważ czuleś się samotny po śmierci żony. Wykorzystała twój stan emocjonalny.

To ostatnie zdanie wywołało nagłe skojarzenie. Ten facet. Jego teoria. Namacalne przeciw nieokreślonemu – prawdziwa różnica między mężczyzną a kobietą. Widziałem go wyraźnie jego sztuczną opalenizną. Pompatyczny Nathan patrzący na mnie z niedowierzaniem na przyjęciu u Cassandry Nance. Jego pytanie. „Czy możesz uczciwie stwierdzić, że nigdy nie zostałeś wykorzystany emocjonalnie przez kobietę?”

Chyba teraz już nie mogłem tego powiedzieć.

– Mimo wszystko – rzekłem do Terry – czuję się *jak* frajer zadurzający się w każdej kobiecie, która jest dla niego miła.

- No, teraz czuję się naprawdę wyróżniona.
- Wiesz, o co mi chodzi. Ponadto ty mi mówisz, że nie jesteś zainteresowana.

Nieśmiały uśmiech.

- Wcale tego nie powiedziałam.
- Och, doprawdy?
- Ja tylko zwracałam ci uwagę na naszą sytuację: •
- Masz na myśli adwokata i klienta.
- Właśnie – przytaknęła.
- A gdyby sytuacja była inna?

Popatrzyła mi w oczy i nic nie powiedziała. Nie musiała.

- Oczywiście nie jest inna, prawda? – spytałem.
- Nie.

Oboje milczeliśmy chwilę.

– Masz rację – przyznałem. – To mógłby być błąd. Kiwnęła głową i ja też. Rozsądek wziął górę. Z całą pewnością postępowaliśmy słusznie.

– Może to po prostu nie jest odpowiednia chwila – zauważyłem.

– Może. Jednak nie mogę o tym myśleć, a dokładnie mówiąc, myśleć o tobie i jednocześnie reprezentować cię w sądzie.

– Cóż, to zamyka sprawę – uznałem. – Jesteś zwolniona. – Roześmiałem się, zanim zdążyła pomyśleć, że mówię poważnie. – A jak ci się podoba coś takiego? Zawrzemy umowę. Kiedy już będzie po wszystkim i, miejmy nadzieję, nie zamkną mnie w pace, zjemy razem kolację.

- Czyżbyśmy ustalali termin randki?
- Chyba tak, owszem. Co o tym myślisz? , – Myślę, że umowa stoi – odpowiedziała.
- Dobrze. Czy powinniśmy sporządzić ją na piśmie?
- Nie. Ustne umowy mają w tym stanie moc prawną. Wyciągnąłem rękę.
- Zatem przybij piątkę.

Terry zerknęła w stronę baru i wyciągnęła do mnie dłoń. Kiedy ją uścisnąłem, przyciągnęła mnie do siebie.

- Co robisz?
- Rzykuję – odparła.

Staliśmy bardzo blisko siebie. Terry przysunęła się jeszcze bardziej i przycisnęła swoje usta do moich. Pocałowaliśmy się.

– Chyba powinniśmy teraz przypomnieć jakiś kiepski żart o ustnym kontrakcie, prawda? – zapytała, kiedy odsunęliśmy się na bezpieczny dystans adwokata i klienta.

– Zapewne – przytaknąłem. Byłem oszołomiony tym, co zrobiła. A jednocześnie bardzo szczęśliwy – Zdajesz sobie sprawę z tego, że twój szef jest sześć metrów stąd?

– Doskonale zdaję sobie sprawę – zapewniła.

Oboje spojrzeliśmy na Victora, który stał tyłem do nas. Jego „stara znajomość ze studiów” okazała się wystrzałową blondynką. Trzeba przyznać, że znajomość rzeczywiście wyglądała na zażyłą.

Terry wzruszyła ramionami.

– No i po moich ręcznikach z monogramem.

Rozdział 38

Stan zawieszenia.

Nie ma lepszego określenia na to wrażenie. Przemozna ulga walcząca o lepsze z dotkliwym niepokojem. Chociaż bardzo miło było nie wstawać i nie iść do sądu, to mimo woli zastanawiałem się, jak ciężko byłoby mi znowu tam wracać. Priorytet numer jeden: nie żywić zbyt wielkich nadziei.

Priorytet numer dwa: stworzyć sobie namiastkę normalnego życia. Nie trzeba było psychologa, żeby zrozumieć, że kluczem do tego był powrót do pracy. To było proste. Oderwać umysł od własnych problemów, skupiając się na problemach innych. Dobre dla nich i dla mnie. Trudno zaprzeczyć, że pozostawiłem pacjentów w stanie zawieszenia.

I dlatego wielu z nich postanowiło mnie opuścić.

Przypomniałem sobie, jak sędzia podczas przesłuchania wstępno przewidywał taki obrót wydarzeń ze względu na moje „kłopoty z prawem”; i owszem, nic tak jak proces o morderstwo nie rzuca cienia na zawodową reputację. Jednak nie to było prawdziwą przyczyną odwrotu. Powód był inny: chociaż nowojorczyk może przez jakiś czas obyć się bez wielu rzeczy, cotygodniowa wizyta u psychoanalityka nie jest jedną z nich.

Tak więc pod nieobecność lekarza niektórzy pacjenci poszukali innego.

W tym, co Parker powiedział sędziemu, również tkwiła odrobina prawdy. Nieszczęście istotnie lubiło moje towarzystwo. I tak pozostali pacjenci wierzyli we mnie bardziej niż przedtem, a nawet zyskałem kilku nowych. Policzmy. Chociaż musiałem wrócić do dziurawego jak ser szwajcarski planu sesji, jaki miałem w początkach mojej praktyki, pocieszałem się, że tych dziur nie ma więcej.

– Pieprzyć ich! – powiedział Marcus. Niewątpliwie mój pacjent z czwartku o trzeciej nie zamierzał mnie opuścić. Marcus Owen, wrogo nastawiony do świata rzeźbiarz, powrócił w całej swojej krasie. Nawet przyniósł zaskakujące wieści.

– Postanowiłem olać Amerykańską Ślepotę – oznajmił.

Bardziej zadziwiający był powód tej decyzji. Marcus w końcu ruszył się z kraju. Opuścił amerykańską ziemię i udał się za ocean.

– Ta ziemia, to królestwo, ta Anglia – zaintonował w sposób, który wydawał się żywcem wzięty z Szekspira w wydaniu ulicznego teatrzyku.

– Naprawdę? – powiedziałem. – I jak udała się wycieczka?

Pokręcił głową.

– Człowieku, była po prostu gówniana. Teraz już wiem, dlaczego nam wszystkim tak się spieszyło, żeby stamtąd wyjechać.

– Anglia nie dla ciebie?

– Do diabła, nie – odparł Marcus. – To nie jest to, co tygrysy lubią najbardziej. – Ponownie pokręcił głową. – No i ten ich książę Karol.

To powinno być dobre, pomyślałem.

– Chcę powiedzieć, że wygląda na sprytnego faceta i w ogóle, ale kiedy przychodzi co do

czego, czy nie odnosisz wrażenia, że ma tyle kręgosłupa co glista?

– Co?

– Tylko pomyśl.

Kiwnąłem głową.

– Zatem chcesz powiedzieć, że po tej wycieczce postanowiłeś ponownie przemyśleć koncepcję Amerykańskiej Ślepoty?

– Tak. Po tym, jak poznałem Angoli, byłoby nie w porządku dalej natrząsać się z ułomności Jankesów.

– To trochę dziwne zważywszy na fakt, że wielu ludzi uważa ich za znacznie bardziej cywilizowanych od nas.

– Cywilizowanych? – powtórzył z niedowierzaniem. – Davidzie, może oni i są uprzejmi, ale u tych popaprańców nie dostaniesz nawet mleka w kartoniku z zakrętką.

I w tym momencie, siedząc z Marcusem i słuchając jego tyrady, zrozumiałem coś. Ja, David Remler, stęskniłem się za moją pracą.

Sesja zakończyła się wkrótce i zostało mi kilka minut na sporządzenie notatek. Nie zrobiłem ich. Może nie nazwałbym tego roztrząsaniem, ale trudno było siedzieć i nie myśleć o pacjentce, która przyszłaby teraz. W czwartek o czwartej.

– Puk, puk – usłyszałem.

Podniosłem głowę i zobaczyłem stojącą w drzwiach Milę. Stawiła się punktualnie. Zamiast przychodzić co drugi wtorek o piątej, jak zwykle, poprosiła o zmianę terminu. Ponadto przez jakiś czas chciała spotykać się ze mną co tydzień, ponieważ pod moją nieobecność nabierało się mnóstwo rachunków i innych spraw do załatwienia.

– Żaden problem – powiedziałem. – Kiedy chcesz przychodzić?

– Może w czwartki o czwartej?

– Dobrze.

Jej motywy były oczywiste, ale nie obchodziło mnie to. Mila najwidoczniej uważała, że wypełnienie czasu, który przedtem poświęcałem Tajemniczej Pacjentce, leży w moim najlepszym interesie. Kto wie? Może tak było. Tak czy inaczej, ze strony Mili było to bardzo matczyne posunięcie i choćby dlatego nie zamierzałem odmówić.

Pomachałem jej ręką.

– *Rad te vidim* – powiedziałem jak uczeń, który odrobił lekcje.

Z aprobatą skinęła głową.

– Mnie też miło cię widzieć – odpowiedziała.

Od kiedy złożyła zeznanie w sądzie, Mila czuła się okropnie. Bardzo chciała mi pomóc i do szalu doprowadzała ją myśl o tym, że nie mogła tego zrobić. Co gorsza, w wyniku napastliwych i tendencyjnych pytań Hemmersona jej zeznania jeszcze pogorszyły moją sytuację.

– Uważam, że ten prokurator to *buzerant!* – poinformowała mnie.

Zamierzałem zapytać, co oznacza to słowo. Jednak po namyśle...

Nie, nie chcę wiedzieć, uznałem.

Z całą pewnością nie zamierzała zrobić Hemmersonowi swetra.

Kiedy tuzin razy zapewniłem Milę, że nie zrobiła niczego złego i to ja powinienem ją przeprosić za to, że postawiłem ją w takiej sytuacji, powoli zaczęła pozbywać się poczucia winy. Zdołała nawet w miarę spokojnie zapytać, co słychać. No, dopóki nie dowiedziała się, że proces został zawieszony. Usłyszawszy to, nie mogła powstrzymać łez radości.

– I co teraz będzie? – zapytała, usiadłszy przed moim biurkiem.

– Najpierw policja pokaże zdjęcie Samancie Kent. Może ona rozpozna tę kobietę. Mamy nadzieję, że tak się stanie.

– A jeśli nie?

– Policja przekazała zdjęcie dziennikarzom. Zostanie opublikowane we wszystkich lokalnych gazetach i pokazane we wszystkich wiadomościach telewizyjnych. Są duże szanse na to, że ktoś ją rozpozna.

– Pewnie tak.

– Oczywiście ustalenie tożsamości to jedno. Schwytanie jej może okazać się trudne. Podejrzewam, że ta kobieta mogła już wyjechać z kraju. Ja na jej miejscu na pewno bym to zrobił.

– Nie wiadomo – powiedziała Miła.

Spojrzałem na zegarek. Uświadomiłem sobie, że minął już prawie cały dzień bez żadnych wieści od Terry. Obiecała, że zadzwoni po tym, jak policja porozmawia z Samanthą Kent.

i Zamiast wezwać ją na posterunek, zamierzali pokazać jej zdjęcie w jej mieszkaniu. Tym nowym. Zważywszy na to, co stało się w poprzednim, nic dziwnego, że się przeprowadziła.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Terry. Postanowiłem jeszcze trochę poczekać. Może spotkanie z Samanthą Kent opóźniło się. Na przykład z powodu jej nieobecności w domu. Jakikolwiek był tego powód, nawet nie przyszło mi do głowy, że Terry mogła po prostu zapomnieć o telefonie do mnie.

Jeden pocałunek tak zmienił sytuację.

Na razie istotnie musiałem podpisać Mili kilka czeków. Rachunki za czynsz, elektryczność i tym podobne rzeczy nie miały litości dla stanu moich uczuć. Ponadto musiałem złożyć autograf na kilku egzemplarzach książki. Zapas podpisanych egzemplarzy, który Miła trzymała w swoim mieszkaniu, znacznie stopniał. W wyniku sławy, jaką zawdzięczałem procesowi, „Ludzkie wahadło” stało się cennym nabytkiem dla kolekcjonerów. Strach pomyśleć, ilu z nich miało nadzieję, że wpakują mnie do mamra. Można to nazwać perwersyjną ekonomią. Gdyby uznano mnie za winnego, wartość książki wzrosłaby niepomiernie bardziej niż po wyroku uniewinniającym.

Mniej więcej za piętnaście piąta Miła opuściła gabinet. Nie mając nic więcej do roboty, zacząłem szykować się do wyjścia. W chwili gdy zakładałem płaszcz, zadzwonił telefon.

– Dobrze, że jeszcze tam jesteś – powiedziała. Terry.

– Już zacząłem się zastanawiać, czy...

– Taak, wiem – przerwała mi. – Wszystko to trwało trochę dłużej, niż planowaliśmy.

– Pokazali zdjęcie Samancie Kent?

– Tak.

– I co?

- Nie rozpoznała tej kobiety.
- Naprawdę?
- Tak. Nie ma pojęcia, kto to jest.
- Niech to szlag.
- Ty mi to mówisz. Tak chyba najkrócej można to ująć.
- Dlaczego to tak długo trwało? – zapytałem. – Samantha Kent oglądała zdjęcie przez trzy godziny czy co?
- Nie, u niej byliśmy krótko. Tylko potem twoi kumple, Trentino i Lopez, nawiasem mówiąc, bynajmniej nie uszczęśliwieni rozwojem wydarzeń, postanowili pokazać je niektórym sąsiadom Bircha oraz jego współpracownikom. Nie mogłam się sprzeciwić.
- Nie, to ma sens.
- Niestety, również bez rezultatu. Nikt nie rozpoznał Tajemniczej Pacjentki. Wciąż nie wiadomo, kim ona jest.
- I co teraz?
- Dokładnie to, co powiedziałam. Dziś o jedenastej zobaczysz jej zdjęcie w telewizji.
- Szybko, co?
- Tak. Zważywszy na zawieszenie procesu, nie zdziwiłabym się, gdyby to była sensacja dnia.
- Tym razem zależy nam na rozgłosie.
- To pożądana zmiana sytuacji, nie uważasz?
- Tak – odparłem. – Mogę ci zadać grupie pytanie? i – Nie, Davidzie, ciebie nie będzie na tym zdjęciu. I – Teraz naprawdę mnie przerażasz – powiedziałem ze śmiechem. – Skąd wiedziałaś, o co chcę zapytać?
- Kobieca intuicja – odparła. – Fotografia zostanie wykadrowana mniej więcej tak, jak zrobił to Lomax, kiedy nam ją pokazał. Jediną różnicą będzie to, że zostanie lekko powiększona i wyostrzona komputerowo.
- Policja zajęła się tym?
- Na nasze życzenie. Jak już ci powiedziałam, nie są specjalnie uszczęśliwieni rozwojem wydarzeń. To stawia ich w złym świetle, a oni tego nie lubią.
- Zatem współpracują?
- W takim stopniu, żeby nikt nie mógł im niczego zarzucić. Trentino i Lopez wciąż są przekonani o twojej winie i uważają, żeby spreparowałaś zdjęcie.
- Jezu, tak powiedzieli?
- Nie. To również podpowiada mi kobieca intuicja. Naprawdę nie muszą mi tego mówić: ich mowa ciała mi wystarcza, jednak nie martw się. Od jutra powinny rozdzwonić się telefony.
- Naprawdę tak myślisz?
- Zobaczysz. Ludzie uwielbiają takie polowania. Na porywaczy, snajperów, kogo tylko chcesz. A to, że w tym przypadku chodzi o kobietę, w dodatku atrakcyjną, będzie jeszcze większą podniętą.
- Opisane w ten sposób, to brzmi jak telewizyjny reality show.

– Ponieważ nim jest. Zachichotałem.
– Boże błogosław Amerykę.
– Właśnie. Jednak z drugiej strony mogłabym wymienić co najmniej pięćdziesiąt krajów, w których już odsiadywałbyś dożywocie.

Otrzeźwiająca myśl.

Zakończyliśmy rozmowę, umówiwszy się na spotkanie nazajutrz rano. Terry jeszcze wyjaśniła mi, jaki komentarz policja podsunęła środkiem przekazu. „Osoby posiadające jakiegokolwiek informacje o tożsamości i/lub miejscu pobytu widniejącej na tym zdjęciu kobiety są proszone o telefon pod numer 800”. Typowy policyjny żargon. Ciekawsze było jednak to, jakich sformułowań nie użyto. Tajemnicza Pacjentka nie została uznana za „podejrzaną”. Raczej „uważano, iż może dostarczyć cennych informacji na temat śmierci Conrada Bircha”.

Tak, na przykład dlaczego go zabiła.

Tego wieczoru, siedząc na kanapie w moim mieszkaniu, odszukałem lokalne wiadomości. Przerzuciwszy kilka kanałów, przekonałem się, że Tajemnicza Pacjentka istotnie stała się sensacją dnia. Jej zdjęcie powiększono na cały ekran, a prezenterka recytowała niemal słowo w słowo to, co Terry powiedział mi przez telefon. Sprytnie podano łatwy do zapamiętania numer telefonu. 1-800-FORTIPS.

Jeśli można w optymistyczny sposób umyć zęby, właśnie to zrobiłem po obejrzeniu wiadomości. Nawet optymistyczni przeplukałem sobie gardło. Dobrze, pomyślałem. Poczulem się lepiej. Rozebrałem się z błogim wrażeniem, że być może to już początek końca tej afery. Szczęśliwego jej zakończenia.

Wtedy zadzwonił telefon.

Rozdział 39

Tęskniłeś za mną, Davidzie?

Siałem oniemiały. Nie musiałem pytać kto to. Wiedziałem. To była ona. Moja Tajemnicza Pacjentka. Była późna noc, ił ona znów do mnie zadzwoniła. Tylko tym razem mówiła wyraźnie.

Ponieważ ja za tobą tęskniłam.

Miałem ochotę wrzasnąć. Krzyczeć i kłać. Dać upust złości i wściekłości. Od początku robiła ze mnie durnia, a ja jej na to pozwalałem. I właśnie dlatego, kiedy otworzyłem usta, zachowałem spokój. Ponieważ tylko głupiec by nie pojął, że właśnie mam doskonałą okazję, żeby dowiedzieć się czegoś o fałszywej Samancie Kent. I nagrać to.

Minimagnetofon, którego kupno doradził mi Parker, leżał w szufladzie nocnego stolika. Ustawiony i gotowy do użycia.

Dzięki niemu mogłem w końcu udowodnić, że ta kobieta istnieje naprawdę. Cichutko sięgnąłem po magnetofon i przyłożyłem go do słuchawki, którą przyciskałem do ucha. Lekko nacisnąłem kciukiem przycisk i zacząłem nagrywać.

– Rozumiem, że oglądałaś wieczorne wiadomości – powiedziałem.

– Och, daj spokój! – skarciła mnie. – Nie zamierzasz! najpierw na mnie nawrzeszczyć?

– To kusząca myśl.

– Niech zgadnę. Jako psycholog wiesz, że nie powinienes, tak?

– Coś w tym rodzaju. Westchnienie.

– Tak, widziałam wieczorne wiadomości. Muszą ci powiedzieć, że gdybym wiedziała, że jestem fotografowana, uśmiechnęłabym się ładniej.

– Wątpię, czy teraz się uśmiechasz.

– Tak jak ja to widzę, Davidzie, to albo jesteś sprytniejszy, niż sądziłam, albo masz cholerne szczęście. Jestem skłonna podejrzewać, że to drugie.

– Nazywaj to, jak chcesz. Pozostaje faktem, że będziesz miała trudności ze zrobieniem jutro zakupów w supermarkecie.

– Wiem, niestety – przyznała z rozbawieniem. – A mogłabym znów przygotować dla nas kolację.

Roześmiała się.

– Naprawdę uważasz, że to zabawne?

– A ty nie?

– Rzeczywiście jest to w pewien sposób zabawne – odparłem. – Zostałem uratowany i uratowało mnie zdjęcie.

Prychnęła.

– Tak ci się zdaje? Że jesteś uratowany?

– Ujmijmy to tak: nie chciałbym być teraz na twoim miejscu.

– Nie byłabym tego taka pewna, Davidzie. Życie jest pełne niespodzianek.

– Z całą pewnością udało ci się tego dowieść.

– Dokładnie – powiedziała. – Ludzie nigdy nie wiedzą tak dużo, jak im się zdaje.

– W moim przypadku, poczynając od twojego nazwiska. Oczywiście teraz możesz to naprawić. , – I zepsuć zabawę?

Przynajmniej powiedz mi jedno. Dlaczego ja? Dlaczego wrobiłaś mnie?

To proste. Morderstwo pierwszego stopnia. Najlepszy sposób uniknięcia kary to rzucić podejrzenia na kogoś innego. A kto jest lepszym i bardziej zasługującym na to kandydatem niż cwany psycholog, który nastawił Conrada przeciwko mnie?

– O czym ty mówisz?

Dobrze wiesz, o czym mówią. – Zniżyła głos, upodabniając go do męskiego. Powiedziała piskliwym tenorem: – Mój psychoterapeuta uważa, że ten romans jest destrukcyjny. Mój psychoterapeuta uważa, że powinienem go zakończyć i spróbować naprawić małżeństwo.

Uważnie słuchałem każdego słowa, gorączkowo rozmyślając. Po początkowej, niczego nowego nie wnoszącej gadaninie, teraz otrzymałem istną lawinę informacji. Moje podejrzenia były słuszne: Tajemnicza Pacjentka istotnie była kochanką Bircha. A przynajmniej jedną z dwóch kochanek, jeśli ta cycata blondyna zeznała prawdą. Szybko odnotowałem w myślach: idź tym tropem.

Jeszcze nie. Istotniejszy był motyw. Sposób jej rozumowania. To, co powiedziała, brzmiało jednocześnie zaskakująco i znajomo. Wyglądało na to, że Conrad Birch zrobił to, co przed nim uczyniło wielu: złagodził poczucie winy wywołane trudną życiową decyzją, obwiniając psychoterapeuta. Podręcznikowa sytuacja. Biedny pacjent, zupełnie bezwolny. Zmuszony do takiej decyzji. Zdany na łaskę psychoterapeuty. W moim fachu zdarza się to tak często, że ma swoją nazwę, chociaż idiotyczną: psycho rap.

Mimo to gdy usłyszałem jej wyznanie, przeszedł mnie dreszcz. Moja Tajemnicza Pacjentka nie była jedyną, która mnie wrobiła. Conrad Birch też to zrobił. Oboje spisali się bardzo dobrze.

– Powiedz mi, Davidzie, jak to jest mieć taką władzę nad ludźmi?

– Ciebie mógłbym zapytać o to samo.

– Nie. Ja tylko dałam ci posmakować twojego własnego gorzkiego lekarstwa. Wiem z własnego doświadczenia, jak pracujesz, pamiętasz?

– Jak? Próbując ci pomóc, a przynajmniej pomóc osobie, pod którą się podszyłaś?

– Odgrywałaś Boga, w dodatku służącego samemu sobie – odpaliła. – Ciekawe, czy przystawiasz się do wszystkich pacjentek?

– Chcesz mi powiedzieć, że to nie było częścią twojego planu? Nie chciałaś mnie poderwać?

– Cóż, wdowcy bywają bardzo samotni – zamruczała. I zaraz parsknęła drwiąco: – Tak, to było częścią planu, ale powiodło się dzięki temu, że wiedziałam o tobie coś jeszcze: że jesteś zbyt arogancki lub tępy, żeby pojąć konsekwencje tego, co robisz. Tych jakże świątobliwych rad, których udzielasz, siedząc w bezpiecznym kokonie gabinetu, chroniony przed prawdziwym światem. Dlatego nie miałeś żadnych oporów przed udzieleniem Conradowi takiej rady.

– Nie nastawiłem go przeciwko tobie – powtórzyłem. – Wykorzystał mnie jako

wymówkę.

– Gówno prawda.

– Chryste, nie rozumiesz. Próbował jakoś z tobą zerwać. Ja niczego takiego mu nie mówiłem.

Znowu prychnęła.

– Bawi mnie, że naprawdę spodziewasz się, że ci uwierzę.

– Czy to takie trudne? A co, wolisz wierzyć facetowi, który nagle cię rzucił i wrócił do żony? Zastanów się – powiedziałem. – Czy możesz uczciwie przyznać, że wcześniej nigdy cię nie oszukał?

– Okłamał mnie wiele razy. Dlatego go zabiłam. Zerknąłem na magnetofon, który trzymałem w dłoni. Taśma przesuwiała się. Nieważne, dlaczego ta kobieta uznała, że musi posunąć się do tak drastycznych czynów. Tym zajmie się jej więzienny psycholog.

– To prawda. Okłamywał cię. Może nawet częściej niż sądziłaś – powiedziałem. Myślnami wróciłem do drugiej kochanki. – Śledziłaś proces, prawda? – Nie odpowiedziała. Wiedziałem, że domyśliła się, do czego zmierzam. – Zgłosiła się inna kobieta, twierdząc, że była jego kochanką. Wiedziałaś o tym?

Cisza.

– Pytam, czy wiedziałaś? Jeśli ona mówi prawdę, to oznacza, że okłamywał cię stale.

– Tym bardziej miałam powody, żeby go zabić.

– A mimo to bardziej wierzysz jemu niż mnie?

– Chyba na to wygląda.

– A co z... – zacząłem i urwałem. Uświadomiłem sobie, że próbuję podawać racjonalne argumenty komuś, kto zachowuje się zupełnie irracjonalnie. W jakim celu? Miałem to, czego potrzebowałem. Właściwie przyznała się do wszystkiego. Gdyby ktoś nie uwierzył tej taśmie, musiałby uznać, że kazałem jakiejś kobiecie przeczytać to przez telefon. Trudno byłoby przekonać sędziów przysięgłych do takiej wersji i Hemmerson jako pierwszy by to zauważył.

Może myślała irracjonalnie. Zaraz jednak coś przyszło mi do głowy. Była taka sprytna czy mogła tak nagle zgłupieć? Jakby czytała w moich myślach.

– No jak, masz już wszystko? – zapytała beznamiętnie.

– Co mam?

– Kiepski z ciebie pokerzysta, Davidzie. Nagrywasz tę rozmowę, prawda?

– Nie – skłamałem. – Chociaż bardzo bym chciał. Zaśmiała się.

– Zabawne. Nawet kiedy kłamiesz, mówisz prawdę. Odruchowo ponownie spojrzałem na magnetofon. Obie szpule obracały się jednocześnie.

– A co to ma znaczyć? – zapytałem.

– Już ci mówiłam, że życie jest pełne niespodzianek. Masz ochotę na jeszcze jedną? Oto ona. – Chwila ciszy. – To jeszcze nie koniec.

Milczałem. Nie miałem nic do powiedzenia, a ona dobrze o tym wiedziała. To był jej występ.

– Po pierwsze, to ja załatwiłam Conrada. Teraz nadszedł czas na tę sukę, jego żonę, do której ode mnie uciekł – powiedziała Tajemnicza Pacjentka. – Umrze dziś wieczorem.

Trzask.

Rozdział 40

I tyle z zachowania spokoju.

Kiedy poprzednio rozmawiałem przez telefon z tą kobietą, oznajmiła mi, że zabiła Conrada Bircha. Może skłamała w kwestii ślubu z nim, ale nie tego, że go zabiła.

Teraz powiedziała mi, że Samantha Kent będzie następną.

Nieważne, co wiedziałem jako psycholog. Nie musiałem polegać na latach doświadczeń nabytych przez obserwowanie ludzi. I nie miało znaczenia to, że niemal zawsze kochanka żywi głęboką niechęć do żony człowieka, z którym łączy ją romans. Aby rozważyć, czy groźba zamachu na życie Samantha Kent jest wymyślona, czy realna, wystarczył mi obraz jej zadżganego męża. Zakrwawionego. Jego twarz widoczna w lustrze i na zawsze utrwalona w mojej pamięci.

Tym łatwiej zrozumieć, dlaczego odkładając słuchawkę, tak mocno ścisnąłem w dłoni magnetofon. Tak, ta groźba była realna. Równie realna, jak ona sama. Ta taśma w końcu dowiedzie tego raz na zawsze.

Powinienem wykonać kilka telefonów i zapobiec morderstwu, ale po kolei. Nacisnąłem przewijanie i odczekałem kilka sekund. Potem wdusiłem klawisz odtwarzania i nadstawiłem ucha. Czekałem na jakiś dźwięk. Na jej słowa. Moje wyjaśnienia.

Nie doczekałem się.

Usłyszałem tylko przesywający pisk i szum zakłóceń.

W panice przewinąłem taśmę kawałek dalej. Ten sam dźwięk, żadnej rozmowy. Sprawdziłem baterie. Zwiększyłem głośność. Wyjąłem taśmę i włożyłem ponownie. Kiedy to wszystko nie dało rezultatu, znów wyjąłem taśmę i obróciłem ją w rękę. Zabrakło mi pomysłów.

„Zabawne. Nawet kiedy kłamiesz, mówisz prawdę”.

Kiedy to powiedziała, nie miało sensu. Teraz miało go aż za wiele. Nic się nie zmieniło. Zapewniłem ją, że nie nagrywam naszej rozmowy. Myślałem, że kłamię. Nie kłamałem. Rzeczywiście niczego nie nagrywałem. Przynajmniej niczego, co można by wykorzystać.

Ta przeklęta baba postarała się o to.

Na razie nie wiedziałem jak. Kiedy jednak jeszcze raz nacisnąłem przycisk odtwarzania – z twarzą zaczerwienioną od gniewu, frustracji i niesmaku – głośny i przesywający gwizd wydobywający się z magnetofonu zabrzmiał jak drwiący śmiech.

Zadałem sobie pytanie: była taka sprytna, czy mogła tak nagle zgłupieć?

Oczywiście, nie. Była równie sprytna jak przedtem. To ja byłem głupi.

– Dziewięćset jedenaście – zgłosił się dyżurny.

Gdy tylko wybrałem numer, zacząłem się zastanawiać, co, do diabła, powiem? Mam mówić, że pewna kobieta grozi zamachem na życie innej, a ja nie wiem, kim jest pierwsza, i nie znam adresu drugiej?

– Halo, jest tam kto? – spytał dyżurny.

– Tak, przepraszam – odparłem. – To pomyłka. Naprawdę bardzo mi przykro.

Odłożyłem słuchawkę i pobiegłem do kuchni, gdzie w notesie miałem zapisany numer telefonu Terry. Spojrzałem na zegar nad kuchenką. Było po północy. Może jeszcze nie spała. Jeśli tak, to miejmy nadzieję, że nie ma mocnego snu.

Po czterech lub pięciu dzwonekach odezwała się Terry. Niewyraźne i stłumione „halo” nie pozostawiało wątpliwości, że już spała. Kiedy zacząłem jej opowiadać, co zaszło, była jeszcze senna. Nie muszę mówić, że zupełnie otrzeźwiała, zanim skończyłem.

– Zostań przy telefonie, zaraz oddzwonię – tylko tyle powiedziała.

– Ale...

Rozłączyła się.

W jej głosie nie było cienia wahania. Żadnego namysłu, co robić. A przynajmniej ja niczego takiego nie usłyszałem. Terry rozłączyła się i zaczęła działać, a ja mogłem tylko czekać. Cieszyłem się, że do niej zadzwoniłem, i dziękowałem losowi, że ona tam jest. Mimo to niespecjalnie mi ulżyło. Czyjeś życie było zagrożone, a ja niewiele mogłem zrobić, żeby pomóc. Co gorsza, czy ktokolwiek mógł coś zrobić? Wyścig z czasem budził nadzieję. Tylko czy nie było za późno?

A jeśli Samantha Kent już nie żyła?

Czternaście dni. Wydawało mi się, że w ciągu minionych dwóch tygodni dowiedziałem się, co to pokusa. Ha. Okazało się, że były to zaledwie słabe odruchy w porównaniu z ochotą na drinka, jaką czułem teraz.

Nagle pożałowałem, że nie zachowałem się w typowy sposób. Powinienem był podkreślić moją decyzję, jednym dramatycznym gestem opróżniając cały barek. W telewizyjnym filmie kamera pokazałaby ujęcie od dołu, z dna śmietnika, do którego z trzaskiem wpadają butelki. Czysty symbolizm.

Tak, byłoby mi łatwiej. A tymczasem mój barek nie tylko był pełny, ale znajdował się w kuchni. W odległości kilku kroków i kilku usprawiedliwień. Mogłem opróżnić go teraz. Łyk po łyku.

Podszedłem do barku i otworzyłem go. Potem zamknąłem.

Z pustymi rękami.

Na szczęście silniejsza okazała się chęć uniknięcia innego schematu. Załamania bywają tak częste, że wydają się niemal oczekiwaną i konieczną cechą procesu wyzdrowienia. Na skutek tego zapominamy, jak silnym czynnikiem zniechęcającym może być wstyd. Ja postanowiłem o tym pamiętać.

Lepiej poczekać przy innym aparacie.

Wróciłem do sypialni i usiadłem na łóżku. Minęło pięć minut. Oparłem się o wezglowie. Dziesięć minut. Wziąłem jedną z leżących na stoliku książek. Miała zagięty róg na pięćdziesiątej drugiej stronie. Po dwudziestu minutach nie skończyłem jeszcze strony pięćdziesiąt trzy.

Co się dzieje, Terry?

Patrzyłem na telefon, usiłując siłą woli zmusić go, żeby zadzwonił. Nic z tego. Minęło pół godziny bez żadnej wiadomości od Terry. Uznałem, że to dobry powód, żeby do niej zatelefonować. Jak dureń zostawiłem jej numer w kuchni. Tylko tego było mi trzeba,

następnego przemarszu obok barku.

Okazało się to bez znaczenia. Chcąc ustalić, co się właściwie dzieje, zupełnie zapomniałem o pragnieniu. Wziąłem numer Terry i wróciłem do sypialni. Wybrałem numer i czekałem.

Nie odpowiedziała. Zgłosiła się jej automatyczna sekretarka. Była nikła szansa, że Terry tam jest i z jakiegoś powodu nie może odebrać. Może rozmawia na innej linii albo jest w łazience. Jednak nie mogłem zaprzeczyć, że bardziej prawdopodobna jest inna możliwość. Terry wyszła z domu.

Poszła do mieszkania Samantha Kent.

Odsunąłem od siebie myśl, a właściwie obawę, że Terry mogła popełnić błąd i pójść tam sama. Na pewno nie. Zawiadomiła Victora. Zadzwoiła na policję. Może nawet próbowała złapać detektywów Trentina i Lopeza. Na pewno rozegrała to w taki sposób.

Na wszelki wypadek zostawiłem jej wiadomość na automatycznej sekretarce. Starąłem się opanować wzburzenie. Udało mi się to najwyżej połowicznie.

Minęło kolejne dziesięć sekund. Byłem bliski szaleństwa. Zastanawiałem się, czy może powinienem zadzwonić na lokalny komisariat i spróbować wszystko im wyjaśnić. To byłoby lepsze od siedzenia tu i czekania.

W końcu zadzwonił telefon. W mgnieniu oka podniosłem słuchawkę.

– Davidzie, tu Terry.

– Gdzie jesteś?

– W budynku Samantha Kent – powiedziała. – Chcę, żebyś tutaj przyjechał.

– Tutaj, czyli gdzie?

– Tysiąc trzydzieści Park Avenue, na rogu Osiemdziesiątej Piątej.

– Terry, co się stało?

– Wyjaśnię ci, kiedy tu przyjedziesz.

– Dlaczego nie teraz?

– Zaufaj mi, dobrze? Po prostu przyjedź jak najszybciej i zabierz magnetofon.

Rozłączyła się, zanim zdążyłem coś dodać.

Rozdział 41

– Na róg Osiemdziesiątej Piątej i Park Avenue, proszę. Najszybciej jak się da.

Siedząc na tylnym siedzeniu taksówki podczas krótkiej podróży do nowego miejsca zamieszkania Samantha Kent, mimo woli rozmyślałem o podobieństwach. O pewnej symetrii. Po utracie męża Samantha Kent przeprowadziła się z Upper West Side do Upper East. Kiedy ja straciłem Rebecę, zrobiłem to samo. Nawet przeniósłem moją praktykę.

W kategoriach odległości nie była to żadna przeprowadzka. Jednak na wyspie, jaką jest Manhattan, gdzie miliony ludzi cisną się na pięćdziesięciu pięciu kilometrach kwadratowych, nawet taki niewielki dystans wydaje się duży. Szczególnie jeśli oznacza przeprowadzkę na drugą stronę Central Parku. Dla ludzi chcących rozpocząć nowe życie, całe oceany nie byłyby równie obiecujące, jak ten splachetek zieleni.

Przynajmniej dwie przecznice przed domem Samantha Kent zobaczyłem czerwono-niebieskie błyski i natychmiast założyłem najgorsze. Ta noc i tak upiornie przypominała tamtą. Obie rozpoczęły się od telefonicznej rozmowy. Teraz bałem się, że ta również zakończy się morderstwem. Popelnionym przez tę samą osobę.

Migotały dwa policyjne radiowozy. Wysiadłem z taksówki i rozejrzałem się za karetką. I furgonetką z kostnicy. Nie zauważyłem ani jednej, ani drugiej. Chociaż równie dobrze mogły już odjechać.

Terry i ja dostrześliśmy się prawie jednocześnie. Stała w holu budynku dobrze widocznym przez podwójne duże, szklane drzwi. Zanim zdążyłem wejść, wyszła na zewnątrz, wzięła mnie pod rękę i odciągnęła na bok.

– Mam dobrą i złą wiadomość – powiedziała. Mówiła pospiesznie. – Dobra to ta, że nic się nie stało. Nikt dziś nie próbował zabić Samantha Kent.

Odetchnąłem z ulgą.

– A zła wiadomość?

– Ta sama. Nikt dziś nie próbował zabić Samantha Kent. Zerknąłem na nią koso.

– Chcę powiedzieć, że w środku jest dwóch detektywów, którzy uważają, że krzyczysz „wilk” jak ten biblijny pasterz.

– Trentino i Lopez? Skinęła głową.

– Sądzą, że to wymyśliłem?

– Można powiedzieć, że co najmniej przyszło im to do głowy. Jak już ci mówiłam, zdjęcie nie zrobiło na nich wrażenia. A teraz to...

– Jak oni mogą sądzić, że mam coś wspólnego z tą rozmową telefoniczną?

– Tak samo jak uważają, że zabiłeś Conrada Bircha – odparła. – Przyniosłeś tę taśmę?

– Tak. – Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem magnetofon. – Jak już powiedziałem, ona musiała coś zrobić, zapewne użyła jakiegoś urządzenia, ponieważ wiedziała, że nie zdołam jej nagrać. Słysząc tylko przenikliwy świst.

Nacisnąłem odtwarzanie, żeby Terry mogła posłuchać. Zobaczyłem, jak skrzywiła się, słysząc przeszywający wizg.

– Rzeczywiście, coś zrobiła.
– Domyślasz się co?
– Nie potrafię powiedzieć. Jeśli jednak ktoś bardzo chce, zawsze znajdzie potrzebne urządzenie.

– Może policja sobie z tym poradzi. Pokręciła głową.

– Na razie istnienie tej taśmy pozostanie naszą tajemnicą. Ona i tak ci nie pomoże, a ze względu na nastawienie Trentina i Lopeza może ci zaszkodzić. Ponadto to jedyny egzemplarz. Nigdy nie dawaj glinom jedynego egzemplarza czegokolwiek.

– Nie sądzisz, że powinniśmy zbadać tę taśmę?

– Zdecydowanie. Jutro zajmie się tym Anthony. Obrzuciłem ją nie rozumiejącym spojrzeniem. Jaki Anthony?

– Magnes – wyjaśniła. – Jeśli sam nie zdoła ustalić, co stało się z taśmą, na pewno zna kogoś, kto to potrafi.

Schowałem magnetofon do kieszeni.

– Po namyśle dochodzę do wniosku, że powinieneś oddać mi taśmę – powiedziała.

Robiąc to, po raz pierwszy skupiłem się na Terry, a nie na tym, co mówiła. Obudziłem ją z głębokiego snu i zmusiłem do pospiesznego wyjścia z domu, ale w dzinsach, starym swetrze i bez makijażu wyglądała równie atrakcyjnie, jak zawsze.

– Co? – zapytała, zauważywszy moje przydługie spojrzenie.

– Nic.

Przechyliła głowę, nie kupując tego. Mimo wszystko uznałem, że nie jest to odpowiednia chwila, żebym stał się kimś innym niż klientem. Tak więc ograniczyłem się do:

– Nic, po prostu ulżyło mi. Byłem prawie pewien, że po przyjeździe tutaj zastanę Samanthę Kent martwą.

– Ja też.

– Co mi przypomina o czymś. Dlaczego nie chciałaś mi nic wyjaśnić przez telefon?

– Przepraszam – powiedziała. – Kiedy do ciebie dzwoniłam, Trentino i Lopez kręcili się w pobliżu. Niewątpliwie specjalnie. Nie chciałam, żeby coś usłyszeli.

– Jak się z nimi skontaktowałaś?

– To nie ja. Victor.

– Dzwoniłaś do Victora?

– Nie musiałam. Leżał obok mnie.

Zastygłem. Terry parsknęła śmiechem. Potrząsnąłem głową, lekko zmieszany. To tyle co do pozostania tylko jej klientem.

– Och, szkoda że nie widziałeś swojej miny – powiedziała, zartobliwie klepiąc mnie w ramię. – Jasne, zadzwoniłam do Victora, jak tylko skończyłam rozmawiać z tobą. Chciałam, żeby to on wezwał policję.

– Dlaczego?

– Ponieważ w razie potrzeby potrafi to zrobić lepiej. Teraz, kiedy tu sobie rozmawiamy, on siedzi na górze w mieszkaniu Samanthy Kent i próbuje ją namówić, żeby zgodziła się na policyjną ochronę.

– Sądysz, że jej potrzebuje?

– Przepuszczalnie nie. Zważywszy na fakt, że nasza morderczyni została gwiazdą wieczornych wiadomości, zapewne już jest w drodze do jakiegoś odludnego zakątka świata. Rzecz jasna, o ile wcześniej nie była. Mimo wszystko lepiej dmuchać na zimne.

– Racja.

– Właśnie, ale Kent nie chce ochrony.

Już miałem zapytać dlaczego, lecz się powstrzymałem. Już wiedziałem dlaczego. To ja byłem powodem. Terry zauważyła, że to rozumiem, i kiwnęła głową.

– Nie muszę mówić, że nigdy nie zajmowałeś wysokiej pozycji na jej liście.

– Chyba że na liście do odstrzału.

– Jeśli tak, to po dzisiejszej nocy na stałe zajmiesz pierwsze miejsce.

– Jest wkurzona?

– Można tak powiedzieć.

– A kto by nie był? Ona myśli, że zabiłem jej męża.

– Tak, Tajemnicza Pacjentka nigdy nie trafiała jej do przekonania – zauważyła wesoło Terry. – Dlatego nie chce ochrony.

– A policja nie może chronić jej mimo to?

– Nie bez jej zgody. Co więcej, w tych okolicznościach specjalnie jej nie namawiają. Woleliby raczej mieć na oku ciebie.

– Niech mają.

Uśmiechnęła się i spojrzała na zegarek.

– Czekamy na coś? – zapytałem.

– Tak, i to jest prawdziwy powód naszej obecności tutaj. Musisz złożyć oświadczenie.

– Wspaniale.

– Nie martw się. Po prostu opowiedz im, co dokładnie się stało, tylko nie wspominaj o tym, że nagrałeś rozmowę.

– A jeśli o to pytają?

– Akurat. Gdyby jednak, powiedz, że tak. Wtedy zapytają, czy masz przy sobie tę taśmę, a ty możesz odpowiedzieć, że nie. – Terry poklepała się po kieszeni, do której schowała magnetofon. – W ten sposób nie skłamiesz – zapewniła. – A wtedy ja wkroczę i powiem, że musimy wykonać kopię, zanim oddamy im oryginał.

Dwie sekundy później Victor wystawił głowę przez drzwi.

– Tu jesteście, ludzie – rzekł. Podszedł, uściśnął mi dłoń, a potem pokręcił głową. – Zrobiono cię dziś w konia.

– Zdaje się, że nie tylko dzisiaj – odparłem.

– To prawda. – Spojrzał na Terry. – Ty masz magnetofon?

– Taa.

– Rozpracujemy to jutro – rzekł. – Sądzę, że Magnes będzie w stanie nam pomóc.

– Ja też tak uważam – powiedziała Terry. – Udało ci się namówić Samanthę Kent na policyjną ochronę?

– Nie i już – odpowiedział Victor. – Odgrażała się, że zażąda odszkodowania i puści cię z

torbami, Davidzie.

– Poinformowałeś ją, że wszystkie moje pieniądze muszę oddać adwokatom?

Zachichotał.

– Nie, a powinienem. Jednak mówię poważnie, ta kobieta chciała podać cię do sądu.

– Za co? – spytała ze zdziwieniem Terry.

– Za nękanie.

– To śmieszne.

– Nie żartuję. Choć jak tu stoję, przysięgam, że nasi przyjaciele detektywi poważnie zastanawiali się nad tym.

– I co im powiedziałaś? – spytała Terry.

– Że mają ważniejsze sprawy. Oczywiście wtedy Lopez zauważył, że tą najważniejszą jest David.

– Naprawdę uwielbiam tych facetów – wtrąciłem.

– A skoro o nich mowa – rzekł Victor – jeśli zostaniemy tu dłużej, pomyślą, że planujemy zbrodnię. – Odwrócił się do frontowych drzwi. – Chodźcie.

Rozdział 42

Terry i ja weszliśmy za Victorem do holu budynku, gdzie czekali Trentino i Lopez. Spodziewałem się, że będą trochę niezadowoleni. Pomyliłem się. Wyglądali na bardzo niezadowolonych.

– Załatwmy to szybko – zaproponował Trentino, marszcząc brwi.

W połączeniu z kwadratową szczęką i okularami w grubych oprawkach, wyglądało to naprawdę groźnie. Przynajmniej dla mnie.

Nie dla Victora.

– Jeśli zależy panu na czasie, detektywie, możemy to po prostu pominąć – powiedział z sarkastycznym uśmiechem.

Lopez obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Na przykład udając, że nie było telefonicznej rozmowy?

– O, to dobre – wtrąciła Terry. – Ponieważ z pewnością nie chcielibyście, aby wyszło na jaw, w jak tendencyjny sposób prowadzicie to śledztwo, prawda?

Stałem i patrzyłem, jak lecą skry. Wiedziałem, że jest późno. Zaczynałem aż nazbyt dobrze uświadamiać sobie, jak późno.

Wtedy do głosu doszedł zdrowy rozsądek.

– Przepraszam, czy ktoś z państwa ma może aspirynę?

Wszyscy odwróciliśmy się do mówiącego. Był nim dystyngowany portier. Szczupły, siwowłosy i co najmniej po sześćdziesiątce, siedział za biurkiem stojącym pod ścianą obok drzwi. Zadał pytanie w taki sposób, że wszyscy zrozumieliśmy, o co naprawdę mu chodzi. Nie o aspirynę. O spokój i ciszę. Uprzejmie, lecz stanowczo, dyplomatycznie prosił nas, żebyśmy łaskawie się uciszeli i przeszli do rzeczy.

Tak też zrobiliśmy.

Opowiedziałem Trentinowi i Lopezowi, co dokładnie zaszło. O rozmowie telefonicznej i o tym, co zostało powiedziane: że rozmówczyni chciała zabić Samanthę Kent i dlatego mnie wrobiła. Powtórzyłem całą jej przemowę.

Właśnie wtedy zrozumiałem, jak wielką przysługę wyświadczył mi portier.

Detektywi wysłuchali mnie, a Trentino robił notatki, nie przewracając oczami. Bez prychnania. Bez niedowierzających min. Kiedy Lopez zapytał, czy przed telefoniczną rozmową piłem, czy nie, Victor i Terry nie rzucili mu się do gardła. Spokojnie odpowiedziałem, że nie, i na tym się zakończyło.

Zdumiewające. Jednym prostym pytaniem portier zawstydził nas wszystkich i zmusił do cywilizowanego zachowania. Byliśmy uprzejmi. Grzeczni. Nikt nie podnosił głosu.

Nagle rozpętało się piekło.

– Ty skurwysynu!

Samantha Kent maszerowała ku mnie, wskazując mnie palcem. Parła naprzód z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości. Kiedy spojrzałem jej w oczy, znajdowała się ponad sześć metrów ode mnie. Pomimo to cofnąłem się o krok.

Potem wszystko potoczyło się tak szybko, że zapamiętałem tylko urywki. Strzępy dźwięków i obrazów. Wrzeszczała na mnie i nazywała mordercą.

– Nie oszukasz mnie, ty pierdolony dupku!

Miała na sobie szlafrok. Długi. Włosy ściągnięte z tyłu głowy.

Na nogach tylko skarpetki. Wciąż wrzeszczała. Potem rzuciła się na mnie.

– Przysięgam, że cię zabiję!

Trentino i Lopez zastąpili jej drogę, zanim zdążyła mnie dopaść. Z początku tylko odgradzili mnie od niej, pozwalając jej szaleć i nie dopuszczając bliżej. Jednak ona nie przestawała. Napierała na detektywów z zawziętością nieoczekiwaną u tak delikatnej kobiety. Gniew dodawał jej sił. Wrzeszczała coraz głośniejsze.

– Ochrona policyjna? Ha! Jedyne ochrona, jakiej mi potrzeba, to ochrona przed tobą!

Byłem zaszokowany. Myślę, że wszyscy byliśmy. Znikła gdzieś Samantha Kent z sali sądowej, tracąc opanowanie, stoicyzm, niewzruszony spokój bogatej osoby i ulegając niekontrolowanym emocjom. Wydarzenia tej nocy doprowadziły ją do załamania, a my wszyscy byliśmy tego świadkami.

Byłem wstrząśnięty, ale rozumiałem. Nagły wybuch złości czy hysterii, nazwijcie to, jak chcecie. Jest wiele określeń na takie zachowanie. Chociaż korciło mnie, żeby nazwać to po prostu atakiem szaleństwa, jako specjalista nie mogłem tego powiedzieć. Samantha Kent po prostu zareagowała jak zwyczajny człowiek.

Jednak ta diagnoza nie miała żadnego znaczenia w holu budynku przy Park Avenue o drugiej nad ranem. W końcu detektywi mieli tego dość. Byli zmęczeni powstrzymywaniem szalejącej Samantha Kent. Trentino i Lopez zaparli się i zaczęli powoli spychać kobietę w stronę windy. Jeśli nie zamierzała się uspokoić, to najlepszym dla niej miejscem będzie ta ciasna metalowa klatka, która odwiezie ją do mieszkania.

Samantha Kent zniknęła w kabinie windy wraz z detektywami i po kilku sekundach było po zamieszaniu. Zrobiło się cicho. Wymieniłem znużone spojrzenie z Terry i Victorem. Potem zerknąłem na dystyngowanego portiera, który to wszystko widział i słyszał. Kiedy podchwyciłem jego spojrzenie, nie miałem cienia wątpliwości, że obaj myślimy o tym samym.

Wszystkim nam przydałaby się aspiryna.

Wróciłem do domu na piechotę. Oboje, Terry i Victor, proponowali mi podwiezienie taksówką, ale odmówiłem. Potrzebowałem świeżego powietrza. Przestrzeni.

Dochodziła trzecia rano i ulice Manhattanu z pewnością w znacznie większym stopniu niż zwykle zapewniały jedno i drugie. Przeszedłem kilka przecznic. Ludzie, których spotykałem, nie uśmiechali się. Można było założyć, że wszyscy uśmiechnięci ludzie spali teraz w swoich łóżkach. Smacznie.

Mając mnóstwo powietrza i przestrzeni, próbowałem skupić się na tym, czego naprawdę potrzebowałem. Na odpowiedziach. Tajemnicza Pacjentka zaskoczyła mnie ponownie.

Po co dzwoniła? Dlaczego powiedziała mi to wszystko? Dotychczas każde jej posunięcie było celowe. Dlaczego więc powiedziała, że tej nocy zamierza zamordować Samanthę Kent i

nie zrobiła tego?

Pomyślałem o tym, co powiedziała Terry.

Zważywszy na to, że jej zdjęcie zostało pokazane w lokalnych wiadomościach, nasza morderczyni raczej nie mogła kręcić się po mieście. Jeśli rzeczywiście zmykała gdzie pieprz rośnie, ten telefon nie mógł być niczym więcej niż nieco rozwlekłym odpowiednikiem wyrażenia „pieprz się!”. Być może groźby pod adresem Samantha Kent miały mi przypomnieć, w jakim stopniu Tajemnicza Pacjentka wciąż kontroluje moje życie. Nawet z daleka.

Nadal byłem pionkiem w jej grze.

Myśl o tym przywołała wspomnienie studenckich czasów i jednego z wykładowców psychologii. Przed oczami stanął mi jego obraz. Rozwichrzone włosy, okulary bez oprawek i sfilcowane swetry doktora Alvina Wexlera.

Jako zamiłowany szachista – delikatnie mówiąc – doktor Wexler uważał tę grę za metaforą praktycznie wszystkiego. Nasze nadzieje, marzenia, obawy, taktyka gry na przedpolu, cokolwiek – zdawał się uważać, że wszystko można lepiej zrozumieć, jeśli tylko pojmie się zasady gry w szachy.

Jak łatwo przewidzieć, obsesja doktora Wexlera oraz jej wpływ na jego wykłady stały się męczące i w końcu irytujące dla studentów. Mimo to, mijając kilka ostatnich przecznic przed moim miejscem zamieszkania, rozmyślałem o czymś, co mi powiedział.

Było to w trakcie rozmowy po zajęciach. Dostałem słabą ocenę z analizy przypadku, który moim zdaniem doskonale zrozumiałem. Podszedłem do doktora Wexlera, chcąc się dowiedzieć, dlaczego nie otrzymałem wyższej noty.

– To proste – powiedział mi. – Zobaczyłeś tylko to, co było przed tobą.

Kiedy zapytałem, co przez to rozumie, spytał mnie – co za niespodzianka – czy gram w szachy.

– Trochę – skłamałem.

– Zatem dostrzegasz paradoks tkwiący w tym, że gra o nieskończonej liczbie możliwości jest zdefiniowana przez skończoną liczbą ruchów. Właśnie dlatego partia szachów jest rozgrywana w głowie, a nie na szachownicy – rzekł. – Szachownica reprezentuje skończoną liczbę możliwości. Twoja głowa nieskończoną. Jeśli będziesz grał tylko tym, co widzisz, nigdy nie wygrasz. Rzecz w tym, że aby dobrze opanować grę w szachy oraz wszystko inne, włącznie z tym przedmiotem, musisz mieć wyobraźnię. Musisz dostrzec nie tylko to, co jest widoczne.

Przyjrzał mi się uważnie, próbując odgadnąć, czy zrozumiałem. Nic nie powiedziałem, ale moja mina z pewnością zdradzała zmieszanie.

– Innymi słowami, panie Remler, pańska praca dowodzi jedynie tego, że przeczytał pan opis przypadku. Ci, którzy uzyskali wyższe oceny, zrobili coś więcej. Wczytali się w ten przypadek. Użyli wyobraźni i dostrzegli coś poza podanymi I aktami. Ich analiza była głębsza i następnym razem pańska też laka powinna być.

Pchnąłem obrotowe drzwi mojego budynku i wszedłem do holu. Minałem portiera, smacznie śpiącego za swoim biurkiem, po czym wszedłem do windy i nacisnąłem przycisk.

Jadąc w górę, wciąż słyszałem doktora Wexlera. Jego słowa odbijały się echem w mojej głowie i powoli zaczęło mi coś świtać. Patrząc tępo na wyświetlacz z numerem piętra, nagle zrozumiałem. Przez cały czas gapiłem się na szachownicę.

Czas użyć wyobraźni.

Rozdział 43

Trochę ponad czternaście godzin. Tyle czasu mi to zajęło. Od chwili gdy wysiadłem z windy do momentu podjęcia tej brzemienniej w skutki decyzji. Nieco ponad czternaście godzin.

Trzy pierwsze spędziłem, usiłując przespać się, żeby przetrwać dzień w gabinecie – sześć sesji, których nie ośmieliłbym się odwołać. W wyniku procesu oraz przydługiej nieobecności moja praktyka znacznie ucierpiała i musiałem teraz przyjąć nowe motto. Śnieżyce, deszcze czy nocne telefony od morderczyń nie powstrzymają mnie od pójścia do pracy.

Natomiast co do mojej całkowitej i niepodzielnej uwagi, to całkiem inna historia.

Kiedy pacjentka z dziewiątej rano rozwodziła się nad niemożnością nawiązania ze swoim chłopcem innej więzi poza seksualną, w myślach odtwarzałem rozmowę z Tajemniczą Pacjentką.

Później, w trakcie sesji o jedenastej z mężczyzną w średnim wieku, który opisywał widziane we śnie upomnienie z biblioteki, jego zdaniem będące alegorią obawy przed śmiercią, rozważyłem wszelkie możliwe motywy, jakimi Tajemnicza Pacjentka mogła kierować się, dzwoniąc do mnie.

A gdy pacjentka z godziny trzeciej oznajmiła, iż zrozumiała powód swego niedawnego rozvodu („obopólna zawiść zawodowa”), usiłowałem dojść, co też mogłem przeoczyć.

Jednak nie wcześniej niż dopiero pod koniec dnia i po wyjściu pacjenta z czwartej, znalazłem odpowiedzi. A właściwie jedną. Siedząc sam za biurkiem w gabinecie, gapiąc się w ścianę przede mną. Po czternastu godzinach od chwili, gdy wysiadłem z windy, nagle zrozumiałem.

Znowu mnie wrabiano.

Tajemnicza Pacjentka naprawdę zamierzała zabić Samanthę Kent. Jedyne skłamała co do tego kiedy. Powód tego był prosty. Zamierzała uczynić mnie głównym podejrzanym. Znowu. Poprzedniej nocy przygotowała tylko teren.

Dzwoni. Ja podnoszę alarm. Wszyscy przybiegają.

Nie ma wilka. Wszyscy wracają do domu.

Takie były fakty. Szachownica, którą każdy mógł zobaczyć. Tylko że teraz zagłębiłem się w jej grę. Przewidziałem następny ruch.

W jego wyniku Samantha Kent zginie... i wszyscy będą podejrzewali mnie.

Nie, powiedziałem sobie. Nie dopuszczę do tego.

Przez cały czas postępowałem zgodnie z jej przewidywaniami. Jasny i ciasny umysł psychologa. Oto co czyniło mnie łatwą ofiarą. Myślałem zbyt logicznie, nazbyt schematycznie.

Tym razem jednak wpadłem na pewien pomysł. Szalony pomysł. Głupi. Śmieszny. Taki, którego normalnie nigdy bym nie zrealizował.

I właśnie dlatego postanowiłem to zrobić.

Rozdział 44

Zadzwoiłem z gabinetu. Dopiero po kilku sygnałach ktoś podniósł słuchawkę.

– Tysiąc trzydzieści Park Avenue – powiedział. Miałem nadzieję, że nie będzie to ten sam portier, co ubiegłej nocy. Nie był. Choć najwidoczniej w podobnym wieku, okazał się mniej uprzejmy. Miał lekko ochrypy i urażony głos.

– Hej, cześć, tu kwaciarnia Fiorillo z Madison – powiedziałem. – Mamy zlecenie dla jednego z waszych lokatorów, dla pani... Kent, Samantha Kent. Mógłby mi pan powiedzieć, czy jest teraz w domu?

To proste pytanie, tak jak się spodziewałem, na moment zaskoczyło go. Jakbym zapytał go która godzina, tylko nie w Nowym Jorku, a w Brazylii.

Odchrząknął.

– Cokolwiek dla niej macie, zostawcie u mnie, a ja dopilnuję, żeby to dostała.

– Zazwyczaj tak robimy, ale klient nalegał, żeby dostarczyć osobiście.

Usłyszałem głębokie westchnienie. Preludium do sarkastycznej wypowiedzi.

– Cóż, my zazwyczaj nie udzielamy informacji o naszych lokatorach.

– Jasne, rozumiem – powiedziałem, nie zamierzając się odgryzać. To by mi nic nie dało. Zamiast tego mocniej zaciągnąłem robotniczym akcentem. – Wiesz pan co? Nasz klient wydał trzysta dolców na ten bukiet i nie chce, żeby przywiadł. Może więc powie mi pan, czy ona jest w domu, czy nie. Jeśli jest, to zaraz kogoś tam pošlę, żeby zostawił bukiet u pana.

Kolejne ciężkie westchnienie. Jednak tym razem w innej tonacji. Ta wskazywała na niechętną akceptację. I rzeczywiście, kiedy wypuścił powietrze z płuc, łaskawie mi odpowiedział.

– Taak, jest w domu – rzekł. Tylko to chciałem wiedzieć. Zadzwoniłem do Hertza. Był piątek wieczór, co oznaczało, że nie ma w czym wybierać.

– Ma pan dwie możliwości – oznajmiła urzędniczka, kobieta o smutnym głosie. Zapytałem, czy przez dwie możliwości rozumie dwa rodzaje aut. Jak głupek. – Nie – odparła. – Chcę powiedzieć, że zostały nam tylko dwa samochody.

Po piętnastu minutach i wyśrubowanej opłacie siedziałem za kierownicą sfatygowanego hyundaia accenta. Wybrałbym „znacznie lepszego” (jak mi powiedziano) mercury’ego marquisa, lecz ten był także o wiele większy. Potrzebny mi był mały wóz.

Taki, dla którego łatwo znaleźć miejsce do zaparkowania.

No i tyle. Przynajmniej na początek. Rzecz jasna, nie zamierzałem korzystać z nieograniczonego limitu kilometrów. Nie opuściłem mojej dzielnicy. Cel znajdował się niecałe dwadzieścia przecznic na północ od mojego domu. Park Avenue tysiąc trzydzieści. Luksusowy apartament Samantha Kent, w którym teraz była.

Reszta była prosta. Znaleźć miejsce do parkowania po drugiej stronie ulicy, dające dobry widok na wejście do budynku. A potem pozostały do zrobienia trzy rzeczy: siedzieć, obserwować i czekać.

W rzeczywistości znalezienie miejsca do parkowania na Manhattanie wcale nie jest

proste. To, które wreszcie zdobyłem, kosztowało mnie czterdzieści minut ryzykownego nieprzepisowego parkowania. Oczywiście odjeżdżającym samochodem okazał się ten, który zablokowałem.

Ledwie się wcisnąłem. Chociaż hyundai jest mały, stał niemal zderzak w zderzak z samochodami parkującymi przed nim i za nim. Wyłączyłem silnik i ponownie zadzwoniłem z komórki do portiera, tylko że tym razem widziałem go przez szybę. Raczej mało prawdopodobne, żeby Samantha Kent wyszła z domu w czasie, kiedy tutaj jechałem, ale musiałem się upewnić.

– Przepraszam, że znów niepokoję – powiedziałem facetowi, przypomniawszy mu naszą poprzednią rozmowę. – Mój posłaniec się spóźnia. Pani Kent jeszcze jest w domu, prawda? Była.

Zapowiadał się pracowity weekend. Jeśli Samantha Kent wyjdzie z domu, będę ją śledził. Jeśli nie, zostanę w pobliżu. W obu przypadkach będę musiał jeść, ale to żaden problem. W końcu jestem w światowej stolicy jedzenia na wynos. Mając telefon komórkowy, mogłem korzystać z menu całego miasta. Restauracje dostarczające potrawy pod drzwi mieszkania z pewnością mogą dostarczyć je do drzwi zaparkowanego samochodu. „Licząc od rogu ulicy, to będzie trzeci po lewej. Biały hyundai”. Dla chłopaka rozwożącego zamówienia rowerem dostawa do samochodu była chyba łatwiejsza. Nie musiał nawet zsiadać. Mimo wszystko nie obzerałem się. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, to szukanie łazienki w chwili, kiedy Samantha Kent postanowi wyjść z domu. Albo jeszcze gorzej, kiedy postanowi ją odwiedzić moja Tajemnicza Pacjentka. Z pewnością kawa z drożdżówką nie wchodziły w grę. Nie mogłem nie zauważyć, że takie rozmyślania były jednocześnie rozsądne i irracjonalnie zabawne. Nie przejmowałem się tym. Miałem powody, żeby tu być, i tylko to miało znaczenie. To była gra i obstałem jej wynik... Licząc na to, że Tajemnicza Pacjentka przyjdzie zabić Samanthę Kent.

Podobno właśnie to w trakcie ewolucji odróżniło ludzi od reszty królestwa zwierząt. Intuicyjne rozumowanie, prawidłowe lub nie. Krótko mówiąc, małpa nigdy nie zasiadłaby tu, gdzie ja teraz się znajdowałem.

Po ośmiu godzinach tkwienia w hyundaiu zacząłem się zastanawiać, czy małpa jednak nie była mądrzejsza. Czułem ból stawów, wywołany brakiem snu i nudą. Zabiłbym, żeby zdobyć książkę nagrany na taśmę. Co gorsza, zacząłem powątpiewać w słusność tego, co robię. Mimo woli znów przypomniałem sobie ten cytat z Talking Heads. „Jak się tu znalazłem?”. Z tą tylko różnicą, że tym razem doskonale wiedziałem jak. Na własne życzenie.

Mimo to nie odrywałem oczu od wejścia do budynku.

Częściowo kierował mną zwyczajny upór. A także przecucie. Gdybym tego nie robił, nie robiłbym nic. Myśl o tym dokuczała mi bardziej niż zmęczenie.

Świt.

Wraz z nim skalkulowane ryzyko. Drzemka. Dwie godziny mające osłabić skutki poprzednich dwunastu. Kiedy się przebudziłem, słowo „odświeżony” było ostatnim, jakie przyszłoby mi do głowy. Byłem jednak w wystarczająco dobrej formie, aby nie zrezygnować.

Obserwowałem ludzi, którzy wyszli pobiegać, wyprowadzić psy, kupić gazety lub kubek

kawy. Jak sugerował adres, budynek przy Park Avenue tysiąc trzydzieści był dobrze utrzymany. Lokatorzy zasobni. Mieszanina nowych i starych pieniędzy, z widoczną przewagą tych drugich. Stare fortuny lubią stare budynki, a ten, na który patrzyłem, zdawał się pamiętać czasy konnych dorożek.

O ósmej, gdy słońce już wzeszło, choć skryły je chmury, przyszedł nowy portier. Ten był młodszy od innych, czyli że mógł być raczej moim ojcem niż dziadkiem. Widząc dotychczas czterech facetów, doszedłem do wniosku, że najwidoczniej każdy zatrudniony tu portier – oprócz przynależności do AARP – musi być biały. Zwyczajny przedstawiciel rasy kaukaskiej nie miał szans. Wszyscy czterej najwidoczniej należeli do aryjskiej rasy portierów.

Dziewięta trzydzieści.

Podjechała taksówka. Z taksówkami miałem kłopoty. Trudno było dostrzec, kto z nich wysiada. Ponadto zasłaniały wejście. Wyciągnąłem szyję, żeby przyjrzeć się nowo przybyłemu. Mężczyzna. Patrzyłem jak...

Chryste.

Zauważyłem ją kątem oka. Szła w kierunku drzwi. Duże czarne okulary. Duża torba na ramię. Długi płaszcz przeciwdeszczowy z postawionym kołnierzem. Patrzyła prosto przed siebie. Nie rzucała się w oczy. Incognito.

Nikt by jej nie rozpoznał. Nawet ja.

Gdyby nie jedno.

Ta czapeczka z emblematem Yankees. Z szarej flaneli. Nowa, ale stylizowana na starą. Ta sama czapeczka, którą miała na głowie tamtego pierwszego dnia. Nawet rozmawialiśmy o niej, chociaż krótko. Powiedziała mi, że kiedy była mała, wuj zabierał ją na mecze.

Nagle to wszystko spadło na mnie jak wezbrana fala, zatapiając mnie, samochód, całe otoczenie. Wiedziałem, że to ona. Tajemnicza Pacjentka przybyła, żeby wykonać następny ruch.

A ja zamierzałem ją powstrzymać.

Rozdział 45

Wyciągnąłem rękę do drzwi hyundaia, na oślep szukając klamki. Namacałem ją i chwyciłem, po czym szarpnąłem i jednocześnie zacząłem pchać. Pchnąłem drzwi ramieniem i wypadłem z samochodu. Nie odrywałem oczu od kobiety, która zmierzała do drzwi budynku. Patrzyłem tylko na nią.

A potem było za późno. Miałem klapki na oczach. A powinienem się rozejrzeć. Usłyszałem przeraźliwy pisk opon i wszystko potoczyło się błyskawicznie. Maską furgonetki, uderzenie, trotuar. Kiedy znów otworzyłem oczy, leżałem na plecach, patrząc w zachmurzone niebo.

Potem poczułem ból.

Silny, przeszywający, obejmujący nogi od kolan do bioder. Leżałem nieruchomo. Parę osób podbiegło do mnie. Spoglądali na mnie i niewątpliwie pytali, czy nic mi nie jest. Ja jednak ich nie słyszałem. Szumiało mi w uszach.

Do stojącego nade mną kręgu dołączyła jeszcze jedna osoba. Młody mężczyzna. Przyciskał obie dłonie do czoła, lecz choć nie widziałem jego wyrazu twarzy, domyśliłem się, że nie był zwykłym gapiem. Był kierowcą furgonetki.

Przeniosłem oszołomiony wzrok z jego twarzy na ubranie. Miał na sobie biały fartuch z jakimś pomarańczowo-zielonym napisem na piersi. W pierwszej chwili nie mogłem go przeczytać. Zamrugąłem i wyteżyłem wzrok, usiłując skupić go na napisie. Kiedy go przeczytałem, nie wierzyłem własnym oczom. Głosił „Maxine’s Bouquet”.

Ironia losu. Zostałem potrącony przez kwiaciarza.

Głosy rozbrzmiewały coraz głośniejsze i wyraźniej. Powoli zmieniły się w rozbrzmiewający wokół gwar. Nadal leżałem nieruchomo. Najwidoczniej wszyscy chcieli wiedzieć, czy mogę się poruszać.

Nie wiedziałem. Wciąż patrzyłem na stojących nade mną ludzi. Facet uprawiający jogging, spacerujący z psem, inni.

– Niech pan spróbuje poruszać palcami nóg... i rąk. Wydawało się, że wszyscy krzyczą jednocześnie, mówiąc mi to samo. Wszyscy oprócz dostawcy z kwiaciarni. Ten wciąż przyciskał dłonie do czoła i mamrotał do siebie oraz każdego, kto tylko chciał słuchać.

– Jak spod ziemi... Wyskoczył na środek jezdni, jakby wyrósł spod ziemi.

W tym momencie zobaczyłem, kto stoi obok niego. Portier z budynku Samantha Kent wyszedł zobaczyć, co się stało. Tak jak inni, spoglądał na mnie, czekając, czy się poruszę. Rzeczywiście, ruszyłem się.

Na jego widok natychmiast rozjaśniło mi się w głowie. Ta kobieta w szarej flanelowej czapeczce Yankees. Tajemnicza Pacjentka. Była w drodze do apartamentu Samantha Kent. A ja nie. Przynajmniej jeszcze nie.

Zebrany wokół mnie tłum chciał, żebym poruszał palcami, ale ja dałem im coś więcej. Szybciej niż powiedziałbyś „telewizyjny ewangelista”, zerwałem się na równe nogi. Alleluja.

No, niezupełnie. Mogło to wyglądać na cud, ale ja wcale nie czułem się cudownie.

Potworny ból już nie ograniczał się do kolan, ud i bioder. Rozszedł się po całym ciele.

Na pewno nie czułem się jak nowo narodzony, ale mimo to przepchnąłem się przez tłum, zmierzając prosto do wejścia do budynku tysiąc trzydzieści przy Park Avenue. Nie odwracałem się. Gdybym to zrobił, z pewnością na twarzach wszystkich gapiów ujrzałbym ten sam wyraz: zdziwienia i niezaspokojonej ciekawości. Właśnie zobaczyli zupełnie nietypowy wypadek i zdobyli kolejne doświadczenie z rodzaju „możliwych tylko w Nowym Jorku”.

– Hej! – usłyszałem za plecami.

Choć zapewne wszyscy chcieli się dowiedzieć, dokąd zmierzam, szczególnie w takim pośpiechu, jeden ze świadków musiał to wiedzieć. Portier. Mocno utykając, czymś pośrednim między klusem a szybkim marszem, wpadłem do jego holu.

– Hej! – zawołał ponownie.

Dotarłem do wind i nadusiłem przycisk. Nazwijcie to szczęściem lub leniwym sobotnim rankiem. Tak czy inaczej, natychmiast otworzyły się drzwi jednej kabiny. Zanim wszedłem do środka, obejrzałem się przez ramię. Portier przetruchtał przez drzwi i zmierzał prosto do mnie. Mógłbym przystanąć i wyjaśnić, powiedzieć mu, co się dzieje. Jednak po prostu nie miałem na to czasu.

Nacisnąłem guzik i drzwi zaczęły się zamykać. W ostatniej chwili, przez pionową szparę szeroką najwyżej na pięć centymetrów, ujrzałem dobiegającego portiera. Był blady i wściekły.

– Przepraszam – tylko tyle zdołałem wykrztusić. Przyszło mi do głowy, że powinienem mu powiedzieć, żeby zawiadomił policję. Zaraz jednak pojąłem, że to zbyteczne. Jeśli już nie byli w drodze do wypadku, to z pewnością teraz portier ich powiadomi o zajściu.

Winda ruszyła w górę. Mogłem odetchnąć i zorientować się, jak bardzo jestem obolały. Mimo to wiedziałem, że miałem szczęście. Gdyby kierowca furgonetki nie zdążył przyhamować, z pewnością już bym nie żył.

Tylko czy nie przybyłem za późno? Czy Samantha Kent też przeżyła?

W połowie drogi do apartamentu skupiłem wszystkie myśli na czekającym mnie zadaniu. Nie wiedziałem, czego powinienem się spodziewać i jak na to zareaguję. Nie miałem broni, a Tajemnicza Pacjentka zapewne była uzbrojona. Jedyne, na co mogłem liczyć, to być może element zaskoczenia. Oczywiście, jeśli nie było za późno.

Winda stanęła.

Nie zamierzałem rzucać się na oślep. Przyłgnałem plecami do ściany obok panelu z przyciskami. Ktoś wsiadający do windy zobaczyłby mnie później niż ja jego. Tak było znacznie lepiej. Tylko że nikt nie wsiadł. Przytrzymałem drzwi i ostrożnie wyjrzałem. Zobaczyłem rozległe foyer, skąpo umeblowane. Nikogo w nim nie było.

Wysiadłem z windy i nasłuchiwałem. Na piętrze były dwa mieszkania, a drzwi do nich znajdowały się na trzeciej i dziewiątej godzinie. Nie słysząc żadnych podejrzanych odgłosów, ruszyłem do drzwi po lewej, gdy za plecami usłyszałem hałas. Trzask. Coś upadło z łoskotem. Obróciłem się na pięcie i pobiegłem do drugich drzwi. Cholera, będą zamknięte.

Nie były. Niezdarnie przekręciłem mosiężną klamkę i już byłem w środku.

Natychmiast usłyszałem krzyk, chrapliwy i gardłowy. Potem sapanie i jakby spazmatyczne dyszenie. Te dźwięki dobiegały z głębi znajdującego się naprzeciw mnie korytarza. Pobiegłem ile sił w nogach. Siedem, może dziewięć metrów, mijając kuchnię i stołowy. Kiedy się zbliżałem, hałasy – odgłosy szamotaniny – przybierały na sile. Potem ujrzałem wszystko jak na dłoni.

Najpierw zobaczyłem nóż. Długie stalowe ostrze, uniesione w górę i skierowane w dół. Drżało. One drżały. Stojąc tuż przy niej, Samantha Kent blokowała pchnięcie zadawane przez Tajemniczą Pacjentkę. Obie miały ręce wyciągnięte w górę i splecione w uścisku, ale to pod Samantha Kent uginały się kolana. Toczyła przegraną walkę. Ból, strach, panika i gniew. Wszystkie te uczucia malowały się na jej twarzy.

Zastygłem na sekundę. Na chwilę zabrakło mi tchu w płucach i miałem wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi. Zrób coś, Davidzie.

Nie zastanawiałem się. Zareagowałem. Z opuszczoną głową i zaciśniętymi zębami przebiegłem przez pokój i złapałem ją wpół. Baseballowa czapeczka spadła jej z głowy. Kiedy z impetem padaliśmy na podłogę, próbowałem zlokalizować nóż. Czy upuściła go? Czy też wciąż miała go w ręce? Nie widziałem.

Nie widziałem też, gdzie mnie niesie siła rozpędu. Z impetem rąbnąłem w ścianę. Potworny ból przyćmił ten wywołany wcześniejszym czułym spotkaniem z furgonetką. Jeśli dotychczas nie miałem paru połamanych żeber, to teraz na pewno.

Nóż. Nagle dostrzegłem go. Leżał na podłodze najwyżej pół metra dalej. I Tajemnicza Pacjentka też. Przetoczyła się w lewo, a potem w prawo, oszołomiona zderzeniem.

Weź nóż, Davidzie.

Oderwałem się od ściany i podniosłem na kolana. Kręciło mi się w głowie. Pokój zawirował mi przed oczami. Chwilęczkę, przede mną leżały dwa noże. Wszystko było podwójne. Potrząsnąłem głową i zamrugałem oczami, ale na próżno. Wciąż wszystko widziałem podwójnie. Dwa noże: jeden prawdziwy, a drugi nic. To pasowało do sytuacji. Niestety, to fałszywa Samantha Kent wiedziała, który z nich jest prawdziwy.

Wyciągnęła rękę i chwyciła nóż. Nie mogłem jej powstrzymać. Zaczęła wstawać. Jak bokser po otrzymanym ciosie, zrobiłem to samo. Przestało mi się dwoić w oczach, ale to, co zobaczyłem, nie było przyjemne. Tajemnicza Pacjentka stała przede mną z nożem w ręku.

Nie odezwała się. Ja też nie. Przez najdłuższą sekundę mojego życia tylko spoglądaliśmy na siebie. W jej oczach widziałem zdumienie. I jeszcze coś, czego nie potrafiłem określić. W moich z całą pewnością był tylko strach. Nabrałem tchu i skrzywiłem się. Oddychanie sprawiało mi ból. W tym momencie teorie o słabszej płci były cczą gadaniną. Szczególnie że to ona trzymała w ręku nóż.

Już nie żyjesz, Davidzie.

Rzuciła się na mnie.

A przynajmniej tak pomyślałem. Jednak to nie był atak.

Rzuciło ją na mnie uderzenie kuli. Trafiła ją w plecy i przeszła na wylot. Kaliber trzydzieści pięć. Wystrzelona z broni, którą miała w rękach Samantha Kent. Ta prawdziwa.

Huk wystrzału był niczym wystrzał z działa, wybuch rakiety, odgłos towarzyszący

przejściu bariery dźwięku. Zważywszy na panującą w budynku ciszę, żaden dźwięk nie byłby głośniejszy. Zanim przestał odbijać się echem od ścian, ciało kobiety, która niegdyś była moją pacjentką, zeszywniało. A potem bezwładnie opadło na podłogę.

Strumień krwi popłynął z rany. Beżowy dywan wchłonął go jak gąbka i dopiero teraz zauważyłem, gdzie jestem. Gdzie wszyscy troje jesteśmy. W salonie.

Tylko że Tajemnicza Pacjentka już tego nie widziała.

Była martwa.

Rozdział 46

Zaraz po tym jak nacisnęła spust i prawdopodobnie uratowała mi życie, Samantha Kent osunęła się na podłogę. W pierwszej chwili pomyślałem, że podczas szamotaniny została pchnięta nożem i osłabiła ją utrata krwi. Podbiegłem do niej, ale nie znalazłem krwi ani rany od noża. Chociaż była nieprzytomna, oddychała miarowo. Domyśliłem się, że po prostu zasłabła. Ze zmęczenia i strachu. Nie mogłem mieć jej tego za złe.

– Nie ruszaj się!

Człowieku, gdzie ja to już słyszałem. Jednak tym razem wiedziałem, co robić. Z wolna odwróciłem się do dwóch mierzących do mnie policjantów, powoli podniosłem ręce do góry – i nie opuszczałem ich. Nie sięgałem po portfel. W ogóle nie wykonywałem żadnych gwałtownych ruchów.

Tuż za policjantami stali dwaj sanitariusze. Wszyscy oni sądzili, że jadą do wypadku, do faceta potrąconego przez wóz dostawczy. Z pewnością nie spodziewali się, że po przyjeździe na miejsce wypadku wkurzony portier powie im, że potrącony wstał i pokuśtykał do budynku. I wjechał windą na górę. Oczywiście to nic w porównaniu z wystrzałem, który usłyszeli po wyjściu z windy.

A teraz mieli mnie. Jedną martwą kobietę, jedną nieprzytomną oraz mnie.

Panowie, mogę to wszystko wytłumaczyć... Na szczęście nie musiałem. Gdy jeden sanitariusz stwierdził zgon Tajemniczej Pacjentki, drugi podsunął sole trzeźwiące pod nos Samantha Kent. Ocknęła się. Oczywiście była roztrzęsiona, oszołomiona i na wpół przytomna. Ale nie tylko.

Była również wdzięczna.

Ignorując sanitariuszy, którzy radzili jej spokojnie leżeć jeszcze kilka minut, Samantha Kent chwiejnie podniosła się z podłogi. Łzy popłynęły jej po policzkach, gdy podchodziła do mnie. Opuściłem ręce, a policjanci schowali broń. Kobieta, która niecałe czterdzieści osiem godzin wcześniej wykrzykiwała co tchu w płucach, że mnie zabije, teraz chciała mnie uściskać.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Uścisnąłem ją.

– To ja dziękuję.

Przycisnęła mnie trochę mocniej i o mało nie zemdlałem z bólu, który zawdzięczałem poturbowanemu zębom. Sanitariusze jasno dali mi do zrozumienia, że czeka mnie szpital i prześwietlenie. Jednak najpierw policjanci chcieli się dowiedzieć, co dokładnie tu zaszło.

Przeszliśmy do drugiego pokoju, gabinetu, żeby nie patrzeć na okropny widok ciała leżącego na beżowym dywanie. Samantha Kent starała się wyjaśnić przebieg wydarzeń. Poczynając od telefonu, który odebrała poprzedniego dnia.

Od kobiety podającej się za pracownicę działu spraw osobowych firmy Conrada Bircha. Kobieta oznajmiła, że potrzebuje podpisu jego małżonki na dokumentach, aby można było wypłacić należne Birchowi dywidendy. Zamiast prosić ją o przyjazd do centrum, kobieta

zapropnowała, że nazajutrz osobiście zjawi się w mieszkaniu Samantha Kent, ponieważ mieszka niedaleko, przy Drugiej Alei. Ustaliły porę spotkania. Dziewiąta trzydzieści, sobota rano. I w ten sposób Tajemnicza Pacjentka znalazła się w środku.

– Kiedy otworzyłam drzwi, wyglądała zupełnie normalnie – powiedziała Samantha Kent.
– Zaprowadziłam ją do salonu i zaproponowałam kawę. – Znowu zaczęła płakać. – Nawet nie doszłam do kuchni.

Odwróciła się, słysząc jakiś dźwięk, który opisała jako szmer.

– Sama nie wiem, nie był głośny ani nic, ale z jakiegoś powodu sprawił, że zerknęłam przez ramię. Dziękować Bogu, że to zrobiłam.

Zobaczyła, że kobieta wyjmuję z torebki długi nóż.

– W następnej chwili rzuciła się na mnie. – Samantha Kent wzdrygnęła się na samo wspomnienie. – Resztę pamiętam jak we mgle. Jakoś udało mi się złapać ją za rękę, kiedy usiłowała mnie dźgnąć. Chyba zrobiłam to odruchowo. Nie miałam czasu pomyśleć.

Opisała szamotaninę, jak próbowała odepchnąć napastniczkę.

– Nie byłam tak silna jak ona. Nie wiedziałam, jak długo zdołam stawiać opór. A potem...

Samantha Kent spojrzała na mnie ze łzami w oczach. Nie musiała kończyć. Wyręczyłem ją.

– I chyba wtedy zjawilem się ja.

Policjanci spojrzeli na mnie. Do tej chwili jeszcze nie skojarzyli faktów. Ja nie byłem facetem, którego widzieli w telewizji, a ona kobietą, o której czytali w gazetach. Kiedy jednak oderwali wzrok od niej i spojrzeli na mnie, nagle zrozumieli. Wszystkie kawałki układanki znalazły się na swoich miejscach.

– To pan jest tym psychologiem – powiedział jeden z policjantów, wskazując mnie palcem.

Patrzyłem, jak drugi policjant patrzy na Samanthę Kent. Nic nie mówił – bardzo rozsądnie – chociaż domyślałem się, co sobie myśli. To pani jest żoną zamordowanego.

Dodawszy dwa do dwóch, obaj spojrzeli w kierunku salonu, gdzie sanitariusze pomagali facetom z kostnicy. Niemal jednocześnie obaj policjanci zadali to samo pytanie:

– A ona jest... ?

Kiwnąłem głową.

– Tak – powiedziałem.

To była ona. Tajemnicza Pacjentka.

Zacząłem wyjaśniać, w jaki sposób się tu znalazłem. Słuchając własnej opowieści, zdawałem sobie sprawę z tego, jak podejrzanie musi brzmieć. Zapewne nawet niewiarygodnie. A jednak znalazłem się tutaj i musiałem mieć po temu powód. Kiedy skończyłem mówić, obaj mieli dziwne miny. Wiedzieli, że mówię prawdę. Do licha, kto potrafiłby wymyślić coś takiego?

Jeden z nich żartem powiedział coś w tym sensie i dopiero wtedy napięcie na moment opadło, i wszyscy roześmialiśmy się. Ja śmiałem się najkrócej, bo zabolalo mnie jak diabli i nie zdołałem tego ukryć.

– Naprawdę powinien pan pojechać do szpitala – wtrąciła Samantha Kent.

Obaj policjanci przytaknęli, mówiąc, że wszystkie luki w protokole mogą wypełnić później. Zawołali sanitariuszy, którzy natychmiast przyszli z salonu do gabinetu.

– Chcielibyśmy, żeby pani również pojechała do szpitala, pani Kent – powiedział jeden z nich. – Na wszelki wypadek.

Nie miała na to ochoty.

– Nic mi nie jest – odrzekła. – Wolę odpowiedzieć tutaj na wszystkie wasze pytania, panowie. Potem zamierzam spakować walizkę, zameldować się w najbliższym hotelu i zadzwonić do mojego agenta od nieruchomości. Czy któryś z panów chce kupić mieszkanie?

Ton jej głosu, spokojny, lecz zdecydowany, nie pozostawiał cienia wątpliwości, że dla niej wycieczka do szpitala byłaby stratą czasu. Naprawdę nic jej nie jest. Z pewnością nie doznała żadnych obrażeń i najwidoczniej nie była w szoku. Chociaż otarła się o śmierć, najwyraźniej chciała jak najszybciej zapomnieć nie tylko o wydarzeniach tego ranka, ale również o wszystkim, co do nich doprowadziło. Straciła męża i brała udział w procesie sądowym, podczas którego otwarcie omawiano jego niewierność. Jeśli musiała osobiście zastrzelić morderczynię, żeby odzyskać kontrolę nad swoim życiem, to była skłonna pogodzić się z tym. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

Jedno przynajmniej było pewne. Byłem niewymownie rad z tego, że posiadała broń. Już miałem to powiedzieć, ale ugryzłem się w język. Jasne, być może broń była zarejestrowana, ale może nie. Tak czy inaczej, policjanci jeszcze nie poruszyli tego tematu, a ja nie zamierzałem być tym, który to robi.

– Przykro mi, proszę pana, tak nakazują przepisy.

To kilka minut później, w odpowiedzi na wyraz mojej twarzy na widok wjeżdżających do mieszkania noszy. Nie spierałem się. Położyłem się na nich i pozwoliłem sanitariuszom zapiąć pasy. Zaciągnięcie tego na moich nogach było jak wprowadzenie ostatniego konia na linię startu. Zaraz potem ruszyliśmy.

– Może pan coś dla mnie zrobić? – spytałem jednego z sanitariuszy, którzy toczyli nosze do karetki – Widzi pan tego białego hyundaia?

Spojrzał.

– Taak.

– Może pan wyjąć kluczyki ze stacyjki?

– Żaden problem – odparł. – Zamknąć go?

Prawdę mówiąc, stan tego samochodu był idealnym zabezpieczeniem przeciw kradzieży.

– Jasne, dzięki – powiedziałem.

Godzinę później prześwietlenie w szpitalu Lenox Hill wykazało, że mam trzy złamane żebra.

– Tryplet – orzekł lekarz, który mnie badał. Chociaż nie pierwszej młodości, nosił baseballówkę i koszulkę z nadrukiem I”carl Jam, wystającą spod białego fartucha.

– I co teraz? – spytałem.

– Nic – odparł. – Proszę unikać kabaretów, masażu shiatsu oraz walk o mistrzostwo wagi półśredniej, legalnych czy nie.

– Nic pan nie może zrobić?

– Nic, czego samo ciało nie zrobiłoby lepiej i szybciej.

– Nawet zimnego kompresu?

– Nawet.

– A co z bólem?

– Taak, z tym mogę coś zrobić. – Wetknął nos w notes i przez chwilę coś w nim skrobał.

– Proszę tu zaczekać. Pielęgniarka przyniesie panu opakowanie percodanu i wyprowadzi stąd.

„Tu”, czyli w odgradzonej zasłoną części izby przyjęć. Zapewniającej prywatność, dopóki nie zechciałeś z kimś porozmawiać. Słuchając panującego wokół harmideru – zdecydowanie nieskładnego potoku medycznych terminów i ludzkich narzekań – uświadomiłem sobie, że powinienem skontaktować się z kilkoma osobami i powiadomić je o tym, co się stało. Wtedy stwierdziłem, że zostawiłem telefon komórkowy w hyundaiu. Jednak dobrze, że sanitariusz zamknął samochód.

Już zamierzałem pomęczyć pielęgniarkę, żeby pozwoliła mi skorzystać z telefonu, ale zrezygnowałem, słysząc dobiegający zza zasłony znajomy głos.

– Szukam doktora Remlera... Remlera.

– Chodź tu, Parker.

Stacy szła tuż za nim. Oboje weszli za zasłonę i na mój widok natychmiast pokręcili głowami.

– Do diabła, co ci wpadło do głowy? – zapytał półzartem Parker.

– Zamknij się, kochanie – uciszyła go z uśmiechem Stacy. Podeszła i pocałowała mnie w czoło. – Mój ty bohaterze! – powiedziała.

– To mi się bardziej podoba – mruknąłem.

– Pielęgniarka powiedziała nam, że masz trzy złamane żebra. Boli cię? – spytała Stacy.

– Tylko kiedy oddycham.

Opowiedziałem im, co się stało. Wprost nie mogli w to uwierzyć. Potem zapytałem, skąd się dowiedzieli.

– Terry zadzwoniła do mnie – odparł Parker. – Za chwilę powinna tu być.

– A ona skąd wiedziała?

– Najwidoczniej jakiś reporter, znajomy Victora, monitorował policyjne pasmo, szukając sensacji na pierwszej stronie. No i znalazł. Zadzwonił do Victora, który jest teraz w Connecticut i gra w golfa. Z kolei Victor skontaktował się z Terry.

Jak na zawołanie, wystawiła głowę zza zasłony.

– Och, dzięki Bogu! – zawołała.

W tym momencie najwyraźniej była kimś więcej niż tylko moim adwokatem. Widziałem, że Parker i Stacy starają się udawać, że nic nie zauważyli.

Ponownie opowiedziałem całą historię Terry. Parker i Stacy nic mieli nic przeciwko temu. Chociaż słyszeli japo raz drugi, wciąż z trudem to do nich docierało.

Do mnie też.

Wpaść na pomysł i przejrzeć wreszcie zamiary Tajemniczej Pacjentki to jedno. Stwierdzić, że się miało rację, to zupełnie co innego.

– A tak w ogóle, to kim ona była?

Parker spojrział na mnie. Ja na Terry. Terry na nas. Patrzyliśmy pustym wzrokiem. Wywieziono mnie z apartamentu Samantha Kent, zanim ktoś zadał to pytanie, nie mówiąc już o identyfikacji zwłok.

– Na pewno miała przy sobie dokumenty – powiedziałem i szybko poprawiłem się: – Chociaż mogła nie mieć.

– Tak czy inaczej, wkrótce się dowiemy – rzekła Terry. – Nie długo wykonam kilka telefonów.

Miałem ochotę poprosić, żeby wykonała je zaraz. Jednocześnie wiedziałem, że skoro czekałem tak długo, to kilkugodzinne oczekiwanie mnie nie zabije. Ciekawy dobór słów, zważywszy na poranne przygody.

Tak więc, chociaż już tylko przez chwilę, tożsamość Tajemniczej Pacjentki miała pozostać tajemnicą. Jedyna różnica polegała na tym, że zyskałem pewność, iż ona już nie wykona żadnego ruchu. Moje odczucia w tej kwestii mogłem wyrazić szachowym terminem. Szach i mat.

Był jednak jeszcze jeden problem. Coś, o czym nie wiedziałem. Rozgrywano nie tylko tę jedną partię.

Część 5

Rozdział 47

Nazywała się Haley Morgan.

Trzydzieści dwa lata.

Jedyne dziecko Adama i Shirley Morganów. Oboje nieżyjący. Mieszkała samotnie w wynajętym mieszkanku w Chelsea.

Czasem grała skromne rólki lub pracowała jako modelka, głównie do katalogów. W chudych czasach – czyli przeważnie – brała biurowe prace zlecone za pośrednictwem agencji. W tym rzecz. Ponad dwa lata wcześniej przepracowała kilka miesięcy w pewnej firmie inwestycyjnej z Wall Street. Tej samej, w której pracował Conrad Birch.

Koniec opowieści.

Przynajmniej dla gazet i lokalnych kanałów informacyjnych. Krótko mówiąc, do tego sprowadzały się ich komentarze. W ciągu dwudziestu czterech godzin od wyjścia ze szpitala – pozostając na diecie złożonej z percodanu i snu – doszedłem do takiego wniosku.

– Jednak to nie wszystko, prawda?

Spojrzałem na siedzącą po drugiej stronie stołu Terry i zobaczyłem, że uśmiecha się tajemniczo. Dwa dni po tamtych burzliwych wydarzeniach spotkaliśmy się na kolacji, umówionej na „kiedy to się skończy”.

– Tak, to nie wszystko – odparła. – Dziennikarze jeszcze nie zdobyli jej kartoteki policyjnej.

– Chcesz powiedzieć, że miała taką?

– Taa. Dwukrotnie notowana. Raz za posiadanie kokainy, drugi za kradzież receptariusza – powiedziała. – To smutne, bo Haley Morgan była bystrą dziewczyną. Ukończyła Vassar.

To miało sens. Swoją intrygę uknuła ze zręcznością absolwentki ekskluzywnej uczelni.

– Czy to Magnes przekazał ci te dodatkowe informacje?

– Nie, znalazłam je w jej kartotece policyjnej. Jak możesz sobie wyobrazić, ci faceci wzięli teraz ogon pod siebie. Im chętniej będą z nami współpracować, tym mniej obsmarujemy ich w mediach. A przynajmniej taką mają nadzieję.

– A co z Hemmersonem?

– Zostawił mi w pracy wiadomość. Starał się udawać wdzięcznego, a nawet powiedział, że chce mi postawić drinka.

– Co za facet.

– Ty mi to mówisz.

– Masz nadzieję na wieści od Trentina i Lopeza?

– Taką samą jak ty – odparła. – Bliską zeru.

– To ci niespodzianka.

– Wiem. – Klepnęła się w czoło. – To mi o czymś przypomina. Victor wspomniał, że zamierza do ciebie zatelefonować. Odezwał się?

– Tak, zadzwonił z gratulacjami. Powiedział, że okazałem się facetem z jajami, a ja mu na

to, że chyba raczej głupcem. Stańło na uparciuchu. W końcu jednak to tylko semantyka. Jak zauważył Victor, liczy się wynik.

– Tak, w tej kwestii jest jak Machiavelli – zauważyła. – Chociaż czasami bywa też uosobieniem uprzejmości. Napisał do Samantha Kent list w imieniu firmy. Uważam, że to było sympatyczne.

– Zgadzam się. Co napisał w tym liście?

– Nie wiem dokładnie. Niewiele brakowało, a list nie doszedłby do adresatki. Victor wysłał go przez posłańca i okazało się, że ona już nie mieszka pod dawnym adresem. Po długiej i łagodnej perswazji portier wyjawiał, że zameldowała się w hotelu Drake.

– Owszem, wspominała coś o przeprowadzce do hotelu. Chyba trudno mieć jej to za złe.

Kelner wrócił. Już dwukrotnie odesłaliśmy go przepaszającym i zwyczajowym „Proszę dać nam jeszcze minutkę”. Nie chcąc ryzykować mściwego ociągania, tym razem złożyliśmy zamówienie.

Siedzieliśmy w restauracji Blue Water Grill przy Union Square. Jazz na żywo, świeże owoce morza i – na szczęście – bardzo cierpliwi kelnerzy. Zamówiłem smażone mahi mahi, a Terry wybrała homara. Popisując się swoją znajomością anatomii skorupiaka, wyniesioną z lekcji oceanografii w jedenastej klasie, dumnie pokazała mi wszystkie mniej znane, lecz jadalne części. Trochę smacznego mięsa oraz tłuszczu zawiera uropod oraz telson na samym końcu ogona.

– Gdzie?

– O tu, w okolicy piersi, to zielone coś, które jedzą tylko twardzi staruszkowie i ja – odparła.

– Żałuję, że spytałem.

Przy jedzeniu Terry streściła mi niedawną rozmowę z Magnešem. Z czystej ciekawości zadzwoniła do niego i zadała mu krótkie pytanie. Chciała wiedzieć, w jaki sposób Haley Morgan zdołała uniemożliwić mi zapis telefonicznej rozmowy.

Terry wyjaśniła:

– Nazywa się to rozpraszacz.

– Jesteś pewna, że to nie jest jakaś część homara? Uśmiechnęła się.

– Według Anthony’ego to niewielkie urządzenie emitujące sygnał wysokiej częstotliwości, zakłócający magnetyczny zapis transmisji światłowodowej.

Spojrzałem na nią i roześmiałem się.

– Wymyśliłaś to sobie, co?

– Hej, może Anthony to zmyślił, ale wątpię. Sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie.

– Rozpraszacz, tak?

– Nie sądzę, żeby sprzedawali je w Kmarcie. Anthony powiedział, że chociaż to stosunkowo nowe urządzenie, z łatwością można je kupić przez Internet.

– A czego nie można? W każdym razie wydaje mi się dziwne, że Haley Morgan mogła coś wiedzieć o takim urządzeniu, a nawet je mieć – zauważyłem.

– Wiem. Chociaż zdarzają się dziwniejsze rzeczy.

– Na przykład to wszystko, co zrobiła, prawda?

– Właśnie.

Ugryzłem kolejny kęs mani mahi, zakładając, że Terry nie dowiedziała się nic więcej. Myliłem się.

– Jest jeszcze coś – powiedziała. – Najwidoczniej Anthony przeprowadził własne małe śledztwo w sprawie Haley.

– Nieusatysfakcjonowany, co?

– Moim zdaniem z zawodowej i niezdrowej ciekawości.

– Co odkrył?

– Coś, co być może pozwala lepiej zrozumieć jej motywę.

– Czy to dotyczy mnie?

– Nie, Conrada Bircha – powiedziała. – Mniej więcej rok temu Haley przerwała ciążę.

Ze zrozumieniem pokiwałem głową. To mogło wyjaśnić, dlaczego tak bardzo go nienawidziła. A także dlaczego jednym z elementów swojej bajeczki uczyniła małe dziecko.

Mimo wszystko...

– To nie musiało być dziecko Conrada – zauważyłem.

– Zawsze istnieje taka możliwość – powiedziała Terry. – Jednak znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że dziecko było jego.

Nie mogłem się nie zgodzić.

– Z pewnością jest to coś, o czym Samantha Kent nie powinna wiedzieć.

– I nigdy się nie dowie.

Nasze talerze zabrano, a z obrusa zmieciono okruchy. Chyba miało to symboliczną wymowę, gdyż mniej więcej wtedy Terry i ja uświadomiliśmy sobie, że to miała być randka, a nie odprawa.

Już nie była moim adwokatem.

A ja nie byłem jej klientem.

Zmieniliśmy temat rozmowy. Teraz mówiliśmy o przyszłości. Nie o tym, co było, lecz o tym, co może być. O nas.

Zazwyczaj zanim dwoje ludzi nawiąże więź emocjonalną, usiłują dowiedzieć się czegoś o sobie: gdzie się urodzili, jakie mają hobby, ile rodzeństwa. W naszym przypadku było wprost przeciwnie. Uczucie zrodziło się i umocniło podczas trudnych wspólnych zmagani na sali sądowej. Fakty znalazły się na drugim planie.

O jednym z nich, moim wdowieństwie, Terry wiedziała. Jednak zamiast unikać tego tematu, wzięła byka za rogi. Nie bała się rozmawiać o moim małżeństwie i to, co na początku naszej znajomości mogło być polem minowym, okazało się najważniejszą z rozmów, jakie odbyliśmy dotychczas.

Po raz pierwszy mogłem mówić o Rebecce bez włączania autopilota. Nie opowiadałem o biednym facecie, który stracił żonę. Po prostu dzieliłem się z Terry wydarzeniem, które wywarło największy wpływ na moje życie.

A ona właśnie tego chciała.

Patrząc, jak mnie słucha i zadaje właściwe pytania, wiedziałem że rozumie, iż ta tragedia jest nieodłączną częścią mojej osobowości. Nie można tego zmienić. Mogła obawiać się

współzawodnictwa z duchem albo przyjąć do wiadomości jego istnienie.

Najwyraźniej wybrała to drugie i choćby dlatego wiedziałem, że moje życie w końcu się zmieni.

Kiedy wyszliśmy z restauracji i poszliśmy ulicą, trzymałem Terry za rękę. Nie puściłem jej, gdy jechaliśmy do domu taksówką. Pocałowaliśmy się w windzie. Pocałowaliśmy się przed moimi drzwiami. Popatrzyliśmy sobie w oczy w mojej sypialni.

– Przez jakiś czas tego nie robiłem – powiedziałem. Zrzuciła z nóg szpilki i uśmiechnęła się.

– Ten jakiś czas to jak długo?

– Kilka lat.

Zaczęła rozpinąć mi koszulę.

– To naprawdę długo. Zacząłem rozpinąć jej bluzkę.

– Świetnie, to mnie uspokoiłaś. Rozpięła mi pasek.

– Mam ci narysować wykres albo coś takiego? Rozsunąłem ekler jej spódniczki.

– Nie, mechanikę pamiętam. Mogłem tylko zapomnieć o niuansach.

– To brzmi tak, jakbyś był pianistą szykującym się do recitalu.

Sięgnęła za plecy i rozpięła biustonosz. Powoli zsunął się z jej ramion.

– Cóż, ręce rzeczywiście odgrywają w tym ważną rolę – przyznałem.

Terry ujęła moją dłoń i położyła na swojej piersi. Spojrzałem jej w oczy. Była piękna. Promienna. Im dłużej na nią patrzyłem, tym lepiej się czułem. Nic mnie nie bolało. Nie miałem połamanych żeber. Nie bałem się, że zapomnę o moim dawnym życiu.

Delikatnie przytuliła się do mnie, szepcząc mi do ucha.

– Myślę, że będzie dobrze – powiedziała.

Rozdział 48

Dobra wieść się rozeszła i wyszli z lasu – ludzie z mojej niezbyt odległej przeszłości, którzy dotychczas trzymali się z daleka.

Dawni pacjenci chcieli wrócić. Inni lokatorzy mojego budynku nie musieli już udawać, że mnie nie widzą. Nawet otrzymałem zaproszenie.

Cassandra Nance nie tylko zapraszała mnie na jedno ze swoich przyjęć, ale wydawała je na moją cześć. Zadzwoiła, żeby upewnić się, czy mam czas w tym dniu, który wybrała. Z góry założyła, że chętnie będę jej honorowym gościem.

Z prawdziwą przyjemnością wyjaśniłem jej, że nie będę mógł przyjść.

– Chcesz powiedzieć, że ten wieczór masz zajęty, Davidzie?

– Prawdę mówiąc, nie – odparłem obojętnie. – Nie mam żadnych planów.

Odezwała się szacowna agentka, Debra Walker Coyne. Trzeba przyznać, że ona nie unikała kontaktów ze mną w trakcie procesu. Kilkakrotnie dzwoniła, żeby porozmawiać o interesach – sprzedaży prawa do tłumaczenia książki i tym podobnych sprawach – przy czym nigdy nie omieszkła zapytać, co porabiam, i wyrazić poparcia.

Pomimo to nie mogłem oprzeć się cynicznemu podejrzeniu, że wszystko to wykalkulowała. Winny czy nie, byłem atrakcją zwiększającą nakład. I jak ci kolekcjonerzy, którzy podczas procesu zamęczali Miałę prośbami o podpisane egzemplarze „Ludzkiego wahadła”, Debra musiała zdawać sobie sprawę z tego, że winny byłbym bardziej dochodowy. Moja następna książka z pewnością wzbudziłaby większe zainteresowanie, gdyby została napisana w więziennej celi. Nie mówiąc już o tym, że mając mnóstwo wolnego czasu, niewątpliwie złożyłbym rękopis szybciej. Jednak, jak już powiedziałem, to były tylko cyniczne podejrzenia.

Przejdźmy do sali w Four Seasons i jej ulubionego stolika.

– No i jak leci mojemu ulubionemu, a obecnie sławnemu autorowi bestsellerów? – zapytała Debra, wstając i całując mnie w policzek.

Chociaż nie będzie pamiętnika z więziennej celi, następna książka i tak wzbudziłaby zainteresowanie. W pełni zdając sobie sprawę z mojego sześcicyfrowego rachunku za pomoc prawną, niechętnie przyjąłem jej zaproszenie na piątkowy lunch.

– Miło cię widzieć, Deb.

– Mnie ciebie też, Davidzie.

Usiadłem i rozłożyłem serwetkę. Debra zaczęła bez ogródek.

– Wiedziałaś, że nie mogłeś dźgnąć kogoś ponad pięćdziesiąt razy – oznajmiła beznamiętnie. – Twój styl jest na to zbyt zwężony.

Wybuchnęła głośnym śmiechem, odchyliwszy głowę. Z czystej uprzejmości przyłączyłem się do niej, chociaż znacznie ciszej. Potem, dla zgrywy, zacząłem uparcie wpatrywać się w nóż leżący obok jej talerza. Kiedy w końcu to zauważyła, ponownie odchyliła głowę i ryknęła śmiechem, tym razem tak donośnym i serdecznym, że obawiałem się, iż zaraz ostatni kawałek ciastka wyskoczy jej z gardła.

– Widzisz, właśnie dlatego w następnej książce powinieneś opisać swoje przeżycia – powiedziała, kiedy w końcu przestała się śmiać.

– Sam nie wiem – odparłem. – Nie jestem pewien, czy chcę je wykorzystywać.

– O czym ty mówisz? Przecież tak się to robi w Ameryce.

– Mówisz tak, jakby to było godne pochwały. Starając się zmienić temat, a jednocześnie nie odchodzić od niego, zaczęła wypytywać mnie o niektóre postacie dramatu. O detektywów, prawników, nieutuloną w żalu wdowę. Najbardziej – czemu trudno się dziwić – interesowała ją Haley Morgan, Tajemnicza Pacjentka.

Powiedziałem jej wszystko, co wiedziałem, czyli niewiele. A nawet mniej, zważywszy na to, że zatrzymałem dla siebie informację o przerwanej przez Haley ciąży. Właściwie przekazałem tylko to, co podano w środkach przekazu.

Debra zmarszczyła brwi.

– Może przynajmniej wiesz, czy policja odkryła coś w jej mieszkaniu?

– Na przykład co?

– Na przykład coś, co pomogłoby ci przy pisaniu książki.

– Mówisz o tej książce, której nie chcę napisać?

– Właśnie o tej. – Nachyliła się do mnie. – Mówię poważnie. Jeśli chcesz poznać prawdę o kobiecie, wystarczy, jak pogrzebiesz w jej szafie.

– Nie sądzę, żeby to wchodziło w grę.

– Może tak, a może nie. Jednak naprawdę powinieneś zapytać policję. Założę się, że przeszukali jej mieszkanie.

Ta myśl nawet nie przyszła mi do głowy i mój wyraz twarzy z pewnością tego dowodził. Debra ciągnęła:

– Ta kobieta o mało nie zrujnowała ci życia, Davidzie. Czy nie jesteś ciekawy dlaczego, choćby z czysto zawodowego punktu widzenia?

Zamówiliśmy i jedliśmy, przy czym Debra przez cały czas usilnie mnie namawiała, żebym napisał książkę o moich przejściach. Kiedy zapłaciła słony rachunek za lunch, doszedłem do wniosku, że przynajmniej powinienem jej obiecać, że o tym pomyślę.

Pożegnawszy się, poszedłem Park Avenue, oddalając się od centrum. Wciąż miałem sporo czasu do sesji o drugiej z młodym człowiekiem zatrudnionym w reklamie, który nie rozumiał, dlaczego nikt go nie lubi.

Na chodnikach panował tłok. Był to jeden z tych pięknych wiosennych dni, kiedy wszystko jest wspaniałe. Błękitne niebo i słońce, lekki wietrzyk przelatujący po ulicach. W całym mieście panowała pokojowa temperatura.

„Czy nie jesteś wcale ciekawy dlaczego, choćby z czysto zawodowego punktu widzenia?”

Im dłużej spacerowałem, tym głośniejsze rozbrzmiewały mi w głowie słowa Debry. Zadała dobre pytanie. Znacznie lepsze, niż przypuszczała. A to dlatego, że sam też je sobie zadawałem. Raz po raz. Tylko po to, żeby za każdym razem unikać odpowiedzi.

Już nie.

Chociaż bardzo chciałem zapomnieć o Haley Morgan i żyć w spokoju, teraz zrozumiałem, że nie mogę. Zbyt wiele się wydarzyło. Wprawdzie ona umarła, ale – czy mi się

to podobało, czy nie – wciąż wywierała wpływ na moje życie. I nie trzeba było genialnego matematyka, żeby odpowiedział na pytanie dlaczego.

Nie, wystarczył psycholog.

Haley wybrała mnie i uczyniła swoją ofiarą. Słuszny gniew, jaki budziło we mnie jej postępowanie, zagłuszał inne emocje. Jednak po jej śmierci gniew zaczął mijać. Wkradał się żal. Wszystko to kumulowało się w pytaniu związanym z tym, jak zarabiałem na życie – z wielu możliwych zajęć wybrałszy analizowanie ludzkich umysłów.

Analizowanie? Gdyby ona rzeczywiście była moją pacjentką... Gdyby przyszła do mnie jako Haley Morgan...

Może nie potrafiła się powstrzymać. Może jej ból był zbyt dotkliwy. Wiedziałem, że nigdy się tego nie dowiem. I właśnie świadomość tego tak mnie dręczyła. Ponieważ chciałem wiedzieć. Chciałem wiedzieć więcej. Dopóki się nie dowiem, dopóty w mojej głowie będą się odbijały echem inne słowa.

„Nikt lepiej od ciebie nie kontroluje twojego życia”.

To wszystko, co przydarzyło mi się od chwili, gdy Haley weszła do gabinetu, dowodziło czegoś wręcz przeciwnego, łagodnie mówiąc. Oczywiście odzyskałem kontrolę nad życiem. Jednak w głębi duszy czułem, że tylko pozornie. Tak pozornie, jak rozumiałem Haley.

Nadal pozostawała Tajemniczą Pacjentką i póki tego nie zmienię, zawsze będę czuł się bezsilny.

Doszedłem do rogu ulicy i sygnalizacji świetlnej. Stojąc i czekając na zielone światło, przypadkiem spojrzałem na ławki przed biurowcem. Na najbliższej z nich siedzieli dwaj starszycy, pogrążeni w myślach i wpatrujący się w coś, co stało między nimi.

W szachownicę.

Wyjąłem telefon komórkowy i zadzwoniłem.

Rozdział 49

Ethan Greene spojrział na mnie tak, jakbym miał trzy głowy.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, o co mnie prosisz?

– Tak – odparłem. – O przysługę.

– Nie, żądasz, żebym złamał prawo.

– To w najgorszym razie drobne naruszenie.

– Od kiedy stałeś się ekspertem w dziedzinie prawa?

– Od kiedy zawlokłeś mnie do sądu, żebym pomógł ci wygrać sprawę.

Ethan upił łyk piwa. Siedzieliśmy na końcu baru w Hurley's, niedaleko Rockefeller Center. Kiedy zatelefonowałem do Ethana, powiedział mi, że miał zamiar zadzwonić do mnie i pogratulować.

– Dobrze, możesz to zrobić osobiście – odparłem. Nie próbował mi odmówić.

Co do przysługi jednak, to zupełnie inna historia. W tej kwestii odmowa przyszła mu znacznie łatwiej.

Wiedział, że policja istotnie przeszukała mieszkanie Haley, mając nadzieję znaleźć przynajmniej notes z adresami lub cokolwiek, co umożliwiłoby im zawiadomienie krewnych. Płonne nadzieje, zważywszy na fakt, iż była jedynaczką, a jej rodzice nie żyli. Ethan wiedział również, że do czasu podjęcia decyzji w sprawie dobytku Haley, jej mieszkanie pozostawiono w takim stanie, w jakim było przed jej śmiercią.

I chciał, żeby tak zostało.

– Posłuchaj – rzekł – wiem, że twoim zdaniem jestem ci coś winien, ale...

Przerwałem mu. i – Sam tak twierdziłeś. Zaraz po tym jak rabina uznano za winnego i wszystkie gazety obwołały cię wschodzącą gwiazdą prokuratury.

– Tak, a gdyby ktoś w prokuraturze dowiedział się, że pomogłem ci w taki sposób, byłbym spadającą gwiazdą.

– Nic takiego się nie zdarzy.

– Cieszę się, że jesteś tego taki pewien.

Nasza wymiana zdań przypominała tamtą, kiedy namawiał ranie, żebym zeznawał jako świadek oskarżenia. Był nieustępliwy. Postanowiłem mu dorównać.

– Jeszcze jedno – powiedziałem. – Pamiętasz, jak groziłeś mi nakazem sądowym, jeśli się nie zgodzę? Dowiedziałem się, że blefowałeś. Nie można zmusić eksperta do zeznawania. Co więcej, powinienem otrzymać honorarium.

Uśmiechnął się przepraszająco.

– Widzę, że odrobiłeś lekcje.

– Nie, znam to z doświadczenia.

Dopił piwo i natychmiast zamówił następne. Zaczynałem podejrzewać, że najlepiej zrobię, jeśli go upiję. Sam prawie nie ruszyłem dietetycznej coli.

– Daj spokój, Ethanie, tylko ty możesz mi pomóc. Pomasował skronie.

– Zakładając na moment, że wpuściłbym cię do jej mieszkania, wcale nie mówię, że tak

będzie, co zamierzasz tam zrobić?

– Chcę się tylko rozejrzeć.

– Za czym?

– Sam nie wiem. Za czymś, co pomoże mi zrozumieć motyw tej kobiety.

– Jej własne słowa ci nie wystarczą?

– Zdaję sobie sprawę, że to brzmi trochę dziwnie, ale mam wrażenie, że to jeszcze nie wszystko.

– Chcesz mi powiedzieć, że masz przeczucie?

– Oparte na obserwacjach. Spędziłem z nią sporo czasu – odparłem.

– Tak, kiedy udawała kogoś zupełnie innego.

– Jestem tego świadomy, ale również przekonany, że chwilami spod maski wyzierało jej prawdziwe oblicze, prawdziwa osobowość. Chcę się dowiedzieć w jakim stopniu.

– A jeśli się mylisz i nie ma już żadnej tajemnicy?

– Jeśli się o tym przekonam, to dobrze – odpowiedziałem. – Na razie niepokoi mnie to, że nie wiem.

– Zatem węsząc w mieszkaniu Haley, chcesz zamknąć tę sprawę?

– Można to tak nazwać.

– Nie rozumiesz? Przecież już masz swoje szczęśliwe zakończenie.

– A widzisz na mojej twarzy radosny uśmiech?

Ethan znów zajął się piwem. Tym razem pociągnął tęgi łyk. Opróżnił kufel i z trzaskiem odstawił go na ladę.

– W porządku – rzekł. – Jednak nie dostałeś tego klucza ode mnie.

– Nikomu nie powiem.

– Nie, dosłownie nie dostaniesz go ode mnie. Otrzymasz go, ale ja nawet go nie dotknę. Wylewnie mu podziękowałem i zapytałem, kiedy mogę się tego spodziewać.

– Jutro, najdalej pojutrze.

– Cholera, miałem nadzieję, że dziś wieczór.

– A ja miałem nadzieję, że zagram w obronie Kniksów.

Nazajutrz rano, tuż po dziewiątej, siedziałem w mieszkaniu, czytając gazetę. Zadzwoił portier. Powiedział, że jest dla mnie przesyłka. Zwykle mógłby przyjąć ją za pokwitowaniem, ale nie tym razem. Dwie minuty później usłyszałem głośnie pukanie do drzwi. Otworzyłem je i ujrzałem gońca rozwożącego na motocyklu przesyłki. Miał dredy i czarne okulary. Zapytał mnie, czy to ja jestem doktor Remler.

Odparłem, że tak.

– Proszę tu podpisać – rzekł. Podał mi notatnik z przymocowanym na sprężynie długopisem. Podpisałem. Sięgnął do plecaka i wyjął małą brązową kopertę. Wręczył mi ją i obrócił się na pięcie. – Miłego dnia życzę – rzucił przez ramię.

Rzeczywiście, wcale nie był podobny do Ethana Greene'a.

Rozdział 50

W środku były dwa klucze i adres. Klucze – jeden do drzwi wejściowych kamienicy, a drugi do mieszkania Haley – były błyszczące i bez jednej rysy. Z pewnością duplikaty. Adres, włącznie z uwagą, że w bloku nie ma windy, był wypisany na maszynie. Żadnego odręcznego napisu, papier bez znaków szczególnych. Zważywszy na postępy w badaniach DNA, nie zdziwiłbym się, gdyby Ethan kazał komuś polizać znaczek.

Natychmiast wyszedłem.

Taksówka zawiozła mnie na Osiemną Ulicę, do połowy drogi między Dziewiątą a Dziesiątą Aleją. Otworzyłem grube oszklone drzwi budynku i pewnym krokiem wszedłem do środka, jakbym tam mieszkał. Jednak rozejrzawszy się po holu, byłem rad, że tak nie jest. Chociaż nie była to szcurza nora, wyglądała po prostu nijako. Wszystko wydawało się szare. Jedynym barwnym akcentem były jadłospisy z chińskich restauracji, porzucane koło skrzynek na listy.

Najszybciej jak mogłem, poszedłem po schodach w górę. Skoncentrowana uwaga mediów uczyniła mnie z osoby prawie znanej osobą niemal dobrze znaną, więc nie chciałem, żeby ktoś mnie rozpoznał. Mojej obecności w budynku Haley z pewnością nie uznano by za przypadkową.

Dotarwszy na drugie piętro, natychmiast zauważyłem to, czego wbrew oczekiwaniom nie zobaczyłem po rewizji w moim mieszkaniu. Żółtą taśmę. Była przyklejona wzdłuż, w poprzek i wokół drzwi, ze starannością huraganu. Mimo to jasno głosiła: trzymajcie się z daleka.

Na moment nogi wrosły mi w ziemię.

Jednak tylko na moment. Po prostu za daleko zaszedłem, żebym miał teraz się rozmyślić. Pospiesznie wyjąłem z kieszeni rękawiczki. Były z cienkiego lateksu, takie, jakich używają pielęgniarki i lekarze. Kupiłem je w sklepie z akcesoriami medycznymi niedaleko szpitala Lenox Hill. Oczywiście ich noszenie graniczyło z paranoją. Ethan nie kazał mi ich założyć, a z pewnością nikt nie miał powodu, żeby badać odciski palców w tym mieszkaniu.

Pomimo to wciągnąłem rękawiczki.

Podszedłem do drzwi mieszkania, odchyliłem żółtą taśmę i wsunąłem klucz do zamka. Jednym energicznym ruchem otworzyłem drzwi i wkroczyłem do środka oraz na cienką linię oddzielającą uczciwość od występuku. Szara jak hol na parterze.

Mieszkanie było małe i zaniedbane. Uprzejmym określeniem byłoby „zdradzające ślady użytkowania”, ale w tych okolicznościach wydawało się to niestosowne. Haley Morgan już go nie używała. Ona nie potrzebowała już niczego.

Z początku tylko stałem na środku pokoju i powoli oglądałem wszystko. Łóżko, regał z książkami, komodę, kanapę, zestaw stereo, aneks kuchenny. Porzucane ubrania, czasopisma i kilka pustych butelek po wodzie Evian. Opartą o ścianę reprodukcję Picassa.

Zapomnijmy o tym, że nie wiedziałem, od czego zacząć. Nie miałem nawet pojęcia, czego tu szukam.

Mimo to zamierzałem to znaleźć.

Mniej więcej przez dwadzieścia następnych minut szperałem i oglądałem. Sprawdziłem grzbiety wszystkich książek na półce. Niemal spodziewałem się zobaczyć „Ludzkie wahadło”, ale nie. Same powieści. Głównie literatura wagonowa.

Zajrzałem do jedynej szafy Haley. W porównaniu z jej zawartością w mieszkaniu panował idealny porządek. Górna półka była zapchana walizkami oraz pudełkami po butach. Dno szafy pod ciasno upchanymi ubraniami zajmował wentylator, nawilżacz powietrza oraz zbyt duży kosz.

Cofnąłem się i odwróciłem twarzą do pokoju.

Im więcej takich zwyczajnych rzeczy widziałem, tym lepiej zdawałem sobie sprawę, gdzie powinienem szukać sensacji. Na przykład w notesie. Albo nawet pamiętniku. Żadnego jednak nie znalazłem.

Zacząłem rozmyślać o mojej rozmowie z Ethanem. O tym, jak zapytał: „A jeśli się mylisz? Jeżeli nie ma w tym już żadnej tajemnicy?”.

I co do słowa przypomniałem sobie moją odpowiedź:

„Jeśli się o tym przekonam, to dobrze. Na razie niepokoi mnie to, że nie wiem”.

Usiadłem na kanapie Haley, zastanawiając się, czy naprawdę tak myślałem. Czy mógłbym zostawić tę sprawę i cieszyć się życiem? Po prostu odejść sobie i nie oglądać się za siebie?

Ku mojemu zdziwieniu, szybko nadeszła odpowiedź.

Twierdząca.

Może z tego samego powodu, z jakiego się tam znalazłem. Ponieważ w ciągu wszystkich tych lat pracy w charakterze psychoterapeuty poznałem niełatwą prawdę: nie zawsze można komuś pomóc... nawet sobie.

A może powodem było to, co Ethan powiedział mi na zakończenie i co dopiero teraz zrozumiałem.

„Przecież już masz swoje szczęśliwe zakończenie”.

Wstałem, nabrałem tchu i ruszyłem do drzwi. Tak. Zamierzałem stąd wyjść. Najpierw jednak obejrzałem się za siebie.

I zanim się zorientowałem, już siedziałem w samolocie.

Rozdział 51

Zapalił się napis „Zapiąć pasy” i kapitan oznajmił, że rozpoczynamy podejście do lądowania. Temperatura w Atlancie, powiedział z typowym spokojem pilota, to zaledwie siedemdziesiąt dwa stopnie Fahrenheita.

W drodze na lotnisko wykonałem telefon. Tak zwany sondażowy, udając ankietera sieci telewizyjnej. Zapytałem, czy nazywa się Evelyn Stark. Powiedziała, że tak. Powiedziała także, że nie interesuje jej nic z tego, co chciałbym sprzedać. Odłożyła słuchawkę, mimo to zdążyłem podziękować jej za stracony czas. Doskonale.

Miałem to, czego chciałem. Potwierdzenie. Wiedziałem, że to naprawdę ona, Evelyn Stark.

Rodzona matka Haley.

Trudno było w to uwierzyć. W snutej przez Haley pajęczynie kłamstw było jednak pasmo prawdy. Istotnie była adoptowana, tak jak mi powiedziała. Tylko że mówiła to, udając Samanthę Kent.

Wszystko stało się jasne, gdy zobaczyłem kartkę. Zwyczajną urodzinową kartkę z kwiatkami i słowami „Dla mojej córki Haley!” napisanymi ozdobnym pismem. Kartka znajdowała się w żółtej kopercie, której róg wystawał spod pudełka z biżuterią, stojącego na komodzie. Gdy patrzyłem prosto na niego z odległości metra, był ledwie widoczny. Kiedy spojrzałem na niego od drzwi mieszkania, rzucał się w oczy jak neon.

Notatka w środku była krótka. Pomimo to wiele mówiąca.

I sugerująca znacznie więcej.

Dla mojej córki Haley!

Tak wiele dla mnie znaczy, że odnalazłaś mnie po tylu latach. Dziękuję, że mi wybaczyłaś. Nikomu nie zdradzaj tego, co mi powiedziałaś.

Kochająca Evelyn

Natychmiast wróciłem myślami do reszty rozmowy z Haley o jej matce. Powiedziałem, że postąpiłaby dobrze, gdyby odnowiła kontakty. I znów udzieliłem dobrej rady w wymyślonej sytuacji.

Jednak najbardziej dziwiło mnie to, że być może moja rada zapadła jej w pamięć. Co za paradoks. Radosne odnowienie kontaktów z matką i brutalne zamordowanie Conrada Bircha. Nie wspominając już o wrobieciu mnie w to morderstwo.

I to ostatnie zdanie na kartce. „Nikomui nie zdradzę tego, co mi powiedziałaś”. Czy to możliwe, żeby Haley omawiała z matką zbrodnię? Czyżby szukała kogoś, kto ją zrozumie? Wydawało się to nieprawdopodobne. No, ale tak samo jak to, że skorzystała z mojej rady. Jednego byłem pewien: że opuściłem mieszkanie Haley w takim samym stanie ducha, w jakim tam przyszedłem.

Chcąc dowiedzieć się więcej.

Prawidłowy kierunek wytyczył mi górny lewy narożnik koperty. Tam zobaczyłem jedną z tych samoprzylepnych naklejek adresowych, jakie towarzystwa charytatywne załączają z prośbami o datki.

*Pani Evelyn Stark
114 Traeger Mili Road
Griffin, GA 30224*

Nic więcej nie potrzebowałem. Po trzech godzinach i transferze autobusem linii Delta, wynająłem samochód na lotnisku w Atlancie. Wszystko, tylko nie biały hyundai, powiedziałem agentowi.

Darmowa mapka, którą zabrałem z biura wynajmu samochodów, zaprowadziła mnie do Griffin. Pracownik stacji benzynowej wskazał mi dom. Był maleńki, z wąskimi betonowymi schodkami. Kobieta otworzyła mi drzwi, nie pytając kto tam.

– Pani Stark, jestem doktor David Remler. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, aby wiedzieć, że otworzyła mi drzwi nie dlatego, że darzyła wszystkich typowo małomiasteczkowym zaufaniem. Stojąca przede mną kobieta w znoszonej i wyblakłej sukni miała obojętne spojrzenie osoby, która już niczego nie musi się lękać. Jeśli przyszedłem ją obrabować, zgwałcić lub zamordować, to trudno. Będzie to po prostu kolejne nieszczęście w jej smutnym życiu. Tak, wystarczył mi jeden rzut oka, aby zrozumieć, że to jest kobieta, która oddała Haley Morgan do adopcji.

A teraz miałem ją zawiadomić, że Haley Morgan nie żyje.

– Pani Stark, przyszedłem tutaj w sprawie pani córki.

– Mojej córki?

Jej zimne spojrzenie wyraźnie mówiło, że wiedziałem coś, o czym nie powinienem wiedzieć.

– Tak, proszę pani – powiedziałem. – Pani córki, Haley. Zmrużyła oczy.

– Może pan powtórzyć swoje nazwisko?

– Remler... doktor David Remler.

– Doktor od czego?

– Jestem psychologiem.

– Haley nic nie wspominała o psychologu. Jest pańską pacjentką?

Nie zwróciłem uwagi na ironiczny ton tak sformułowanego pytania. Czas teraźniejszy. Nie miała pojęcia, że Haley nie żyje.

– Pani Stark, obawiam się, że mam dla pani bardzo złą wiadomość.

Kiedy mówiłem jej, co zaszło, nie odrywała ode mnie chłodnego spojrzenia. W pierwszej chwili nie zareagowała. Stała nieruchomo, nie mrugnawszy okiem. Potem zapytała, jak to się stało i gdzie.

– W zeszłym tygodniu na Manhattanie – odparłem. Skinęła głową i zamilkła. Złożyłem jej kondolencje, a ona ponownie skinęła głową.

– Zaparzę kawę – oznajmiła.

Zdołała zrobić tylko jeden krok. Opuścił ją wystudiowany spokój i ugięły się pod nią kolana. O mało nie upadła. Podtrzymałem ją w samą porę, a ona przywarła do mnie, jakbym był jej przewróconą do góry dnem łodzią. Łzy popłynęły jej z oczu i zaczęła szlochać, wtulając twarz w moją pierś.

– Proszę, usiądźmy – powiedziałem.

Praktycznie zaniósłem ją na kanapę ulokowaną w wyłożonym boazerią pokoju po prawej. W kącie stał włączony telewizor. Matlock mówił coś na sali sądowej.

Po kilku minutach Evelyn Stark zaczęła się uspokajać. Wiedziałem, co to oznacza. Zaraz zechce poznać szczegóły śmierci córki. Będę musiał odpowiednio zredagować relację, powiedziałem sobie w duchu. Jednak nie wszystkie przykre fakty mogłem przemilczeć. Na przykład nie mogłem pominąć mojej roli w wydarzeniach. Ani kłopotów, w jakie wpadła Haley Morgan.

Pytania zostały zadane i starałem się odpowiedzieć na nie najlepiej, jak potrafiłem. Z każdą odpowiedzią Conrad Birch bardziej wyglądał na winowajcę niż ofiarę. Pamiętając o tym, że posłużył się mną, żeby zerwać z Haley, bez skrupulów wykorzystałem jego osobę, żeby osłabić ciężki cios, jaki spadł na jej matkę. Evelyn Stark nie musiała poznać całej prawdy o poczynaniach córki, a wszystko, co jej powiedziałem, usprawiedliwiałem krzywdą, jaka spotkała Haley.

Pomimo to straszna wiadomość o śmierci córki oraz przykre szczegóły tego wydarzenia – obojętnie jak złagodzone – w każdej chwili mogły załamać Evelyn Stark. Dlatego postanowiłem odwrócić jej uwagę i skierować rozmowę na fakty z życia Haley. Przyznaję, że nie działałem wyłącznie z altruistycznych pobudek. Ja również szukałem kilku odpowiedzi.

– Zatem najwidoczniej znała pani Haley – zagadnąłem.

– Dopiero od ubiegłego roku.

Wyjaśniła, że zawsze zastanawiała się, co u jej córki. Jakie wiedzie życie i czy jest szczęśliwa. Czasami, powiedziała Evelyn, myślała o tym, by ją odszukać, ale wiedziała, że to nie byłoby dobre. Jeśli miały się kiedyś poznać, to Haley powinna zrobić pierwszy krok.

Rzeczywiście zrobiła.

– Zeszłej jesieni zadzwoniła do mnie – powiedziała Evelyn. – Kilka tygodni później przyjechała tutaj i złożyła mi wizytę. Nie miałam w życiu wielu szczęśliwych dni, ale z pewnością to był jeden z nich.

Zdołała się uśmiechnąć. Ja również – chociaż z trudem. Pozostawało faktem, że nawet jeśli to spotkanie uszczęśliwiło Evelyn, to wcale nie zmieniło Haley. I tak zrobiła to, co zaplanowała.

– Czy od tamtej pory często kontaktowała się pani z córką? – zapytałem.

– Parę razy – odparła. – Raz przed wakacjami i raz po. Drażyłem dalej.

– Czy Haley mówiła coś o swoim związku z żonatym mężczyzną?

– Nie.

– Nie skarżyła się na nieudany romans?

– Nie.

– Nie była zła na nikogo?

– Nie.

Z każdym przeczącym ruchem głowy Evelyn coraz bardziej traciłem nadzieję. Tak chciałem odnaleźć tę kobietę i porozmawiać z nią, przekonany, że czegoś się od niej dowiem. Szczególnie po tym jak zobaczyłem kartkę urodzinową, do czego nie zamierzałem się przyznać.

Mimo to nie poddawałem się.

– Pani Stark, jeśli wolno spytać, o czym rozmawiała pani z córką?

Zadałem to pytanie pod wpływem głębokiej frustracji. Wsadzałem nos w nie swoje sprawy. Zważywszy na to, jakie przyniosłem wieści, wcale nie zdziwiłbym się, gdyby Evelyn Stark zapytała teraz, czy nie powinienem pojechać na lotnisko. Prawie zacząłem przeproszać, ale ona już odpowiadała na moje pytanie.

– Rozmawialiśmy o różnych sprawach, próbując nadrobić stracony czas. Wyglądało na to, że wychowała się w dobrej rodzinie, i w ogóle. Skończyła college i opowiadała mi o tym, że czasem pracuje jako modelka. Nic dziwnego. Była bardzo ładna. – Evelyn zamilkła, jakby przypomniała sobie o czymś. – Chce pan zobaczyć zdjęcie?

– Jakie zdjęcie?

Wyjaśniła, że Haley przywiozła aparat fotograficzny i zrobiły sobie kilka zdjęć „wie pan, naciska się taki guzik, a potem biegnie przed obiektyw”. Powiedziała, że po tygodniu Haley przysłała jej jedną odbitkę.

Evelyn wstała z kanapy i podeszła do zapchanego regału, który stał obok telewizora. Kiedy na ekranie pojawiły się końcowe napisy Matlocka, z najwyższej półki zdjęła niewielkie pudełko.

– Trzymam je na honorowym miejscu – wyjaśniła. Wróciła na kanapę i otworzyła pudełko, po czym wyjęła zdjęcie. Podała mi je. Popatrzyłem. W pierwszej chwili zobaczyłem tylko dwie uśmiechnięte kobiety – matkę i córkę. Siedziały na tej samej kanapie. Za plecami miały okno. Była noc.

– Naprawdę ładne, pani Stark – powiedziałem. – Z pewnością zachowa je pani na zawsze. Już miałem oddać jej zdjęcie, gdy nagle zamarłem. Zauważyłem to.

Rozdział 52

Trzy dwucyfrowe numery przedzielone dwoma ukośnikami. Oto co zobaczyłem. Datę wydrukowaną w prawym dolnym rogu zdjęcia. Tego dnia Conrad Birch został ponad pięćdziesiąt razy pchnięty nożem.

Noc Hakerów.

Przez chwilę siedziałem nieruchomo, z zapartym tchem. Potem zapytałem Evelyn, czy data się zgadza. Kamera mogła być źle zaprogramowana i wewnętrzny kalendarz pokazywał złą datę.

– Nie – powiedziała, ponownie spojrzawszy na zdjęcie. – Haley była tutaj właśnie wtedy. Dzień przed Halloween.

– Jest pani pewna?

– Pamiętam, ponieważ na drugi dzień, tuż przed wyjazdem, poszła do sklepu i kupiła mi trochę cukierków, żebym miała co dać dzieciom.

Zamrugałem. Na drugi dzień?

– Chce pani powiedzieć, że Haley spędziła tę noc tutaj?

– Tak.

– Była tu całą noc, tak?

– Tak, dlaczego pan pyta?

Byłem oszołomiony. Coś się tu nie zgadzało. Jeśli Haley była w Georgii, to nie mogła być na Manhattanie. A kto powiedział, że była? Na pewno nie ona. Tamtej nocy mogła do mnie dzwonić skądkolwiek. Teraz wszystko zaczynało nabierać sensu.

Haley Morgan nie działała sama.

– Pani Stark, muszę panią o coś poprosić – powiedziałem, usiłując zachować spokój. – Chciałbym pożyczyć to zdjęcie na jeden dzień.

Gdy tylko te słowa padły z moich ust, zdałem sobie sprawę, jak dziwnie musiały zabrzmieć. Dopiero co zawiadomiłem tę kobietę o śmierci jej córki, którą oddała przed laty do adopcji, a teraz chciałem zabrać jej jedyne zdjęcie zmarłej.

– Gdzie chce pan je zabrać? – zapytała.

– Ze sobą, na Manhattan. Jednak obiecuję, że w poniedziałek je pani odeślę.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Nie żebym panu nie ufała...

– Tak, rozumiem – przytaknąłem. – Jeszcze nie powiedziałem pani, do czego potrzebne mi to zdjęcie. Zamierzam pokazać je policji.

– Dlaczego?

– Ponieważ sądzę, że ono dowodzi, iż pani córka nikogo nie zabiła.

Jej mina mówiła sama za siebie. Nagle pojawiła się możliwość zrehabilitowania Haley. Nawet jeśli jej córka nie była sprawczynią, to w najlepszym razie współwinną morderstwa. Jeśli chciałem zdobyć zdjęcie, lepiej nie poruszać tego tematu.

– Obiecuję je pan odesłać?

– Tak, pani Stark. Ma pani moje słowo.

Ponownie przeprosiłem za to, że przyniosłem jej złe wieści, i zapewniłem, że później się z nią skontaktuję i wszystko wyjaśnię. Potem opuściłem jej dom. Ze zdjęciem w rękę.

Szybko pojechałem w kierunku lotniska. Musiałem złapać samolot, ale przede wszystkim zadzwonić. Do Terry. Powiem jej, co odkryłem, a ona zawiadomi wszystkich, poczynając od policji. Powinni natychmiast się dowiedzieć, że sprawa jeszcze nie jest zamknięta Morderca jest na wolności. A to oznacza, że Samantha Kent nadal może być celem.

Chwyciłem komórkę i sprawdziłem godzinę. Szósta dwadzieścia pięć. Zadzwoniłem do mieszkania Terry. Wprawdzie oberwie mi się za tę wycieczkę bez jej wiedzy, ale dobra wiadomość to ta, że po wysłuchaniu moich rewelacji zapewne zapomni o tym, że na ósmą mieliśmy zarezerwowany stolik w restauracji.

Trzy dzwonki. cztery No, Terry, bądź w domu.

Nie była. Na automatycznej sekretarce zostawiłem wiadomość, żeby skontaktowała się ze mną jak najszybciej, po czym spróbowałem zadzwonić na jej komórkę. Telefonując, spojrzałem na fotel pasażera. Ze zdjęcia dziesięć na piętnaście spoglądały na mnie uśmiechnięte twarze Haley Morgan i jej matki. Zdumiewające Następne zdjęcie zupełnie zmieniające obraz sytuacji – Cześć, tu Terry, proszę, zostaw wiadomość.

Nie zastałem jej w domu, me złapałem przez telefon komórkowy. Do licha, gdzie ona się podziewa?

Spróbowałem zadzwonić do Victora. Najpierw do domu, a potem na komórkę Bez powodzenia. Chociaż była sobota, zatelefonowałem również do jego biura Gdy odezwała się poczta głosowa, przypomniałem sobie, że według Terry zamierzał wziąć urlop Nie pamiętałem tylko kiedy Przejechałem następne półtora kilometra, zastanawiając się, co robić. Instykt nakazywał zawiadomić policję, może nawet skontaktować się z detektywami Trentmem i Lopezem. Poprzednio mi nie uwierzyli. Teraz będą musieli. Rozmyślałem o tym, co im powiem. Pojechałem do biologicznej matki Haley Morgan i...

Cholera.

Juz widziałem ich miny Słyszałem ich pytania. Po co pojechałem do matki morderczyni? Skąd wiedziałem, jak się nazywa i gdzie mieszka? Musiałbym odpowiedzieć na te pytania, a jednocześnie chronić Ethana Musiałbym kłamać.

Albo...

Jeszcze lepiej. Pominąć pośredników. Przynajmniej przez chwilę. Zadzwonić bezpośrednio do Samantha Kent. Niewątpliwie zdziwi ją mój telefon, a po wysłuchaniu wiadomości z pewnością wpadnie w panikę. Jednak postaram się ją uspokoić. „Jeśli jeszcze nikt pani nie zaatakował, to jest nadzieja, że już tego nie zrobi”. Tak jej powiem, i to bardzo uspokajającym tonem. Potem mimochodem poradzę, żeby dobrze zamknęła drzwi, podparła je komodą i natychmiast schowała się pod łóżkiem.

– Jakie miasto?

– Manhattan... hotel Drake.

Zadzwoniłem na podany numer i poprosiłem o połączenie z jej pokojem. Telefon zadzwonił osiem razy, po czym włączyła się poczta głosowa. Pospiesznie wyjaśniłem, że

jestem ostatnią osobą, od której spodziewałaby się telefonu, i podałem jej numer mojej komórki. Podkreślając wagę sprawy, poprosiłem, żeby oddzwoniła do mnie jak najszybciej. Kiedy się rozłączyłem, przyszła mi do głowy okropna myśl. A jeśli wspólnik Haley już dopadł Samanthę Kent?

Przynajmniej w biurze Delta Airlines ktoś był. Czekaając, aż się ktoś odezwie z osób, do których dzwoniłem, zarezerwowałem miejsce w następnym samolocie do Nowego Jorku.

– Jest dziś jeden o dziewiątej czterdzieści – powiedziała urzędniczka.

– Nie ma wcześniejszego?

– Jest o siódmej trzydzieści, ale to za niecałą godzinę. Ponownie sprawdziłem godzinę. Szósta trzydzieści pięć.

Urzędniczka miała rację. Nie zdążyłbym.

– Zatem ten o dziewiątej czterdzieści.

Rozłączyłem się, zamierzając sprawdzić, czy inne linie lotnicze nie mają wcześniejszego lotu. Zadzwoiła komórka.

– Halo?

– Doktor Remler?

To była Samantha Kent. Sądząc, że wiadomość mogła zostać przekierowana na jej komórkę, natychmiast zapytałem, skąd dzwoni.

– Dlaczego pan pyta? – zapytała po chwili wahania.

– Przepraszam, zaraz wyjaśnię powód.

– Jestem w hotelu. Miałam rozmowę na drugiej linii – odparła. – Jakiś problem?

– Jeszcze nie – powiedziałem. – Jednak coś się stało. To długa historia, ale rzecz w tym, że Haley Morgan nie zabiła pani męża.

Tym razem wahanie trwało dłużej.

– Co takiego?

– Tamtej nocy, kiedy Conrad został zamordowany, Haley nie było na Manhattanie.

– Co pan mówi? A gdzie była?

– W Griffin, w Georgii. Ta wiadomość oszołomiła ją.

– Gdzie?

– To ponad sześćdziesiąt kilometrów na południe od Atlanty. Tam mieszka Evelyn Stark – biologiczna matka Haley. Nocowała w jej domu.

– Skąd pan wie?

– Właśnie stamtąd wracam.

– Jest pan w Georgii?

– Tak. Jak już powiedziałem, to długa historia.

– Chwileczkę, czegoś nie rozumiem – powiedziała. – Jeśli Haley Morgan nie zamordowała Conrada, to kto to zrobił?

– Oto pytanie. Musiała mieć wspólnika.

– Kogo?

– Nie wiem. To mógł być ktokol...

– O mój Boże, Davidzie.

Nagle jej głos się zmienił. Zdziwienie zastąpił niepokój.

– Samantha, co się stało? – zapytałem. Pod wpływem emocji przeszliśmy na ty. Nie odpowiedziała.

– Samantha?

– Powiedziała, że chce mnie przeprosić.

– Kto?

Niemal czułem, jak słuchawka trzęsie się w jej dłoni.

– Ta kobieta z procesu – powiedziała. – Gabrielle Dennis. Druga kochanka. Być może. Zawiedziona poszukiwaczka sławy lub odtrącona kochanka – nie wiadomo. Kiedy stało się to nieistotne, przestaliśmy się tym interesować. Teraz wyglądało na to, że była zamieszana w morderstwo. Jako współniczka Haley zjawiała się na procesie, żeby jeszcze bardziej mnie pogrążyć.

– Jak to? Rozmawiałaś z nią? – zapytałem.

– Zadzwoiła do mnie – odparła Samantha. – Płakała i mówiła, że po tym wszystkim czuje się okropnie.

– Kiedy to było?

– Wczoraj. Powiedziała, że chce osobiście złożyć mi kondolencje.

– Chyba nie...

– Nie, uznałam, że to niemożliwe. Nie chciałam mieć z nią nic wspólnego. Bardzo nalegała na spotkanie. Teraz zaczynam się bać.

– Czy ona wie, gdzie się zatrzymałaś?

– Tak – odparła drżącym głosem. – Rozmowy przychodzące do mojego mieszkania są automatycznie przekierowane do hotelu. – Z każdą chwilą była bardziej przestraszona. – Co mam robić?

Już miałem jej powiedzieć, żeby zadzwoniła na policję, kiedy usłyszałem pisk. Ktoś chciał się ze mną połączyć. Domyśliłem się, że to Terry. Dzięki Bogu.

– Zaczekaj chwilę, dobrze? Przełączyłem się i miałem rację.

– Kolacja nadal aktualna? – usłyszałem wesoły głos Terry.

– Niezupełnie – odparłem. – Gdzie jesteś?

– Wysłałam z sali gimnastycznej. Dlaczego pytasz? Co się stało?

Zrelacjonowałem jej najszybciej, jak mogłem. Również to, że Samantha Kent czeka na drugiej linii.

– Jest śmiertelnie przerażona – powiedziałem. – Zamierzałem jej poradzić, żeby zadzwoniła na policję.

– Niech się zastanowię...

– Myśl. Zaraz do ciebie wrócę.

Przełączyłem się i wyjaśniłem, że rozmawiałem z Terry.

– I co ona na to?

– Zastanawia się – odparłem. – Chciałem się upewnić, że jeszcze tam jesteś.

– Jestem, ale to ostatnie miejsce, w którym chciałabym teraz być.

– Nie mam ci tego za złe. Zaczekaj jeszcze chwilę, dobrze? Ponownie się przełączyłem.

– Mam pomysł – odezwałem się do Terry. – Samantha nie chce być teraz sama...

Terry przerwała mi.

– Chyba wpadłam na ten sam pomysł. Wolałabym nie zawiadamić policji dopóty, dopóki nie wrócisz i nie ogarnę całej sytuacji. A do tej pory Samantha mogłaby poczekać u mnie, prawda?

– Właśnie.

– W porządku, podaj jej mój adres i powiedz, że za piętnaście minut będę w domu.

– Dobrze, dzięki. Przyjadę do ciebie prosto z lotniska. Znów się przełączyłem i przekazałem ten plan Samancie.

Ledwie skończyłem mówić, gdy moja komórka przestała działać. Cholera. Rozładowana bateria. To tyle jeśli chodzi o sprawdzanie innych linii lotniczych. Nie miałem innego wyjścia, musiałem wdepnąć pedał gazu i spróbować zdążyć na lot Deltę o siódmej trzydzieści.

W ciągu następnych dwudziestu minut naruszyłem wszystkie ograniczenia prędkości, niemal w biegu wytoczyłem się z wynajętego samochodu i wyrwałem bilet z automatu, dopiero trochę przyhamowałem przy kontroli. Leniwy sobotni wieczór.

Niewielu pasażerów, więc szybko udało mi się przejść przez bramkę. Pobiegłem do wyjścia.

– Chwileczkę! – wrzasnąłem na stewarda zamykającego drzwi.

Wprawdzie o mało nie przytrzasnęły mi tyłka, ale znalazłem się po drugiej stronie. Samolot odlatujący o siódmej trzydzieści do Nowego Jorku wystartował ze mną na pokładzie.

Po prawie trzech bardzo niespokojnych godzinach dotarłem do kamienicy w West Village, gdzie mieszkała Terry. Zadzwoiłem i natychmiast usłyszałem brzęczenie otwieranych drzwi. Jej mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Przeskakując po dwa stopnie, wbiegłem na górę.

Zbliżając się do jej drzwi, zachęcająco uchylonych, poklepałem się po kieszonce koszuli. Miałem w niej zdjęcie Haley i jej matki. Było na swoim miejscu, ale mimo to chciałem się upewnić.

Wszedłem do środka i natychmiast zobaczyłem siedzącą na kanapie Terry. Uśmiechnąłem się.

Uśmiech zamarł mi na ustach.

Potem wszystko pochłonęła ciemność.

Rozdział 53

– Nie mogłeś zostawić tego w spokoju, co?

Były to pierwsze słowa, jakie usłyszałem, kiedy otworzyłem oczy. Wypowiedziała je Samantha Kent.

– Nie, musiałeś bawić się w małego detektywa. Siedziała przy stoliku w kuchni Terry. Z nogą założoną na nogę, pałac papierosa. Powoli pokręciła głową.

– Spójrz, co ci to dało.

Wyglądało na to, że miejsce na podłodze. Na brzuchu, z rękami i nogami skrupowanymi taśmą izolacyjną. Terry leżała obok mnie, również związana. Guz na jej czole, który zobaczyłem, wchodząc do mieszkania, był pokryty zaschniętą krwią. Trudno orzec, jak długo byłem nieprzytomny.

– Co masz do powiedzenia, Davidzie?

Retoryczne pytanie. Głównie z powodu taśmy, którą zakleiła mi usta. I usta Terry. Nie będziemy wzywać pomocy.

Byłem jeszcze oszołomiony, ale teraz z łatwością połączyłem fakty. Haley Morgan rzeczywiście nie działała sama. Chociaż trudno sobie wyobrazić dziwniejszą sytuację. Kochanka i zdradzana żona jako współniczki. Punkt dla pań.

Jak to możliwe?

Spróbowałem oderwać głowę od podłogi, żeby lepiej przyjrzeć się Samancie. Natychmiast poczułem przeszywający ból.

Nie powodowały go połamane żebra. Jeśli sądzić po stojącym na stoliku garnku, to zostałem mocno uderzony w głowę rondlem. Marki Calphalon, a jakże.

– Mmm – powiedziałem.

Nic więcej nie zdołałem wykrztusić przez zaklejone taśmą usta. I o to mi chodziło – żeby Samantha je odkleiła. Szybko przypomiąłem sobie zasady negocjacji z porwaczami. Przede wszystkim nawiązać dialog.

– Mmm – powtórzyłem.

Spojrzała na mnie z pobłażliwym uśmiechem, zastanawiając się, co robić. Ciekawość przeważała nad ostrożnością.

– Masz mi coś do powiedzenia, Davidzie? Kiwnąłem głową.

– Oczywiście. Tyle pytań, tak mało odpowiedzi. Z pewnością jesteś zaskoczony. – Pochyliła się nade mną. – Nie zrobisz niczego głupiego, na przykład nie spróbujesz krzyknąć?

Pokręciłem głową.

Samantha podniosła się z krzesła. Jednak zanim do mnie podeszła, wzięła do ręki rondel. Na wszelki wypadek.

Jednym zdecydowanym ruchem chwyciła taśmę i oderwała ją. Z widoczną przyjemnością patrzyła, jak się krzywię. Przez chwilę stała nade mną z rondlem w ręku. Ja jednak nie krzychałem. Ani z bólu, ani o pomoc.

– Żyjesz? – natychmiast zapytałem Terry. Kiwnęła głową.

Samantha usiadła i podniosła zostawionego papierosa.

– O co chciałeś zapytać? Ująłem to jednym słowem.

– Dlaczego?

Zerknęła na Terry, po czym znowu spojrzała na mnie.

– Oto jest pytanie, prawda? Dlaczego? Czemu pragnęłam śmierci Conrada? I dlaczego sprzymierzyłam się z kobietą, którą pieprzył? I dlaczego, właśnie dlaczego, ty miałeś być kozłem ofiarnym? – Popatrzyła na zegarek i z teatralną przesadą zmarszczyła brwi. – Chociaż bardzo chciałabym posiedzieć tu i wszystko ci wyjaśnić, obawiam się, że mam mało czasu.

Zerknąłem na moje związane ręce i nogi.

– Zabawne, pomyślałem to samo. Znów się uśmiechnęła.

– Wisielczy humor. Lubię to. Conrad też go miał.

– Zanim go zabiłaś.

– Tak, zanim go zabiłam.

– I tylko dlatego, że cię zdradzał. Zaciągnęła się.

– Gdyby chodziło tylko o zranione uczucia...

– A o co?

– Och, jesteś dobry, Davidzie. To prawdziwa sztuka, nakłaniać ludzi, żeby otwierali się przed tobą.

– Cała sztuka to umiejętność słuchania – powiedziałem. – Jednak w tym wypadku chyba nie wierzę w to, co słyszę.

– Naprawdę myślisz, że to była zbrodnia z namiętności?

– A jaki mógł być inny powód?

– Na przykład pieniądze.

Nie nadażalem. Przecież odziedziczyła fortunę.

– Mówisz o czymś takim jak polisa na życie?

– Można to tak nazwać – odparła. – Problem w tym, że wygasła na początku zeszłego roku. Dokładnie w dziesiątą rocznicę naszego ślubu.

Teraz zrozumiałem. Mówiła o umowie przedślubnej. Najwidoczniej chociaż Conradowi powiodło się w interesach, jego konto w banku nie umywało się do rodzinnej fortuny Kentów.

– Nie zawierała zastrzeżenia o niewierności? – zapytałem.

– Ach, mówisz o klauzuli „niedobrego chłopca”? Owszem, była w umowie, ale pozostała martwym paragrafem. Właściwe określenie. Od początku chciałam podpisać intercyzę na okres dłuższy niż dziesięć lat, ale w trakcie prawnych przepychanek z trudem udało się wywalczyć dziesięć. Jego prawnik upierał się przy siedmiu.

– Wygląda na to, że ty i Conrad kochaliście się od początku.

– Cóż, formalnie to nie były moje pieniądze.

– Ile by na tobie zarobił?

– Około siedemdziesięciu milionów – odparła chłodno. – Oczywiście, zarobi znacznie mniej jako nieboszczyk.

Rzeczywiście lubiła wisielczy humor.

– Zatem zamiast spłacić Conrada, wolałaś go zabić? Popatrzyła na mnie jak rozczarowana

nauczycielka.

– Po pierwsze, mówimy o siedemdziesięciu milionach dolarów. Po drugie, na ścianach urzędów pocztowych wiszą listy gończe znacznie sympatyczniejszych facetów niż Conrad. Gdyby nadal żyła, Haley Morgan potwierdziłaby to.

Teraz dochodziliśmy do sedna sprawy. A im dłużej rozmawialiśmy, tym większe miałem szanse coś wymyślić. Jakiś sposób. Podejście. Wyjście z pułapki.

Podtrzymuj rozmowę.

– Ty i Haley to dość dziwna spółka, nie uważasz?

– Prawdę mówiąc – powiedziała – moim zdaniem właśnie to było piękne. No wiesz, okazuje się, że odrażona kobieta nie jest najniebezpieczniejsza. Znacznie groźniejsze są dwie kobiety.

– W przypadku Haley chodziło o to, że Conrad z nią zerwał?

– W jej przypadku nie chodziło tylko o zranione uczucia – odparła Samantha. – Haley rzeczywiście była wściekła i kiedy stanęła w moich drzwiach, zamierzała wyrzucić mój świat do góry nogami. Co do mnie, tylko patrzyłam na jej podbite oko.

– Conrad ją uderzył?

– Tak, kiedy zrobiła mu awanturę.

– O co?

– O środek, który cichaczem podał jej kilka dni po tym, jak mu powiedziała, że jest w ciąży. Drań. Wiem, że nie jesteś lekarzem, ale podejrzewam, że słyszałeś o mifepristonie.

Słyszałem. Obecnie powszechnie znany jako RU-486.

Chryste.

Samantha ciągnęła:

– Lekarz znalazł ślady tego środka w jej krwi. Po tym jak poroniła. Nie muszę mówić, że pragnęła zemsty.

Jasne.

– Myślała o morderstwie?

– Przyznaję, że z początku nie. Właśnie dlatego dałam jej dodatkowe pięćset tysięcy powodów, żeby to zrobić. Połowa z góry, połowa potem, a wszystko w gotówce. To mnóstwo pieniędzy dla kobiety, która ich nie ma, a w dodatku straciła sponsora. Naprawdę sędzę, że najtrudniej było jej uwierzyć, że ja również pragnę śmierci Conrada. I tu znów przypominam o tych siedemdziesięciu milionach.

– A co poszło nie tak? – spytałem.

– Z czym?

– Haley w końcu chciała cię zabić.

– Na to wyglądało, prawda? Nie, tamtego ranka przyszła do mojego mieszkania tylko po resztę pieniędzy. Chciała je odebrać i jak najszybciej wynieść się z miasta. Naturalnie, ja miałam inne plany.

– To ty chciałaś ją zabić.

– W końcu pieprzyła się z moim mężem. Ponadto była spalona. Jej zdjęcie było wszędzie.

– Samantha po raz ostatni zaciągnęła się i zdusiła niedopałek na blacie stołu. – Jednak muszę

przyznać, że chyba miała oczy z tyłu głowy.

Nagle ujrzałem to wszystko w zupełnie nowym świetle. Samantha atakuje Haley. Posługuje się nożem – bronią, którą zamordowano Conrada – tak, by wyglądało, że to Haley go przyniosła. Jednak współniczka wyczuwa zasadzkę. Odwraca się w porę. Zaczyna się szamotanina.

A wtedy nadbiegam ja.

Samantha kilkakrotnie klasnęła.

– Naprawdę uratowałeś mnie, Davidzie.

Ponownie zobaczyłem twarz Haley. Jej oczy. Patrzyła na mnie w chwili, gdy podniosła upuszczony na dywan nóż. Byłem pewien, że się na mnie rzuci. Teraz wiedziałem, że nie zamierzała. Ta scena była niczym test Rorschacha, tylko z prawidłową odpowiedzią. Przez ułamek sekundy widziałem kobietę, która wpadła w pułapkę.

Kłamliwych obietnic.

A kiedy w następnym ułamku sekundy przeszła ją kula, Samantha postarała się, żeby tak zostało.

– I jak przebiega sesja? Spojrzałem na Samanthę.

– Przepraszam?

– No... ta nasza rozmowa – powiedziała. – Próbujesz zmienić ją w sesję. Najpierw poznać fakty, a potem przejrzeć moje myśli. I może, tylko może, wykręcić się z opresji. Nie uważasz, że to ładnie z mojej strony, że ci na to pozwoliłam?

– A ja myślałem, że się chwalisz. Z rozbawieniem skinęła głową.

– Teraz rozumiem, dlaczego Haley uważała, że jesteś ujmujący. – Sięgnęła po następnego papierosa. – Oczywiście ta sympatia była obopólna, prawda?

Nie zamierzałem na to odpowiadać. Patrzyłem, jak zapala papierosa, i czekałem. Była jeszcze jedna niejasna sprawa, którą należało wyjaśnić. Moja.

– Zważywszy na to, co powiedziałaś o ciąży Haley, zaczynam podejrzewać, że Conrad wcale nie obciążył mnie winą za zerwanie.

– Masz rację. Ona nawet nie wiedziała, że Conrad był u psychologa. Ja jednak wiedziałam.

– Skąd?

– Widziałam coś, czego Haley nigdy ci nie dała: pokwitowanie. Przypadkiem znalazłam czek, który Conrad wypisał ci za pierwszą sesję. Rzecz w tym, że nigdy nie widziałam drugiego.

– Ponieważ nigdy nie było drugiej sesji.

– Właśnie. Tylko że ja nie miałam co do tego pewności. Tak więc po kilku miesiącach, kiedy intercyza wygasła, i dowiedziałam się o istnieniu Haley, stałaś się poważnym zagrożeniem. Gdyby Conrad chodził do ciebie regularnie, nie wiadomo czego mógłbyś się dowiedzieć. Nie mogłam sobie pozwolić na to, żebyś po jego śmierci zgłosił się na policję i złożył obciążające mnie zeznania. Okazało się, że nawet podczas tej jednej sesji powiedział ci bardzo dużo.

– Zamierzał zakończyć romans.

– Nie, on tylko chciał sprawiać takie wrażenie. Gdybym dowiedziała się o jego romansie przed wygaśnięciem intercyzy, jego prawnicy zawlekliby cię do sądu, żebyś zaświadczył o jego wyrzutach sumienia. Może zamiast siedemdziesięciu milionów dostałby trzydzieści pięć.

– Tak więc wszyscy mnie wykorzystaliście.

– Zapewniam cię, że z mojej strony nie było to nic osobistego. Nawet cię nie znałam.

– Co samo w sobie odegrało doniosłą rolę w twoim planie.

– Owszem, ale to jeszcze nic.

– W porównaniu z czym?

– Z twoją książką. – Roześmiała się. – Co za założenie! Dobrzy ludzie robiący złe rzeczy pozornie bez żadnych powodów. Do diabła, Davidzie, jakbyś sam się o to prosił.

– Dlatego wrobiłaś mnie bez żadnych skrupułów? Tak po prostu?

– A jednak próbujesz zmienić to w sesję – powiedziała, kręcąc głową.

– Pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie. Samantha spojrzała na zegarek, tym razem nie udając.

– Obawiam się, że dostatecznie długo spełniałam twoje życzenia. Jest jeszcze jedno ważne pytanie, ale nie dla ciebie. Dla mnie. – Potarła podbródek, wodząc oczami od Terry do mnie. – Co mam z wami zrobić?

Chciałbym wierzyć, że nie miała na to gotowej odpowiedzi.

Akurat. Przecież przyniosła taśmę izolacyjną. Do diabła, a ja sam ją zaprosiłem. Dowiedziałem się, że Haley Morgan nie zabiła Conrada Bircha i komu pierwszemu o tym mówię? Osobie, która to zrobiła. Zadając pięćdziesiąt ciosów moim nożem od J. A. Henckelsa. Ni mniej, ni więcej.

Zerknąłem na Terry i w jej oczach ujrzałem tę samą obawę. Nie, Samantha Kent wcale nie zastanawiała się, co ma z nami zrobić.

Rozdział 54

– Nie mogę użyć pistoletu, prawda? Na pewno zidentyfikowaliby kule.

Samantha ponownie głęboko zaciągnęła się papierosem, po czym zgasiła go na stole obok poprzedniego. Najgorsze było to, że wyglądała zupełnie tak samo jak podczas procesu. Zimne spojrzenie. Lodowaty spokój. Cóż lepiej od bogactwa maskuje emocjonalną pustkę?

– Nóż? Nie teraz, kiedy nie ma już Haley.

Wstała i podeszła do mnie, trzymając w dłoni kawałek taśmy izolacyjnej. Zakleiła mi nią usta i powoli, mocno przeciągnęła po niej kciukiem. Zostałem pozbawiony prawa głosu.

Odwróciła się do kuchenki gazowej. Przekręciła gałkę. Kątem oka zauważyłem, jak jeden z przednich palników zapalił się błękitnym płomieniem. Zobaczyłem, że zdmuchnęła go. W kuchni rozszedł się gryzący zapach gazu.

– Tak, tym razem wszystko musi być dopięte na ostatni guzik.

Samantha podeszła do jednej z kuchennych szafek i otworzyła ją. Przykucnęła i przez chwilę oglądała zawartość. Wyjęła prostokątną, metalową formę do pieczenia.

– Podejrzewam, że policja może zapytać, po co do mnie dzwoniłeś, Davidzie.

Przestąpiła przez Terry i przeze mnie, podeszła do zlewu i odkręciła kurek. Nucąc coś pod nosem, nalała wody do foremki.

– Oczywiście, powiem im, że zaprosiłeś mnie na kolację ze swoją nową panią.

Domyśliłem się, co zaraz zrobi. Gaz, metalowa forma do pieczenia, woda, żeby uzyskać wysokie ciśnienie. Samantha skierowała swoje kroki tam, gdzie przypuszczałem. Do kuchenki mikrofalowej.

– Niestety, miałam inne plany.

Wstawiła formę, zatrzasnęła drzwiczki, po czym idealnie wymanikiowanym palcem wskazującym nacisnęła kilka przycisków. Mikrofalówka włączyła się z łagodną poświatą i cichym pomrukiem.

– W przeciwnym razie musieliby zidentyfikować trzy ofiary.

Koniec zabawy. Żadnych kolejnych pytań i odpowiedzi. Zrobiwszy swoje, Samantha dwukrotnie klasnęła w dłonie, po czym spojrzała na nas z obrzydliwym uśmiechem.

– *Bon appetit*, ludzie.

Podeszła do drzwi i już jej nie było. A za jakieś pięć lub sześć minut nie będzie również Terry i mnie. Na studiach miałem zajęcia z chemii tylko przez jeden semestr, ale to wystarczyło. Wiedziałem, że pozostało nam bardzo mało czasu. Metalowa forma będzie iskrzyć i płonąć, a woda zacznie wrzeć i parować. W końcu wytworzone ciśnienie wyłamie zamek kuchenki i wyrzuci metalową formę w nasycone gazem powietrze.

Bum.

Odwróciłem się do Terry.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Chciałem jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Nie mogłem, i nie miało to nic wspólnego z taśmą zalepiającą mi usta.

W powietrzu było już tyle gazu, że czułem jego smak. Spojrzałem na mikrofalówkę i

ledwie dostrzegłem zarys formy do pieczenia. Podskakiwała na obrotowym talerzu, grzechocząc jak rzucane na blachę gwoździe.

Cholera!

Znów popatrzyłem na Terry. Nie mogliśmy mówić, ale powinniśmy się porozumieć. Co więcej, musieliśmy szybko coś wymyślić. Uwolnić się i wydostać z tej kuchni. Tylko że nie mogliśmy zrobić tego o własnych siłach. Potrzebowaliśmy pomocy.

Nagle zauważyłem, że szeroko otworzyła oczy. Wymyśliła coś i usiłowała mi to przekazać gwałtownym ruchem głowy. W pierwszej chwili zrozumiałem tylko tyle, że cokolwiek to jest, znajduje się bliżej mnie. Ponownie poruszyła głowę. W kierunku szarki stojącej obok kuchenki gazowej. Terry poruszyła głowę w górę. Coś tam było i usiłowała mi to powiedzieć.

Ledwie mogłem się ruszać. Jednak ledwie to lepiej niż wcale. Wierzgając jak spętany koń, centymetr po centymetrze zacząłem przesuwając się w kierunku szafki. Grzechotanie w mikrofalówce stawało się coraz głośniejsze.

Wyciągnąłem związane za plecami ręce i czubkami palców dotknąłem drzwiczek. Niestety, uchwyt był za wysoko. Wbiłem palce w krawędź drzwiczek, starając się mocno chwycić. Spróbowałem je otworzyć, ale nie udało mi się. Powtórzyłem próbę. Sukces.

W środku były ściereczki do naczyń i środek do czyszczenia kuchenki, woreczek z gąbkami oraz aluminiowa folia.

Obróciłem się do Terry. Czego mam szukać?

Przewróciła oczami. Hę?

Ponownie przewróciła oczami. Och!

Folia. Rolka aluminiowej folii. Ściśle mówiąc, ząbkowana metalowa krawędź pudełka. Prawie tak dobra jak nóż.

Sięgnąłem po pudełko i wtedy usłyszałem głośny trzask. Spojrzałem i zobaczyłem pierwszą iskrę. Nasz czas szybko się kończył.

Znów skupiłem się na pudełku z folią. Leżało na półce, w połowie wysokości szafki.

Zapałem je i wyciągnąłem, po czym ściskając w rękach, zacząłem przesuwając się z powrotem do Terry. Zaczęła się dusić w oparach gazu, ale taśma na jej ustach tłumiła kaszel. Bach! Następna iskra wypełniła mikrofalówkę pomarańczową poświatą.

Terry próbowała wyjść mi naprzeciw. Oparliśmy się plecami. Rozsunęła ręce najszerzej, jak zdołała, odsłaniając taśmę przy nadgarstkach. Przechyliłem pudełko, trzymając je ząbkowaną krawędzią w dół, aż dotknęło więzów. Potem zacząłem piłować. Najszybciej jak mogłem. Kuchenka mikrofalowa trzeszczała, rozpychana przez szybko rosnące ciśnienie pary. Zostały nam tylko sekundy.

Piłowałem zaciekle, a Terry usiłowała rozszerzyć nacięcia. Nasze wysiłki przynosiły skutek. Tylko zbyt wolno. Musiałem zaryzykować. Wypuściłem pudełko i złapałem nadgarstki Terry, szukając taśmy. Jeśli uda mi się rozerwać naciętą taśmę, będziemy mieli szansę. Jeżeli nie, zginiemy.

Szybciej, Davidzie!

Szarpnąłem z całych sił, myśląc o tym, dlaczego chciałem żyć. Taśma puściła z

trzaskiem. Terry miała wolne ręce. Natychmiast podniosła się, stanęła na związanych nogach i sięgnęła do szuflady. Wyjęła z niej nożyczki i przecięła więzy na nogach, po czym znów opadła na podłogę, żeby zrobić to samo z moimi. Gdy przecinała pęta na moich przegubach, spojrzałem na mikrofalówkę i odliczający sekundy zegar. Przez szczeliny spod drzwiczek sączył się dym, gęsty i czarny. Forma do pieczenia paliła się.

Szarpięciem rozerwałem naciętą taśmę i zerwałem się z podłogi. Terry rzuciła się do mikrofalówki, ale złapałem ją i zatrzymałem. Wyłączenie nie załatwiłoby sprawy. Tego procesu nie da się już zatrzymać. Nasza jedyna szansa to jak najszybciej wydostać się stąd.

Wybiegliśmy z kuchni do salonu, zataczając się i o mało nie przewracając. Wiem, że pobiegliśmy w kierunku korytarza. Resztę pamiętam jak przez mgłę. Podłoga, ściany, sufit – wszystko się zatrzęsło. Rozległ się ogłuszający huk. Podmuch eksplozji uderzył nas w plecy, praktycznie unosząc w powietrze. Gdyby Terry w ostatniej chwili nie pociągnęła mnie za rękę, pochłonęłyby nas płomienie.

Jednak pociągnęła mnie w bok i oboje wpadliśmy do łazienki. Leżeliśmy przysypani tynkiem i potłuczonym szkłem, obok solidnej metalowej wanny, która zapewne nas uratowała. Byliśmy potłuczeni i zakrwawieni, ale żywi.

Trzymałem Terry w ramionach. Przytuliliśmy się do siebie i spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Mmm – mruknęła.

No tak, usta wciąż mieliśmy zaklejone taśmą. Policzywszy w duchu do trzech, oboje zerwaliśmy ją i złagodziliśmy pieczenie długim pocałunkiem.

– Cóż – powiedziałem, gdy w końcu złapałem oddech – nadal chcesz zobaczyć zdjęcie Haley i jej mamy, zanim zadzwonimy po policję?

Rozdział 55

– Od tego miejsca będziemy musieli zmienić zakończenie.

– Dlaczego?

– Żadne studio filmowe tego nie przełknie. To się nie nadaje – rzekł. – Jest mało satysfakcjonujące.

– Nie dla mnie – powiedziałem.

Kevin Daniels uśmiechnął się i przygładził dłonią rozczochrane włosy. Odwiedził Nowy Jork po raz pierwszy od chwili wyjazdu do Hollywood. Do brzucha bestii. Do tego czasu „niedorozwinięte, kapryśne dziwki, namawiające nas wszystkich do współdziałania w intelektualnej prostytutce” w końcu zakupiły prawa do jednego z jego niezwykle scenariuszy. Był już prawdziwym scenarzystą. Teraz, zaledwie tydzień po tym jak Samantha została aresztowana oraz oskarżona o zabójstwo pierwszego i drugiego stopnia, przeleciał blisko pięć tysięcy kilometrów, żeby się ze mną spotkać. Chciał zaadaptować moją historię.

– Ja tylko sugeruję drobną zmianę – powiedział. – Zamiast dzwonić po wybuchu na policję, ty i Terry sami ruszacie w pościg za Samantha. Musicie być obecni przy jej aresztowaniu.

Prawdę mówiąc, bardzo bym chciał. To byłby wspaniały widok. Wyraz jej twarzy. Szok. Niedowierzanie. Mina zapewne niewiele różniąca się od tej, jaką ja miałem, kiedy w końcu poznałem prawdę. Kiedy wreszcie dowiedziałem się, kim naprawdę jest.

Sam Kent. Samantha Kent. Pani Samantha Kent.

Była jeszcze jedna osoba, która wiedziała, że Haley Morgan nie zabiła Conrada Bircha. Matka Haley Morgan. I tylko jedna osoba wiedziała o tym, że ona to wie. Samantha. Uprzejmie podałem jej nazwisko, miasto i stan – wszystko, czego potrzebowała, żeby dopaść matkę Haley. Tak więc czule pożegnawszy się z Terry i ze mną, Samantha niewątpliwie ruszyła do Griffin w Georgii, by złożyć wizytą Evelyn Stark. Zamierzała upewnić się, że matka Haley zabierze tajemnicą do grobu. Jeszcze tej nocy.

Nie zdążyła wsiąść do samolotu.

Kiedy Terry zadzwoniła na policję, wysłano radiowozy na lotniska Kennedy’ego i LaGuardia. Typowałem bliższe z tych dwóch i rzeczywiście, zgarnęli ją w poczekalni przed bramką na LaGuardii.

Taaak, szkoda że mnie przy tym nie było i nie zobaczyłem jej miny.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć? – zapytał Kevin. Siedzieliśmy w moim gabinecie. On na tej samej kanapce, którą zajmował jako pacjent. Ja w tym samym wygodnym fotelu.

– Zobaczmy, co jeszcze mogą ci powiedzieć – odparłem z namysłem. Po chwili pokradłem głową. – Jestem pewien, że to już wszystko.

Teoretycznie mówiłem prawdę. Nic więcej nie mogłem mu powiedzieć. Wcale nie twierdziłem, że nic więcej nic wiem.

Kiedy ją aresztowano, Samantha miała prawo zachować milczenie, ale wołała mówić. Jej adwokaci nie próbowali jej powstrzymać. Zamierzali dowieść, że jest niepoczytalna i chociaż

działała z premedytacją, uważali to za najlepszą linią obrony. Być może jedyną możliwą. Co do mnie, nie mogłem nie zastanawiać się nad konsekwencjami takiej strategii.

Samantha musiał niezwłocznie zbadać psychiatrę.

Nie pytajcie mnie, w jaki sposób zdobyłem ten raport. A skoro o tym mowa, to nie pytajcie też Ethana Greene'a. Już nie jest mi nic winien. Powiem tylko, że raport miał postać pliku i był przechowywany w „bardzo kiepsko zabezpieczonym banku danych”.

Wybaczcie, ale po tym wszystkim, co się stało, nie mogłem się oprzeć chęci sprawdzenia, co w nim jest.

W trakcie dwóch sesji Samantha okazała się bardzo rozmowna. Czy był lepszy sposób na poparcie strategii obrony? Twierdziła, że nie odczuwa żadnych wyrzutów sumienia. Była przekonana, że jej postępowanie było w pełni usprawiedliwione.

I nosiło wszelkie znamiona szaleństwa.

Oprócz faktów, które ujawniła w mieszkaniu Terry, były i takie, które przemilczała. Drobne szczegóły sprawiające, że jej plan był dopracowany. Odpowiedzi na szereg dodatkowych pytań, które budził.

Wyjaśniła, w jaki sposób niepostrzeżenie wymknęła się z Ritza-Carltona w Bostonie, żeby pojechać na Manhattan i z powrotem. Była to długa podróż, którą odbyła w czasie, jaki upłynął od chwili telefonicznego zamówienia budzenia do wykonania tej usługi przez recepcjonistę. Jakby nigdy nic, wzięła udział w konferencji Children's Aid Society, starając się, żeby widziało ją tam mnóstwo osób.

I podpis Conrada na liście podrzuconym w moim mieszkaniu. Po prostu złapała Conrada w chwili, gdy spieszył się do pracy, i podsunęła mu do podpisu stos papierów. Czyny za garaż, opłatę członkowską klubu fitness, list z podziękowaniem do krawca. „Po trzecim lub czwartym świstku nie miał już ochoty niczego czytać”, stwierdziła. „Gryzmołił podpis i warczał: następny!”. Ponadto sprawa Haley. Tamtej nocy, kiedy zginął Conrad, miała tylko jedno zadanie. Zadzwoić do mnie. Mogła to zrobić skądkolwiek. Najwidoczniej nie powiedziała Samancie, że zrobiła to z Griffin w Georgii. Może był to przypadek. A może sprytne posunięcie ze strony kogoś, kto nie do końca wierzył w spółnicze. Jestem skłonny podejrzewać, że to drugie. Odwiedziny u matki miały być alibi Haley. Na wszelki wypadek.

Nie wykorzystwała tego alibi tylko dlatego, że nie doceniła Samanthę.

Kiedy opublikowano zdjęcie Haley stojącej ze mną przed muzeum, oznaczało to poważne kłopoty dla obu. Miałem zostać skazany i gnić w więzieniu. Zamiast tego przebywałem na wolności. Co więcej, jak zauważyła Samantha, Haley była „spalona”. Obie zgodnie uważały, że Tajemnicza Pacjentka powinna jak najszybciej zniknąć. Jednak ich definicje słowa „zniknąć” nieco się różniły.

To Samantha wpadła na pomysł, żeby Haley zadzwoniła do mnie po tym, jak proces został zawieszony. Użyty przy tym „rozpraszacz” należał do Conrada. Facet najwidoczniej panicznie obawiał się tego, że ktoś może podsłuchiwać jego rozmowy.

Groźba zabicia „tej suki, do której uciekł Conrad” miała odwrócić wszelkie podejrzenia od Samanthę, przynajmniej tak przedstawiła to Haley. W rzeczywistości ten telefon miał zapewnić jej bezkarność po popełnieniu następnego morderstwa. Kochanka znów atakuje!

Gdyby ktoś miał wątpliwości, Samantha wiedziała, że ja – chcąc do końca oczyścić się z zarzutów – opowiem o telefonie, który odebrałem.

Oczywiście, moje błyskawiczne odwiedziny bardzo ją zaskoczyły. Najwidoczniej nie przewidziała, że będę obstawiał jej dom. Tego posunięcia się po mnie nie spodziewała.

Pomimo to szybko obróciła to na swoją korzyść. Co więcej, zjawiając się tamtego poranka w jej mieszkaniu, zapewne uratowałem jej życie. Próba zabicia Haley spotkała się z zaciętym oporem, łagodnie mówiąc. Kto wie, co by się stało, gdybym nie przybył z odsieczą.

Zadziwiająca.

Haley Morgan. Z nożem w ręku. W salonie Samantha Kent.

A ja nie miałem pojęcia, co naprawdę się wydarzyło.

Skoro o tym mowa...

Kilka dni po spotkaniu z Kevinem Danielsem wyszedłem na chwilę z gabinetu, żeby kupić kanpkę w sklepiku na rogu. Limuzyna zatrzymała się przy krawężniku. Nie zauważyłem jej. Dopiero gdy siedzący na tylnej kanapie pasażer zawołał mnie po nazwisku, odwróciłem się i spojrzałem. Stałem jak wryty.

Był to Arnold Kesper.

Patrzył na mnie przez okno z opuszczoną do połowy, przydymioną szybą. Podeszedłem bliżej. Musiałem ugiąć nogi w kolanach, żeby nawiązać kontakt wzrokowy. Przyszło mi do głowy, że zapewne tego właśnie chciał. Jakbym składał mu hołd.

– Miło znów pana widzieć, doktorze Remler.

– I pana również, panie Kesper.

– Mogę podrzucić pana tam, dokąd pan idzie?

– To byłaby krótka przejażdżka – odparłem. – Idę do tego sklepu na rogu.

– W takim razie czy mógłby pan odłożyć tę wizytę na trzy minuty?

Uprzedzając wszelkie ewentualne pytania, o co właściwie mu chodzi, otworzył drzwi i przesunął się w głąb wozu. Przez sekundę stałem bez ruchu, rozważając możliwości. Właściwie nie mogłem powiedzieć, że jakiś znajomy chciał mnie podwieźć. Nie, chciał to zrobić znajomy multimilioner.

Wsiadłem.

Od razu zauważyłem, że nie jest to jakaś tam limuzyna dla nowożeńców. Ta była wyłożona lśniącym orzechowym drewnem i najdelikatniejszą skórą, jakiej dotykałem. Po obu stronach miałem ekrany plazmowe i monitory LCD, wyświetlające najnowsze wiadomości i notowania giełdowe. Naprzeciw nas siedziała ta sama niepozorna i poważna sekretarka, która towarzyszyła Kesperowi podczas przyjęcia koktajlowego. Kiwnęła mi głową, po czym znów zajęła się papierami, które trzymała na kolanach. Nigdzie nie widziałem testera pożywienia.

Kesper patrzył, jak się rozglądam.

– Jeśli człowiek musi się męczyć w nowojorskich korkach, to równie dobrze może pożytecznie spędzić ten czas, prawda, Davidzie?

– Pewnie tak.

– Nie masz nic przeciwko temu, że będę ci mówił po imieniu?

– Nie.

– To dobrze.

Spodziewałem się, że w zamian usłyszę, że mam zwracać się do niego „Arnoldzie”. Powinienem wiedzieć lepiej. Dodał:

– Skoro mowa o jeździe, to ostatnio miałeś naprawdę ostrą. Najpierw proces rabina, a potem twój własny.

– Słyszał pan o tym?

– Trudno było nie słyszeć – rzekł. – Tak, byłem bardzo zaintrygowany tą aferą Samantha Kent.

– I co pan myślał?

– Czy z początku uważałem cię za winnego?

– Nie, nie o to pytam.

– Jasne, że pytasz – orzekł Kesper. Miał rację.

– W takim razie... – zacząłem.

– Co myślałem? – Strzepnął nieistniejący pyłek ze spodni. – Cóż, szczerze mówiąc, z początku obojętnie słuchałem o twoich kłopotach. Winny czy nie, znalazłeś się w takiej samej sytuacji jak tamten rabin. Obaj oczekiwaliście, że ludzie uwierzą wam na słowo. Ty jednak nie uwierzyłeś rabinowi, prawda, Davidzie? Tak więc może byłoby logiczne, gdybym ja nie uwierzył tobie.

– Panie Kesper, nie mam panu za złe wątpliwości.

– Doceniam twoje zrozumienie, ale jak już powiedziałem, twoje problemy były mi obojętne. Przynajmniej dopóki się nie dowiedziałem.

– O rabinie?

– Tak. Miałeś rację, a ja się myliłem. Ten człowiek rzeczywiście kłamał. Winny jak diabli, tak to ująłeś.

– Udało mi się zgadnąć.

– Nie, doskonale zinterpretowałeś fakty, podczas gdy ja widziałem je przez pryzmat moich oczekiwań. W rezultacie znacznie lepiej ode mnie oceniłeś sytuację.

Skinął głową sekretarce, która odpowiedziała takim samym kiwnięciem. Wyciągnęła rękę, podniosła z bocznego stolika kopertę i podała mi ją.

– Co to takiego? – zapytałem.

– Coś, czego już nie potrzebuję.

Otworzyłem kopertę. W środku były odbitki oraz negatywy. Wszystkie zdjęcia ukazywały tę samą osobę. Mnie. Wchodzącego do gabinetu. Zatrzymującego taksówkę przed moim domem. Wychodzącego ze Starbucks.

– Jedną z pułapek ogromnego bogactwa, Davidzie, jest możliwość robienia niemal wszystkiego, na co człowiekowi przychodzi ochota. Włącznie z możliwością zdobycia niemal wszystkich informacji o każdym. Zazwyczaj każę kogoś śledzić jedynie w związku z interesami. Czasem jednak robię to dla rozrywki. – Uśmiechnął się. – Niektórzy ludzie, z takich lub innych przyczyn, fascynują mnie. Ty byłeś jedną z takich osób z powodu twojej roli w procesie rabina i książki, którą napisałeś. Byłem ciekaw, jakiego rodzaju człowiekiem

jesteś naprawdę.

– Chciał pan wiedzieć, czy ukrywam mroczne tajemnice.

– To także, owszem. Nie będę cię okłamywał. Chociaż zapewniam cię, że nie lubię grzebać się w brudach. Nie bawi mnie obserwowanie ludzkich słabości. Po prostu uważam, że wiedza jest lepsza od niewiedzy.

– Innymi słowy, to zapewnia panu przewagę.

– Można tak powiedzieć.

Siedziałem i zastanawiałem się, jak na to zareagować. Chciałem wybuchnąć gniewem, nawrzucać Kesperowi za jego arogancję i brak poszanowania. Jednak przede wszystkim chciałem mu podziękować. Ponieważ wiedziałem, co zrobił.

Pod jedną z ostatnich stykówek było powiększenie jednego ujęcia. Natychmiast je rozpoznałem. Zostało zrobione tamtej nocy, po przyjęciu koktajlowym Kesper Society. Ukazywało Tajemniczą Pacjentkę oraz mnie przed Metropolitan Museum of Art.

– Bardzo miło mi było spotkać się z tobą osobiście – powiedział. – Przedstawiciel Crescent House dobrze się spisał.

– Bennett Larson?

– Tak. Jak dobry łowca funduszy nie zapytał, dlaczego chcę, żebyś tam przyszedł. Po prostu postarał się, byś się zjawił.

A ja myślałem, że zaproszenie zawdzięczamy przekrojowi ludzkiej czaszki, który Bennett wysłał Kesperowi. I jak tu się złościć? Zorganizowane przez Kespera spotkanie przyniosło Crescent House milion dolarów.

Nadal wpatrywałem się w zdjęcie, na moment wróciwszy myślami do tamtej nocy oraz do chwili, gdy ujrzałem je po raz pierwszy. W gabinecie sędziego Lomaksa.

Kesper rzekł:

– Nie chcę, byś uważał, że celowo zwlekałem, Davidzie, pozwalając, by machina sprawiedliwości wciągała cię w swoje tryby. Dopiero kiedy dowiedziałem się, że rabin naprawdę był winny, zainteresowałem się twoją sprawą. Wtedy ponownie obejrzałem zdjęcia, które kazałem zrobić. I zdarzył się cud: na jednym z nich byłeś z kobietą, której rysopis odpowiadał Tajemniczej Pacjentce.

– Skąd pan wiedział, że sędzia Lomax postąpi tak, a nie inaczej?

– Nie wiedziałem. Uznałem jednak, że wysłanie mu zdjęcia będzie dobrym pierwszym posunięciem. Okazało się, że nic więcej nie musiałem robić.

– To rzeczywiście zmieniło sytuację – powiedziałem. – Po prostu nie wiem, jak mam panu dziękować.

Schowałem wszystkie zdjęcia do koperty. Chciałem oddać ją Kesperowi.

– Nie, możesz je sobie zatrzymać albo wyrzucić, jeśli chcesz. Jak powiedziałem, nie są mi już potrzebne. Dobrze wiem, jakiego rodzaju jesteś człowiekiem. – Arnold Kesper wyciągnął rękę. Uścisnąłem ją. – Powodzenia, Davidscio.

– Dziękuję. Dziękuję za wszystko. Chwyciłem klamkę.

– Och, byłbym zapomniał – rzekł. – Mam dla ciebie jeszcze coś.

Ponownie skinął głową sekretarce, która otworzyła leżącą na siedzeniu obok niej teczkę.

Wyjęła z niej następną brązową kopertę, tym razem mniejszą, i wręczyła mi ją. Na kopercie nie było adresata ani nadawcy. Chciałem ją otworzyć.

– Może lepiej zrób to później – rzekł Kesper.

– Och... w porządku, jasne.

Wysiadłem z limuzyny, która odjechała, gdy tylko stanąłem obiema nogami na chodniku. Patrzyłem, jak znika w rzece pojazdów, po czym znów spojrzałem na kopertę. Otworzyłem ją.

W środku był czek wystawiony na Crescent House. Wyglądał bardzo podobnie jak ten na milion dolarów, który Arnold Kesper już nam ofiarował.

Tylko że na tym było jedno zero więcej.

Epilog

Ma wszystkie cechy typowego szczęśliwego zakończenia, ale wybaczcie mi, że nie chcę tego tak nazywać. Życie, chociaż jest cudowne, ma przykry zwyczaj przypominać ci, że nigdy w pełni nad nim nie panujesz. Kiedyś mówiłem moim pacjentom co innego. Teraz jestem mądrzejszy.

Wciąż prowadzę praktykę psychoterapeutyczną. Znów mam komplet pacjentów – czasy dziurawego jak ser szwajcarski rozkładu sesji minęły. Miła pozostaje moją *Mamką*, a co do czeskiego, to nadal robię postępy. A przynajmniej ona tak twierdzi. Z tego co wiem, zapewne w dniu urodzin życzyłem jej szczęśliwego Chanuka.

Co do Samantha Kent, ta wszystkie następne urodziny spędzi za kratami. Dożywocie bez możliwości skrócenia kary. Żaden z sędziów przysięgłych nie uwierzył w jej niepoczytalność. Co bardzo ciekawe, jak zauważył Victor, wszyscy przysięgli mieli dyplomy college'u.

Ku ogromnej konsternacji Debry Walker Coyne, szacownej agentki literackiej, nigdy nie napisałem książki o tym, co mi się przytrafiło. Zamiast tego pozwoliłem, żeby wyręczył mnie w tym Kevin Daniels. Muszę przyznać, że napisał bardzo dobry scenariusz, a zakończenie – rzecz jasna zmienione – z pewnością bardziej odpowiada gustom pożeraczy popcornu. Scenariusz przez kilka miesięcy wędrował po różnych studiach filmowych, aż wreszcie jedno z nich zakupiło prawa. Mówiono nawet, że moją rolę ma zagrać Tom Cruise. Niestety, jak zwykle w Hollywood, skończyło się na gadaniu. Przez pewien czas scenariusz czekał na realizację, ale teraz chyba wreszcie coś się ruszy.

– Nie wiedzą co dobre – podsumowała moja nowo poślubiona małżonka.

W innych okolicznościach małżeństwo z facetem, którego reprezentowała na sali sądowej, prawdopodobnie oznaczałoby dla Terry koniec kariery. Tylko że ona zawsze traktowała swoją adwokaturę jako tymczasowe zajęcie. Kluczowym słowem jest „tymczasowe”. Rok temu zakończyła pracę jako obrońca w sprawach kryminalnych, aby nadzorować tworzenie filii Crescent House w innych miastach. Dzięki dziesięciomilionowej dotacji Arnolda Kespera odbyło się już kilka ceremonii przecinania wstęg. I będą kolejne.

Terry jednak nie będzie mogła wziąć udziału w następnej, która odbędzie się za kilka tygodni w Chicago. Przepisy są nieubłagane. Nie można latać w siódmym miesiącu ciąży.

Nie wiemy, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka. Natomiast wiemy, że rodzicami chrzestnymi będą Parker i Stacy. Ponadto wybraliśmy już imię. Próbując wymyślić mniej obciachowe, nadające się dla chłopca i dziewczynki, a jednocześnie związane z ulubioną książką Terry, wybraliśmy Harper Lee Remler. Pokój dziecienny jest gotowy i czeka.

W ten sposób pozostało mi do opowiedzenia jeszcze tylko jedno zdarzenie.

Niedawno Terry znalazła klucz do skrytki depozytowej. Zapytała mnie o niego, a ja bez wahania wyznałem jej prawdę. Nasz związek jest właśnie taki.

Opowiedziałem jej o spisie, który moja pierwsza żona, Rebecca, sporządziła, kiedy była w ciąży, i o tym, jak przypadkiem znalazłem tę kartkę po jej śmierci. Terry zapytała, co na niej było. Wyrecytowałem. Znam ten spis na pamięć.

Terry wysłuchała, kiwając głową. Ktoś inny poprzestałby na tym. Moja przeszłość pozostałaby przeszłością, a lista bezpiecznie schowana w skrytce depozytowej. Nie Terry. Ona nic obawiała się tego, że będzie żyć w czyimś cieniu. I dlatego nigdy nie będzie musiała.

Kiedy poprosiła mnie, żebym przyniósł tę listę z banku, nie miałem pojęcia po co. Dowiedziałem się dwa dni później, kiedy wszedłem do dziecinnego pokoju i zobaczyłem tę listę oprawioną w ramki i zawieszoną na ścianie.

– Tego należy nauczyć każde dziecko – powiedziała.

Kochać.

Śmiać się.

Śmiać się jeszcze głośniej.

Słuchać i uczyć się.

Mówić proszę i dziękuję.

Mieć swoje zdanie.

Szanować zdanie innych.

Być uczciwym.

Być przyjaznym.

Być sobą.